

# Opowiadania

Wolfe Gene



calibre 0.9.43

Gene Wolfe

*Opowiadania*

MAPA

Poprzedniej nocy zapomniał o wszystkich swoich planach i walczył. Nawet na wpół oślepiony własną krwią, gdy Laetus rozbił mu dzban na głowie. I być może tak właśnie było najlepiej.

Jednak gdyby nie zabrali mu noża, kiedy spał, pewnie by ich oboje zabił.

"Mistrz Gurloes będzie się gniewał" - tak kiedyś zwykli mówić, żeby wzajemnie zasiać w sobie strach przed złymi czynami. Severian również by się gniewał, to pewne, a Severian bił go niejednokrotnie. Wypluł zakrzepłą krew. Bił go mocniej, niż Laetus i Syntyche ostatniej nocy.

Severian był kapitanem terminatorów w roku poprzedzającym jego własny.

Teraz Severian był Autarchą, Severian był prawem i mordercy umierali z ręki prawa.

Ktoś łomotał w luk. Znowu splunął - tym razem do kubła na odpadki. Krzyknął w stronę bulaja.

Wpadało tamtędy akurat tyle światła, żeby mógł zobaczyć na koi Syntyche wgniecenie, zostawione przez jej ciało, ułożone twarzą w stronę ściany, udające sen. Wygładził je dłońmi.

Przez chwile szukał po omacku swego ubrania i noża, ale nóż zniknął. Zachichotał i zaczął się wiercić na wąskiej koi, wpychając w spodnie obie nogi na raz.

Znowu walenie. Łódź zakołysała się, gdy przybysz zaczął szukać innego wejścia do kabiny. Eata splunął po raz trzeci i z przyzwyczajenia sięgnął w górę, żeby odsunąć już odsunięty rygiel.

Przybysz podniósł pokrywę i ostrożnie zszedł po stromych stopniach.

- Uważaj na pokładniki.

Schylił głowę, odwracając się. Był dostatecznie wysoki, żeby musieć to robić.

- Pan jest kapitan Eata?

- Siadaj na drugiej koi. Już nikt jej nie używa. Czego chcesz?

- Ale pan jest Eata?

- O tym porozmawiamy później, może. Jak mi powiesz czego chcesz.

- Przewodnika.

Eata obmacywał rozcięcie na głowie i nie odpowiedział.

- Powiedziano mi, że jest pan inteligentnym człowiekiem.

- Nie powiedział tego przyjaciel.

- Potrzebny mi człowiek z łodzią, żeby mnie zawieźć w dół Gyoll. Żeby mi powiedzieć wszystko, co będę chciał wiedzieć o ruinach. Powiedziano mi, że znasz je lepiej niż ktokolwiek inny.

- Asimi - powiedział Eata. - Jedno asimi za każdy dzień. I będziesz mi musiał pomóc prowadzić łódź - mój pomocnik i ja mieliśmy małą sprzeczkę ostatniej nocy.

- Powiedzmy sześć miedziaków, dobrze? To powinno potrwać tylko jeden dzień, a ja...

Eata nie słuchał. Zauważył, że jego skrzynia ma wyważony zamek i teraz się śmiał.

- Klucz jest w mojej kieszeni! - Złapał młodszego, wyższego mężczyznę za kolano. - A spodnie leżały na podłodze! - Był tak rozbawiony, że niemal dławił się słowami.

Wody Golle tutaj, w tej płaskiej krainie, przez nią samą stworzonej, płynęły powoli i leniwie - jednak wiatr wiał ze wschodu i łódź Eaty przechylała się nieco pod naporem szerokiego żagla. Stare słońce, teraz stojące już dobrze ponad najwyższymi wieżami, malowało czarny obraz żagla na oleistej wodzie.

- Co pan robi, kapitanie? - spytał przybysz. - Jak pan zarabia na życie?

- Wożę wszystko, za co mi płacą. Towary do delty i rybę do miasta, głównie.

- To ładna łódź. Pan ją zbudował?

- Nie - odpowiedział Eata. - Kupiłem. Nie tak szybka, jak by się chciało. Głowa ciągle go bolała, oparł się o rumpel z dłonią przyciśniętą do skroni.

- Tak, żeglowałem trochę po tym jeziorze na północy.

- Nie pytałem - powiedział Eata.

- Nie wydaje mi się, abym wymienił swoje imię. Brzmi ono Simulatio.

- I oczywiście jest prawdziwe, nie wątpię.

Przybysz odwrócił się. Przez chwile majstrował przy naciągu kliwerszota, żeby Eata nie zobaczył nagłego rumieńca na jego policzkach.

- Kiedy dotrzemy do opuszczonych części miasta?

- Koło nocy, jeśli wiatr się utrzyma.

- Nie wiedziałem, że to zabierze tyle czasu.

- Powinieneś wynająć mnie dalej, w dole rzeki. - Eata zachichotał. - A to będzie dopiero początek martwych rejonów. Pewnie będziesz chciał płynąć jeszcze dalej.

Nieznajomy odwrócił się, żeby na niego spojrzeć.

- Jest bardzo duże, prawda?

- Większe niż potrafisz sobie wyobrazić. Ta część - tu, gdzie żyją ludzie - jest tylko jego obrzeżem.

- Zna pan takie miejsce, w którym schodzą się trzy szerokie ulice?

- Pół tuzina, może więcej.

- Położone najdalej na południe, jak sądzę.

- Mogę cię zabrać tak daleko na południe, jak sam byłem. Nie mówię jednak, że to jest najdalej jak można.

- Zaczniemy więc właśnie tam.

- Zanim tam dotrzemy będzie już ciemno - powiedział Eata. - Następny dzień to będzie następne asimi. Nieznajomy skinął głową.

- Jeszcze nie dopłynęliśmy nawet do ruin. Eata wskazał ręką.

- Widzisz te ubrania? Piorą je przy brzegu rzeki. Ludzie tutaj mają dosyć jedzenia, więc stać ich na dwie, może nawet trzy koszule. Dalej na południe już ich nie zobaczysz - jak ktoś ma jedną

koszule, czy w ogóle jedną zmianę ubrania, to nieczęsto je pierze. Ale zauważysz dymy z kominów.

A jeszcze dalej nawet dymów nie zobaczysz. Tam jest martwe miasto i ludzie nie zapalają ognia, bo boją się tego, co dym mógłby na nich ściągnąć. Mój dawny nauczyciel nazywał ich omofagami. To

oznacza tych, co jedzą mięso na surowo.

Nieznajomy przyjrzał się brzegom i plamiącym je szmatom. Wiatr rozwiewał mu włosy.

Złachmanione sukienki i koszule, poruszane podmuchami, machały ku łodzi jak tłumy biednych, nieśmiałyh dzieci, bojących się, że ich pozdrowienie nie zostanie odwzajemnione. W końcu nieznajomy powiedział:

- Nawet jeżeli Autarcha nie daje im ochrony, to przecież mogą zbierać się w grupy i wzajemnie bronić.

- To właśnie siebie nawzajem najbardziej się boją. Żyją - jeśli to można nazwać życiem - z przesiewania ruin dawnego miasta, co roku drobniejszym sitem. Każdy, gdy tylko może, okrada swego sąsiada, zabija go nawet, jeśli ten znajdzie coś lepszego. To nie musi być bardzo cenne.

Wystarczy nóż ze srebrnym uchwytem.

Po chwili nieznajomy spojrział w dół, na srebrną rękojeść swego noża.

- Myśl, że tutaj możemy pójść trochę ostrzej na wiatr - powiedział Eata. - Dopływamy do podwójnego zakrętu.

Nieznajomy ściągnął szoty i boin powoli zbliżył się do burty łodzi.

Po ich prawej stronie płynął w górę rzeki wysokorufy thalamegus, połyskując w promieniach słońca jak brosza, cały w złoceniach i lapis lazuli. Teraz już wiatr był dla niego odpowiedni i gdy patrzyli (Eata z jednym okiem utkwionym w ich własnym żaglu) łacińskie reje opadły wzdłuż krótkich, grubych masztów, a potem znów się podniosły, ciągnąc za sobą szerokie trójkąty różowego jedwabiu. Długie wiosła skurczyły się i zniknęły.

- Byli w dole rzeki oglądać widoki - powiedział Eata. W czasie dnia to dość bezpieczne, jeżeli ma się na pokładzie kilku chłopaków z mieczami i wiosłarzy, którym można ufać.

- Co to jest, tam, w górze? - nieznajomy wyciągnął palec poza mijający ich statek, w stronę zwieńczonego iglicami wzgórza. - Wygląda to dość dziwnie akurat tutaj.

- Nazywają to Starą Twierdzą - odpowiedział Eata. Niezbyt wiele wiem na jej temat.

- Czy to jest to miejsce, z którego pochodzi Autarcha?

- Niektórzy tak mówią.

Urth patrzyła teraz słońcu niemal prosto w twarz i wiatr ucichł do ledwie słyszalnego szeptu.

Brązowy poplamiony grotżagiel obwisł bezwładnie, potem wypełnił się i znów obwisł.

Nieznajomy usiadł na chwile na burcie, zwieszając obute stopy na zewnątrz, niemal dotykając nimi gładkiej powierzchni wody. Potem gwałtownie przerzucił je z powrotem na pokład, jakby przestraszył się, że wypadnie.

- Mógłbyś sobie niemal wyobrazić, jak wzbijają się w górę, prawda? - powiedział. - Po prostu startują ze srebrnym świstem, zostawiając ten świat za sobą.

- Nie - odparł Eata - nie mógłbym.

- To właśnie mają zrobić, gdy czas dobiegnie końca. Czytałem gdzieś o tym.

- Papier jest niebezpieczny - powiedział Eata. - Zabił dużo więcej ludzi niż stal.

Ich łódź posuwała się niewiele szybciej niż leniwy nurt. Ptak przemknął nad ich głowami, cicho i szybko jak lotka ciśnięta ręką olbrzyma. Zniknął w białej, letniej chmurze, pojawiając się chwilę potem, skurczony niemal do niewidzialności - jeszcze jedna iskierka pomiędzy przyćmionymi

światłem dnia gwiazdami. Brązowy żagiel przesunął się powoli, przesłaniając nieznajomemu widok na północny wschód, ku Starej Twierdzy. Pomimo rzucanego przezeń cienia, nieznajomy się pocił.

Rozsznurował swój skórzany kaftan.

Gdy zapadła noc, zasznurował go z powrotem, tak mocno, jak zdołał. Już było zimno i nie trzeba mu było podpowiadać, że wkrótce będzie jeszcze zimniej.

- Może powinienem mieć koc - powiedział. Eata potrząsnął głową.

- Usnąłbyś tylko. Spaceruj tam i z powrotem i wymachuj rękami. Dzięki temu będzie ci ciepło, a poza tym nie uśniesz. Wytrzymaj, aż przyjdę cię zwolnić i przejąć wartę.

Nieznajomy skinął głową i spojrzał w górę, na pomarańczową lampę, którą Eata podciągnął na szczyt masztu.

- Będą wiedzieli, że tu jesteśmy.

- Gdyby nie wiedzieli, nie zawracałbym sobie głowy wystawianiem warty. Jednak jeżeli nie mielibyśmy tej lampy, z pewnością najechałby na nas, nawet tego nie zauważając, któryś z tych wielkich karaków. Niech ci więc nie przyjdzie do głowy jej gasić - wierz mi, jesteśmy dużo

bezpieczniejsi, gdy lampa jest podniesiona i jasno świeci. A gdyby sama zgasła, opuść ją i zapal znowu. Jeżeli ci się to nie będzie udawało, zawołaj mnie. Jak zauważysz inny statek, szczególnie duży, zadmij w konchę. - Eata skinął ręką w stronę spiralnej muszli, leżącej obok obudowanego kompasu.

Nieznajomy znowu skinął głową.

- Ich łodzie oczywiście nie będą miały świateł.

- Nie. Nie będą miały również masztów. Może się zdarzyć, że wypłyną dwie lub trzy. Jeżeli zobaczysz w wodzie twarz, która patrzy w światło, a potem znika, to będzie to manatee. Nie przejmuj się nimi. Jednak zawołaj mnie natychmiast, jeśli zobaczysz cokolwiek, co płynie jak człowiek.

- Zawołam - powiedział nieznajomy. Patrzył jak Eata otworzył luk i zszedł do maleńkiej kabiny.

Na dziobie leżały dwa bosaki, ich okute końce ginęły w atramentowym cieniu pod występem półpokładu, haki sterczały obok stengi dziobnicy. Zszedł na dół i wziął jeden z nich, potem wdrapał się z powrotem na pokład. Bosak miał trzy łokcie długości i był zakończony paskudnie wyglądającym szpicem i zaostrzonym hakiem, przeznaczonym do przecinania takielunku. Machnął nim kilka razy, obchodząc w koło niewielki pokład góra, dół lewo, prawo - jego ruchy były niezgrabne jak u człowieka, usiłującego sobie przypomnieć nabytą w młodości umiejętność.

Sierp Luny był ledwie widoczny na wschodzie, bezgłośnym zalewem śląc ku niemu potoki

zieleni, drżące i tajemnicze. Na tle tego zgniłozielonego światła rysujące się na wschodnim brzegu miasto wyglądało raczej na śpiące niż umarłe. Wieże były czarne, lecz za ich podświetlonymi w ten sposób, ślepyimi oknami zdawał się jarzyć słaby blask, jakby po ponurych korytarzach i

opuszczonych pokojach snuły się hekatonchiry, oświetlając sobie drogę tysiącami powleczonych

noktoluscencją palców.

Spojrzał na zachód akurat w porę, żeby zauważyć, jak w wodę, z ledwie dosłyszalnym pluskiem, zanurza się para błyszczących oczu. Przez czas odmierzony tuzinem oddechów gapił się w ten punkt, jednak już nic więcej nie można było tam zobaczyć. Rzucił się z powrotem ku sterburcie, ku wschodniej teraz stronie zakotwiczonej łodzi, wyobrażając sobie, że jakiś demoniczny przeciwnik przepłynął pod nią lub dookoła, żeby go zaskoczyć. Gyoll spokojnie prześlizgiwała się obok.

Od strony portu cień kadłuba łodzi kładł się na szklistej powierzchni rzeki, mimo że była ona tak blisko, iż z łatwością mógłby rękoma dotknąć wody. Od pogrążonego w ciszy brzegu nie oderwała się żadna szalupa ani łódź.

W dół rzeki ruiny miasta zdawały się rozciągać w nieskończoność, jakby Urth była płaską, wypełniająca przestrzeń aż po krańce równiną, całkowicie pokrytą kruszejącymi murami i wałącymi się wieżami. Nocny ptak zatoczył koło nad łodzią, zanurkował w wodę i już nie wzleciał. Paleniska i łożowe lampy zamieszkanego Nessusa nie użyczały niebu swego blasku. Rzeka wydawała się jedyną żyjącą istotą w mieście śmierci. Na krótką chwilę nieznanym zawładnęło przeświadczenie, że zimna Gyoll w samej swej istocie była nieruchoma, że rozmokłe kawałki drewna i odchodów same w jakiś sposób płynęły, że odpływały w jakąś nie kończącą się podróż ku ostatecznemu rozkładowi.

Właśnie miał się odwrócić, gdy zauważył jakby ludzki kształt, dryfujący ku niemu z niemal niezauważalną prędkością. Wpatrywał się weń z fascynacją i niedowierzaniem, w sposób w jaki wróble podobno patrzą na złotego węża, nazywanego soporor.

Kształt zbliżył się. W zielonym świetle księżycy jego włosy wydawały się bezbarwne, skóra berylowa. Zobaczył, że rzeczywiście był to człowiek i że unosił się na wodzie twarzą w dół. Odrzucona w bok ręka dotknęła liny kotwicznej jakby płynący chciał wspiąć się na pokład. Lina powstrzymała na chwilę ruch sztywnych palców i ciało wykonało powolny piruet, jak półobrót rzuconego noża, zobaczony przez istniejącą tylko ułamek sekundy istotę lub jak opadanie wraku statku przez otchłań, która oddziela światy: Nieznajomy wgramolił się na dziób i próbował



dosięgnąć ciała bosakiem. Było tuż poza jego zasięgiem.

Czekał, przerażony i niecierpliwy. W końcu był już w stanie przyciągnąć je bliżej i podłożyć hak pod jedno z ramion. Ciało dało się łatwo odwrócić, dużo łatwiej niż przewidywał. Twarz była

wciśnięta pod ciemną powierzchnie wody przez, ciężar uniesionego ramienia, lecz potem, gdy ramię znowu położyło się na wodzie, wypłynęła jak spławik.

To była kobieta, naga i dopiero od niedawna nieżyjąca. Wytrzeszczone oczy jeszcze nosiły ślady czernidła. Zęby połyskiwały niewyraźnie spomiędzy na wpół rozchylonych warg. Próbował ją

ocenić w sposób, w jaki oceniał te kobiety, których ustępliwość zapewniał sobie monetami, zważyć oczami jej piersi, pochwalić lub zganić krągłość jej bioder. Stwierdził, że nie jest w stanie tego zrobić, że dla takiego wzroku, jakim próbował patrzeć ona jest nieosiągalna, niedostępna jak nie narodzony jeszcze płód, niedostępna jak jego matka, gdy kiedyś, jako chłopiec, zobaczył ją w kąpieli.

Dotyk dłoni Eaty na jego ramieniu zmusił go do gwałtownego obrotu.

- Moja warta.

- To... - zaczął, lecz nic więcej już nie mógł powiedzieć. Wskazał palcem.

- Pozbędę się tego - powiedział Eata. - Prześpij się trochę Zajmij te drugą koje. Nikt jej nie używa.

Oddał Eacie bosak i zszedł na dół, nie bardzo wiedząc co robi i niemal miażdżąc sobie palce pokrywą luku.

W talerzu na złamanej skrzyni ociekała świeca. Zdał sobie sprawę, że, Eata nie spał. Jedna z wąskich koi była zmiętoszona. Położył się na drugiej, wiążąc potrójne węzły na rzemieniu, mocując sakwę do pasa, rozluźniając kaftan, zarzucając obute stopy na cienki, twardy materac i naciągając na siebie koc z zaskakująco miękkiej wełny: Podmuch jego oddechu zgasił żółty płomień świecy.

Zamknął oczy.

W mroku dryfowała martwa kobieta. Odepchnął ją od siebie, zwracając myśli ku

przyjemniejszym rzeczom: pokojowi, w którym sypiał jako dziecko, sokołowi i psu, które zostały

gdzieś w przeszłości. Wyrosły przed nim górskie łąki w posiadłości jego ojca, nakrapiane makami i dzikim indygo, z paprociami i koniczyną o purpurowych kwiatkach. Kiedy to po raz ostatni jechał

pośród nich? Nie pamiętał. Lilie kiwały potakująco nabrzmiałymi miodem kielichami.

Podniósł się, wężąc i niemal wymóżdżając się o belki pokładu.

Słaba woń perfum dogorywała między ostrymi zapachami podpokładzia. Upewnił się, gdy zanurzył twarz w koc. Tuż przed nadejściem snu usłyszał ponad sobą słaby, ochryply szloch.

Podczas jego ostatniej warty ruiny opadły przed gniewną twarzą słońca jak postrzępiona makieta.

W nocy widział wieże; teraz zobaczył, że te wieże były na wpół zawałone i poznaczone jak trądem młodymi drzewkami i rozrośniętą zieloną winoroślą. Tak jak mu powiedziano, nigdzie nie było widać dymu. Założyłby się o wszystko co posiadał, że również ludzi tam nie było.

Eata wszedł na pokład niosąc chleb, suszone mięso i parującą herba mate.

- Jesteś mi winien następne asimi - powiedział. Nieznajomy rozsuptał węzły i wyjął monetę.

- To ostatnie, które dostajesz. Czy może policzysz mi za następny dzień, jeżeli przed jutrzejszym rankiem nie zdążysz dowieźć mnie z powrotem do miejsca, w którym wsiadłem na twoją łódź?

Eata potrząsnął głową.

- A więc ostatnie. To miejsce, gdzie spotykają się trzy ulice - czy ono jest po wschodniej stronie?

Gdzieś tam?

Eata przytaknął: - Widzisz to molo? Stamtąd pół mili prosto w głąb. Przy molu będziemy jeszcze przed porannicą.

Razem obrócili niewielki kabestan, który wyciągał kotwice. Podczas gdy Eata naciągał fały grota, nieznajomy rozwinął kliwer.

Nadleciała morska bryza, ochryple zapowiedziana przez stado czarno - białych mew, przybyłych wraz z nią w głąb lądu w nadziei na jakieś odpadki. Złapawszy wiatr łódź ruszyła tak ostro, że nieznajomy zaczął się obawiać, iż staranują rozpadające się molo. Podniósł bosak jako ewentualną ochronę przed zderzeniem.

W ostatnim, jak się zdawało momencie, Eata obrócił ster i ustawił łódź dziobem do wiatru.

- To było niezłe - powiedział nieznajomy.

- Och, umiem żeglować. Umiem również walczyć, jeśli muszę - Eata zamilkł na chwilę. - Pójdę z

tobą, jeśli chcesz.

Nieznajomy potrząsnął głową.

- Wcale nie myślałem, że się zgodzisz, ale nie szkodziło spróbować. Zdajesz sobie sprawę z tego, że tam możesz zostać zabity?

- Wątpię.

- No cóż, ja nie. Weź ten bosak - możesz go potrzebować. Czekam na ciebie do nonów, jasne?

Nie dłużej. Gdy twój cień obejmie ci stopy, mnie już tu nie będzie. Jeśli ciągle będziesz żył, idź na północ, trzymając się jak najbliżej wody. Jak zobaczysz statek czy łódź, machaj rękami. Zawołaj ich.

- Eata zawahał się na chwile, jakby zagubiony w myślach. - Pokaż im monetę. Największą, jaką masz. To czasami pomaga.

- Wrócę, zanim odpłyniesz - powiedział nieznajomy. Ten bosak musiał cię kosztować blisko asimi. Jeśli go nie przyniosę z powrotem, będziesz musiał kupić drugi.

- Nie kosztował aż tyle - powiedział Eata.

- Kiedy wrócę, dam ci asimi. Za wypożyczenie bosaka, powiedzmy.

- A ja, być może, zostanę trochę dłużej; żeby je dostać, co?

Nieznajomy skinął głową: - I pewnie zostaniesz. Ale ja wrócę przed nonami.

Wyskoczył na brzeg i patrzył, jak Eata odpływa kawałek, potem odwrócił się, żeby przyjrzeć się miastu przed nim.

Dwadzieścia kroków zbliżyło go do pierwszego zrujnowanego budynku. Ulice tu były wąskie i stały się jeszcze węższe przez na wpół je dławiące rumowiska. Z gruzów i spośród wielkich, popękanych płyt chodnika wyrastały błękitne chabry i blade powoje. Panowała zupełna cisza, przerywana tylko odległymi krzykami mew, a powietrze wydawało się tu czystsze niż na rzece.

Kiedy upewnił się, że Eata za nim nie idzie i że nikt go nie obserwuje, usiadł na zwałonym

kamiennym bloku i wyjął mapę. Była owinięta w natłuszczony welin i nawet jeśli cały pakiet trochę się zmoczył, do niej woda nie dotarła.

Przez większość czasu, przez który miał tę mapę, nie odważył się na nią spojrzeć. Teraz, gdy bez pośpiechu przyglądał się jej w promieniach jaskrawego słońca, w jego podniecenie wkradła się

gorycz irracjonalnego poczucia winy.

Te ulice jak sieć pajęczna mogą być - lub też nie - tymi samymi ulicami, które się teraz przed nim rozciągały. Ta wijąca się błękitna linia może być strumieniem albo kanałem, albo samą Gyoll.

Mapa zawierała wiele szczegółów, jednak były to szczegóły z rodzaju tych, które ani nie potwierdzają konkretnego miejsca; ani mu nie przeczą. Wchłonął z niej na pamięć tyle, ile mógł, cały czas zastanawiając się, która nierówność czy zakręt może mieć znaczenie, która nazwa ulicy czy budowli mogła przetrwać - tutaj, gdzie nie było nikogo, kto mógłby ją pamiętać, która z tych rzeczy kamiennych czy metalowych mogła ciągle zachowywać swój dawny kształt, jeśli jakakolwiek jeszcze zachowała. Przez chwile wydawało mu się, że to nie skarb, tylko on sam jest zagubiony.

Zwijając popękany papier i okręcając go na nowo snuł (jak tyle razy dotychczas) przypuszczenia na temat bezcennych rzeczy, tak starannie ukrytych przez ludzi, dla których gwiazdy były tylko wieloma odległymi wyspami. Jego wyobraźnia, puszczona z wodzy" pogalopowała ku dziecięcej wizjom wypełnionych złotem skrzyń. Rozum powiedział mu czym są te fantazje i odrzucił je, ale zamiast nich mógł zaproponować tylko tuzin mglistych nieprawdopodobieństw, pogłosek o tajemnej wiedzy i strasliwej broni dawno minionych czasów. Życie i władza bez granic.

Wstał i przyjrzał się uważnie opustoszałym budynkom, upewniając się, że nie był widziany. Na szczycie najwyższej sterty gruzu usiadł lis, jego czerwone futro płonęło w promieniach słońca, oczy błyszczały jak paciorki. Nagle, bojąc się każdego oczu, rzucił w niego bosakiem. Lis zniknął, a bosak zastukotał w dół drugiej, niewidocznej strony sterty. Wspiął się na górę i zaczął szukać wśród chwastów, jednak bosak też zniknął.

Dotarcie do tej części miasta, w której przecinały się trzy ulice zajęło mu niemało czasu, a jeszcze więcej stracił na znalezienie samego skrzyżowania. Zawędrował za daleko na południe i zmarnował cały obrót na poszukiwania. Następny spędził wśród bzyżących owadów przekonując się, że to nie jest to samo skrzyżowanie, co na jego mapie, na której aleje były tej samej szerokości i biegły na południowy zachód, południowy wschód i północ. W końcu znowu wyjął mapę, porównując jej wyblakłe rysunki z bezludną rzeczywistością. Tutaj rzeczywiście były trzy ulice, ale jedna była szersza niż pozostałe i biegła prosto na wschód. To nie było to miejsce.

Wracał już do łodzi, gdy napadły na niego omofagi ludzie koloru popiołu, o dzikich oczach, ubrani w łachmany. W pierwszej chwili wydało mu się, że jest ich bardzo dużo. Jednak gdy stał się

z jednym i zabił go, zdał sobie sprawę, że zostało tylko czterech.

Czterech to ciągle było a wiele za dużo. Uciekł, przyciskając rękę do krwawiącego boku. Zawsze był dobrym biegaczem, ale teraz biegł jak nigdy przedtem, przeskakując każdą przeszkodę, niemal frunąc. Ruiny gnały i zataczały się wokół niego. Kamienne pociski furkotały koło jego głowy.

Zanim go złapali, niemal dotarł do rzeki. Błoto wysliznęło się spod jego buta, upadł na jedno kolano i już byli wszędzie wokół niego. Jeden musiał wyrwać jego osadzony w srebrze sztylet spomiędzy żeber zabitego. Z osłupiałym niedowierzaniem właściciela domu, na którego napada jego własny pies patrzył, jak teraz sztylet zmierza ku jego gardłu. Wyrzucił ramiona w górę, zarówno po to, żeby odparować cios, jak i po to, żeby zasłonić ten widok.

Jego przedramię zmieniło się w lód, gdy uderzyła w nie stal. Rozpaczliwie potoczył się po ziemi i zobaczył, że szary kształt, trzymający jego nóż pada pod maczugą drugiego. Napastnik gwałtownie schylił się po sztylet i tych dwóch zaczęło walczyć.

Ktoś wrzasnął. Spojrzał w bok i zobaczył czwartego, tego, który miał jego bosak, przebitego bosakiem Eaty.

Gospoda, w której się zatrzymał, stała niedaleko rzeki. Zapomniał o tym, ponieważ zaszedł kawał drogi na południe w poszukiwaniu łodzi Eaty. Nazywała się "Łabądek" - o tym też zapomniał.

- Rzuć linę jednemu z tych wałkoni - krzyknął Eata. Zacumuje nas za aesa.

Stwierdził, że lewą ręką nie może celnie rzucać, ale jeden z włóczęgów skoczył i schwytał lecący zwój.

- Mam trochę bagażu - zawołał, gdy mężczyzna mocował się z liną. - Może byś go zaniósł do "Łabądka". Eata wskoczył na dziób.

- Imię tego optymata brzmi Simulatio - powiedział do włóczęgi. - Zatrzymał się tam przed trzema nocami. Powiedz to karczmarzowi. Powiedz, że optymat chce ten sam pokój, który miał przedtem.

- Wcale nie chce odchodzić - powiedział nieznajomy. - Ale nie popłynę znowu na południe, aż się wyleczę. Rozwiązywał supły, wiążące jego sakiewkę.

- Jeśli jesteś mądry, w ogóle tam nie popłyniesz. Włóczęga wyrzucił torby nieznajomego na nabrzeże i wyskoczył za nimi.

- Chce ci coś dać. - Nieznajomy wyjął chrisosa. - Może będziesz mógł wrócić przy następnym księżycu i sprawdzić czy już wydobrzałem na tyle, żeby płynąć.

- Nie wezmę twego złotego chłopca - powiedział Eata. - Jesteś mi winien asimi za wypożyczenie bosaka. Wezmę tylko to.

- Ale wrócisz?

- Za jedno asimi dziennie? Oczywiście, że wrócę. Każdy przewoźnik by wrócił.

Nieznajomy wahał się, patrząc na Eata, który patrzył na niego.

- Myślę, że mogę ci ufać - powiedział w końcu. - Nie chciałbym iść w te ruiny z kimkolwiek innym.

- Wiem - odpowiedział Eata. - I dlatego mam zamiar dać ci pewną radę. Odejdź kilka ulic od rzeki i znajdziesz warsztat złotnika. Jest na nim znak Osela. To taki złoty ptak.

- Wiem co to jest.

- Tak, chyba powinieneś. Zwiń swoją mapę... - Zaśmiał się. - Nie powinieneś robić takich min. Jeśli chcesz mieć do czynienia z ludźmi takimi jak ja, musisz nauczyć się panować nad twarzą.

- Nie myślałem, że o niej wiesz.

- Jest w twoim bucie - powiedział miękko Eata.

- Szpiegowałeś mnie!

- Kiedy czasami ją wyjmowałeś? Nie. Ale kiedyś, jak siedziałeś na burcie, wyszarpnąłeś nogę, byle dalej od wody. I nie zdejmowałeś butów podczas snu. Tak mógłby robić przewoźnik, ale ty? Chyba że miałeś w nich coś więcej niż tylko stopy.

- Rozumiem.

Eata odwrócił wzrok, śledząc oczyma powolny, niezmienny nurt wielkiej Gyoll.

- Znałem człowieka; który miał jedną z tych map powiedział. - Można spędzić pół życia szukając i nigdy nic nie znajdując. Może teraz to jest na dnie morza. Może już dawno ktoś to znalazł. A

może tego w ogóle tam nigdy nie było. Rozumiesz? A człowiek nie może nikomu ufać, ani przyjacielowi, ani nawet swej kobiecie.

- A jeśli jego przyjaciel i jego kobieta zabrali mu mapę - powiedział nieznajomy - jedno mogło zabić drugie, żeby mieć ją całą dla siebie. Tak, rozumiem jak to jest. Ale mapa, którą mam, to nie jest ta, jeśli tak właśnie myślisz. Znalazłem ją między stronami starej książki.

- A już miałem nadzieję, że to moja - powiedział Eata. - Powiedziałeś, że rozumiesz, ale to nieprawda. Pozwoliłem, żeby mi ją zabrali. Chciałem, żeby ją mieli i zostawili mnie wreszcie w spokoju. Żebym nie skończył jak ludzie, z którymi wczoraj walczyliśmy. Upiłem się, pozwoliłem im zobaczyć klucz, pozwoliłem im zobaczyć, jak zamykam mapę w skrzyni.

- Ale przecież się obudziłeś - powiedział nieznajomy.

Eata odwrócił się do niego, nagle rozgniewany.

- Ten kretyn Laetus wyłamał zamek! Myślałem...

- Nie musisz mi o tym mówić.

- On i Syntyche byli młodsi ode mnie. Myślałem tylko, że oni zmarnują sobie życie na poszukiwaniach, tak jak ja zmarnowałem swoje, i Maxellingdisa również. Nie przypuszczałem, że on zabije Syntyche.

- To on ją zabił - powiedział nieznajomy. - Nie ty. Nie zmuszałeś ich również do kradzieży. Nie jesteś Inkreatem, nie możesz brać na siebie odpowiedzialności za to, co robią inni.

- Ale mogę im doradzać. I radzę ci, żebyś spalił swoją mapę. Ale wiem, że tego nie zrobisz. Więc zamiast tego zwiń ją, połóż na niej swoją pieczęć i zanieś do złotnika, o którym ci mówiłem. To jest uczciwy staruszek i za miedziaka zamknie ją w swoim sejfie. Wracaj do domu i tam wyzdrowiej.

Jeśli jesteś mądry, nigdy tu nie wrócisz, żeby się o nią upomnieć.

Nieznajomy potrząsnął głową.

- Mam zamiar zostać tutaj w gospodzie. Mam dosyć pieniędzy. I ciągle ci jestem winien asimi.

Wynajęcie bosaka, jak powiedzieliśmy. Oto ono.

Eata wziął srebrną monetę i podrzucił ją w powietrze. Była błyszcząca, niedawno bita, z profilem Seweriana głęboko i ostro wyrytym z jednej strony. W czerwonych promieniach słońca

wyglądała jak żarzący się węgielek.

- Supłasz rzemienie na tej sakiewce - powiedział. Potem znowu je wiążesz, a wszystko ze strachu, że dostane się do niej, gdy będziesz spał. Coś ci powiem. Jeżeli po ciebie wrócę, to zanim skończymy dostanę każdego mosiężnego aesa z tej sakwy. Wyjmiesz swoje pieniądze, wszystkie, i oddasz mi je moneta po monecie.

Rzucił asimi wysoko nad wodę. Błyszczało jeszcze przez krótką ostatnią chwilę, potem zgasło na zawsze w ciemnej Gyoll.

- Ja nie wróce - powiedział Eata.

- To jest dobra mapa. Patrz. - Nieznajomy wyciągnął ją z cholewy buta i zaczął rozwijać, niezdarnie, bo nie mógł używać obu rąk. Kiedy dostrzegł twarz Eaty zatrzymał się, wcisnął mapę do kieszeni i wygramolił się na półpokład.

Oslabiony z upływu krwi i sztywny od ran, nie mógł bez pomocy zejść na nabrzeże. Jeden z pozostałych włóczęgów wyciągnął rękę i on ją ujął. Przez cały czas spodziewał się, że poczuje jak bosak wbija mu się w plecy. Usłyszał tylko szyderczy śmiech Eaty.

Gdy już stał obiema stopami na nabrzeżu, jeszcze raz odwrócił się ku łodzi. Eata zawołał:

- Czy mógłbyś łaskawie mnie uwolnić, Optymacie?

Nieznajomy machnął ręką i włóczęga, który mu przedtem pomagał, odwiązał linę cumowniczą.

Eata odepchnął łódź od brzegu i poruszył bomem, żeby złapać ten wiatr, który jeszcze wiał.

- Wrócisz po mnie! - krzyknął nieznajomy. - Ponieważ pozwolę ci iść ze mną! Ponieważ dam ci udział! Stary, brązowy żagiel powoli i jakby z wahaniem wypełnił się wiatrem. Liny takielunku naprężyły się i niewielka łódź zaczęła się oddalać. Eata nie obejrzał się, ale jego dłoń drżała, chwytając rumpel.

JAK PRZEGRAŁEM DRUGĄ WOJNĘ ŚWIATOWĄ, I POMOĞŁEM POWSTRZYMAĆ  
NIEMIECKĄ INWAZJĘ



**1 kwietnia 1938**

**Wielce Szanowny**

Panie Redaktorze!

Jako wieloletni prenumeratorem (od czasu zamieszkania w Wielkiej Brytanii, ściśle biorąc) często z przyjemnością stwierdzałem, że oprócz zamieszczania szczegółowych opisów różnych "Nowych, logicznych i oryginalnych gier" projektowanych przez Waszych czytelników, udzielacie również na swoich łamach miejsca obrazkom z życia miast i wsi, zwłaszcza jeżeli mają coś wspólnego z grami.

Dlatego mam nadzieję, że relacja z przygody, jaka mnie ostatnio spotkała i dzięki której zetknąłem się osobiście nie tylko z panem W.L.S. Churchillem - jak Państwo niewątpliwie pamiętacie,

dymisjonowanym ze stanowiska pierwszego lorda admiralicji podczas Wielkiej Wojny za popieranie nieudanej Wyprawy Dardanelskiej i choćby z tego względu osoba interesującą dla wszystkich nas, zajmujących się strategicznymi grami planszowymi - lecz także z taką znakomitością, jak obecny kanclerz Rzeszy Niemieckiej Herr Adolf Hitler.

Wszystko to, jak Państwo się już zapewne domyślili, zdarzyło się w związku z wielką wystawą w Bath, ale zanim zacznę swoją relację z tych niecodziennych wydarzeń (które niewiele osób mogło obserwować, jak sobie pochlebiam, z tak dogodnej pozycji jak ja), muszę wyjaśnić przynajmniej w ogólnym zarysie, bo szczegóły są wyjątkowo skomplikowane, zasady gry w Wojnę Światową opracowanej przez mojego przyjaciela Lansbury'ego i przeze mnie. Jak wielu innych używamy jako planszy wielkiej mapy świata. Stwierdziliśmy, że wygodnie jest przykleić ją klejem do tapet na dużym arkuszu dykty i pokryć werniksem; tak przygotowana mapa umieszczona na dużym stole moim gabinecie służy nam znakomicie. Państwa walczące po przeciwnych stronach ustala się drogą losowania, a morskie, lądowe i powietrzne jednostki różnych rodzajów wojsk są reprezentowane przez kolorowe kartoniki, ale przy określaniu charakteru tych jednostek wprowadziliśmy nową zasadę - niespotykaną, o ile wiem, w żadnej innej grze. Polega ona na tym, że każdy z graczy może w dowolnej chwili zaproponować nowy rodzaj statku, broni palnej lub jakiegokolwiek innej, jeżeli wykaże jej prawdopodobieństwo (niekonieczne, proszę zauważyć, jej przydatność, jeżeli okaże się nieprzydatna, jest to tylko jego strata) z wystarczającą siłą, żeby przekonać przeciwnika, może przebroić część swoich jednostek i zyskuje monopol na korzystanie z nowej -broni przez trzy

ruchy, po czym jego przeciwnik może zrobić to samo.

W ten sposób gracz w Wojnę Światową naszego projektu musi wykazać się nie tylko umiejętnościami strategicznymi, lecz także wynalazczością i sztuką przekonywania.

Tak się złożyło, że spędziliśmy z Lansbury'm większość ubiegłej zimy na przygotowaniu gry i ustalaniu zasad ruchu jednostek. Obaj mamy spore doświadczenie w grach tego rodzaju i wiedząc o zamieszaniu i niesnaskach często powodowanych przez niedokładne omówienie w przepisach sytuacji, które mogły się wydawać nieistotne, ustalaliśmy nasze reguły z niezwykłą skrupulatnością.

17 lutego (spotykamy się z Lansburym raz w tygodniu) przeprowadziliśmy losowanie. Mnie przypadły Niemcy, Włochy, Austria, Bułgaria i Japonia ; Lansbury'emu Wielka Brytania, Francja, Chiny i Holandia. Przyznaję, że taki podział wygląda nieprawdopodobnie, ktoś pozbawiony wyobraźni mógłby zaprotestować, że Japonia i Włochy w Wielkiej Wojnie stały po stronie Anglii i jest mało prawdopodobne, że zmienia sojusze w drugim konflikcie. Jednak bliższe spojrzenie na historię ujawnia jeszcze mniej prawdopodobne odwrócenia sojuszków (jak wtedy, kiedy Francja w XVI wieku związała się z Turcją w tak zwanym wówczas Nieświętym Przymierzu) i postanowiliśmy z Lansburym trzymać się wyników losowania. 24 lutego mieliśmy wykonać pierwsze ruchy.

Tak się złożyło, że 20 lutego, kiedy rozważając swoją strategię przeglądałem "Guardiana", przyciągnęło mój wzrok ogłoszenie o otwarciu Wystawy i natychmiast pomyślałem sobie, że wśród przedstawicieli krajów biorących w niej udział mogę znaleźć osoby, których pomysły mogą być dla mnie cenne. Tak czy owak nie miałem nic lepszego do roboty i w ten sposób (nie podejrzewając, że stanę się świadkiem wydarzeń historycznych) wsunąłem do kieszeni mały notes i wyruszyłem na Wystawę!

Sądzę, że nie muszę opisywać rozległych terenów wystawowych czytelnikom tego magazynu.

Wystarczy powiedzieć, że - jak wszyscy słyszeli - otaczał je owalny tor wyścigowy długości prawie siedmiu mil, a dominującą budowla była Wieża Sterowców stanowiąca najbardziej imponującą część ekspozycji niemieckiej oraz srebrzysty ogrom sterowca "Graf Spee", który przywiózł naczelnego funkcjonariusza Rzeszy do Anglii i teraz czekał, jak dzin jakiejś Kultur-lampy, żeby go odwiedzić z powrotem. Był to, nawiasem mówiąc, dzień, w którym kanclerz Hitler - dla którego

specjalnie wystawa została wcześniej otwarta - miał inaugurować pokaz Ludowego Samochodu.

Transparenty zawieszane na słupach a nawet nad głównym wejściem głosiły takie hasła, jak:

SAMOCHÓD LUDOWY??? TAK, DLA LUDU BRYTYJSKIEGO!!! albo NIEMIECKA  
ROBOTA DLA LUDZI, KTÓRZY POTRAFIĄ JĄ DOCENIĆ a nawet Z DUCHA TAK  
BRYTYJSKIE JAK RODZINA KRÓLEWSKA.

Pamiętając, że Niemcy są najpotężniejszym z krajów, które wylosowałem w naszej grze, wybrałem się na ekspozycję niemiecką.

Zebrał się tam gęsty tłum; panowała świąteczna atmosfera, ale była w niej i nuta trzeźwej kalkulacji - słyszało się ludzi pracy omawiających techniczne zalety (prawdziwe i wymaginowane) niemieckich maszyn, ich wyjątkową tanią oraz nieoprocentowane pożyczki udzielane przez Reichshauptkasse. Sprzedawcy roznosili precele, Lebkuchen i bawarskie kremy w papierowych kubkach zachwalając swój towar w krzykliwym cockneyu. Wokół wielkiej sali wystawowej, gdzie za godzinę kanclerz Rzeszy osobiście miał dać znak do inwazji Ludowego Samochodu na Wielką Brytanię demonstrując pojazd przed doborowym gronem znakomitości, tłoczyła się masa ludzi, chociaż budynek (jak się później dowiedziałem) był od dawna wypełniony i nikogo już nie wpuszczano.

Niemcy nie byli jednak monopolistami na tym polu. Przez tłum przeciskały się modele samochodów bez kierowcy, nieznacznie tylko mniejsze (tak się przynajmniej wydawało) niż niemieckie Samochody Ludowe. Te - "zabawki", jeżeli wolno mi tak określić coś równie skomplikowanego, a jednak z natury niepoważnego, miały na antenach flagę Imperium Japońskiego ze wschodzącym słońcem i wyliczały przez głośniki wśród ceremonialnych posykiwań zalety wyrobów przemysłowych tego narodu, zwłaszcza gramofonów, radiodbiorników i temu podobnych, stosujących te najnowsze cudo, tranzystory.

Podobnie jak wszyscy spędziłem kilka minut wspinając się na palce i wyciągając szyję w nadziei, że coś zobaczę. Ale nie interesował mnie specjalnie ani Ludowy Samochód i kanclerz Rzeszy, ani

japońskie samochodowe marionetki i wkrótce zająłem się poszukiwaniem kogoś, kto mógłby mi być pomocny w zbliżającym się starciu z Lansburym. Szczęście mi sprzyjało, bo zaledwie się rozejrzałem, dostrzegłem tęgiego mężczyznę w mundurze oficera Flugzeugmeisterei kupującego od roznosiciela jakieś niemieckie słodycze.

Natychmiast podszedłem do niego, skłoniłem się i przeprosiwszy, że ośmielałem się zwrócić do niego nie przedstawiony, wskazałem wielki sterowiec nad naszymi głowami.

- Ah, so! - powiedział. - Więc podoba się panu ten grubas tam w górze? Rzeczywiście piękny statek, nie ma wątpliwości. - Nadał się w dobrodusznym niemieckim sposobie, wrzucił do ust cukierka i cały promieniował zadowoleniem. Miałem go właśnie spytać, czy zastanawiał się kiedyś nad militarnymi aspektami lotnictwa, kiedy zauważyłem na jego kurtce mundurowej odznaczenie.

Widząc kierunek mojego spojrzenia spytał: - Wie pan, co to jest?

- Oczywiście - odpowiedziałem. - Sam nie brałem udziału w wojnie, ale dałbym wszystko, żeby być lotnikiem. Właśnie chciałem pana spytać, herr...

- Goering.

- Herr Gaering, jakie byłoby zastosowanie lotnictwa, gdyby - rozumiem, że to może brzmieć absurdalnie - Wielka Wojna miała wybuchnąć teraz?

Po błysku w jego oczach zrozumiałem, że znalazłem bratnią duszę.

- To jest dobre pytanie - powiedział i przez chwilę stał patrząc na mnie niczym niemiecki nauczyciel, który z należytą uwagą odnosi się do pytania swojego ulubionego ucznia. - I powiem panu jedno: to, co mieliśmy wtedy, to było nic. Uzbrojone latawce. Gdyby wojna miała zdarzyć się teraz... - zamilkł na chwilę.

- To, oczywiście, nie do pomyślenia.

- Ja. Dzisiaj Vaterland, który nie zdołał podbić Europy bagnetami w tamtej wojnie, podbija cały świat za pomocą pieniędzy i naszych małych samochodów. Dzięki nim nasz fuhrer pokonał wrogów partii i teraz cały przemysł polski i austriacki są nasze. Ludzie tam mówią "nasza fabryka, nasz bank", ale udziały są teraz w Berlinie.

Oczywiście wiedziałem to wszystko jak każdy dobrze poinformowany człowiek i chciałem skierować naszą rozmowę z powrotem na nowe techniki wojenne, ale okazało się, to zbyt trudne.

- Ale pana - ciągnął Goering z nagłym ożywieniem - i mnie mało to obchodzi. To są sprawy dla finansistów, nicht war? Czy wie pan, co ja (tu uderzył się pięścią w potężną pierś) bym zrobił, gdyby wybuchła wojna? Budowałbym Stutzkampfbombers.

- Stutzkampfbombers?

- Każdy niósłby jedną bombę! Jedną, ale dużą. Szybkie samoloty - pochylił się i prawą ręką wykonał ruch nurkowania w ostatniej chwili podrywając samolot i wypuszczając bawarską krówkę tak, by spadła mi na but. - Szybkie samoloty. A czołgi... wie pan, co to są czołgi?

Kiwnąłem głową.

- Trochę.

- Czołgi atakowałyby kolumnami. Stutzkampfbombers przed czołgami, oddziały szturmowe za czołgami. Czołgi też szybkie, mniej pancerza, za to szybkie, z dużym działem.

- Wspaniale... błyskawiczna wojna.

- Ja, Blitzkrieg; teraz, mój przyjacielu, muszę już iść i zająć się naszym fuhrerem, ale jest tutaj ktoś, kogo powinien pan poznać. Podobają się panu czołgi - ten człowiek jest ich ojcem. Był tu w czasie wojny w marynarce i kiedy armia nie chciała się tym zająć, zrobił je w marynarce, a

dziennikarzom odpowiadali, że robią "tanki", czyli zbiorniki. Po angielsku do dzisiaj używacie tej głupiej nazwy, i kiedy się na nie wchodzi, mówicie o "pokładzie", a wszystko przez niego. On jest tam... - wskazał wielki pawilon, w którym kanclerz Rzeszy miał wkrótce zademonstrować

zachwyconej brytyjskiej publiczności Ludowy Samochód.

Powiedziałem mu, że nie mam szans tam wejść. Sala była pełna, a tłum na zewnątrz coraz większy.

- Spokojnie. Z Hermannem pan wejdzie. Niech pan idzie za mną i robi minę, jakby pan był z gazety.

Posłusznie poszedłem za tym wielkim, jasnowłosym Niemcem, któremu otwierała drogę przez tłum zarówno jego masa i tubalny głos, jak i imponujący mundur. Strażnik przy wejściu (w krótkich

lederhosen) zasalutował mu i nawet nie próbował mię zatrzymać.

W jednej chwili znalazłem się w ogromnej hali, dziele tego samego germańskiego geniuszu budowlanego, który ostatnio zadziwił świat autobahnem. Sklepiony metaliczny sufit lśniący jak lustro odbijał z połyskliwymi zniekształceniami każdy szczegół z dołu. Zobaczyłem w nim ceramiczną podłogę: duże płyty tworzyły olbrzymi obraz małego samochodu, który rozślawił przemysł niemiecki na świecie. Za pomocą sztuki nie mniej imponującej niż bogactwo i siła, które pozwoliły wznieść ten ogromny budynek na terenach wystawowych w ciągu kilku tygodni, na mozaice za szybą widać było twarz kierowcy tego auta - nie wyraźnie, lecz przez mgiełkę, tak jak przechodzień mógłby widzieć twarz kierowcy, który go za chwilę przejedzie. Była to, oczywiście, twarz Adolfa Hitlera.

Po jednej stronie hali, na podwyższeniu, siedzieli "klienci", starannie dobrani przedstawiciele sfer gospodarczych i politycznych, którzy będą mieli szczęście obejrzeć samego przywódcę narodu niemieckiego demonstrującego osobiście Ludowy Samochód. Na prawo, na znacznie niższym podwyższeniu, siedzieli przedstawiciele prasy, łatwi do rozpoznania dzięki swoim aparatom fotograficznym i notatnikom oraz nonszalanckim, czasem z lekka obszarpanym strojom. To w kierunku tej właśnie grupy Herr Goering śmiało mnie poprowadził i wkrótce zidentyfikowałem (mogę chyba zgodnie z prawdą powiedzieć "w pół drogi") człowieka, o którym mówił mi na zewnątrz.

Siedział w ostatnim rzędzie i wydawało się, że jakby wyżej niż inni; brodę oparł na dłoniach, które z kolei obejmowały rączkę laski. Jego charakterystyczna twarz, okrągła i rumiana, miała w sobie coś niemowlęcego i buldogowatego zarazem. Wyczuwało się tutaj niewinność i niezmaconą radość życia połączone z odwagą, dla której kapitulacja nie jest w zwykłym sensie nie do pomyślenia, ale w praktyce nigdy nie bywa rozważona. Jego obranie było kosztowne, ale znoszone, i można by wziąć go za lokaja donoszącego ubranie pana, gdyby nie fakt, że leżało na nim tak idealnie, i gdyby nie to coś, co mówiło, że ten człowiek nie może być niczym sługą, może z wyjątkiem króla.

- Herr Churchill - powiedział Goering - przyprowadziłem panu przyjaciela.

Uniósł głowę znad laski i zmierzył mnie bystrymi, niebieskimi oczami.

Pańskiego - spytał - czy mojego?

- Jest duży i możemy się nim podzielić - odparł Goering swobodnie. - Teraz jednak zostawiam go panu.

Człowiek siedzący obok Churchilla przesunął się i usiadłem na jego miejscu.

- Nie jest pan ani dziennikarzem, ani stręczycielem - zahuczał Churchill. - Nie jest pan

dziennikarzem, bo znam ich wszystkich, a stręczyciele znają mnie, albo tak twierdzą. Ale ponieważ nie słyszałem, żeby ten człowiek lubił kogoś, kto nie jest stręczycielem, albo, żeby był miły dla kogoś, kto nie jest dziennikarzem, to muszę spytać, jak pan to u diabła zrobił?

Zacząłem opisywać naszą grę, ale po jakichś pięciu minutach przerwał mi jegomość siedzący przede mną, który nie oglądając się szturchnął mnie łokciem i powiedział: - Idzie.

Do hali wszedł kanclerz i między rzędami Sturmsachbearbeiters (jak nazywano elitarne siły sprzedawców), sztywno i energicznie zmierzał ku środkowi pomieszczenia: Z balkonu, pięćdziesiąt stóp nad naszymi głowami orkiestra zagrała Deutschland, Deutschland ober alles z taką werwą, że bałem się o całość budowli, podczas gdy amerykański sprawozdawca w pobliżu wykrzykiwał do moich rodaków po drugiej stronie Atlantyku, że Herr Hitler jest tutaj, że właśnie teraz, z godną zazdrości niemiecką punktualnością zbliża się do miejsca, w którym powinien teraz być.

Niespodziewanie przez dźwięki muzyki przedarł się wysoki, skrzekliwy odgłos i muzyka urwała się raptownie, jakby ktoś nakrył orkiestrę kloszem. Odgłos powtórzył się i tłum widzów zaczął się rozdzielać jak wysoka trawa, przez którą zbliża się jeszcze niewidoczne zwierzę. Jeszcze jeden skrzek i ostatnie osoby, szczęśliwcy stojący na samym skraju wydzielonej przestrzeni, na której kanclerz miał dokonać prezentacji, rozdzielili się i ujrzeliśmy, że "zwierzęciem" był mały, kanarkowożółty Ludowy Samochód. Kanclerz zbliżył się do wyznaczonego punktu z jednej strony w tym samym czasie, kiedy samochód podjechał z drugiej. Jego powolny, prosty szlak w połączeniu z jasnym kolorem składały się na obraz osobowości jednocześnie uległej i żywej, miłej i zasadniczo posłusznej.

Dokładnie na wprost podwyższenia dla znakomitości spotkali się i zatrzymali. Ludowy Samochód znów zatrąbił, trzy odmierzone nuty, kanclerz pochylił się, uśmiechnął (prawie czarująco, tak to było niespodziewane) i poklepał maskę samochodu. Drzwi otworzyły się i wysiadła jasnowłosa młoda Niemka w wdzięcznym ludowym stroju. Była dosyć wysoka, a jednak, jak wszyscy widzieli,

siedziała przed chwilą w samochodzie całkiem wygodnie. Posłała całusa znakomitym gościom, dygnęła przed Hitlerem i wycofała się; teraz miał się zacząć właściwy pokaz.

Nie będę nudził czytelników powtarzaniem szczegółów, które tak dobrze znają nie tylko z kronik towarzyskich "Timesa", lecz także z licznych czasopism popularnych. To, że lady Wodberry zebrała oklaski za objechanie tyłem całej przestrzeni pokazu jest faktem chyba aż za dobrze znanym. Historia o tym, jak sir Henry Braithewaite dowiedział się, że nie umie prowadzić dopiero, kiedy usiadł za kierownicą, jest chyba nie mniej sławna. Wystarczy powiedzieć, że Niemcy odnosiły sukces; znakomitości były zachwycone, prasa i tłum widzów życzliwe. Nikt nie podejrzewał, że dopiero po zakończeniu pokazów na scenę miała wkroczyć Historia. Wtedy to Herr Hitler podjął jedną z tych niespodziewanych i absolutnie nie-przewidzianych intuicyjnych decyzji, z których słynie. (Przychodzi na myśl choćby rozkaz wydany z Berchtesgaden w czasie, kiedy nikt się tego nie spodziewał i kiedy wszyscy komentatorzy uważali, że Niemcy, przynajmniej przez jakiś czas zajmą się umacnianiem zdobytych pozycji ekonomicznych w Europi Wschodniej i gdzie indziej, rozkaz głoszący, że wszystkie egzemplarze Ludowego Samochodu sprzedane w miesiącach maju, czerwcu i lipcu mają być na koszt firmy wyposażone w Nordyckie Opony.) Po utytułowanych gościach Herr Hitler zwrócił się do miejsc prasowych i zaoferował próbę samochodu każdemu dziennikarzowi, który zechce wystąpić.

Propozycja, jak powiedziałem, była adresowana do wszystkich przedstawicieli prasy, ale nie było wątpliwości - nie mogło być wątpliwości - do kogo w gruncie rzeczy było to mówione. Te oczy płonące fanatyczną energią i duma naturalna u kogoś, kto przewodzi potężnej organizacji przemysłowej, skierowane były na jedno spokojne oblicze. Człowiek ten wstał i powoli, nie mówiąc ani słowa, póki nie znalazł się twarzą w twarz z najpotężniejszym człowiekiem w Europie, poszedł przyjąć wyzwanie. Zawsze będę pamiętał sposób, w jaki wydmuchnął dym z cygara i powiedział: - Zdaje się, że to jest samochód?

Hitler skinął głową.

- A pan - powiedział - zdaje się należał kiedyś do naczelnego dowództwa tego kraju. To pan jest Herr Churchill?



Churchill przytaknął.. - W czasie Wielkiej Wojny - powiedział cicho - miałem zaszczyt przez jakiś czas zajmować stanowisko w admiralicji.

- W tym czasie - powiedział wódz Niemiec - ja byłem kapralem w armii Kajzera. Nie spodziewałbym się, że spotkam pana jako dziennikarza.

- Byłem dziennikarzem, zanim zacząłem zajmować się polityką - poinformował go Churchill spokojnie. - Jako wędrowny korespondent podczas wojny burskiej. Teraz wróciłem do starego zawodu, jak przystało dymisjonowanemu politykowi.

- Ale nie podoba się panu mój samochód?

- Obawiam się - powiedział Churchill z niezmaconym spokojem - że jestem beznadziejnie uprzedzony do rzeczy wyprodukowanych niedemokratycznie, w każdym razie na użytek ludzi żyjących w demokracji. My, Brytyjczycy, też produkujemy swój mały samochód, wie pan, Centuriona.

Do tego czasu miejsca siedzące opustoszały. Wszyscy, do ostatniego człowieka, nie tylko dziennikarze, ale i osobistości, zebrali się wokół tych dwóch (świadomie mówię o dwóch, bo wielkość pozostaje wielkością nawet pozbawiona urzędu) olbrzymów. Chwila była pełna napięcia, które pewnie jeszcze by wzrosło, gdyby nie nagłe zamieszanie. Zanim Churchill zdążył odpowiedzieć, usłyszeliśmy syczące dźwięki japońskiego języka i jeden z miniaturowych samochodów Imperium Wschodzącego Słońca zbliżył się, jakby chciał przejechać pod żółtym Ludowym Samochodem (na co był jednak za duży), ale skręcił w lewo i z powrotem zniknął w tłumie. Nie wiem, czy to było szaleństwo, czy natchnienie, ale na widok tego pędzącego samochodziku krzyknąłem. - Może zrobimy zawody!

Churchill bez chwili zwłoki poparł mnie.

- Słusznie. Z tego, co słyszymy o tej niemieckiej maszynie, nazywacie ją rajdowym mistrzem.

Hitler kiwnął głową.

- Ja, jest bardzo szybki jak na tak mały i tani wóz. Możemy się ścigać, jeżeli chcecie. - Było to powiedziane z pozornym spokojem, ale zauważyłem, jak pewnie wielu innych, że mieszał słowa angielskie i niemieckie.

Rozległ się podniecony szmer i komentarze, ale Churchill uciszył je podnosząc cygaro.

- Mam pewien pomysł - powiedział. - Nasze samochody nie były budowane z myślą o wyścigach.

- Wycofuje się pan? - spytał Hitler. Uśmiechnął się i w tej chwili nienawidziłem go.

- Chciałem powiedzieć - ciągnął Churchill - że pojazdy tej wielkości są pomyślane jako środek transportu miejskiego, dostosowany do parkowania i jazdy w warunkach ruchu miejskiego - tego niedocenionego bohaterstwa, za pomocą którego przeciętny Anglik zarabia na chleb. Proponuję, żeby na torze otaczającym tereny wystawowe zbudować trasę odtwarzającą faktyczne warunki jazdy, w jakich porusza się przeciętny obywatel brytyjski - i żeby współzawodniczący kierowcy musieli parkować na przykład co sto jardów. Połowa trasy mogłoby naśladować ruch w centrum Londynu, a druga w dzielnicy podmiejskiej. Sądzę, że mógłbym namówić Japończyków, żeby załatwili nam ruch uliczny swoimi automatycznymi samochodami.

- Zgoda! - powiedział natychmiast Hitler. - Ale to pan ustalił wszystkie zasady. Teraz my, Niemcy, wprowadzimy jedną zasadę. Ruch będzie prawostronny.

- Tutaj, w Brytanii - powiedział Churchill - jeździmy lewą stroną. Chyba pan wie.

- My, Niemcy, jeździmy prawą stroną i jazda lewą stroną stawiałaby nas w niekorzystnej sytuacji.

- Właściwie - powiedział Churchill powoli - zastanawiałem się nad tym i mam następującą propozycję. Po jednej stronie toru niech będą sklepy, zaparkowane ciężarówki i autobusy. Druga będzie odsłonięta dla widzów. Wy, Niemcy, jadąc prawą stroną, okrążycie tor zgodnie z ruchem wskazówek zegara, a kierowcy brytyjscy lewą stroną...

- Pojadą w drugą stronę - wykrzyknął Hitler. - I w środku będzie zerstorend gewalt!

- Korek drogowy - przetłumaczył spokojnie Churchill. - Chyba się pan nie boi?

Wkrótce ustalono datę, dokładnie w dwa tygodnie od dnia, w którym wyzwanie zostało rzucone i

przyjęte. Japończycy zgodzili się pozorować ruch uliczny swoimi zrobotyzowanymi samochodami, a kierownictwo wystawy urządzić sztuczną ulicę na torze otaczającym ekspozycje. Nie muszę mówić, że podniecenie było ogromne; amerykańska firma Movietone News przysłała aż trzy ekipy do filmowania wyścigu, a było też kilka brytyjskich towarzystw filmowych. W wyznaczonym dniu podniecenie doszło do zenitu i oceniano, że wpłacono przeszło trzy miliony funtów bukmacherom, którzy dawali trzy do dwóch na Niemców.

Ponieważ zasady (ustalone głównie przez pana Churchilla) wyścigu i działania automatycznych wozów japońskich były istotne, a - w każdym razie - zainteresują miłośników gier logicznych, pozwolę sobie pokrótce je omówić. Japończykom wyjaśniono, że ich samochody mają pozorować normalny ruch uliczny. Dziesięć sterowanych radarem wozów skierowano (początkowo) do "podmiejskiej" części toru (start dla Niemców, meta dla zespołu brytyjskiego), a pięćdziesiąt miało jeździć w części "śródmiejskiej". Wzdłuż toru wyznaczono osiemdziesiąt miejsc do parkowania i operatorzy - którzy mogli obserwować cały tor z platformy widokowej na wieży sterowców - mieli parkować na nich wozy przez piętnaście sekund i jechać do następnego wolnego miejsca według następującej reguły: jeżeli miejsce do parkowania znajdowało się w sektorze śródmiejskim, miało "wartość" punktową równą jego rzeczywistej odległości od samochodu, co określało się licząc zielone linie namalowane w poprzek toru co pięć jardów - natomiast miejsca do parkowania w sektorze podmiejskim miały "wartość" o dwa punkty większą. W ten sposób "ruch" śródmiejski był faworyzowany. Uczestniczący w wyścigu kierowcy niemieccy i brytyjscy mieli obowiązek parkować na każdym wolnym miejscu przy trasie, ale w odróżnieniu od wozów japońskich mogli ruszać natychmiast po zaparkowaniu. Między miejscami do parkowania stały pojazdy wypożyczone na tę okazję przez handel i publiczność, a szereg firm londyńskich wzniosło frontony budynków podobnych do dekoracji filmowych po stronie przeciwnej do publiczności.

Muszę przyznać, że nie powstrzymałem się od wykorzystania mojej przelotnej znajomości z panem Churchillem, w celu uzyskania wstępu na paddock, że tak powiem, w dniu wyścigu. Był to piękny dzień, jeden z tych wczesnych wiosennych dni, którymi słusznie szczyli się zachodnia

Anglia, czułem się znakomicie i przepelniano mnie zadowolenie z siebie. Moja gra z Lonsburym rozwijała się znakomicie; wykorzystując sugestie Goeringa zająłem jedną z najsilniejszych włości Lansbury'ego (Francję) w czterech zaledwie ruchach i czułem, że tylko upór powstrzymuje go od poddania się. Zrozumiałe więc, że kiedy dostrzegłem pana Churchilla śpieszącego w moim kierunku z cygarem ,zaciśniętym między zębami i w starym homburgu naciągniętym prawie na uszy, powitałem go swoim najszerszym uśmiechem. Podeszedł do mnie i powiedział:

- Pan jest przyjacielem Goeringa, prawda? Widzę, że słyszał pan już o naszych kierowcach.

Powiedziałem mu, że nic nie wiem.

- Przyprowaździłem pięciu kierowców wyścigowych, którzy się zgłosili, ale Hunowie zaprotestowali. Powiedzieli, że ich kierowcami będą Sturmsachbearbeiters, i że to niesportowo wystawiać przeciwko nim zawodowców. Zarząd wystawy przyznał im rację i teraz muszę dobrać improwizowaną reprezentację Anglii. Z samych a motorów, nie mogę im obiecać nic tylko krew, wysiłek, pot i łzy, a ci przekłęci esesmani są prawie na poziomie zawodowców. Mam trzech ludzi, ale wciąż brak mi jednego, nawet jeżeli sam wezmę udział...

Przez chwilę patrzyliśmy na siebie.

- Nigdy nie uczestniczyłem w wyścigu, ale wszyscy znajomi twierdzą, że jeżdżę za szybko i wyszedłem cało z wielu wypadków. Mam nadzieje, że nie uzna pan mojej znajomości z Herr Goeringiem za coś, co mogłoby skłonić mnie do odstąpienia od fair play, gdybym wystartował w barwach Anglii!

- Oczywiście, że nie. - Churchill wydał policzki. - Jest pan więc kierowca, tak? Czy mogą spytać, jaki pan ma wóz?

Powiedziałem mu, że Centuriona, model, który miał być użyty przez zespół brytyjski. Coś w jego spojrzeniu i sposobie, w jaki pociągnął cygaro, zdradziło mi, że przejrzał moje kłamstwo i że je zaaprobował.

Pragnąłbym, żeby moje niewprawne pióro mogło oddać sprawiedliwość wyścigowi, ale to niemożliwe. Wraz z pozostałą czwórka - a był w niej i pan Churchill - czekałem z zapuszczonym

silnikiem na brytyjskiej linii startowej. Za naszymi plecami, tyłem do nas, stało pięciu niemieckich Sturmsachbearbeiters, w swoich Ludowych Samochodach. Przed nami rozciągała się do złudzenia dokładna imitacja londyńskiej ulicy, na której miniaturowe japońskie samochodziki już kręciły się w narastającym chaosie.

Rozległ się sygnał startowy. I wszystkie samochody wystrzelił do przodu. Parkując po raz pierwszy swój mały pojazd miałem świadomość, że Niemcy, którzy zaczęli od podmiejskiej części trasy, znajdują dwa albo i trzy miejsca na nasze jedno. Trzask zgniatanych błotników, wybuchy złego humoru, a ja my wszyscy - jechaliśmy i parkowaliśmy, jechaliśmy i parkowaliśmy, aż wydawało się, że robimy to od początku świata. Kołnierz koszuli miałem mokry od potu, czułem, jak na dłoniach robią mi się pęcherze i nagle zobaczyłem jakieś trzydzieści jardów przed sobą drzewko w cebrzyku i fronton naśladowujący nie sklep w śródmieściu, ale podmiejską willę. I wtedy doszło do mnie - było to tak, jakby ktoś podał mi kieliszek zimnego szampana - że nie spotkaliśmy dotąd Niemców. Nie spotkaliśmy ich dotąd, a półmetek był tuż tuż. Wiedziałem, że już zwyciężyliśmy.

Cóż mówić o dalszym ciągu wyścigu? Przejechaliśmy około dwustu jardów sektora podmiejskiego, zanim ujrzelśmy pochyłą maskę pierwszego Volkswagena. Mój samochód przyjechał ostatni - w zespole brytyjskim - ale piąty w klasyfikacji ogólnej, co oznaczało, że Brytyjczycy odnieśli bezapelacyjne zwycięstwo. Staliśmy się idolami publiczności (nawet ja), a kiedy kanclerz Hitler wybiegł na tor, żeby zbesztać któregoś ze swoich kierowców i został potracony przez jedną z japońskich zabawek, niemiecki Ludowy Samochód stracił wszelkie szanse w anglosaskim świecie. Osoby, które już wpłaciły zadatek, żądały zwrotu pieniędzy i pierwsze statki wiozące Ludowe Samochody do Londynu (Hitler kazał im wyruszyć zawczasu, chcąc wykorzystać sukces, którego był tak pewien) nie zostały rozładowane. O ile wiem, ich ładunek został później sprzedany po obniżonej cenie w Maroku.

Zdaję sobie sprawę, że wszystko to jest znane czytelnikom prasy, ale - jak sadzę - jestem w stanie dodać postscriptum, które powinno szczególnie zainteresować wszystkich miłośników gier.

Jak już wspomniałem, wyjaśniłem panu Churchillowi zasady gry, opracowanej przeze mnie i

Lansbury'ego, kiedy czekaliśmy na rozpoczęcie pokazu Ludowego Samochodu i nawet obiecałem mu pokazać jak gramy, gdyby zechciał zajrzeć do mojego mieszkania, co też uczynił, chociaż dopiero w parę tygodni po wyścigu. Pokazałem mu naszą planszę i żałowałem, że nie mogę zademonstrować mu gry w toku, ale właśnie zakończyliśmy rozgrywkę, którą (Wielką Wojnę uznaliśmy za pierwszą) nazwaliśmy Drugą Wojną Światową.

- Pan zapewne wygrał - powiedział Churchill.

- Nie, przegrałem, ale ponieważ byłem Niemcami, nie sprawi to panu zawodu. Zresztą wolę wygrać jeden wyścig z prawdziwymi Niemcami, niż wszystkie gry, w jakie kiedykolwiek zagram z Lansburym.

- Tak - powiedział. - Nigdy tak wielu nie zawdzięczało panu tak wiele. Tak mi się przynajmniej wydaje.

Coś w jego uśmiechu obudziło moje podejrzenie. Przypomniałem sobie podobny wyraz twarzy u Lansbury'ego (uświadomiłem to sobie dopiero później), kiedy mnie przekonał, że zamierza dokonać inwazji Europy w Grecji i nie wytrzymałem.

- Czy ten wyścig był uczciwy? - spytałem. - Chcę powiedzieć, że poszło nam dziwnie łatwo.

- Nawet pan - zauważył Churchill - pobił najlepszych niemieckich kierowców.

- Wiem - powiedziałem. –

To właśnie daje mi do myślenia.

Rozsiadł się w najwygodniejszym fotelu i zapalił nowe cygaro.

- Wpadłem na ten pomysł - powiedział - kiedy ta diabelska japońska maszyna omal nie wpadła na nas podczas mojej rozmowy z Hitlerem. Pamięta pan!

- Oczywiście. Czy chodzi panu o pomysł wykorzystania japońskich samochodów do symulacji ruchu?

- Nie tylko. Te rzeczy są możliwe dzięki najnowszemu wynalazkowi - tranzystorom. Czy orientuje się pan w zasadzie działania tranzystora?

Powiedziałem, że z tego, co wyczytałem, jest to mała płytka materiału przewodzącego prąd tylko w jedną stronę.

- Właśnie. - Churchill wydmuchnął kłęb dymu. - Co znaczy, że w tym materiale elektronom

łatwiej jest się poruszać w jednym kierunku niż w przeciwnym. Czy to nie jest zadziwiające? Wie pan, na czym to polega?

Przyznałem, że nie wiem.

- Ja też nie wiedziałem, póki nie przeczytałem artykułu w piśmie "Nature", jakiś tydzień czy dwa przed spotkaniem z Hitlerem. Ci bystrzy chłopcy, którzy to robią, biorą german - może też być

krzem, chociaż tranzystor działa wówczas nieco inaczej - w bardzo czystej postaci, a następnie

dodają do niego różne zanieczyszczenia. Oczywiście robią to bardzo starannie. Jeżeli, na przykład, dodać nieco antymonu, uzyskuje się materiał, który zawiera więcej elektronów niż jest dla nich

miejsc i krążą w nim wolne elektrony. Jest inny rodzaj zanieczyszczenia, bor, który sprawia, że materiał ma więcej miejsc dla elektronów niż elektronów. Specjaliści nazywają te miejsca dziurami, ale ja nazwałbym je miejscami do parkowania. A tranzystor uzyskuje się składając ze sobą takie

dwa rodzaje materiału.

- Czy chce pan powiedzieć, że nasz tor był...

Churchill kiwnął głową. - Odrzucając drobne nieścisłości terminologiczne, tak. Był to wielki

tranzystor - może prymitywny, ale wielki. Weźmy teraz prawdziwy tranzystor. Co się dzieje w

miejscu złączenia dwóch materiałów? Otóż masa elektronów z tej części, która ma ich nadmiar,

zmierza do tej, która ma nadmiar wolnych miejsc, rozumie pan?

- A więc jeżeli samochód - chciałem powiedzieć elektron - próbuje poruszać się w drugą stronę, z tej części, która ma więcej miejsc...

- Jest mu trudniej. Niech mnie pan nie pyta dlaczego, nie jestem elektrykiem, ale pewne aspekty tej sprawy są oczywiste nawet dla tak prostego komentatora politycznego jak ja. Jednym z nich jest, że wspomniany elektron płynie jakby pod prąd.

- A my jechaliśmy z prądem.

Jeżeli zgodzi się pan, żebyśmy dali spokój elektronom.

- Proszę bardzo. Z ulgą porzucę wzburzone morze przyczyn i teorii dla twardego gruntu skutków i

faktów. Tak, jechaliśmy, można powiedzieć, z prądem. Może zauważył pan też że jadąc od strony śródmiejskiej, gdzie znajdowała się większość wozów japońskich, wywoływaliśmy falę idącą przed nami. Ponieważ my zajmowaliśmy wolne miejsca, one w poszukiwaniu miejsc do parkowania były przyciągane w stronę Niemców, a taka fala porusza się, oczywiście, szybciej niż poszczególne samochody. Specjalista od tranzystorów powiedziałby pewnie, że mając podobne ładunki, odpychaliśmy je.

- Ale w końcu skupiłyby się między dwoma zespołami, pamiętam, że było ich najwięcej tam, gdzie mijaliśmy się z Niemcami.

- Słusznie. A kiedy to nastąpiło, nie miały już powodu, żeby uciekać przed nami - Niemcy już też je odpychali, jeżeli pan chce - i wówczas zasada (moja reguła wartości miejsca parkingowego, jeżeli pan pamięta) przyciągnęła je z powrotem do części śródmiejskiej, gdzie biedni Hunowie znów mieli z nimi trochę kłopotów, podczas gdy my podążaliśmy do mety.

Siedzieliśmy przez chwilę w milczeniu i wreszcie powiedziałem:

- Nie było to może zbyt uczciwe, ale cieszę się, że pan to zrobił.

- Nieuczciwość - powiedział lekko Churchill - polega na łamaniu reguł, na które ktoś przynajmniej przez implikację przystał. Ja natomiast zaproponowałem zasady, które uznałem za korzystne, a to jest dyplomacja. Czy pan tak nie robi, kiedy pan przystępuje do gry? - Tu spojrział na mapę świata. - Widzę, że wypalił pan sobie dziurę na planszy.

- A, to - powiedziałem. - To Lansbury'emu wysypał się pod koniec gry popiół z fajki. Kosztowało nas to dwa miasta na południu Japonii. .

- Lepiej uważajcie, żeby następnym razem nie spalić całej planszy. Ale mówiąc o Japończykach, czy słyszał pan, że chcą rzucić na rynek własny samochód? Zyskali taką reklamę w związku z wyścigiem, że nadają mu nazwę, która publiczności będzie się kojarzyć z angielski słowem "toy" - zabawka, od tych samochodów-zabawek, które tu prezentowali.

Spytałem go, czy to według niego oznacza, że Anglia będzie musiała odeprzeć inwazję japońską, na co odpowiedział, że pewnie tak, ale że my, Amerykanie, będziemy mieć z nimi wcześniej do



czynienia, bo słyszał, że pierwsze samochody japońskiej produkcji już są wyładowywane w Pearl Harbor.

Wkrótce potem wyszedł i nie sadzę, żebym kiedyś jeszcze miał przyjemność go spotkać. Ale to jeszcze nie koniec mojej opowieści. Czytelnicy tego pisma z przyjemnością zapewne przyjmą wiadomość, że Lansbury i ja wkrótce rozpoczniemy nową grę, która z konieczności będziemy my prowadzić korespondencyjnie, jako że wkrótce opuszczam Anglię. W naszej nowej walce Stany Zjednoczone, Wielka Brytania i Chiny będą się zmagać ze Związkiem Radzieckim, Polską, Rumunią i innymi państwami wschodnioeuropejskimi. Ponieważ trudno sobie wyobrazić przyzwoitą wojnę bez Niemiec, a Lansbury nie chciał się zgodzić, żeby znów przypadły mnie, postanowiliśmy podzielić je między nas. Spróbuję pamiętać ostrzeżenie pana Churchilla, ale i mój przeciwnik, i ja jesteśmy nałogowymi palaczami.

Z poważaniem

„Nieznany żołnierz”

Od Redakcji. Nie chcąc zdradzać nazwiska autora tej interesującej korespondencji podpisanej pseudonimem „Nieznany żołnierz”, możemy chyba ujawnić, że jest amerykańskim oficerem pochodzenia niemieckiego, nie pierwszej już młodości, ale jednak za młodym, żeby wziąć udział w Wielkiej Wojnie, choć podobno był tego bardzo blisko. Obecnie „Nieznany żołnierz” związany jest z amerykańską ambasadą w Londynie, ale ponieważ nie sądzi, żeby jego kraj użył swoich sił zbrojnych za jego życia, zamierza zrezygnować z kariery wojskowej, wrócić do rodzinnego Kansas i otworzyć tam salon sprzedaży Buicka. Powodzenia, Dwight.

MARIONETKI

Na osiem godzin przed planowanym lądowaniem na planecie Sarg do plastikowej klitki o wymiarach dwa na cztery, odgrywającej w czasie mej podróży rolę luksusowego apartamentu, podrzuciono ulotkę. Głosiła ona, że lądowanie na Sarg równa się znalezieniu w zupełnie nowym świecie. Wyrzuciłem ją do śmieci.

Lądowanie na Sarg rzeczywiście oznaczało wkroczenie do zupełnie nowego świata. Zwykle w

takich sytuacjach spodziewamy się jakichś niezwykłych efektów świetlnych i świeżych, nieznanych zapachów i najczęściej spotyka nas zawód. Na Sarg przedstawiało się to inaczej. Światło było przesunięte w widmie w stronę sjeni, umbry i ochry, toteż wszystko sprawiało wrażenie starszego, niż było w istocie i wyglądało na wykonane z polerowanego dębu lub matowego złota. Powietrze było przejrzyste i czyste. Nie rozwijał się tu żaden przemysł, a że szczęśliwym trafem nie znaleziono tu żadnych miejscowych form życia, które trzeba by było otaczać specjalną troską, zwożono masowo rośliny z Ziemi. Zauważyłem świerk kalifornijski i całe mnóstwo róż, wśród których byłem w stanie rozpoznać na pół zdziczałe egzemplarze Sarah Van Fleet i Amelie Gravereaux.

Stromboli - człowiek, na spotkanie z którym tutaj przyleciałem - przysłał po mnie lekki powóz z woźnicą (jak się nie chce mieć przemysłu, to trzeba się pogodzić z niedostępnością pewnych rzeczy, całej ich masy, powiedziałbym nawet), toteż mogłem przyjrzeć się do woli porastającym górskie zbocza jodłom i zwieszającym się ze skał różom. Zdaje się, że musiałem zrobić jakąś uwagę na temat kolorów, bowiem woźnica zapytał:

- Pan zajmuje się sztuką?

- Och nie. Jestem marionetkarzem. Ale sam rzeźbię i maluję moje lalki - więc może jednak można nazwać to sztuką, w każdym razie staram się, żeby tak było.

- Właśnie o to mi chodziło. Prawie wszyscy, którzy do niego przyjeżdżają, zajmują się marionetkami. Ten pakunek, który pan ze sobą przywiózł... To pulpit kontrolny, prawda?

- Zgadza się.

Wyjąłem go ze skórzanej walizki, by mu go pokazać. Spojrzał na małe dźwigienki oraz na wskaźniki i powiedział:

- Nasz signor też ma taki. Nie taki sam, znaczy się, ale podobny. Czy mógłby pan... - zerknął na pudło, w którym odpoczywała Charity. - Szybciej by nam minął czas.

Na moje polecenia otworzyła wieko, usiadła przy nas i zaśpiewała swym czystym głosem.

Charity jest o głowę wyższa ode mnie, ma blond włosy, długie nogi i szczupłą talię - dzięki temu była, jak lubię czasem myśleć, nieco przerysowaną repliką rzeczywiście ślicznej dziewczyny.

Kazałem jej pocałować woźnicę, zatańczyć na drodze przed wozem, a potem wspiąć się z powrotem do swego domu i zatrzasnąć wieko.

- To było dobre - powiedział woźnica. - Jest pan prawdziwym artystą.

- Zapomniałem dodać, że nazwałem ją Charity", ponieważ tego właśnie oczekuje od mojej publiczności.

- Och, nie. Pan to naprawdę potrafi. Te podskoki na drodze... Każdy umie podskoczyć nimi raz czy dwa, ale nie tak długo i jeszcze w dodatku na nierównym gruncie, i tak szybko... Wiem, jak to trudno. Trzeba to docenić.

Chciałem sprawdzić, jak daleko może się posunąć, toteż zapytałem:

- Czy robię to tak dobrze, jak signor?

- Nie - potrząsnął głową. - Nie tak dobrze jak signor Stromboli. Ale ja widziałem już wielu. Dużo ich tutaj przyjeżdża, ale pan jest z nich najlepszy. Signor Stromboli będzie zadowolony, mogąc pana poznać.

Dom zbudowany we włoskim, górskim stylu okazał się mniejszy, niż się tego spodziewałem.

Otoczony był jednak dużym, swobodnie rosnącym ogrodem, zaś z tyłu dostrzegłem powozownię.

Woźnica zapewnił mnie, że zajmie się moim bagażem, mną zaś zaopiekowała się Madame

Stromboli, która, jak przypuszczam, musiała obserwować nas z okna, kiedy jeszcze znajdowaliśmy

się na drodze. Włosy miała już zupełnie siwe, ale oliwkowa cera jej twarzy i piękne czarne oczy wciąż przypominały o jej dawnej urodzie.

- Witamy - powiedziała. Cieszymy się bardzo, że mógł pan do nas przyjechać.

Odparłem, że to dla mnie wielki zaszczyt.

- To także wielki wydatek, podróżować między słońcami, wiemy o tym. Kiedyś, gdy byliśmy młodzi, mój mąż wyruszył w podróż, by zarobić dla nas trochę pieniędzy. Ja zostałam w domu, bo zbyt wiele to kosztowało. Poleciał sam, ze swymi lalkami. Czekałam długie lata, ale w końcu wrócił.

- Musiała się pani czuć bardzo samotna - zauważyłem.

- Owszem. Teraz, kiedy tu mieszkamy, bardzo niewielu ludzi może sobie pozwolić na to, żeby

nas odwiedzić. Pięknie tutaj, prawda? Ale pusto. Mój mąż i ja jesteśmy tutaj zupełnie sami. Ale to lepiej. Teraz pewnie chciałby pan się umyć i przebrać. Potem zaprowadzę pana do niego.

Podziękowałem jej.

- Będzie dla pana miły. Lubi młodych, którzy uczą się dawnej sztuki. Ale proszę poprzestać na tym, co panu pokaże. Nie radzę pytać, jak pan to robi?" albo prosić, żeby coś zademonstrował.

Niech mu pan pozwoli pokazać to, co chce a z pewnością pokaże panu bardzo wiele.

Rzeczywiście tak było. Nie będę nawet próbował przedstawić w jakiejś jednej, podsumowującej

scenie tych wszystkich godzin, które wspólnie spędziliśmy. Był bardzo wielkoduszny, jeżeli chodzi o poświęcony mi czas, chociaż przedpołudnia wszystkie przedpołudnia - przeznaczał na swoje

własne ćwiczenia, które odbywał w samotności, w pokoju o ścianach wyłożonych lustrami. Po

pewnym czasie widziałem już wszystko to, o czym kiedykolwiek słyszałem, z wyjątkiem słynnego

zabawnego lokaja Zanniego. Stromboli pokazał mi, jak utrzymywać w ruchu pięć lalek naraz, tak

sprytnie różnicując ich poruszenia, że patrząc na tańczące, pokrzykujące postaci można było ulec złudzeniu, że mają one pięciu niezależnych operatorów. O ile udało się nie zapomnieć, rzecz jasna, że w ogóle mają jakiegoś operatora.

- Kiedyś to były małe figurki - powiedział Stromboli. - Czytał pan coś na ten temat? Największe sięgały do ramienia i były poruszane sznurkami. W tamtych czasach nikt nie potrafił poruszać naraz więcej niż czterema, wyobraża pan sobie? Teraz są tak duże jak pan czy ja, nie są na uwięzi i dają sobie radę z pięcioma. Panu, być może, uda się dojść do sześciu. To całkiem możliwe. Sypiąc

kwiaty na pańską trumnę będą powtarzać: "Potrafił prowadzić sześć naraz".

Odparłem, że byłbym szczęśliwy, mogąc sobie poradzić z trzema.

- Nauczy się pan. Już teraz potrafi pan znacznie trudniejsze rzeczy. Ale nie osiągnie pan tego

podróżując tylko z jedną lalką. Jeśli chce pan opanować sterowanie trzema naraz, to musi mieć pan zawsze przy sobie właśnie trzy, żeby móc trenować. Nauczył się pan już naśladować głos kobiety- i to zarówno mówiącej, jak i śpiewającej, Z tym właśnie miałem najwięcej kłopotów. - Teraz jestem już stary i mój głos nie jest tak głęboki, jak kiedyś, ale kiedy byłem w pańskim wieku mówiłem

prawdziwym basem i nie dawałem sobie rady z kobiecymi głosami, nawet za pomocą specjalnej

aparatury. Ale teraz... Proszę posłuchać.

Trzy z jego dziewcząt - Julia, Lucinda i Colubina - Wystąpiły naprzód. Przez chwilę po prostu chichotały między sobą. Potem, po odbytej szeptem, ale mimo to doskonale słyszalnej naradzie, zaśpiewały arię Rosiny z "Cyrulika Sewilskiego" - Julia sopranem koloraturowym, Columbina mezzosopranem, a Lucinda kontraltem.

- Niech pan nie używa nagrań - przestrzegł mnie Stromboli. To bardzo proste; nagrać coś i potem oszukiwać, ale dobra publiczność zawsze się na tym pozna, będą prosili, żeby pan coś jeszcze zademonstrował, i co wtedy? Jeden głos wychodzi już panu bardzo dobrze. Nie radzę nagrywać.

Czy wie pan, jak ja się tego wreszcie nauczyłem?

Wyraziłem moje zainteresowanie.

- Na samym początku, kiedy jeszcze nie byłem żonaty, imitowałem wyłącznie męskie głosy oraz falset, będący z założenia fałszywą imitacją kobiecego. Potem ożeniłem się i mała Maria, to znaczy, Signora Stromboh, zaczęła mi pomagać. Nie zawsze pracowałem wtedy sam - moja żona często sterowała prostszymi ruchami i zajmowała się głosem kobiecych postaci.

Pokiwałem ze zrozumieniem głową.

- Jak więc mogłem się nauczyć? Kiedy mówiłem "Mario, dzisiaj będziesz siedzieć na widowni", ona odpowiadała "Lepiej będzie, jeśli ja je zrobię". Co więc uczyniłem? Ano, wyruszyłem na długie, międzyplanetarne tournée. Było to bardzo kosztowne przedsięwzięcie, ale zarobki też nie należały do najmniejszych. Maria została w domu. Kiedy wróciłem, potrafiłem już to, co pan przed chwilą widział.

Columbina, Lucinda i Julia ukłoniły się do samej ziemi.

Z signorem Strmboli pożegnałem się na dzień przed moim rozstaniem z Sarg. Mój statek odlatywał w południe, a że poranne ćwiczenia mego gospodarza należały do uświęconego tradycją rytuału, którego nic nie mogło zakłócić, pożegnalną kolację zjedliśmy poprzedniego wieczoru.

Piliśmy wino na włoski, radosny sposób, nie upijając się nim, śpiewaliśmy - oprócz nas trojga nie było nikogo więcej. Gdy rano zabrałem się pośpiesznie do pakowania, stwierdziłem, że zapodziała się gdzieś jedna para moich butów. Po dłuższej chwili bezowocnych poszukiwań odesłałem je do wszystkich diabłów, wręczyłem walizkę służącemu, pożegnałem się raz jeszcze z Marią Stromboli i wyszedłem przed bramę, by poczekać, aż woźnica zajedzie po mnie powozem.

Minęło pięć minut, potem dziesięć. Wciąż jeszcze miałem masę czasu, kilka godzin nawet, jeżeli

by dobrze poganiał kanią, ale zacząłem się zastanawiać, co też mogło go zatrzymać. Wtedy właśnie usłyszałem turkot kół i zza zakrętu wyłonił się zaprzęg, ale powoziła nim jakaś ciemnowłosa, ubrana na różowo kobieta, której nigdy nie widziałem. Zatrzymała powóz przede mną, lekkim ruchem ręki wskazała na porządnie ułożony z tyłu bryczki mój bagaż, po czym powiedziała:

- Wsiadaj. Antonio źle się poczuł, więc powiedziałam Strombolemu, że ja cię odwiozę.

Nazywam się Lili. Słyszałeś o mnie? Usiadłem koło niej i odpowiedziałem, że nie.

- Przyjechałeś zobaczyć się ze Strombolim i nie słyszałeś nic o mnie? Ach, więc tak złudna może być sława! Kiedyś wszyscy o mnie mówili i wydaje mi się, że właśnie dlatego postanowił się

wycofać. Mieszka teraz z żoną i chce, żeby wszyscy uważali go za wzorowego męża; ale mój domek jest bardzo niedaleko stąd.

Powiedziałem coś w tym rodzaju, że nie wiedziałem o żadnych domach w sąsiedztwie.

- Wystarczyło zrobić kilka kroków, żeby go zobaczyć. Strzeliła precyzyjnie batem tuż nad końskim grzbietem i ruszyliśmy kłusem.

- Maria nie jest tym zbyt zachwycona, ale dla jej męża to też jest tylko kilka kroków. Tyle, że on jest stary. Czy myślisz, że ja też jestem staraj

Odchyliła się do tyłu, obracając tak głowę, bym mógł ujrzeć jej profil - zadarty nieco ku górze nosek i pełne karminowe usta.

- Piersi mam ciągle jeszcze w porządku. Może trochę przytyłam w talii, ale w udach też, a to bardzo dobrze.

- Jesteś bardzo piękna - powiedziałem i rzeczywiście była, chociaż pod pokrywającą jej policzki warstwą pudru można było dostrzec siatkę drobniutkich pęknięć.

- Bardzo piękna, ale starsza od ciebie:

- Może o kilka lat.

- Znacznie więcej. Ale podobam ci się?

- Każdemu byś się podobała. - Rozumiesz, ja nie jestem taką sobie dziewczyną do łóżka. Z

signorem Stromboli, owszem, nieraz, ale bardzo rzadko z innymi mężczyznami. I nigdy nie byłam sprzedana, nigdy, za żadne pieniądze.

Obracające się z wielką szybkością koła-powozu turkotały na zakrętach. Po chwili milczenia powiedziała:

- Niedaleko stąd jest takie miejsce. Teren jest płaski i można dojechać aż nad sam brzeg strumienia. Rośnie trawa, kwiaty i słychać szum wody.

- Muszę zdążyć na statek.

- Masz jeszcze dwie godziny, a to zajęłoby nam najwyżej jedną. Drugą spędziłbyś siedząc na krześle. Poziewując i myśląc miłe rzeczy o Sarg i o mnie.

Potrząsnąłem głową.

- Powiedziałeś, że signor Stromboli wiele cię nauczył. Mnie także. Teraz ja nauczę ciebie. Zaraz.

Przez godzinę.

Jej noga przycisnęła się do mojej.

- Przykro mi - odpowiedziałem - ale jest ktoś inny. - Nie była to prawda, ale wydawało mi się, że jest to najlepszy sposób, by wybrnąć z niezręcznej sytuacji. - Ktoś, kogo nie mogę zdradzić, jeżeli chce żyć w zgodzie z sobą samym - dodałem.

Lili podwiozła mnie do samego wejścia do portu kosmicznego, dzięki czemu mogłem przenieść bagaże prosto na taśmowiec. Kiedy odjechał już ostatni z moich pakunków, dotknęła batem końskiego zadu i po chwili ona, koń i turkoczący powóz zniknęli w chmurze pyłu. Uruchamiany małym pieniążkiem robot otrzepał mnie z niego zaraz po wejściu do budynku.

Tak jak powiedziała, miałem jeszcze wolne dwie godziny. Spędziłem je przeglądając pisma i spoglądając na góry, które za chwilę miałem opuścić.

- Uwaga, pasażerowie odlatujący do systemu Sol i Vegi! Prosimy o udanie się do wyjścia numer pięć. Do odlotu pozostało piętnaście minut.

Podniosłem się nieśpiesznie i ruszyłem już w stronę wskazanego wyjścia, lecz nagle stanąłem jak wryty. W moim kierunku zmierzała prześmieszna, znana z niezliczonych fotografii postać.

- Sir! - właściwie zabrzmiało to jak "Seerraughha ", z wyraźną intonacją wznoszącą (co przywodziło na myśl odgłos, jaki mógł z siebie wydać co prawda jowialny, ale akurat w tej chwili pijany, a co za tym idzie niebezpieczny słoń). - Sir!

Olbrzymie brzuszysko było opięte kamizelką w biało-granatowe pasy szerokości mojej dłoni, a bezkształtny nochal aż świecił od natrętnej wścibskości.

- Sir, pańskie buty! Mam pańskie buty!

Był to lokaj Zanni, najdoskonalszy twór Strombolego. W jego potężnej dłoni moje buty wyglądały podobnie, jak ja się czułem, czyli zupełnie bezsensownie. Ludzi gapili się na nas, spierając się między sobą, czy to prawdziwy Zanni, czy też nie.

- Mojemu panu bardzo zależało, żebym je panu zwrócił - powiedział Zanni. - Może pan nie uwierzy, ale biegłem całą drogę.

- Dziękuję - wymamrotałem, biorąc je od niego i jednocześnie rozglądając się dookoła w poszukiwaniu Strombolego. Musiał gdzieś tutaj być.

- Mój pan - kontynuował Zanni teatralnym szeptem, który musiał być dobrze słyszalny nawet na najbliższych stanowiskach startowych - słyszał o pańskiej rozmowie z Madame Lili. Jak pan może wie, sir, naszą planetę nazywa się czasem Planetą Tajemniczych Róż, toteż mój pan chciałby prosić pana, sir, by część tego, czego się pan dowiedział zechciał pan zachować w tajemni

Skinałem głową. Udało mi się wreszcie dostrzec Strombolego. Stał na uboczu z nie wyrażającą żadnych uczuć twarzą, podczas gdy jego palce biegały pośpiesznie po pulpicie kontrolnym Zanniego.

- Joruri - powiedziałem.

- Joruri, sir?

- Japoński teatr lalek. Animatorzy są doskonale widoczni, ale publiczność udaje, że ich nie dostrzega.

- Na tym zna się mój pan, a nie ja, sir, ale być może tak właśnie powinno być.

- Być może. No nic, musze już iść, żeby zdążyć na statek.

- Tak samo powiedział pan Madame Lili. Mój pan wyraził życzenie, abym przekazał panu, że on sam był kiedyś tak młody jak pan, sir. Mój pan ma nadzieję, że wie pan, komu pozostaje park.



wierny, oraz że on sam nigdy się tego o sobie samym nie dowie.

Pomyślałem o pęknięciach, jakie dostrzegłem pod pokrywającą policzki Lili warstwą pudru, a potem o policzkach Charity, różowych i tryskających życiem.

Zabrałem buty, wszedłem na statek i schowałem się do mego pudełka.

## PIĄTA GŁOWA CERBERA

*Szkielety drzew, co w puszczy mej*

*Chylą się nad mą wodę,*

*Gdy sowy huk napętnia bór*

*Dla wycia wilka głodny wtór*

*Żrącego wilcze młode.*

Samuel Taylor Coleridge: "Pieśń o starym żeglarzu"

Kiedy byłem chłopcem, mój brat David i ja musieliśmy wcześniej chodzić spać niezależnie od tego, czy byliśmy śpiący, czy nie. Szczególnie latem często trzeba było iść do łóżka przed zachodem słońca, a ponieważ nasza sypialnia znajdowała się we wschodnim skrzydle domu i miała duże okno, wychodzące na główny dziedziniec, to jest na zachód, ostre, różowawe światło sączyło się przez nie godzinami, a my leżeliśmy, gapiąc się na kaleką małpę ojca, uczeponą łuszczącego się parapetu, lub cichutko opowiadając sobie nawzajem różne historyjki.

Nasza sypialnia znajdowała się na najwyższym piętrze domu, a okno miało kratę z poskręcanych prętów, której nie wolno nam było otwierać. Myślę, że ten zakaz był oparty na przypuszczeniu, iż jakiś złodziej mógłby pewnego deszczowego poranka (była to jedyna pora dnia, kiedy mógłby odnaleźć dach, na którym urządzono, nie używany zresztą, ogród rekreacyjny), spuścić linę i w ten sposób wejść do naszego pokoju. Celem tego domniemanego, niezwykle odważnego złodzieja nie byłoby oczywiście jedynie to, by ukraść nas. Dzieci, tak chłopcy, jak i dziewczynki, były niezwykle tanie w Port-Mimizon - mówiono mi nawet, że mój ojciec, który kiedyś nimi handlował, zrezygnował ze względu na marny rynek. Niezależnie od tego, czy była to prawda, czy nie, każdy lub prawie każdy znał jakiegoś zawodowca, który mógł dostarczyć mu dziecko według życzenia po niskiej cenie, oczywiście w granicach rozsądku. Handlarze interesowali się dziećmi ludzi biednych i

takich, którzy o nie nie dbali. Jeśli chciałeś, na przykład, małą, ciemnoskórą, rudą dziewczynkę albo dziewczynkę pulchną lub sepleniącą, lub też jasnowłosego chłopca jak David, czy bladego, ciemnego blondyna o brązowych oczach jak ja - mogli go dostarczyć w ciągu kilku godzin.

Według wszelkiego prawdopodobieństwa wymagany złodziej nie chciałby nas także trzymać dla uzyskania okupu, mimo że ojciec był uważany w niektórych kręgach za niezmiernie bogatego. Było po temu kilka powodów. Niewielka liczba osób, która wiedziała o naszym istnieniu wiedziała również, lub przynajmniej dano im do zrozumienia, że ojcu wcale na nas nie zależy. Nie potrafię powiedzieć, czy było to zgodne z prawdą. W każdym razie wierzyłem w to, a ojciec nie dał mi najmniejszego powodu, by w to zwątpić, chociaż, mimo to, w owym czasie nigdy nie przyszła mi do głowy myśl, by go zabić.

Jeśli te przyczyny nie były dość przekonujące, to każdy, kto znał warstwę społeczną, w której ojciec stał się może nawet najbardziej ustabilizowaną osobą, zdawał sobie sprawę, że ze względu na to, iż zmuszony był płacić duże łapówki tajnej policji, pozbycie się pieniędzy oznaczało dla niego wystawienie się na tysiąc ataków, które by go zrujnowały. Może właśnie dlatego, oraz ze względu na strach, w którym żył - nigdy nas nie ukradziono.

Krata w oknie jest wykuta (piszę te, słowa w mojej dawnej sypialni) na podobieństwo gałęzi wierzby, choć jest zbyt sztywna i symetryczna, by je wiernie odtworzyć. Kiedy byłem chłopcem zarastała ją srebrzysta armatnica (potem ją wykopano) która pięła się po ścianie z dziedzińca w dół. Chciałem, żeby całkowicie zarosła okno i w ten sposób zasłaniała słońce, gdy usiłowaliśmy zasnąć. Jednak David ciągle zrywał gałązki, aby gwizdać na ich pustych łodygach i robił coś w

rodzaju fletni Pana z trzech lub czterech piszczałek. Jego gra stawała się coraz głośniejsza w miarę jak nabierał odwagi, więc po pewnym czasie musiała oczywiście ściągnąć naszego nauczyciela, Mr.

Miliona. Mr. Milion wchodził do naszego pokoju wśród całkowitej ciszy, jego szerokie koła ślizgały się po nierównej podłodze, a David udawał, że śpi. Fletnia była już do tego czasu ukryta pod poduszką, w kołdrze lub nawet pod materacem, ale Mr. Milion zawsze ją znajdował.

Do wczoraj nie mogłem sobie przypomnieć co robił z tymi małymi instrumentami po ich skonfiskowaniu, mimo że w więzieniu, kiedy nie mogliśmy wyjść ze względu na burze lub śnieżyce, często zabijałem czas próbując to sobie uzmysłwić. Połamanie ich lub wyrzucenie przez kratę na znajdujące się poniżej patio byłoby całkowicie sprzeczne z jego charakterem. Mr. Milion nigdy niczego specjalnie nie niszczył i nigdy niczego nie marnował. Znakomicie sobie

przypominałem na pół zasmucony wyraz twarzy, z jakim wydobywał małe fajki z ukrycia

(jego twarz wydawała się unosić za ekranem i bardzo przypominała twarz mojego ojca), a także, w jaki zakręcał i wyjeżdżał z pokoju. Ale co się z nimi działo?

Tak jak już mówiłem, przypominałem to sobie (jest to sprawa z gatunku tych, które dodają mi pewności siebie). Rozmawiał ze mną tutaj, kiedy pracowałem, a gdy wychodził, mój wzrok leniwie podążył za jego gładkim przesunięciem się przez drzwi i wydawało mi się, że zabrakło czegoś w rodzaju wymachu, co pamiętałem z moich najwcześniejszych lat. Zamknąłem oczy i próbowałem sobie przypomnieć jak to dokładnie wyglądało, wykluczając wszelkie wątpliwości i jakiegokolwiek próby zgadnięcia z góry tego, co "musiałem" widzieć. Odkryłem, że brakującym elementem był krótki błysk metalu nad głową Mr. Miliona.

Kiedy to ustaliłem, było już sprawą jasną, że musiał on być spowodowany szybkim ruchem jego ręki w górę, jak przy salutowaniu. Co najmniej godzinę nie mogłem odgadnąć przyczyny tego ruchu. Mogłem tylko przypuszczać, że cokolwiek to było, musiało ulec zniszczeniu przez czas.

Próbowałem sobie przypomnieć czy na korytarzu koło naszej sypialni było coś, co istniało w tej, nie tak przecież odległej przeszłości, a teraz zniknęło - jakaś zasłona czy roleta, urządzenie, które można było włączyć, czy cokolwiek innego, co mogło spowodować ten ruch. Niczego takiego nie

było. Wyszedłem na korytarz i bardzo dokładnie przebadałem podłogę szukając śladów po

meblach, haków lub gwoździ w ścianach, odgarniając szorstkie, stare tapety. Wyciągałem szyję, by, zlustrować sufit. Po godzinie przyjrzałem się w końcu samym drzwiom i dostrzegałem to, czego nie widziałem przechodząc przez nie tysiąc razy. Jak wszystkie drzwi tego bardzo starego domu miały masywną futrynę z drewnianych listew, a jedna z nich - górna, wystawała ze ściany, tworząc nad

drzwiami wąziutką półeczkę. Wsunąłem na korytarz krzesło i stanąłem na nim. Półeczka była przykryta grubą warstwą kurzu, w którym leżało 47 fajarek mojego brata oraz wspaniałe zbiór innych drobnych przedmiotów. Przedmiotów, z których wiele pamiętałem, lecz wiele wciąż jeszcze nie znajduje żadnego oddźwięku w mojej pamięci.

Małe, żółte, brązowo nakrapiane ptasie jajo. Przypuszczam, że ptaszek miał gniazdko w pnączu armatnicy za naszym oknem i Dawid albo ja okradliśmy je, by potem nas z kolei obrabował Mr.

Milion. Nie pamiętam jednak tej sprawy.

Jest też połamana układanka, zrobiona z trzewi jakiegoś zwierzęcia, oraz sprowadzający cudowne wspomnienie klucz, jeden z dużych, pięknie zdobionych kluczy, które sprzedawano co roku. Ich właściciel mógł wchodzić do niektórych sal biblioteki miejskiej po godzinach otwarcia. Mr. Milion prawdopodobnie skonfiskował go, kiedy zauważył, że zaczęliśmy go używać do zabawy, gdy po roku użytkowania klucz stracił ważność. Cóż to jednak za wspomnienia !

Ojciec miał swoją własną bibliotekę. Teraz należy ona do mnie, ale jako dzieci nie mogliśmy tam wchodzić. Niby przez mgłę ,pamiętam, jak stałem kiedyś przed jej ogromnymi, rzeźbionymi drzwiami. Drzwi otworzyły się i zobaczyłem kalekę małą, siedzącą na ramieniu ojca, tulącą się do jego twarzy. Był w czarnej chuście, pod którą miał szkarłatny szlafrok. Z tyłu widziałem mnóstwo rzędów obszarpanych książek i notatników, a z laboratorium za zasuwany lustrem dochodził mdławo-słodki zapach formaldehydu.

Nie pamiętam, czy cokolwiek powiedział - czy zapukałem tam sam, czy też zrobił to ktoś inny, przypominam sobie jednak, że kiedy drzwi już się zamknęły, nachyliła się nade mną ubrana na różowo kobieta, która wydała mi się bardzo piękna. Gdy twarz jej znalazła się na poziomie mojej, zapewniła mnie, iż ojciec sam napisał wszystkie książki, jakie właśnie widziałem, a ja wcale w to nie wątpiłem.

Tak jak już powiedziałem, zarówno bratu, jak i mnie nie wolno było wchodzić do tego pokoju.

Kiedy jednak byliśmy nieco starsi, Mr. Milion brał nas mniej więcej dwa razy w tygodniu na wyprawy do biblioteki miejskiej. Były to niemal jedyne okazje, kiedy pozwalano nam opuścić dom, a ponieważ nasz nauczyciel nie lubił zwijać złączy swych metalowych, znormalizowanych zespołów zamiennych w wynajętym powozie, a lektyka nie wytrzymałaby ani jego wagi, ani nie byłaby wystarczająco pojemna, wyprawy te odbywały się na piechotę.

Przez bardzo długi czas moja znajomość miasta ograniczała się do drogi do biblioteki. Trzysta metrów wzdłuż ulicy Saltimbanque, przy której stał nasz dom, potem w prawo Rue d'Asticot do targowiska niewolników i sto metrów dalej do biblioteki. Dziecko nie rozróżnia między tym, co nadzwyczajne a tym, co nagminne. Przeważnie koncentruje uwagę gdzieś pośrodku i zaciekawia się

wydarzeniami, których dorośli w ogóle nie uważają za godne dostrzeżenia, a na najbardziej niewiarygodne sytuacje reaguje z niezmaconym spokojem. Obaj z bratem fascynowaliśmy się fałszywymi antykami i okazjami handlowymi z Rue d'Asticot, lecz często strasznie się nudziliśmy, gdy Mr. Milion upierał się, by się zatrzymać na godzinę na targowisku niewolników.

Targowisko nie było duże, gdyż Port-Mimizon nie był ważnym ośrodkiem tego typu interesów.

Licytatorzy byli często w bardzo dobrych stosunkach z przedmiotami swego handlu, gdyż spotykali się z nimi po kilka razy pod rząd, w miarę jak kolejni właściciele odkrywali ich wady. Mr. Milion nigdy nie stawiał, lecz tylko przyglądał się licytacji, a my w tym czasie przestępowaliśmy z nogi na nogę i żuliśmy smażony chleb, który kupił nam w kiosku. Byli tam tragarze lektyk o nogach

pokrytych węzłami mięśni oraz uśmiechający się głupkowato łaziebni, byli zakuci w łańcuchy

gladiatorzy o oczach zamglonych narkotykami lub ziejących imbecylną dzikością, byli też

kucharze, pokojowi i setki innych. David i ja błagaliśmy jednak, by Mr. Milion pozwolił nam już samym pójść do biblioteki.

Biblioteka była marnotrawnie wielkim budynkiem. W dawnych czasach, kiedy obowiązywał

język francuski mieściły się tam biura rządowe. Park, który kiedyś ją otaczał padł pastwą drobnych nadużyć, tak że teraz biblioteka wznosiła się wśród gęstwin sklepików i budynków mieszkalnych.

Do drzwi wejściowych prowadziła wąska droga. Kiedy wchodziłeś, ubóstwo otoczenia ustępowało

czemuś w rodzaju łuszczącej się świetności. Główne stanowisko bibliotekarskie znajdowało się

bezpośrednio pod kopułą, która wznosiła się 500 stóp wyżej. Otaczała ją spirala chodników, wzdłuż których ustawiono główne zbiory biblioteki. Wszystko to tworzyło kamienne niebo, z którego

najdrobniejszy odprysk mógłby któregoś z bibliotekarzy zabić na miejscu.

Podczas gdy Mr. Milion majestatycznie wspinał się w górę, przeglądając po drodze książki,

David i ja wybiegaliśmy naprzód, aż byliśmy o kilka zakrętów przed nim i mogliśmy robić co się

nam podobało. Kiedy byłem jeszcze dosyć mały, często przychodziło mi na myśl, że skoro (według

pani ubranej na różowo) ojciec napisał "pełen pokój książek" niektóre z nich powinny tutaj być.

Rezulutnie wspinałem się prawie do szczytu kopuły i tam szukałem. Ponieważ bibliotekarze bardzo ulgowo traktowali porządkowanie książek na półkach, wyglądało na to, że zawsze istnieje szansa, by znaleźć coś, czego przedtem nie zauważyłem. Półki wznosiły się wysoko ponad moją głowę,

lecz kiedy czułem, że nikt na mnie nie patrzy, wspinałem się po nich jak po drabinach. Gdy na półce nie było miejsca, by postawić kanciaste czubki moich brązowych bucików, stawałem na książkach. Od czasu do czasu zrzucałem niektóre z nich na podłogę, na której leżały do naszej następnej wizyty, a nawet jeszcze dłużej, co świadczyło o i tym, jak niechętnie pracownicy wspinali się na kręte wyżyny półek. Panował tam gorszy bałagan niż na tych półkach, do których dostęp był łatwiejszy.

Pewnego wspaniałego dnia zdobyłem najwyższą półkę z całej biblioteki. Odkryłem wówczas, iż to wyniosłe zakurzone miejsce, (poza zawieruszonym tu tekstem o astronautyce pt. "Milowej Długości Statek Kosmiczny" jakiegoś Niemca) kryje jedynie samotny egzemplarz "Poniedziałku lub Wtorku" oparty na książce o zabójstwie Trozky'ego, oraz rozpadający się tom opowiadań Vernona Vinge'a, którego ustawienie tutaj tłumaczyć można pewnie tym, iż jakiś dawno już zmarły bibliotekarz mylnie odczytał wyblakłe V w Vinge na grzbiecie książki jako W.

Nigdy nie znalazłem żadnych książek ojca, nie żałowałem jednak długich wspinaczek ku szczytowi kopuły. Jeśli David był , ze mną biegaliśmy razem po pochyłej podłodze - w górę i w dół bądź też obserwowaliśmy zza poręczy wolne przesuwanie się Mr. Miliona, debatując nad prawdopodobieństwem zniszczenia go jednym zrzutem jakiegoś ciężkiego dzieła. David zazwyczaj wolał szperać wśród interesujących go książek gdzieś niżej, ja zaś wchodziłem na sam szczyt, gdzie kopuła rozpościerała się tuż nad moją głową. Wokół zardzewiałej platformy, niewiele szerszej od półek, na które się wspinałem (a, podejrzewam, że o wiele słabszej), był krąg małych otworów.

Żelazna ściana, w której je zrobiono była tak cienka, że kiedy odsuwałem skorodowane płyty zasłaniające otwory, mogłem wysunąć głowę i poczuć się autentycznie na zewnątrz, a wiatr, krążące ptactwo i ogromna czasza kopuły rozpościerały się pode mną.

Na zachodzie rozpoznawałem nasz dom, gdyż wyróżniał się wśród innych wysokością i drzewami pomarańczy na dachu. Na południu było widać maszty statków w porcie, a przy ładnej pogodzie i o odpowiedniej porze dnia białe grzywy przypląwu czy odpływu między półwyspami o nazwach Pierwszy Palec i Kciuk, spowodowane przyciąganiem Św. Anny. Doskonale też pamiętam jak kiedyś, gdy patrzyłem na południe, dojrzałem wielki gejzer oświetlonej blaskiem słońca wody, wywołany miękkim lądowaniem gwiazdolotu. Na wschodzie i zachodzie rozpościerało się centrum

miasta z cytadelą i wielkim rynkiem, a dalej widać było lasy i góry.

Wcześniej jednak czy później, niezależnie od tego czy David był ze mną, czy też poszedł gdzieś sam, wołał nas do siebie Mr. Milion. Musieliśmy wtedy iść z nim do jednego ze skrzydeł budynku, aby zwiedzić jakąś naukową kolekcję. Wiązało się to z pożyczaniem książek do lekcji. Ojciec wymagał, żebyśmy dokładnie poznali biologię i chemię. Pod kierunkiem Mr. Miliona rzeczywiście się to udawało. Nigdy bowiem nie uznawał tematu za opanowany, dopóki nie potrafiliśmy dyskutować na wszystkie związane z nim zagadnienia, wymienione w każdej książce, zakatalogowanej w bibliotece pod tym hasłem. Moim ulubionym przedmiotem była biologia, David natomiast wołał języki, literaturę i prawo. Przerabialiśmy wszystkie te przedmioty, a oprócz tego uczyliśmy się również antropologii, cybernetyki i psychologii.

Kiedy Mr. Milion wybrał już dla nas najważniejsze książki do nauki na parę następnych dni i zachęcił nas, byśmy sami wyszukali dodatkowo jeszcze kilka, szliśmy w jakiś cichy zakątek czytelni naukowej, gdzie był stół, krzesła i wystarczająco dużo miejsca, by mógł zwinąć złącza lub oprzeć się o półkę zostawiając jeszcze przejście. Dla zaznaczenia oficjalnego początku zajęć zaczynał od sprawdzenia obecności. "Jestem" - wołałem, by pokazać, że byłem gotowy. David także woła "jestem" a na kolanach rozkłada ilustrowane "Opowiadania z Odysei". Mr. Milion nie może ich tam dostrzec, a David patrzy na niego z całkowitą przytomnością i udanym zainteresowaniem. Słońce ukośnie pada na stół z wysokiego okna i oświetla unoszący się w powietrzu kurz.

- Ciekaw jestem, czy któryś z was zauważył kamienne narzędzia w sali, w której byliśmy przed chwilą?

Kiwamy twierdząco głowami, a każdy ma nadzieję, że odezwie się drugi.

- Czy były sporządzone na Ziemi, czy tu, na naszej planecie? Pytanie jest podchwytliwe, ale łatwe. Dawid mówi:

- Ani jedno, ani drugie. Są plastikowe. Śmiejemy się.

- Tak, to plastikowe reprodukcje, ale skąd pochodzą oryginały? - pyta cierpliwie Mr. Milion.

Jego twarz była bardzo podobna do twarzy naszego ojca. W tym czasie uważałem jednak, że

należała wyłącznie do niego i wydawało mi się przerażającym pogwałcenie natury, kiedy poza jego ekranem widziałem ją również u żyjącego człowieka. Nie wyrażała zainteresowania, smutku ani nudy. Była chłodna i oddalona.

- Ze Świętej Anny - odpowiada David. Święta Anna to nasza siostrzana planeta - krążąc wokół słońca obracają się obie wokół wspólnego środka. - Tak wskazywał napis. Zrobili je autochtoni. Tutaj nie było autochtonów.

Mr. Milion potakuje i zwraca swą dziwną twarz w moją stronę. - Czy uważasz, że te narzędzia z kamienia odgrywały doniosłą rolę w życiu ich wytwórców? Powiedz "nie".

- Nie.

- Dlaczego?

Myślę gorączkowo, David nie pomaga w tym wcale, kopie mnie tylko w nogi pod stołem. Coś mi świta.

- Mów. Odpowiadaj natychmiast.

- To oczywiste. - Zawsze dobrze tak stwierdzić jeśli nie masz pewności, że "to" jest w ogóle możliwe. - Po pierwsze, te narzędzia nie mogły być dobre, więc czemu autochtoni mieliby na nich polegać? Można by powiedzieć, że potrzebowali takich ostrzy z obsydianu do strzał, czy

kościanych haczyków do wędek, by zdobyć pożywienie, ale to nieprawda. Mogli zatruć wodę

sokami odpowiednich roślin, a w ogóle prymitywni ludzie osiągają najlepsze wyniki w łowieniu ryb za pomocą zapór lub sieci z niewyprawionych skór albo włókien roślinnych. Podobnie robienie zasadzek na zwierzęta czy spędzanie ich ogniem byłoby bardziej wydajne niż polowanie. Kamienne narzędzia, które widzieliśmy nie byłyby zresztą w ogóle potrzebne do zbierania jagód lub jadalnych pędów, które stanowiły przypuszczalnie ich główne dożywienie. Rzeczy, które widzieliśmy w szklanych gablotach są tu, gdyż pułapki i sieci pogniły i tylko one zostały, więc ludzie zarabiający w ten sposób na życie udają, że były ważne.

- Dobrze. David. Proszę, bądź oryginalny. Nie powtarzaj tego, co przed chwilą słyszałeś.

Dawid podnosi głowę znad książki. Jego niebieskie oczy wyrażają lekceważenie dla nas obu.

- Jeśli byś mógł ich zapytać powiedzieliby, że naprawdę ważna była ich magia i ich religia, pieśni, które śpiewali i tradycje ich przodków. Zabijali zwierzęta ofiarne za pomocą cepów z morskich



muszli, które cięły jak brzytwy. Nie pozwalali swym mężczyznom mieć dzieci, póki nie potrafili oni znieść tak wielkiego ognia, że okaleczał ich na całe życie. Żenili się z drzewami i topili dzieci, by uczcić swe rzeki. To było ważne w ich życiu.

Mr. Milion kiwał pozbawioną szyi głową.

- Teraz przedyskutujemy człowieczeństwo autochtonów. Dawid pierwszy. Odpowiada przecząco.

- Człowieczeństwo - mówi Dawid swoim najbardziej nieprzyjemnym tonem - w historii myśli ludzkiej najłatwiej określić jako pochodzenie od Adama - to jest od pierwotnego rodu ziemskiego.

Jeśli wy dwaj tego nie dostrzegacie, jesteście idiotami.

Czekam na dalszy ciąg, ale on już skończył. Chcąc zyskać czas do namysłu, mówię:

- Mr. Milion, niech mu pan powie, że przewiska w dyskusji są nie fair. To nie dyskusja, lecz pyskówka.

- Bez osobistych przytyków - mówi Mr. Milion.

Dawid zerka już na Cyklopa Polifema i Odyseusza, mając nadzieję, że będę długo mówił.

Odbieram to jako wyzwanie i postanawiam je podjąć. Zaczynam:

- Argumentacja, że najważniejsze jest pochodzenie od rodu ziemskiego nie ma uzasadnienia ani niczego nie rozstrzyga. Niczego nie rozstrzyga, gdyż istnieje realna możliwość, że autochtoni ze Świętej Anny są potomkami wcześniejszej fali emigracyjnej z Ziemi - być może poprzedzającej nawet Greków epoki Homera.

- Na twoim miejscu ograniczyłbym się do bardziej prawdopodobnych argumentów - łagodnie mówi Mr. Milion.

Mimo to rozwodzę się na temat Etrusków, Atlantydy oraz nieustępliwości i tendencji ekspansjonistycznych hipotetycznej kultury technologicznej Gondwanalandu. Kiedy kończę, Mr. Milion mówi:

- Teraz odwrotnie. Dawid, odpowiadaj twierdząco. Nie powtarzaj się.

Mój brat czytał oczywiście książkę zamiast słuchać. Kopię go z zapalem, mając nadzieję, że go

zatka. On jednak mówi:

- Autochtoni byli ludźmi, ponieważ wszyscy wymarli. - Wyjaśnij to.

- Gdyby żyli, byłoby niebezpiecznie pozwolić im być ludźmi, gdyż mieliby różne żądania.

Ponieważ jednak wymarli, ciekawiej jest utrzymywać, że byli ludźmi, a nowi osadnicy wszystkich wymordowali.

I tak dalej. Wiązka promieni słonecznych przemieściła się na drugą stronę blatu stołu, czerwonego w czarne cętki. Podobną drogę przebyła przy nas już ze sto razy. Wychodziliśmy jednymi z bocznych drzwi i szliśmy zaniedbanym podwórzem między dwoma skrzydłami budynku.

Poniewierały się tam puste butelki porozrzucone przez wiatr papiery. Raz natknęliśmy się na martwego człowieka w kolorowych łachmanach. Przeskoczyliśmy przez jego nogi, a Mr. Milion cichutko objechał go dookoła. Kiedy wychodziliśmy z podwórza na wąską uliczkę, trąbka z garnizonu, stacjonującego w cytadeli (słysząc ją było aż z tak daleka) zwoływała kawalerzystów na wieczorny posiłek do kasyna. Na ulicy d'Asticot zapalono już lampy, a sklepy były zamknięte zabezpieczone żelaznymi kratami. Jak zaczarowane poznikały z chodników stare meble. Ulice wydawały się teraz szerokie i nagie.

Nasza ulica, Saltimbanque, wyglądała zupełnie inaczej. Nadjeżdżali pierwsi amatorzy zabawy. Siwowłosi, zażywni panowie prowadzili bardzo młodych mężczyzn i chłopców, przystojnych muskularnych, lecz odrobinę przekarmionych. Młodzieńców którzy nieśmiało żartowali i uśmiechali się do nich, ukazując nieskazitelnie białe zęby. Byli to zawsze najwcześniejsi goście.

Kiedy trochę podrosłem zastanawiałem się czasem, czy przychodzili tak wcześnie tylko dlatego, że starsi panowie chcieli mieć przyjemność, a oprócz tego dobrze się wyspać, czy też wiedzieli, że młodzi mężczyźni, których wprowadzali do domu mego ojca po północy byłiby senni i rozdrażnieni jak dzieci, które wieczorem zbyt późno położono spać.

Mr. Milion nie pozwalał nam plątać się po ciemku po bocznych alejkach. Wchodziliśmy więc głównym wejściem razem ze starszymi panami, ich siostrzeńcami i synami. W tej części budynku w

której nie było okien, urządzono niewiele większy od małego pokoju ogródek, kończący się w uskoku muru. Były tam kępy paproci wielkości grobów, maleńka fontanna, z której woda bezustannie dźwięczała, opadając na szklane pręty i którą trzeba było chronić przed chłopakami z ulicy, a także żelazny posąg psa o trzech łbach, z nogami mocno osadzonymi, a właściwie prawie zakopanymi w mchu.

Temu posągowi nasz dom przypuszczalnie zawdzięczał swą popularną nazwę - "Maison du Chien" - chociaż mogła : się ona odnosić również do naszego nazwiska. Łby były potężne, nieco przybliżane i ugrzecznione. Miały spiczaste mordy i uszy. jeden z nich warczał, drugi, środkowy, przyglądał się światu, złożonemu z ogródka i ulicy z wyrazem pełnego tolerancji zainteresowania. Trzeci, najbliższy wykładanej kostką dróżki, prowadzącej do naszych drzwi - po prostu uśmiechał się. Przechodzący ścieżką klienci ojca mieli zwyczaj klepać trzeci łeb między uszami. Palce ich wypolerowały to miejsce tak, iż wyglądało jak czarne szkło.

Taki więc był mój świat, kiedy miałem siedem lat, a może pół roku więcej. Większość dni spędzałem w małej klasie, gdzie panował Mr. Milion, oraz w sypialni, w której, wśród całkowitej ciszy, bawiliśmy się z Dawidem. Urozmaicały je wycieczki do biblioteki, o których już pisałem, oraz, bardzo rzadko, jakieś inne wyprawy. Od czasu do czasu odgarniałem pnącza armatnicy, aby przyjrzeć się przebywającym na podwórzu dziewczynom i ich dobroczyńcom, bądź przysłuchiwałem się ich rozmowom. To co robili i o czym mówili niezbyt mnie jednak interesowało. Wiedziałem, że wysoki mężczyzna o wąskiej twarzy, który rządził naszym domem, a którego dziewczyny i służba nazywali "Maitre", był moim ojcem. Odkąd pamiętam wiedziałem, że istniała też gdzieś straszliwa kobieta, przed którą drżeli służący - nazywana "Madame". Nie była ona jednak matką ani moją, ani Dawida, ani też żoną mego ojca. Takie życie, a wraz z nim również moje dzieciństwo, a przynajmniej wczesne dzieciństwo, skończyło się pewnego wieczora, kiedy obaj z Dawidem zasnęliśmy, zmęczeni zabawą i bezgłośnymi sprzeczkami. Ktoś potrząsał moim ramieniem i coś do mnie mówił. Nie był to Mr. Milion, lecz jeden ze służących, przygarbiony człowieczek w wyświechtanej, czerwonej marynarce.

- On ciebie wzywa - poinformował mnie. - Wstawaj.

Kiedy wstałem, zauważyłem, że byłem w piżamie. Myślę, że tę sprawę pominięto w instrukcji, gdyż

przez chwilę się zastanawiał. Ja w tym czasie stałem i ziewałem.

- Ubieraj się i uczesz - powiedział w końcu.

Posłuchałem go. Włożyłem czarne welwetowe spodnie, które miałem na sobie w ciągu dnia, ale (prowadzony jakimś instynktem) świeżą koszulę. Pokojem, do którego mnie poprowadził (krętymi korytarzami, opuszczonymi już przez ostatnich bywalców, oraz zakamarkami, do których nigdy nie wpuszczano klientów - zatęchłymi i zapaskudzonymi odchodami szczurów) była biblioteka mego ojca. To przed tym pokojem o wielkich rzeźbionych drzwiach ubrana na różowo kobieta powiedziała mi szeptem o tajemnicy ojca. Nigdy nie byłem w środku. Teraz jednak, kiedy mój przewodnik dyskretnie zapukał, drzwi otworzyły się i znalazłem się wewnątrz. To wszystko stało się tak szybko, że ledwo zdążyłem zdać sobie z tego sprawę. To mój ojciec otworzył drzwi, a potem je za mną zamknął: Pozostawiając mnie tam, gdzie stałem, przeszedł w najdalszy koniec długiego pokoju i ciężko usiadł na ogromnym krześle. Miał na sobie czerwony szlafrok i czarną chustę, w których najczęściej go widywałem. Długie, rzadkie włosy zaczesał gładko do tyłu. Przyglądał mi się uważnie. Pamiętam, że usta drżały mi od powstrzymanego szlochu.

- No cóż - powiedział, kiedy patrzyliśmy tak na siebie już dłuższy czas. - Wiec jesteś. Jak mam do ciebie mówić?

Podąłem mu swoje imię, ale on potrząsnął głową.

- Nie to. Dla mnie musisz mieć inne, prywatne imię. jeśli chcesz, możesz je sam wybrać.

Nie odpowiedziałem. Wydało mi się zupełnie niemożliwe, że miałbym mieć jakieś inne imię, niż te dwa słowa, które nim były, gdyż szanowałem je w jakiś mistyczny sposób, nie rozumiejąc dlaczego tak się dzieje.

- Więc ja wybiorę za ciebie - powiedział ojciec. - Będziesz Numerem Piątym. Podejdz, Numerze Piąty.

Podszedłem, a kiedy stałem już przed nim, powiedział:

- Teraz zagramy. Pokaże ci parę obrazków, rozumiesz? Cały czas, kiedy będziesz je widział

musisz mówić. Mówić o obrazkach. Jeśli będziesz mówił, wygrasz, ale jeśli się zatrzymasz nawet na sekundę, ja wygrywam. Rozumiesz?

Powiedziałem, że tak.

- Dobrze. Wiem, że bystry z ciebie chłopak. Mr. Milion przysysa mi wszystkie klasówki, które wam robi i taśmy, które nagrywa, kiedy z wami rozmawia. Czy wiedziałeś o tym? Czy zastanawiałeś się, co z nimi robi?

- Myślałem, że je wyrzuca - odpowiedziałem.

Pochlebiało mi, że kiedy mówiłem, ojciec pochylił się do przodu.

- Nie, mam je tutaj. Nacisnął guzik.

- Teraz pamiętaj, nie wolno ci przestać mówić.

Przez parę pierwszych chwil byłem stanowczo zbyt zaciekawiony, żeby mówić.

W pokoju, jak za sprawą czarów ukazał się sporo ode mnie młodszy chłopiec, oraz malowany żołnierz z drewna, prawie tak duży jak ja. Kiedy chciałem ich dotknąć okazywali się bezcieleśni jak powietrze.

- Powiedz coś - mówił ojciec. - O czym myślisz, Numerze Piąty?

Oczywiście podobnie jak ten mały chłopiec, który wyglądał na jakieś trzy lata, myślałem o żołnierzyku. Jak mgiełka przeszedł przez moje ramię i starał się przewrócić żołnierza.

Były to hologramy - trójwymiarowe obrazy, utworzone przez interferencję dwóch frontów fal światła. Kiedy oglądałem je w książce do fizyki, na płaskich ilustracjach, przedstawiających figury szachowe, wydawały się mało atrakcyjne. Minęło jednak trochę czasu nim skojarzyłem figury szachowe z duchami, które w nocy chodziły po bibliotece mojego ojca. Ojciec tymczasem wciąż powtarzał:

- Mów! Powiedz coś ! O czym twoim zdaniem myśli ten chłopczyk?

- Chłopczykowi podoba się wielki żołnierz, ale chce go przewrócić, ponieważ żołnierz jest w końcu tylko zabawką, chociaż jest większy od niego...

Mówiłem tak długo. Ciągnąłem chyba godzinami. Scenka wciąż się zmieniała. Wielkiego żołnierza zastąpił kucyk, króliczek, talerz zupy i krakersy. Trzyletni chłopczyk pozostał jednak głównym bohaterem. Kiedy przygarbiony służący w wytartej marynarce przyszedł, ziewając, żeby zabrać mnie z powrotem do łóżka, mówiłem ochrypłym szeptem i bolało mnie gardło. Tej nocy śnił mi się mały chłopczyk, goniący od jednej do drugiej czynności. Jego osobowość była dziwnie zmieszana z moją własną i z osobowością mojego ojca, tak, że byłem jednocześnie obserwatorem, obserwowanym i trzecią, obserwującą tamte dwie osobą.

Następnej nocy zasnąłem prawie natychmiast po tym, jak Mr. Milion wysłał nas do łóżka.

Zdażyłem jeszcze tylko pogratulować sobie, że tak szybko mi się to udało. Obudziłem się, kiedy do pokoju wszedł zgarbiony służący. To nie mnie jednak zerwał tym razem z pościeli, tylko Dawida.

Udawałem, że śpię, uznałem bowiem, że jeśli zobaczy, że nie śpię, może wziąć nas obu. Ukradkiem tylko patrzyłem, jak mój brat ubiera się i próbuje zaprowadzić trochę ładu w swojej jasnej

czuprynie. Kiedy wrócił, spałem jak kamień. Nie miałem więc okazji z nim pobadać, do czasu

kiedy, jak to się czasem zdarzało, Mr. Milion zostawił nas samych przy śniadaniu. Opowiedziałem mu co mi się przydarzyło, on zaś stwierdził tylko, że spędził noc bardzo podobnie jak ja. Widział

hologramy i to chyba te same - drewnianego żołnierza, kuczka. Musiał bez przerwy mówić, tak jak często wymagał tego Mr. Milion w dyskusjach i podczas egzaminów ustnych. Jedyne różnice

między jego a moim spotkaniem z ojcem wyłoniła się, gdy zapytałem, jak go ojciec nazwał.

Spojrzał na mnie nic nie rozumiejącymi oczyma, a kawałek tostu zatrzymał w połowie drogi do ust.

Spytałem jeszcze raz:

- Jak do ciebie mówił, gdy z tobą rozmawiał? - Dawid. A co myślałeś?

Wraz z rozpoczęciem spotkań z ojcem zmienił się rytm mojego życia. Układ, który uważałem za tymczasowe niepostrzeżenie się ustalił. Nasze życie zmieniło się, chociaż ani Dawid, ani ja nie byliśmy tego świadomi. Skończyły się zabawy i opowiadania, które umilały nam czas po pójściu do łóżek. Dawid coraz rzadziej robił fletnie Pana z pnączy armatnicy. Mr. Milion pozwalał nam dłużej spać i powolutku zaczęto nas uznawać za nieco bardziej dorosłych. Oprócz tego, mniej więcej w tym czasie Mr. Milion zaczął zabierać nas do parku, gdzie była strzelnica łucznicza i urządzenia do

różnych gier. Ten niewielki park znajdował się niedaleko naszego domu. Z jednej strony ograniczał go kanał. Kiedy Dawid strzelał z łuku do wypchanych słomą gęsi lub grał w tenisa, ja często siedziałem wpatrując się w spokojną, tylko troszkę zabrudzoną wodę. Czasem czekałem na któryś z ogromnych białych statków o dziobach ostrych jak dzioby zimorodków i czterech, pięciu lub nawet siedmiu masztach. Od czasu do czasu, choć bardzo rzadko, przyciągano je na holu z portu, używając do tego dziesięciu lub dwunastu zaprzęgów wołów.

Latem, w jedenastym lub dwunastym roku mego życia - ale chyba w dwunastym - pozwolono nam po raz pierwszy zostać w parku po zachodzie słońca. Usiedliśmy na wysokim, porośniętym trawą brzegu kanału, by obejrzeć pokaz sztucznych ogni. Ledwie skończył się pierwszy, wstępny przelot rakiet pół mili ponad miastem Davidowi zrobiło się niedobrze. Podbiegł do rzeki i zwymiotował. Zamoczył przy tym ręce aż po łokcie. Czerwone i białe gwiazdy płonęły tymczasem w całej okazałości ponad nim. Kiedy biedny Dawid skończy, mr. Milion wziął go w ramiona i ruszyliśmy ku wyjściu.

Okazało się, że choroba nie utrzymała się wiele dłużej niż zepsuta kanapka, która ją spowodowała. Kiedy jednak nasz nauczyciel kładł Dawida do łóżka, postanowiłem, że nie dam sobie zabrać reszty pokazu, którego część widzieliśmy między dachami w drodze do domu. Nie wolno mi było wchodzić po ciemku na dach, wiedziałem jednak dobrze, gdzie były najbliższe schody. Podniecenie, które czułem, wkradając się w zakazany świat liści i cieni, zwieńczony purpurowymi, złotymi i płomiennie szkarłatnymi kwiatami ognia było jak gorączka. Sprawilo, że z trudem łapałem powietrze i dygotałem z zimna w środku lata.

Na dachu było dużo więcej ludzi niż się spodziewałem. Mężczyźni nie mieli płaszczy, kapeluszy i lasek (wszystko to zostawili w szatniach mego ojca). Zatrudnione przez ojca dziewczyny ubrane były w dziwne kostiumy. Jednym widać było różowane piersi w siateczkach z giętego drutu, podobnych do klatek na ptaki. Inne wyglądały na bardzo wysokie (co okazywało się ułudą dopiero gdy ktoś koło nich stanął). Część dziewcząt miała kostiumy, których spódnice odbijały ich twarze i piersi -tak jak woda odbija rosnące w pobliżu drzewa. W przerywanych błyskach sztucznych ogni wyglądały jak królowe z dziwnej talii kart.

Oczywiście zauważono mnie, gdyż byłem zbyt podniecony, żeby się dobrze ukryć. Nikt mnie jednak nie wypędział. Przypuszczalnie myśleli, że pozwolono mi wejść na górę, abym zobaczył sztuczne ognie.

Pokaz trwał długo. Pamiętam, że jeden z bywalców, otyły mężczyzna o kwadratowej, głupkowatej twarzy, który wyglądał na kogoś ważnego, strasznie się palił do skorzystania ze względów swojej protegee. Ona natomiast za nic nie chciała iść do domu przed zakończeniem pokazu. Ponieważ koniecznie chciał przejść w jakieś ustronne miejsce, ustawiono 20 lub 30 krzaczków i małych drzewek, tworząc dokoła nich mały zagajnik. Pomagałem kelnerom nosić mniejsze skrzyneczki i doniczki. Kiedy skończyliśmy, udało mi się zaszyć w nowopowstałych krzakach. Mogłem stąd przyglądać się zarówno wybuchającym rakietom i bombom powietrznym, jak bywalcowi i jego nymphe du bois, która patrzyła na ognie z dużo większym zainteresowaniem niż ja.

O ile pamiętam nie kierowała mną lubieżność, lecz zwykła ciekawość. Byłem w wieku, odznaczającym się szerokimi zainteresowaniami, których jedynym celem było naukowe poznanie. Kiedy już prawie zaspokoilem swoją żądzę wiedzy, ktoś chwycił mnie z tyłu za koszulę i wyciągnął z zarośli.

Odróciłem się myśląc, że to Mr. Milion. Nie był to jednak on. Zostałem schwytyany przez drobną, siwą kobietę w czarnej sukni. Nawet w tak pełnej emocji chwili od razu zauważyłem, że od talii jej spódnica bezwładnie opada ku ziemi. Przypuszczalnie ukloniłem się jej, gdyż na pierwszy rzut oka widać było, że nie jest to służąca. Nie odwzajemniła jednak mego powitania. Patrzyła mi w twarz z takim skupieniem, że pomyślałem, iż w przerwach między błyskami widzi równie dobrze jak w ich świetle. Wreszcie, prawdopodobnie na zakończenie pokazu, rakiet wielka jak rzeka płomieni z hukiem wzniosła się w górę. Siwa pani podniosła na moment wzrok, a kiedy rakiet wybuchła, tworząc bladofioletową orchideę bajkowej wręcz wielkości i blasku, ta niepozorna, lecz imponująca osóbką chwyciła mnie znowu i energicznie poprowadziła ku schodom.

Kiedy byliśmy na płaskim kamiennym chodniku dachowego ogrodu spostrzegłem, że właściwie



nie idzie, lecz zdaje się sunąć po powierzchni jak figura szachowa po wypolerowanej planszy.

Pomimo wszystkich zdarzeń, jakie zaszły od tamtej pory, tak ją właśnie pamiętam - jako Czarną Królową - królową z szachów, która nie jest ani dobra, ani zła, zaś Czarna jest wyłącznie w odróżnieniu od jakiejś Białej Królowej, której nigdy nie było mi dane poznać.

Kiedy jednak doszliśmy do schodów, gładkie posuwanie przemieniło się w płynne podskakiwanie. Sprawiało ono, że każdego stopnia dotykała spódnicą na powierzchni co najmniej 2 cali. Górna część jej ciała wyglądała jak mała łódeczka, pokonująca wodospad - to przyspieszała, to zwalniała, to niemalże cofała się pod naporem wirów.

Równowagę na stopniach utrzymywała opierając się z jednej strony o mnie, a z drugiej o służącą, która czekała na nas przy schodach. Kiedy przemierzaliśmy ogród na dachu myślałem, że jej przesuwanie się wynikało tylko ze świetnie opanowanego chodu i dobrej postawy. Teraz zrozumiałem jednak, że jest w jakiś sposób upośledzona. Miałem wrażenie, że bez naszej pomocy spadłaby ze schodów na głowę.

Gdy pokonaliśmy wszystkie stopnie, zaczęła znów gładko się przesuwać. Skinięciem głowy odprawiła służącą i poprowadziła mnie w przeciwnym kierunku niż nasza klasa i sypialnia. W końcu doszliśmy do bardzo stromej, rzadko używanej klatki schodowej, która prowadziła 6 pięter w dół. Pomiędzy stopniami przeprowadzono jedynie bardzo wąski, żelazny pręt. W tym miejscu puściła mnie i stanowczo kapała mi schodzić. Przeszedłem kilka stopni i odwróciłem się, by zobaczyć, jak sobie radzi.

Robiła to świetnie. Nie korzystała jednak ze schodów. Jej spódnica opadała prosto jak kurtyna, ona zaś cały czas patrząc na mnie, unosiła się, zawieszona pośrodku biegu schodów. Byłem tak zdziwiony, że się zatrzymałem. Widząc to potrząsnęła ze złością głową. Zacząłem biec. Uciekałem krętymi schodami, ona zaś podążała za mną, obracając w moją stronę twarz, która była niezwykle podobna do twarzy mego ojca. Jedną rękę cały czas trzymała na poręczy. Kiedy zeszliśmy do drugiego piętra, zeskoczyła na ziemię i złapała mnie z łatwością z jaką kot zgarnia dokazującego kociaka. Następnie poprowadziła mnie pokojami i korytarzami, którymi nigdy nie wolno mi, było chodzić. Wszystkie one pomieszały mi się w głowie, jakbym był w zupełnie obcym budynku. W

końcu stanęliśmy przed drzwiami nie różniącymi się niczym od innych. Otworzyła je stroświeckim mosiężnym kluczem z podobnym do piły piórem i kiwnęła ręką, bym wszedł. Pokój był jasno oświetlony. Mogłem teraz wyraźnie zobaczyć to, co na dachu i w korytarzach tylko wyczuwałem. Niezależnie od tego jak się poruszała, jej spódnica wisiała dwa cale nad podłogą. Między materiałem a podłogą było całkiem pusto. Wskazała mi mały przykryty koronkową serwetką stołeczek i powiedziała:

- Usiądź.

Kiedy to zrobiłem, przesunęła się do bujanego fotela typu confessional i usiadła naprzeciwko mnie. Po chwili zapytała:

- Jak się nazywasz?

Kiedy jej powiedziałem, popatrzyła na mnie znacząco i zaczęła się bujać w fotelu, lekko odpychając się od stojącej obok lampy. Po długiej chwili znowu się odezwała:

- A jak on ciebie nazywa? - On?

Zgłupiałem, prawdopodobnie z powodu niewyspania.

Ściągnęła usta - Mój brat. Rozprężyłem się nieco.

- O, więc pani jest moją ciotką. Zauważyłem, że jest pani podobna do ojca. Nazywa mnie Numerem Piątym.

Przez chwilę patrzyła na mnie. Kąciki ust opadły jej, podobnie jak to często bywało u ojca. Potem powiedziała:

- To numer albo o wiele za niski, albo za wysoki. Z żyjących jest on i ja. Pewnie liczy też stymulator. Czy masz siostrę, Numerze Piąty?

Kiedy powiedziała te słowa, była tak uderzająco i niespodziewanie podobna do Ciotki Betsy Trotwood z "Dawida Copperfielda", którego Mr. Milion kazał nam czytać, że ryknąłem ze śmiechu.

- Nie ma w tym nic nedorzecznego. Twój ojciec ma siostrę, więc czemu ty nie miałbyś jej mieć? A masz?

- Nie, proszę pani, ale mam brata. Nazywa się Dawid.

- Mów do mnie Ciociu Jeannine. Czy Dawid jest podobny do ciebie, Numerze Piąty?

Potrząsnąłem głową.

- Ma kręcone blond włosy, a nie takie jak ja. Może jest do mnie trochę podobny, ale nie bardzo.

- Sądzę - mruknęła ciotka pod nosem - że skorzystał z którejś z moich dziewczyn.

- Słucham?

- Czy wiesz, kto był matką Dawida, Numerze Piąty?

- Jesteśmy braćmi, więc chyba była to też moja matka, ale Mr. Milion mówi, że odeszła dawno temu.

- Nie. Ona nie była twoją matką. Mogę ci pokazać zdjęcie twojej matki. Chciałbyś je zobaczyć?

Zadzwoniła i z któregoś z dalszych pokoi weszła, dygając, służąca. Ciotka coś jej szepnęła i dziewczyna wyszła. Ciotka odwróciła się wtedy do mnie i zapytała:

- Co robisz całymi dniami, Numerze Piąty, poza tym, że biegasz po dachu, kiedy ci nie wolno?

Czy cię uczą?

Powiedziałem jej o moich eksperymentach (pobudzałem niezapłodnione jaja żab do aseksualnego rozwoju, a potem poddawałem je obróbce chemicznej, żeby podwoić chromosomy, uzyskując w ten sposób następne aseksualne pokolenie) oraz o sekcjach, do których zachęcał mnie już w tym czasie Mr. Milion. W trakcie opowiadania na omsknąłem, że ciekawe byłoby zrobienie biopsji autochtona ze Świętej Anny, jeżeli jakiś w ogóle przetrwał, zwłaszcza, że opisy pierwszych badaczy bardzo się między sobą różnią. Niektórzy z pionierów przebywających na Świętej Annie twierdzili, że autochtoni potrafili przybierać różne kształty.

- Aaa... - powiedziała ciotka - więc wiesz a nich. Pozwól, że cię przeegzaminuję, Numerze Piąty.

Co to jest Hipoteza Veila? Uczyliśmy się o tym parę lat temu, więc powiedziałem:

- Według hipotezy Veila autochtoni potrafili doskonale naśladować ludzi. Veil uważał, że kiedy przybyły statki z Ziemi, autochtoni wymordowali wszystkich ludzi, a potem zajęli ich miejsce i

zagarnęli statki. Więc to nie oni wyginęli, tylko my.

- Masz na myśli ludzi z Ziemi - homo sapiens. - Słucham?

- Jeżeli Veil miał racje, ty i ja jesteśmy autochtonami ze Świętej Anny, przynajmniej z pochodzenia. Chyba to właśnie miałeś na myśli. Czy zgadzasz się z nim?

- Sądzę, że to nie ma znaczenia. Mówił, że imitacja musiałaby być doskonała. Jeżeli tak jest, tak czy owak oni są tacy sami, jacy my byliśmy.

Myślałem, że błysnąłem inteligencją. Ciotka uśmiechnęła się jednak i zaczęła się szybciej bujać.

W małym, jasnym pokoiku było bardzo ciepło.

- Numerze Piąty, jesteś zbyt młody na semantyka. Obawiam się, że wyprowadziło cię w pole

słowo "doskonale". Jestem pewna, że Dr Veil używał go w znaczeniu ogólnym, a nie tak dosłownie jak ty to rozumiesz. Imitacja nie mogłaby być dokładna, gdyż ludzie nie potrafią zmieniać swoich kształtów. Tak więc naśladowując ich w sposób "doskonały" autochtoni musieliby również stracić ten dar. .

- Czy nie mogło tak być?

- Moje drogie dziecko, wszelkie umiejętności muszą się stopniowo rozwijać. A kiedy się rozwijają, trzeba ich używać, w przeciwnym bowiem razie ulegną atrofii. Gdyby autochtoni potrafili

naśladować tak doskonale, że pozbawiłoby to ich tej umiejętności, oznaczałoby to ich koniec.

Nastąpiłby on z pewnością na długo przed przybyciem pierwszych statków. Oczywiście nie ma najmniejszego dowodu, że potrafili oni coś takiego zrobić. Po prostu wymarli, zanim można było przeprowadzić nad nimi dokładne badania. Veil w dramatyczny sposób chciał znaleźć

wytłumaczenie dla okrucieństwa i irracjonalizmu wokół siebie. Jego teoria nie jest jednak niczym podparta.

Pomyślałem, że ta ostatnia uwaga stwarza doskonałą okazja, żeby zapytać o jej nadzwyczajny

sposób przemieszczania się, zwłaszcza, że wyglądała na przychylnie do mnie nastawioną. Już

miałem to zrobić, kiedy prawie jednocześnie przerwano nam z dwóch stron. Wróciła służąca z

wielką księgą, oprawioną w tłoczoną skórą. Ledwie ją podała ciotce, znów zapukano do drzwi.

Ciotka powiedziała z roztargnieniem:

- Otwórz.

To polecenie mogło się odnosić zarówno do mnie, jak i do służącej. Zaspokoilem wiec swoją ciekawość przeganiając ją w podbiegnięciu do drzwi. Na korytarzu czekały dwie demi-mondaines mego ojca. Ubrane i wymalowane były tak, że wyglądały dziwniej niż jacykolwiek autochtoni: wyniosłe jak topole z Lombardii, nieludzkie jak duchy. Miały zielono-żółte oczy umalowane tak, że wyglądały jak wielkie jaja. Ich nadmuchane piersi sięgały niemal wysokości ramion. Mimo, że zachowywały wpojone im opanowanie, miło mi było zauważyć, że są zaskoczone moją obecnością w tym pokoju. Skinąłem, żeby weszły, ale kiedy służąca zamknęła za nimi drzwi, ciotka powiedziała z roztargnieniem:

- Za chwilę, dziewczynki. Chcę coś pokazać temu chłopcu. Potem on wyjdzie.

To coś było zdjęciem robionym w sposób, który uznałem za jakąś nową technologię. Polegała ona na odrzuceniu wszystkich kolorów prócz jasnobrązowego. Zdjęcie było małe. Jego ogólny wygląd i skruszałe brzegi wskazywały, że było bardzo stare. Widniała na nim szczupła i - z tego co można było wywnioskować ze zdjęcia - raczej wysoka dwudziestopięcioletnia dziewczyna. Stała na brukowanym chodniku obok zażywnego młodzieńca, a na ręku trzymała niemowlę. Chodnik przebiegał przed niezwykle, bardzo długim, parterowym domem. Co dwadzieścia lub trzydzieści stóp był tam ganek albo weranda, które nadawały budowli coraz to inny styl architektoniczny.

Wyglądało to tak, jak gdyby zbudowano szereg stykających się ze sobą bardzo wąskich domków.

Wspominam ten szczegół, chociaż ledwo go wtedy zauważyłem, gdyż od czasu mojego wyjścia z więzienia ciasto szukałem śladu tego domu. Kiedy ciotka po raz pierwszy pokazała mi zdjęcie, dużo bardziej zainteresowałem się twarzą dziewczyny i niemowlęcia. Tej ostatniej prawie nie było widać, bo mały był ściśle owinięty białymi, wełnianymi kocykami. Dziewczyna miała wydatne rysy twarzy i czarujący, promienny uśmiech, jednocześnie niedbały, rozpoetyzowany i przebiegły.

Cyganka - pomyślałem w pierwszej chwili. Miała jednak na to o wiele za jasną cera. W naszym świecie wszyscy pochodzimy od stosunkowo małej grupy kolonizatorów. Jesteśmy więc ludnością dość jednorodną. W czasie nauki poznałem jednak nieco pierwotne rasy ziemskie. Pomyślałem

więc zaraz, a właściwie byłem już pewien, że musiała pochodzić od Celtów.

- Walia - powiedziałem głośno - albo Szkocja czy Irlandia. - Co? - zdziwiła się ciotka.

Jedna z dziewczyn zachichotała. Siedziały teraz obie na otomanie. Długie, połyskujące czymś nogi, przypominające lakierowane drzewce flag, założyła jedna na drugą.

Ciotka spojrzała na mnie przenikliwie i powiedziała:

- Masz rację. Pośle po ciebie i porozmawiamy o tym, kiedy oboje będziemy mieli więcej czasu.

Na razie służąca zabierze cię do twojego pokoju.

Z długiej drogi, którą musiałem przebyć ze służącą nie pamiętam nic. Zapomniałem też, jak tłumaczyłem przed Mr. Milionem moją nieusprawiedliwioną nieobecność. Przypuszczalnie przejrzał moje wykręty albo dowiedział się prawdy od służących, gdyż wezwanie do mieszkania ciotki nie nadchodziło, mimo że czekałem na nie całymi tygodniami.

Tej nocy - jestem prawie pewien, że była to ta sama noc - śnili mi się autochtoni ze Świętej Anny.

Tańczyli w pióropuszkach ze świeżej trawy na głowach, ramionach i wokół kostek. Potrząsali uplecionymi z sitowia tarczami i włóczniami o ostrzach z nefrytu. Ich kołysanie przeniosło się w końcu do mojego łóżka i zamieniło w ramiona służącego w zniszczonym, czerwonym ubraniu, który przyszedł, by mnie zawołać do biblioteki ojca, podobnie jak to robił już prawie co noc.

Tej nocy - tym razem jestem zupełnie pewien, że była to ta sama noc, kiedy po raz pierwszy śnili mi się autochtoni - zmienił się schemat moich wizyt u ojca. W ciągu czterech lub pięciu lat

spotkania nasze przybrały stale powtarzający się układy zaczynaliśmy od rozmowy, potem następowały hologramy, wolne kojarzenia pojęć, aż w końcu odprawiał mnie do łóżka. Tym razem po wstępnej rozmowie, która miała chyba za zadanie rozluźnić mnie psychicznie (co, jak zwykle, nie wyszło), kazał mi zawinąć rękaw i położyć się na starym łóżku lekarskim w rogu pokoju.

Musiałem patrzeć na ściana, to jest na półki zawałone poszarpanymi notatnikami. Czuję jak ktoś wbija mi igłę w wewnętrzną stronę ręki. Przytrzymywano mi jednak głowa, a ponieważ twarz miałem odwróconą, nie mogłem wstać ani zobaczyć, co robią. Igłę wyjęto i ojciec kazał mi spokojnie leżeć.

Wydawało mi się, że leżałem tak bardzo długo. Ojciec od czasu do czasu rozwierał mi powieki i patrzył w oczy albo sprawdzał puls. Wreszcie ktoś w odległej części pokoju zaczął opowiadać bardzo długą i skomplikowaną historię. Ojciec robił notatki z tego co mówiono, a od czasu do czasu przerywał, by zadawać pytania, na które nie musiałem odpowiadać, gdyż tamta osoba robiła to za mnie.

Wbrew moim oczekiwaniom narkotyk, który mi wstrzyknięto nie zmniejszył swego działania z upływem czasu. Wręcz przeciwnie, odrywał mnie coraz bardziej od rzeczywistości. Zniknęło łóżko lekarskie z łuszczącą się skórą, zmieniając się w pokład statku, to znów w skrzydła gołębia, łopoczące wysoko nad światem. Było mi już wszystko jedno czy głos, który słyszałem należał do mnie, czy do ojca. Wpadał w tony to wysokie, to znów niskie. Momentami czułem jakbym mówił z głębi potężnej klatki piersiowej, dużo większej niż moja własna. Głos ojca, który mogłem rozpoznać po szeleście przewracanych kartek notatnika, przypominał chwilami wysokie piski biegających po ulicach dzieciaków, które słychać było latem, gdy wychylałem głowa przez okienko w kopule biblioteki.

Od tej nocy moje życie znów się zmieniło. Narkotyki - wyglądało bowiem na to, że było ich kilka - wpływały na moje zdrowie. Przeważnie reagowałem na nie w podobny sposób, jak za pierwszym razem. Zdarzało się jednak również, że nie mogłem spokojnie uleżeć, lecz podczas rozmowy całymi godzinami biegałem w kółko albo też zapadałem w rozkoszny lub też w nieopisanie przerażający sen. Często budziłem się z okropnym bólem głowy, który męczył mnie potem cały dzień.

Przechodziłem okresy skrajnej nerwowości i lęków. Najbardziej przerażające było to, że czasem przepadały mi gdzieś całe części dnia. Kiedy odzyskiwałem przytomność byłem ubrany i rozbudzony. Czytałem, chodziłem albo nawet mówiłem, nie pamiętając zupełnie co się zdarzyło od chwili, gdy poprzedniej nocy leżałem bełkocząc do sufitu w bibliotece ojca.

Chociaż nie przerwaliśmy lekcji, które miałem do tej pory z Davidem, w pewnym sensie odwróciły się role jakie ja i Mr. Milion odgrywaliśmy w stosunku do siebie. Teraz ja nalegałem, by lekcje się odbyły. Ja wybierałem temat i przeważnie ja przepytywałem z niego Davida i Mr.

Miliona. Często jednak, kiedy byli w bibliotece albo w parku, czytałem wcale nie wstając z łóżka.

Spotkania Davida z ojcem uległy tym samym zmianom, co moje. Również działo się to w tym samym czasie. Były one jednak rzadsze, a w miarę, jak letnie dni przechodziły w jesień, a potem w długą zimą, stawały się wręcz sporadyczne. Ogólnie rzecz biorąc David lepiej znosił narkotyki, miały więc one na niego o wiele mniejszy wpływ.

Jeżeli można wyznaczyć dokładny kres mego dzieciństwa, stało się to właśnie tej zimy. Gorszy stan zdrowia zmusił mnie do porzucenia zabaw dziecięcych, a z drugiej strony zachęcał do przeprowadzania doświadczeń na małych zwierzętach i do sekcji, dostarczanych przez Mr. Miliona nie kończącym się strumieniem otwartych ust i wytrzeszczonych oczu zwłok. Tak jak mówiłem uczyłem się lub czytałem całymi godzinami. Czasem też całymi dniami leżałem z rękoma pod głową, starając się przypomnieć sobie słowa, które słyszałem, gdy je wypowiadałem do ojca. Ani Dawid, ani ja nie pamiętaliśmy nigdy dostatecznie dużo, by zbudować jakąś trzymającą się kupy teorię na temat rodzaju zadawanych nam pytań. Wciąż jednak mam w pamięci kilka scenek, których z pewnością nigdy naprawdę nie widziałem. Myślę, że są to wyobrażenia sugestii, które mi ojciec podszeptował, kiedy przedzierałem się przez zmienione stany świadomości.

Moja tak przedtem niedosiężna ciotka teraz rozmawiała ze mną na korytarzach, a nawet przychodziła do naszego pokoju. Dowiedziałem się, że miała pieczę nad zagospodarowaniem wnętrza naszego domu, więc załatwiłem sobie przez nią moje własne małe laboratorium w tym samym skrzydle co sypialnia. Większość zimy spędziłem jednak przy emaliowanym stole sekcyjnym lub w łóżku. Śnieg zasłonił pół okna i przywierał do nagich łodyg armatnicy. W rzadkich wypadkach, gdy spotykałem stałych gości mego ojca, widziałem jak wchodzą w mokrych butach, z ramionami i kapeluszami obsypanymi śniegiem: Mieli czerwone twarze, chuchali i prykali otrzepując palta w holu. Nie było już drzew pomarańczy. Nie korzystano też z ogrodu na dachu. Późną nocą pół tuzina bywalców wybiegało wraz ze swymi ulubienicami na podwórko pod naszym oknem. Rozochoceni szaleństwem i winem obrzucali się śnieżkami, a cała zabawa nieodmiennie kończyła się rozbieraniem dziewcząt i turlaniem ich nago po śniegu.



Jak to się zwykle zdarza ludziom, którzy większość czasu spędzają w domu, wiosna była dla mnie zaskoczeniem. Pewnego dnia, kiedy wciąż jeszcze zdawało mi się, że jest zima (jeżeli w ogóle myślałem o pogodzie) Dawid otworzył na oścież okno i uparł się, żeby z nim poszedł do parku. Był już kwiecień. Mr. Milion poszedł z nami. Do małego ogródka między naszym domem, a ulicą wyszliśmy głównymi drzwiami. Kiedy byłem tam ostatnim razem ogródek obwałowany był zaspami odgarniętego ze ścieżki śniegu. Teraz jaśniał wczesnymi pąkami kwiatów i rozbrzmiewał podzwaniem fontanny. Dawid poklepał żelaznego psa po uśmiechniętym pysku i powiedział:

- "A stamtąd pies z poczwórnym łbem przybył do sfery światła".

Z głupia frant zwróciłem mu uwagę, że pomylił się w rachunku.

- O nie. Cerberzyca ma cztery łby. Nie wiedziałeś o tym? Czwarty to łeb jej cnoty, a taka z niej suka, że żaden pies nie da rady go zabrać.

Nawet Mr. Milion zachichotał. Później zauważyłem, że Dawid jest zdrowy i krzepki i dostrzegłem zapowiedź męskości, widoczną już w układzie jego ramion. Pomyślałem, że jeżeli trzy łby przedstawiały Maitre, Madame i Mr. Miliona, tj. ojca, ciotkę i nauczyciela, to niedługo trzeba będzie odlać czwarty - Dawida.

Park był dla niego prawdziwym rajem. Ja jednak czułem się tak marnie, że wydał mi się raczej ponury. Większość rana spędziłem skulony na ławce, przyglądając się jak Dawid gra w rakiетки., Koło południa, co prawda nie na mojej ławce, ale tuż obok, usiadła ciemnowłosa dziewczynka z nogą w gipsie. Przyszła do parku o kulach w towarzystwie pielęgniarki czy guwernantki, która, moim zdaniem specjalnie, usadowiła się pomiędzy nami. Na szczęście niemiła ta dama siedziała zbyt prosto, by misja przyzwoitki powiodła jej się w stu procentach. Przycupnęła na brzegu ławki, a dziewczynka, wyciągając przed siebie chorą nogę osunęła się na oparcie. W ten sposób z łatwością mogłem podziwiać piękno jej profilu. Od czasu do czasu odwracała się, by coś powiedzieć do towarzyszącej jej wiedźmy. Widziałem wtedy całą jej twarz. Była bardziej okrągła niż owalna. Miała karminowe usta, fiołkowe oczy, delikatne łukowate brwi i długie, zakręcone rzęsy. Duży kosmyk czarnych włosów opadał jej na czoło. Kiedy nadeszła stara sprzedawczyni bułek

kantońskich (były dłuższe niż dłoń i tak gorące od tłuszczu, w którym się gotowały, że trzeba je było bardzo ostrożnie jeść, jak coś żywego) skorzystałem z jej pośrednictwa i kupiłem jedną dla siebie, a

dwa pachnące przysmaki posłałem dziewczynce i towarzyszącej jej babie. Stara oczywiście odmówiła przyjęcia .bułki. Z radością widziałem jednak, że dziewczyna prosi, aby mogła wziąć swoją. Jej promienne oczy i pałające policzki wymownie wyrażały chęć przyjęcia podarunku. Mogłem domyślić się treści słów z gestów dziewczyny. Odmawiając bez żadnego powodu obrażam nieznanego. Była głodna, więc i tak chciała kupić bułkę. Odmawianie czegoś na co się ma ochotę, kiedy ktoś daje to za darmo jest czystym marnotrawstwem. Sprzedawczyni najwyraźniej zasmakowała w roli pośredniczki. Oznajmiła, że zbiera jej się na płacz na samą myśl, że będzie musiała zwrócić moje złoto (w rzeczywistości był to niewielkiej wartości banknot, prawie tak zatłuszczony jak jej towar, lecz o wiele brudniejszy). W końcu panie zaczęły się tak głośno sprzeczać, że mogłem dosłyszeć głos dziewczyny. Był jasny, bardzo przyjemny i niski. Wreszcie stara zgodziła się przyjąć prezent. W podziękowaniu raczyła oziębło skinąć głową w moją stronę, ale dziewczyna za jej plecami puściła do mnie oko.

Pół godziny później Dawid i Mr. Million ( który stał w tym czasie koło boiska przyglądając się grze) spytali, czy chcę iść na lunch. Powiedziałem, że tak. Pomyślałem, bowiem, że po przerwie z pewnością będzie usiąść bliżej dziewczyny. Poszliśmy do małej, czystej kawiarenki blisko targu kwiatów. Przypuszczalnie pochłaniałem swoją porcję bardzo niecierpliwie. Kiedy jednak wróciliśmy do parku nie było już ani dziewczyny, ani jej guwernantki.

Mniej więcej w godzinę po powrocie do domu ojciec wezwał mnie do siebie. Poszedłem z pewną obawą, ponieważ nigdy jeszcze nie wołał mnie tak wcześnie. Nie nadeszli jeszcze pierwsi klienci a zawsze chodziłem do niego po odejściu ostatnich. Niepotrzebnie się jednak bałem. Zapytał o moje zdrowie. Odpowiedziałem, że czuję się lepiej niż w zimie. Z pewnością siebie graniczącą z napuszeniem, która różniła się diametralnie od jego zwykłego zmęczenia połączonego z przenikliwością, zaczął wtedy mówić o swoim interesie i o konieczności przygotowania młodego chłopca do zarabiania na życie.

- Zdaje mi się, że jesteś badaczem nauk przyrodniczych - powiedział.

Odrzekłem na to, że faktycznie usiłuję wnieść w tę dziedzinę jakiś drobny wkład i nastawiłem się, że, jak to zwykle robili inni, przypuścił atak na przydatność studiowania chemii czy biofizyki w świecie takim jak nasz, gdzie jest bardzo mała baza przemysłowa, gdzie nie przydają się one poza tym do

egzaminów państwowych, nie przygotowują do handlu itd. Zamiast tego powiedział:

- Miło mi to słyszeć. Szczerze mówiąc prosiłem Mr. Miliona, by cię do tego jak najbardziej

zachęcał. Zresztą i tak by to z pewnością zrobił - tak jak kiedyś zachęcał mnie. Studia te przyniosą ci nie tylko satysfakcję, ale będą - przerwał, chrząkając i potarł rękami twarz i głowę - przydatne do bardzo, wielu rzeczy. Poza tym są w pewnym sensie tradycją rodzinną.

Powiedziałem, zresztą szczerze, że bardzo się z tego cieszę. - Widziałeś moje laboratorium za wielkim lustrem?

- Nie, nie byłem tam nigdy.

Wiedziałem, że w kilku pokojach za rozsuwanym lustrem było laboratorium. Służący czasami mówili o "ambulatorium", gdzie ojciec przygotowywał dla nich pigułki, co miesiąc badał pracujące u niego dziewczyny, a od czasu do czasu przepisywał lekarstwa dla lekkomyślnych "znajomych"

naszych bywalców, którzy z braku ostrożności nie ograniczyli swoich kontaktów wyłącznie do naszego zakładu. Powiedziałem, że bardzo chętnie zobaczyłbym laboratorium. Uśmiechnął się:

- Odchodzimy jednak od tematu. Nauka jest bardzo ważna, ale przekonasz się tak jak ja, że

pochłania więcej pieniędzy, niż ich daje. Potrzebna ci będzie aparatura, książki i mnóstwo innych rzeczy, a prócz tego musisz mieć środki do życia. Mamy tu nie najgorszy interes. I chociaż -

częściowo dzięki nauce - mam nadzieję długo żyć, ty jesteś spadkobiercą i kiedyś będzie to twoje...

( Więc jestem starszy niż David !)

- ... każda faza tego, co robimy. Wierz mi, żadnej z nich nie można lekceważyć.

Byłem tak zdziwiony, wręcz rozradowany swym odkryciem, że nie dosłyszałem części tego co powiedział. Kiwnąłem głową, co wydało mi się bezpieczne.

- Dobrze. Chce, żebyś zaczął od dyżurów przy drzwiach frontowych. Do tej pory była tam

służąca. Mniej więcej przez pierwszy miesiąc będzie ci towarzyszyć, gdyż trzeba się tam nauczyć więcej niż ci się zdaje. Powiem Mr. Milionowi i on to wszystko urządzi.

Podziękowałem mu i ojciec otworzył drzwi wskazując, że rozmowa dobiegła końca. Kiedy

wychodziłem, trudno mi było uwierzyć, że to ten sam człowiek, który niemal każdego wczesnego poranka wysysał ze mnie życie.

Nie skojarzyłem tak nagłego podniesienia mojej pozycji z wydarzeniami w parku. Teraz zdaję sobie sprawę, że Mr. Million, który całkiem dosłownie ma oczy z tyłu głowy, musiał dać ojcu znać, że doszedłem do wieku, kiedy dziecięce pożądaniam podświadomie skupione na rodzicach zaczynają powoli wychodzić poza rodzinę.

W każdym razie jeszcze tego wieczora przejąłem funkcje osoby, którą Mr. Million nazwał "witaczem", a David (tłumacząc, że pierwotne znaczenie tego słowa powiązane było z "portalem") określił portierem. Tym samym w praktyce przyjąłem na siebie funkcję, którą symbolicznie pełnił żelazny pies w ogrodzie. Przede mną te obowiązki sprawowała służąca imieniem Nerissa. Wybrano ją, ponieważ była nie tylko jedną z najładniejszych, ale poza tym jedną z najwyższych i najsilniejszych dziewczyn ze służby. Miała grube kości i pociągłą, uśmiechniętą twarz, a w ramionach była szersza niż większość mężczyzn. Tak jak ojciec obiecał, została, by mi pomóc.

Nasze obowiązki nie były uciążliwe. Bywalcy mojego ojca byli w większości ludźmi majątymi z ustaloną pozycją społeczną i nie mieli zwyczaju wszczynać burd lub głośnych awantur, z wyjątkiem rzadkich wypadków dużego zamroczenia alkoholem. Większość z nich była już w naszym domu dziesiątki, a kilka nawet setki razy. Mówiliśmy do nich po przydomkach, których tylko tu używali (Nerissa podawała mi je sotto voce, kiedy się zbliżali). Wieszaliśmy ich palta oraz wskazywaliśmy im drogę lub - jeśli było trzeba - sami prowadziliśmy ich od odpowiednich części budynku. Nerissa kipiała energią, a bywalcy przyglądali się jej z zachwytem. Tylko najbardziej atletycznie zbudowanych nie przyćmiewała budową. Dawała się podszczypywać i brała napiwki. W chwilach przestojów opowiadała mi o tym, jak czasem miłośnicy dużych dziewczyn wzywali ją "na górę" i ile to wtedy zarobiła. Śmiałem się z kawałów i odmawiałem pieniędzy, tak by dać klientom do zrozumienia, że należy tu do zarządu. Większości nie trzeba było tego zresztą przypominać. Często mówili mi, że jestem nadzwyczaj podobny do ojca.

Na samym początku mojej pracy w charakterze recepcjonisty, trzeciego albo czwartego dnia, mieliśmy niezwykle gościa. Przyszedł wczesnym wieczorem, a że dzień był akurat wyjątkowo ponury, jeden z ostatnich prawdziwie zimowych dni, więc lampy w ogrodzie paliły się już co najmniej od godziny. Słyszał się karety, które od czasu do czasu przejeżdżały ulicą, ale nie można ich było dojrzeć. Kiedy zapukał, otworzyłem drzwi i, tak jak wszystkich nieznajomych,

zapytałem go uprzejmie, czego sobie życzy.

- Chciałbym porozmawiać z Dr. Aubrey Veil. Zrobiłem chyba dość głupią miną.

- Czy to Saltimbanque 666?

Oczywiście, że tak. Nazwisko Dr Veila coś mi przypominało, ale nie bardzo mogłem je z czymkolwiek skojarzyć. Pomyślałem, że któryś z naszych klientów podał nasz dom jako adresse d'accommodation. Jasne było, że gość nie odstawiał lipy. Mimo . pewnej osłony, jaką tworzył ogród nie było wskazane dyskutować z kimkolwiek w drzwiach. Poprosiłem, by wszedł i posłałem Nerisę, by przyniosła kawę do małego, ciemnego pokoiku dla gości, przylegającego do holu, gdzie mogliśmy chwile porozmawiać na osobności. Pokoiku tego używano bardzo rzadko. Kiedy tylko otworzyłem drzwi zauważyłem, że sprzątaczkę nie odkurzają go. Zanotowałem to sobie w pamięci, żeby powiedzieć ojcu. Dzięki temu przypominałem sobie, gdzie słyszałem o Dr. Veilu. Kiedy pierwszy raz rozmawiałem z ciotką, wspominała o jego teorii, że być może pochodzimy od autochtonów ze Świętej Anny, którzy wymordowali osadników z Ziemi i tak znakomicie ich naśladowali, że zapomnieli własnej przeszłości.

Nieznajomy usiadł na jednym z zatechłych, pozłaczanych krzesel. Miał kruczo-czarną brodę, większą niż dyktowała ówczesna moda. Był młody - chociaż oczywiście sporo starszy ode mnie.

Gdyby nie bezbarwna cera, niemal przywodząca na myśl kalectwo, byłby przystojny. Jego ciemne ubranie wyglądało na niezwykle ciężkie, jak z filcu. Przyglądając mu się przypominałem sobie, że jeden z klientów mówił, że wczoraj w zatoce wylądował gwiazdolot ze Świętej Anny. Zapytałem nieznajomego, czy przybył na pokładzie gwiazdolotu. Przez chwilę wyglądał na zaskoczonego.

Potem roześmiał się.

- Spryciarz z ciebie. Pewnie znasz teorię Dr. Veila, jeśli z nim mieszkasz pod jednym dachem.

Nie, jestem z Ziemi. Nazywam się Marsch.

Dał mi wizytówkę. Przeczytałem ją dwukrotnie, nim dotarty do mnie wytłoczone na niej delikatnie informacje. Mój gość był naukowcem, doktorem antropologii z Ziemi. Powiedziałem:

- Nie chciałem się popisywać. Myślałem, że naprawdę mógł pan przylecieć ze Świętej Anny.

Większość osób na naszej planecie prócz Cyganów i plemion przestępczych ma jeden określony typ twarzy. Pan nie pasuje do tego typu.

Odpowiedział: - Zauważyłem to, o czym mówisz. Sam masz taką twarz. - Mówią, że jestem bardzo podobny do ojca.

- Czy jesteś klonem?

- Klonem? - Natknąłem się na ten termin, ale tylko w odniesieniu do botaniki. Tak jak już mi się czysto przedtem zdarzało, kiedy chciałem przed kimś zabłysnąć inteligencją, nic nie przychodziło mi do głowy. Poczuję się jak nieuk.

- Rozmnożony partenogenetycznie, to znaczy tak, że potomek lub potomkowie - jeśli chcesz, możesz ich mieć tysiąc - mają struktura genetyczną identycznie taką samą jak rodzic. Jest to sprzeczne z ewolucją; więc na Ziemi jest nielegalne. Tutaj chyba nie przestrzega się tego tak ściśle.

- Mówi pan o ludziach? Kiwnął głową twierdząco.

- Nigdy o tym nie -słyszałem. Właściwie wątpię, czy mamy tutaj odpowiednią technologię. W porównaniu z Ziemią jesteśmy dość zacofani. Oczywiście nie jest wykluczone, że ojciec mógłby coś dla pana zrobić.

- Nie chcę mieć takiego potomstwa.

W tym momencie weszła Nerissa, skutecznie uniemożliwiając dalszą rozmowa. Informacja o ojcu dodałem właściwie tylko z przyzwyczajenia. Nie bardzo wierzyłem, by był w stanie dokonać takiego biochemicznego tour de forte. Jakaś możliwość zawsze istniała, zwłaszcza gdyby zaproponowano dużą sumę. Tymczasem w milczeniu czekaliśmy, aż Nerissa ustawi filiżanki i naleje kawę. Kiedy wyszła, Marsch powiedział z podziwem:

- Co za niezwykła dziewczyna. Zauważyłem, że ma jaskrawozielone oczy, pozbawione brązowych iskierek, często, spotykanych u ludzi o zielonych oczach.

Aż się trząsałem, żeby zapytać go o Ziemię i o nowe osiągnięcia, jakich tam dokonano. Przyszło mi do głowy, że z pewnością będzie go można zatrzymać, a przynajmniej skłonić do powrotu przy

pomocy naszych dziewczyn. Powiedziałem więc:

- Powinien pan je zobaczyć. Mój ojciec ma świetny gust.

- Wolałbym się zobaczyć z Dr. Veilem, niż z twoim ojcem. A może Dr. Veil jest twoim ojcem?

- O, nie.

- To jego adres, a przynajmniej adres jaki mi podano. Saltimbanque Street 666. Port-Mimizon, Departement de la Main, Sainte Croix.

Mówił to całkiem serio. Nie mogłem wykluczyć, że jeśli powiem mu po prostu, że to pomyłka, zaraz odejdzie. Powiedziałem więc:

- Dowiedziałem się o Hipotezie Veila od mojej ciotki. Wygląda na to, że bardzo dobrze się w niej orientuje. Może chce pan z nią trochę później porozmawiać?

- A nie mogę się z nią zaraz zobaczyć?

- Ciotka przyjmuje bardzo niewielu gości. Szczerze mówiąc, podobno pokłóciła się z moim ojcem jeszcze zanim się urodziłem i rzadko wychodzi ze swojego mieszkania. Odpowiedzialni za służbę zdają jej tam sprawozdania, a ona zarządza gospodarstwem. Bardzo rzadko można jednak spotkać Madame poza jej własnymi pokojami. Nieczęsto też zdarza się, by wpuszczano tam kogoś obcego.

- Dlaczego mi to wszystko mówisz?

- Żeby pan zrozumiał, że mimo najlepszych w świecie chęci może się okazać, że nie będę mógł załatwić panu tego spotkania. Przynajmniej nie dzisiaj.

- Mógłbyś ją po prostu spytać, czy zna aktualny adres Dr. Veila, a jeżeli tak - poprosić, żeby go podała.

- Naprawdę staram się panu pomóc, Doktorze Marsch. Niech pan to zrozumie.

- Nie sądzisz jednak, że tak właśnie najlepiej będzie to załatwić?

- Nie.

- Inaczej mówiąc, jeśli byś po prostu zapytał ciotkę nie dając jej okazji, żeby wyrobiła sobie o mnie swoje własne zdanie, mogłaby nie podać mi informacji, nawet gdyby ją miała.

- Byłoby bardzo dobrze gdybyśmy przedtem trochę porozmawiali. Chciałbym się dowiedzieć

wielu rzeczy o Ziemi.

Przez chwilę zdawało mi się, że pod czarną brodą pojawił się cierpki uśmiech. Odpowiedział:

- A może to ja zapytam cię pierwszy?

Znowu przerwała nam Nerissa. Chciała chyba zobaczyć, czy nie potrzebujemy czegoś z kuchni.

Miałem ochotę ją zadusić, kiedy Dr Marsch przerwał w pół zdania i zamiast skończyć powiedział:

- A może dziewczyna mogłaby spytać, czy ciotka mnie przyjmie?

Musiałem szybko myśleć. Miałem zamiar pójść sam i odczekawszy odpowiednią chwilę wrócić i powiedzieć, że ciotka przyjmie go później. Kiedy czekałby, miałbym dodatkową okazję popytać go

o Ziemię. Istniała jednak możliwość (niewątpliwie powiększona w moich oczach przez gorące

pragnienie usłyszenia o nowych wynalazkach na Ziemi), że nie poczekałby albo też - jeśli w końcu zobaczyłby się z ciotką - mógł opowiedzieć jej o moim zachowaniu. Jeżeli zaś posłałbym Nerissę, zatrzymałbym go dla siebie przynajmniej aż do jej powrotu. Istniało też duże prawdopodobieństwo, że ciotka mogła mieć jakieś sprawy do załatwienia przed spotkaniem z nieznanym. Kazałem

Nerissie iść, a Dr. Marsch dał jej wizytówkę, na której napisał z tyłu kilka słów.

- Tak - powiedziałem - a o co pan chciał mnie zapytać?

- Ten dom na planecie zamieszkałej od niecałych dwustu lat wygląda dziwnie staro.

- Zbudowano go 140 lat temu, ale na Ziemi macie pewnie wiele starszych domów.

- Chyba tak. Setki. Ale na każdy z nich przypada dziesięć tysięcy domów, które nie mają nawet roku. Tutaj prawie każdy budynek, który widziałem wyglądał prawie tak staro jak ten.

- Nigdy nie byliśmy tutaj stłoczeni. Nie musieliśmy więc burzyć starych domów. Tak twierdzi

Mr. Milion. Teraz jest tu mniej ludzi niż pięćdziesiąt lat temu.

- Mr. Milion?

Powiedziałem mu o Mr. Milionie, a kiedy skończyłem odrzekł:

- Wygląda na to, że macie tu niezwiązany symulator dziesięć dziewięć. To powinno być ciekawe.

Sporządzono ich tylko kilka.

- Symulator dziesięć dziewięć?



- Miliard, dziesięć do dziewiątej potęgi. Mózg ludzki ma oczywiście kilka miliardów złączy nerwowych. Odkryto jednak, że można całkiem dobrze symulować jego działanie...

Wydało mi się, że nie minęła nawet chwila odkąd odeszła Nerissa, ale była już właśnie z powrotem. Dygnęła przed Dr. Marschem i powiedziała:

- Madame przyjmie pana. - Zaraz? - krzyknąłem.

- Tak - powiedziała Nerissa bez wdzięku. - Madame mówiła, że zaraz.

- Zaprowadzę go. Ty pilnuj drzwi.

Poprowadziłem Dr. Marscha ciemnymi korytarzami wybierając dłuższą drogę, żeby zyskać na czasie. Wyglądało jednak na to, że kiedy mijaliśmy zniszczone lustra i wypaczone stoliki z drzewa orzechowego, układał w myślach pytania jakie zada ciotce. Gdy usiłowałem wyciągnąć coś z niego o Ziemi, odpowiadał mi monosylabami.

Kiedy stanęliśmy przy drzwiach ciotki, zastukałem. Otworzyła sama. Dół czarnej spódnicy zwisał bezwładnie nad nie zdeptanym dywanem. Dr Marsch chyba jednak tego nie zauważył. Powiedział:

- Przepraszam, że panią niepokoję, Madame. Robię to tylko dlatego, ponieważ pani bratanek sądzi, że może mi pani pomóc w odnalezieniu autora Hipotezy Veila.

Ciotka odpowiedziała:

- To ja jestem Dr. Veil. Proszę, niech pan wejdzie.

Zamknęła za nim drzwi, pozostawiając mnie w korytarzu z rozdziawioną gębą.

Historię z Dr. Marschem opowiedziałem Phaedrii przy naszym następnym spotkaniu. Jeśli do tej pory nie wymieniłem jej imienia, muszę wyjaśnić, że tak nazywała się dziewczyna, która siedziała niedaleko mnie, kiedy przyglądałem się jak David gra w rakiety. W czasie mojej następnej wyprawy do parku przedstawiła mi ją ni mniej, ni więcej tylko jej okropna opiekunka. Posadziła ją obok mnie, a potem - cud nad cudami - niezwłocznie oddaliła się, tak że chociaż nie straciła nas z oczu, nie słyszała co mówimy. Phaedria wysunęła przed siebie złamaną nogę aż do połowy zwirowanej ścieżki i obdarzyła mnie przeuroczym uśmiechem.

- Nie masz nic przeciwko temu, żeby tu usiadła? Miała piękne zęby.

- Jestem zachwycony.

- Jesteś zdumiony. Kiedy się dziwisz masz bardzo duże oczy, wiedziałeś o tym?

- Jestem zdziwiony. Szukałem cię tutaj kilka razy, ale cię nie było.

- Myśmy ciebie też szukały i też cię nie było. A w końcu ile można siedzieć w parku?

- Siedziałbym tu - powiedziałem - gdybym wiedział, że mnie szukasz. I tak przychodziłem kiedy tylko mogłem. Bałem się, że ona - ruchem głowy wskazałem straszyciło - nie pozwoli ci tu wrócić.

Jak ją przekonałaś?

- Nie przekonywałam jej - odpowiedziała Phaedria - nie domyślasz się? Nie wiesz o niczym?

Przyznałem się, że nie wiem. Czuję się głupio i faktycznie zgłupiałem, a przynajmniej tak wynikało z tego co mówiłem. Byłem tak zajęty zapamiętywaniem melodyjności jej głosu, odcienia purpury w jej oczach, a nawet delikatnego zapachu jej skóry i jej ciepłego oddechu na moim policzku, że nie bardzo zastanawiałem się nad formułowaniem odpowiedzi na jej pytanie.

- No więc widzisz - mówiła Phaedria - jak to ze mną jest. Kiedy ciotka Urania, która jest właściwie tylko ubogą krewną mojej matki, przysłała do domu i opowiedziała o tobie ojcu, dowiedział się kim jesteś - i oto jestem.

- Tak - powiedziałem, a ona roześmiała się.

Phaedria należała do dziewcząt, wychowywanych między nadzieją na małżeństwo, a myślą o sprzedaży. Interesy jej ojca - jak to sama ujęła - były "niestabilne". Spekulował towarami przywożonymi na statkach z południa - tkaninami i lekami. Przeważnie miał duże długi, których wierzyciele nie mogli odzyskać, jeśli mu nie pożyczyci więcej na to, by mógł sobie odbić straty. Nie było wykluczone, że umrze jako żebrak, tymczasem jednak wychowywał córkę, dbając o każdy szczegół w jej wykształceniu i pilnując, by zrobiono jej wszelkie operacje plastyczne. Jeśli będzie go stać na dobry posag, kiedy Phaedria dorośnie do małżeństwa, to dzięki niej wejdzie do jakiejś bogatej rodziny. Jeśli zaś będzie mu w tym czasie brakowało pieniędzy, to za wychowaną w ten sposób dziewczynę dostanie 50 razy tyle, co za zwykłe dziecko z ulicy. Nasza rodzina byłaby wymarzona tak w jednym, jak i w drugim przypadku.

- Opowiedz mi o swoim domu - powiedziała. - Wiesz, jak o nim mówią dzieciaki? Jaskinia tanem" albo po prostu „Jaskinia”. Chłopakom imponuje, jeśli ktoś tam był. Mówią, że byli, ale większość kłamie.

Ja jednak wolałem porozmawiać o Dr. Marschu i nauce na Ziemi. Pragnąłem usłyszeć o jej świecie, o dzieciakach, o których mówiła z taką swobodą, o jej szkole i domu niemal tak bardzo, jak ona chciała dowiedzieć się o nas. Poza tym, mimo że nie miałem nic przeciw temu, by wyszczególnić jakie usługi świadczyły nasze dziewczyny, było kilka spraw-takich na przykład, jak unoszenie się ciotki na klatce schodowej - o których wolałem nie wspominać. Kupiliśmy bułki z jajkiem od tej samej kobiety, co poprzednim razem. Jedliśmy je w chłodnym jeszcze blasku słońca, a kiedy się rozstawaliśmy, byliśmy już nie tylko zakochanymi, lecz również przyjaciółmi i umówiliśmy się na następny dzień.

W nocy, mniej więcej wtedy, gdy wróciłem - lub mówiąc bardziej dokładnie - kiedy odniesiono mnie do łóżka, ponieważ prawie nie mogłem chodzić po kilku godzinach spędzonych u ojca zmieniła się pogoda. Zapach piżma, charakterystyczny dla późnej wiosny czy wczesnego lata przeciskał się przez okiennice, tak, że ogień w naszym małym kominku prawie natychmiast wygasł jakby ze wstydu. Służący ojca otworzył okno i do pokoju wpadł zapach śniegu, topniejącego pod najdalszymi i najciemniejszymi choinkami po północnej stronie gór. Umówiłem się z Phaedrią na dziesiątą, więc przed wyjściem do biblioteki ojca położyłem karteczkę na stoliku koło łóżka prosząc, by obudzono mnie godzinę wcześniej. Tej właśnie nocy, wdychając zapach wiosny zasypiałem z myślą - na pół planem, a na pół marzeniem

- że Phaedria i ja wymkniemy się jakoś spod oka ciotki i poszukamy opuszczonego trawnika, upstrzonego niebieskimi i żółtymi kwiatuskami.

Kiedy się obudziłem, była pierwsza po południu. Za oknem ujrzałem prawdziwą kurtynę deszczu. Mr. Milion czytał książkę w drugim końcu pokoju. Powiedział, że nie budził mnie, ponieważ pada tak od szóstej. Głowa pękała mi z bólu, jak się często zdarzało po dłuższych sesjach z ojcem. Wziąłem jedno z proszków przeciwbólowych, które mi przepisał. Były szare i pachniały anyżkiem.

- Złe wyglądasz - powiedział Mr. Milion. - Chciałem iść do parku.

- Wiem - podjechał do mnie i przypomniałem sobie, że Dr Marsch nazwał go niezwiązanym symulatorem. Po raz pierwszy od czasu, kiedy jako mały chłopiec zaspokoilem w tym zakresie swoją ciekawość, schyliłem się (co naraziło na szwank moją głowę) i odczytałem prawie już zatarte stemple na jego głównej skrzynce. Była tam tylko nazwa przedsiębiorstwa cybernetycznego z Ziemi i jego imię, napisane - tak jak zawsze przypuszczałem - po francusku: "M. Milion", czyli Monsieur lub Mister, Pan Milion. Nagle, tak niespodziewanie, jak cios z tyłu spada na człowieka rozmyślającego w miękkim fotelu o niebieskich migdałach, uderzyła mnie myśl, że kropki używa się przecież czasem w algebrze jako znaku mnożenia. Natychmiast zauważył jak zmienił mi się wyraz twarzy.

- Pojemność rdzenia tysiąc milionów słów - powiedział - angielski bilion lub francuski miliard.

"M" jest oczywiście rzymską cyfrą oznaczającą tysiąc. Myślałem, że wiesz o tym od dawna.

- Jesteś niezwiązanym symulatorem. Co to jest symulator związany i kogo symulujesz - ojca?

Wizerunek na ekranie, który zawsze uważałem za podobiznę Mr. Miliona, przecząco pokręcił głową.

- Możesz uważać mnie, to znaczy osobę, którą symuluję, za twojego pradziadka. On - to jest ja - nie żyje. Aby zbudować symulator, konieczne jest przebadanie komórek mózgu, zwój po zwoju, za pomocą promieniowania cząstek przyspieszonych. W ten sposób odtwarza się układ nerwowy, to znaczy rozpisuje się go na pamięć rdzeniową komputera. Kończy się to nieuchronną śmiercią osoby, której mózg poddaje się zabiegowi. Jeśli symulator ma mieć wygląd człowieka, ciało mechaniczne musi być "związane" z odległym od niego rdzeniem, ponieważ nawet najmniejszy miliardowy rdzeń jest nieporównywalnie większy niż mózg ludzki. - Znów przerwał, a jego twarz zamieniła się na chwilę w tysiące błyszczących kropek, które wirowały jak pyłki kurzu w promieniach słońca. - Przepraszam. Zdarzyło się, że ty chcesz słuchać, ale ja nie mam ochoty wykladać. Dawno temu, tuż przed operacją, powiedziano mi, że moja symulacja - to znaczy ja - w pewnych okolicznościach będzie zdolna do wzruszeń. Do dzisiaj myślałem, że to kłamstwo.

Gdybym mógł, zatrzymałbym go, ale zanim zdążyłem otrząsnąć się ze zdziwienia, wyjechał już z pokoju. Bardzo długo, godzinę albo i dłużej, słuchałem bębnienia deszczu i myślałem o Phaederii i o tym co powiedział Mr. Million. Wszystko to pomieszało mi się z pytaniami, które ojciec zadał mi poprzedniej nocy. Czułem się tak, jakby wykradały one ze mnie wszystkie odpowiedzi, zostawiając pustkę. W tę lukę zaczęły sil wślizgiwać sny o płotach i murach oraz rowach aha, ukrywających bariery, które widzisz dopiero kiedy już - już masz się potknąć. Kiedyś śniło mi się, że stoję na brukowanym dziedzińcu, tak ciasno otoczonym kolumnami korynckimi, że nie mogłem się między nimi prześliznąć, mimo iż miałem dopiero trzy czy cztery lata. Długo szukałem odpowiednio dużej przerwy, aż spostrzegłem, że na każdej z kolumn wyrzeźbiono jakieś słowo. Jedynym, które zapamiętałem było "carapace". Zauważyłem też, że dziedziniec wybrukowany był płytami nagrobnymi, takimi jakie można spotkać w starych kościołach francuskich. Na każdej z nich wryto moje nazwisko z coraz to inną datą.

Sen ten prześladował mnie nawet wtedy, gdy usiłowałem myśleć o Phaederii. Kiedy służąca przyniosła ciepłą wodę - w tym czasie goliłem się już dwa razy w tygodniu - okazało się, że już trzymałem brzytwę w ręku, a nawet zaciąłem się nią, a krew zaplamiła mi piżamę i pościel.

Kiedy następnym razem zobaczyłem się z Phaedrią, cztery albo pięć dni później, pochłonięta była planem, w który wciągnęła też Davida i mnie. Chodziło, ni mniej, nic więcej, tylko o trupę teatralną. W jej skład wchodziły głównie dziewczyny w wieku Phaederii. Miały zamiar całe lato wystawiać sztuki w naturalnym amfiteatrze w parku. Ponieważ, jak już wspomniałem, trupa składała się głównie z dziewcząt, udział chłopców był bardzo cenny. Nie minęło wiele czasu jak obaj z Davidem zostaliśmy wplątani w jej działania. Autorami sztuki był wybrany spośród aktorów komitet, a nieuniknionym tematem - utrata władzy politycznej przez pierwszych, francuskojęzycznych kolonizatorów. Phaedria, która do czasu przedstawienia miała jeszcze być w gipsie, dostała rolę kalekiej córki francuskiego gubernatora. David grał jej kochanka, szarmanckiego kapitana szaserów, ja zaś samego gubernatora. Przyjąłem tę rolę z ochotą, ponieważ była o wiele lepsza niż rola Davida, a poza tym dawała możliwość okazywania Phaederii ojcowskiej czułości.

Przedstawienie, które odbyło się na początku czerwca, pamiętam doskonale z dwóch powodów.

Ciotka, której nie widziałem od czasu, kiedy zamknęła drzwi za Dr. Marschem, powiadomiła mnie

w ostatniej chwili, że chce być obecna i kazała sobie towarzyszyć w drodze. Poza tym my, aktorzy, tak baliśmy się pustki na widowni, że poprosiłem ojca, żeby przysłał część dziewczyn. Straciłyby przez to tylko najwcześniejszą część wieczoru, kiedy i tak był słaby ruch w interesie. Bardzo się zdziwiłem, kiedy się zgodził sądząc, że zrobił to ze względów reklamowych). Zastrzegł tylko, że jeśli wyśle po nie gońca, który im przekaże, że są potrzebne, mają wrócić nawet pod koniec trzeciego aktu.

Ponieważ musiałem przyjść co najmniej godzinę wcześniej, żeby się ucharakteryzować, już późnym popołudniem poszedłem po ciotkę. Osobiście otworzyła drzwi i natychmiast kazała mi pomóc służącej, usiłującej wyciągnąć coś ciężkiego z górnej półki szafy. Okazało się, że był to składany wózek inwalidzki, który złożyliśmy według wskazówek ciotki. Kiedy skończyliśmy, powiedziała szorstko:

- Teraz pomóżcie mi oboje.

Opada się na naszych ramionach i usiadła w wózku. Czarna spódnica opadała na oparcie dla nóg jak opuszczony namiot. Wystawały spod niej nogi nie grubsze niż przeguby moich rąk. Poniżej bioder uwypuklało się jeszcze coś dziwnego, trochę przypominającego siodło. Kiedy spostrzegła jak się temu przyglądam, warknęła

- Nie będę tego chyba potrzebowała przed powrotem. Podnieś minie troszeczkę. Stań z tyłu i chwyć mnie pod ramiona. Zrobiłem jak kazała, a służąca bezceremonialnie sięgnęła pod spódnice ciotki i wydobyła stamtąd mały, obciążony skórą przedmiot, na którym ciotka się opierała.

- Idziemy? - prychnęła ciotka. - Spóźnisz się.

Wypchnąłem wózek na korytarz. Służąca trzymała drzwi. Odkrycie, że ciotka zawdzięczała zdolność do unoszenia się jak dym urządzeniom fizycznym, a właściwie mechanicznym, wypełniało mnie niepokojem jeszcze większym, niż ten, który odczuwałem kiedy o tym nie wiedziałem. Zapytała czemu tak przycichłem, więc powiedziałem jej o czym myślałem. Dodałem, że do tej pory zdawało mi się, że w praktyce nikomu nie udało się jeszcze uzyskać antygravitacji.

- A myślisz, że mnie się to udało? To czemu nie skorzystałabym z tego, żeby pójść na twoją

sztukę?

- Może nie chcesz, żeby zobaczyli to ludzie.

- Bzdura. To jest zwyczajna proteza. Kupuje się je w sklepie medycznym - przekręciła się w fotelu, by móc na mnie patrzeć.

Twarz miała bardzo podobną do ojca. Bezwładne nogi zwisały jej jak patyki, których z Dawidem, jako mali chłopcy, używaliśmy do sztuczek magicznych. Układaliśmy kukły, tak, by Mr. Milion myślał, że leżymy, a naprawdę siedzieliśmy pod nimi w kucki. Wytwarza pole nadprzewodnictwa, następnie indukuje prądy wirowe w prętach zbrojeniowych w podłogach. Strumień prądu indukowanego przeciwstawia się strumieniom w protezie, a ja dzięki temu unoszę się nad podłogę. Pochyliłam się do przodu, by posunąć się do przodu, prostuję się, żeby stanąć. Widzę, że ci ulżyło.

- Tak: Antygravitacja chyba mnie przerażała.

- Kiedyś, kiedy schodziłam z tobą po schodach wykorzystałam żelazną poręcz. Ma bardzo wygodny kształt spirali.

Sztuka poszła nam dosyć gładko. Jak można było przewidzieć oklaski i okrzyki wznosili głównie ci spośród widzów, którzy pochodzili ze starej arystokracji francuskiej albo też podawali się za jej potomków. Frekwencja przekroczyła zresztą nasze najśmielsze oczekiwania - przyszło około pięciuset osób oraz, jak zwykle przy takich okazjach, kieszonkowcy, policja i ulicznicy. Wypadek, który najdokładniej pamiętam zdarzył się pod koniec drugiego aktu. Około dziesięciu minut siedziałem przy biurku, mając do powiedzenia tylko kilka kwestii i słuchałem co mówili koledzy.

Scena zwrócona była na zachód. Ostatnie błyski słońca zalały niebo powodzią niesamowitych

kolorów: złote smugi przeświecały przez mieszaninę purpury, szkarłatu, cynobru i czerni. Na tak dzikim tle, które mogłoby przedstawiać zgromadzenie chorągwi piekielnych, pojedynczo i

dwójkami, jak wydłużone cienie fantastycznych, wyłaniających się zza blanków, upierzonych

grenadierów, zaczęły ukazywać się głowy, smukłe szyje i wąskie ramiona plutonu demi-mondaines

mojego ojca. Spóźnione, zajmowały ostatnie miejsca górnej części amfiteatru, okrążając go tak, jak żołnierze na usługach jakiegoś starodawnego, dziwnego władcy okrążyliby zdradziecki tłum.

W końcu usiadły, nadeszła moja kwestia i zapomniałem o nich. Niczego więcej właściwie nie pamiętam z naszego pierwszego występu, prócz tego, że w którymś momencie jakiś mój ruch przywołał publiczności na myśl coś z mojego ojca, co wywołało wybuch śmiechu w zupełnie nieodpowiednim miejscu. Poza tym na początku drugiego aktu weszła Święta Anna, zalewając publiczność zielonym światłem. Dokładnie widać było jej leniwie płynące rzeki i ogromne, porośnięte trawą bagna. Pod koniec trzeciego aktu zobaczyłem, jak mały, garbaty służący ojca kręci się wśród ostatnich rzędów i dziewczyny wychodzą jedna za drugą szeregiem czarnych, obramowanych zielenią cieni.

Tego lata wystawialiśmy jeszcze trzy sztuki. Wszystkie osiągnęły pewien sukces, a Dawida, Phaedrię i mnie zaczęto traktować jako trójkę partnerów. Phaedria mniej więcej sprawiedliwie dzieliła między nas swoje względy. Nigdy nie byłem pewien, czy kierowała się własnymi uczuciami, czy też nakazem rodziców. Kiedy jej noga zrosła się, stała się kumplem dla Dawida w sporcie - w grze w piłkę i we wszelkich grach raketowych była najlepsza ze wszystkich dziewcząt, przychodzących do parku. Często rzucała jednak wszystko, żeby usiąść przy mnie. Sympatyzowała z moimi zainteresowaniami botaniką i biologią, mimo że ich właściwie nie podzielała. Często plotkowała. Uwielbiała też chwalić się przed koleżankami moimi zdolnościami do układania kalamburów i ripost, które nabyłem dzięki dużemu czytaniu.

Kiedy okazało się, że dochody ze sprzedaży biletów na naszą pierwszą sztukę nie wystarczą na pokrycie kosztów kostiumów i dekoracji potrzebnych do następnej sztuki, Phaedria wpadła na pomysł, żeby po zakończeniu przedstawień aktorzy zbierali datki wśród publiczności. Zamieszanie i tłok, który się wtedy wytwarzał wykorzystywano oczywiście do drobnych kradzieży dla naszej wspólnej sprawy. Ludzie byli jednak w większości zbyt przezorni, by przynosić wieczorem do teatru w ciemnym parku więcej pieniędzy niż trzeba było na bilety i ewentualnie lody czy szklanek wina w czasie przerwy.

Niezależnie więc od tego, jak byliśmy nieuczciwi, dochody nasze były małe. Wkrótce Dawid i Phaedria zaczęli mówić o bardziej niebezpiecznych, ale i bardziej lukratywnych przygodach.



Mniej więcej w tym czasie zacząłem coraz częściej miewać przerażające luki w świadomym kontrolowaniu tego, co robię. Stało się to przypuszczalnie na skutek ciągłych, coraz bardziej intensywnych ingerencji w sferę mojej podświadomości, które przybrały formę brutalnych, niemal już conocnych badań o wciąż nieznanym mi celu. Tak się już do nich przyzwyczailem, że przestałem je prawie kwestionować. Dawid i Mr. Milion opowiadali mi, że zachowywałem się całkiem normalnie. Byłem tylko trochę bardziej cichy niż zwykle. Inteligentnie, choć z roztargnieniem odpowiadałem na pytania. Przychodziłem do siebie nagle, wytrzeszczałem oczy na znajome pokoje i znajome twarze, wśród których odnajdywałem się często późnym popołudniem, nie pamiętając ani trochę jak wstałem, ubrałem się, ogoliłem, zjadłem, poszedłem na spacer. Mimo, że kochałem Mr. Miliona tak samo jak wtedy, gdy byłem chłopcem, po tym, jak dowiedziałem się co oznaczają tak dobrze znane mi litery na jego skrzynce, stosunki między nami się zmieniły. Nie mogłem i nadal zresztą nie mogę uwolnić się od świadomości, że osoba, którą kochałem zginęła wiele lat przed moimi narodzinami, ja zaś zwracałem się do jej imitacji, funkcjonującej w oparciu o formuły matematyczne, która, naśladując swój pierwowzór, reagowała na bodźce wpływające z ludzkiej mowy i ludzkich czynów. Nigdy nie potrafiłem rozstrzygnąć, czy świadomość, jaką miał Mr. Milion dawała mu prawo mówić "myślę" i "czuję", co zawsze robił. Kiedy go o to zapytałem stwierdził, że sam nie potrafi odpowiedzieć na to pytanie. Nie znając punktu odniesienia nie mógł mieć pewności, czy jego procesy myślowe reprezentują prawdziwą świadomość czy nie. Ja z kolei nie potrafiłem ocenić, czy odpowiedź ta była głęboką refleksją duszy, i która pośród roztańczonych abstrakcji symulatora naprawdę w jakiś sposób żyła, czy też stanowiła fonograficzną reakcję wywołaną moim pytaniem.

Jak już mówiłem, nasz teatr działał całe lato. W czasie ostatniego przedstawienia liście unosiły się w powietrzu jak czyjaś pachnąca, zapomniana korespondencja i powoli opadały na scenę. Kiedy opuszczono kurtynę, my - którzy napisaliśmy i wystawiliśmy wszystkie sztuki tego sezonu -

byliśmy tak przygnębieni, że nie stać nas było na nic więcej niż zdjęcie kostiumów i zmycie makijażu. Potem, bezwolni jak szybujące na wietrze liście daliśmy się poprowadzić nawiedzonym przez lelki ścieżkom w stronę ulic, prosto do domu. Pamiętam, że miałem podjąć moje obowiązki przy drzwiach, ale w holu czekał na mnie służący ojca. Kazał mi iść prosto do biblioteki, gdzie ojciec wyjaśnił mi szorstko, że wieczorem będzie zajęty interesami, więc chce ze mną dziś - jak to ujął - porozmawiać wcześniej. Wyglądał na chorego i zmęczonego i po raz pierwszy przyszło mi na myśl, że kiedyś umrze, a wtedy będę jednocześnie bogaty i wolny.

Oczywiście nie pamiętam co mówiłem pod wpływem narkotyków. Przypominam sobie jednak sen, który potem miałem i to tak dokładnie, jakbym się z niego zbudził dopiero dziś rano.

Znajdowałem się na statku, na białym statku, takim jak te, ciągnięte przez woły po zielonej wodzie kanału koło parku. Robią to tak wolno, że ostre dzioby nie zostawiają za sobą żadnej smugi. Byłem jedynym członkiem załogi, a właściwie jedynym żywym człowiekiem na pokładzie. Za sterem stał trup wysokiego, chudego mężczyzny. Ogromne koło trzymał w sposób tak bezwładny, że wyglądało to tak, jakby to ono nim poruszało, pomagało mu ustać na nogach i utrzymać równowagę, a nie na odwrót. Kiedy obrócił głowę w moją stronę, ujrzałem jego twarz i rozpoznałem w niej twarz, widoczną na ekranie Mr. Miliona. Jak już wspomniałem, była ona bardzo podobna do mego ojca, wiedziałem jednak, że zmarły człowiek za sterem to nie on.

Minęło wiele czasu. Wyłynęliśmy chyba na pełne morze. Silny wiatr wiał w kierunku o kilka stopni w lewo od naszego kursu. Kiedy w nocy wspiałem się w górę, maszty, belki i liny trzepotały ze śpiewem na wietrze. Żagle, jeden za drugim wznosiły się nade mną i jeden za drugim rozpościerały w dole. Odziane w nie maszty wyrastały przede mną i za mną. W dzień, kiedy pracowałem na pokładzie, bryzgi wody moczyły mi koszulę, a na deskach pozostawiały plamy w kształcie łez, które szybko wysychały w ostrym słońcu.

Nie przypominam sobie, żebym w rzeczywistości kiedykolwiek płynął na takim statku. Możliwe jednak, że zdarzyło się to, kiedy byłem jeszcze bardzo mały, gdyż wszystkie odgłosy - skrzypienie masztów, gwizd wiatru wśród tysiąca lin, rozbijanie się fal o drewniany kadłub - były tak wyraźne, prawdziwe i tak swoiste, jak śmiech i tłuczenie szkła, które słyszałem nad nami jako dziecko, kiedy usiłowałem zasnąć, albo głos trąbek z cytadeli, które czasem rano mnie budziły.

Robiłem coś na pokładzie tego statku, ale dokładnie nie pamiętam już co. Nosiłem wiadra wody, którymi zmywałem z pokładu zakrzepłą krew. Ciągnąłem pozornie do niczego nie przymocowane liny, które faktycznie mocno przywiązano do nieruchomych przedmiotów, gdzieś bardzo wysoko w osprzęcie. Przyglądałem się powierzchni morza z dzioba, zza barierki, ze szczytów masztów i z daszku dużej kabiny pośrodku statku. Kiedy jednak ujrzałem jak daleko ode mnie z sykiem spada do wody gwiazdolit z oślepiająco rozgrzаныmi włazami, nie zameldowałem o tym nikomu.

Przez cały ten czas człowiek przy sterze coś do mnie mówił. Głowa zwisała mu bezwładnie, jakby miał złamaną szyję. Kiedy duże fale uderzyły o ster, koło sterowe podskakiwało, a wtedy głowa opadała z jednego ramienia na drugie, spadała w dół, albo na plecy - tak, że gapił się w niebo.

Jednak cały czas mówił, a z niewielkiej ilości słów, jakie wychwyciłem zorientowałem się, że wykladał jakąś teorię etyczną, której założenia nawet on sam kwestionował. Bałem się słuchać tej gadaniny, więc starałem się trzymać jak najbliżej dziobu. Często jednak wiatr przynosił jego słowa i słyszałem je bardzo wyraźnie. Ilekroć podniosłem głowę znad moich zajęć, odkrywałem, że jestem znacznie bliżej steru niż mi się wydawało. Czasem prawie już dotykałem martwego sternika.

Kiedy byłem na statku już bardzo długo i zacząłem dotkliwie odczuwać zmęczenie i samotność, otworzyły się drzwi do kabiny i wyszła z niej moja ciotka. Unosiła się idealnie pionowo około dwóch stóp nad przechylonym pokładem. Spódnica nie opadała jej w dół tak jak zawsze, lecz furkotała na wietrze jak chorągiew, co stwarzało wrażenie, jakby wiatr lada chwila mógł ją unieść.

Nie wiem czemu powiedziałem:

- Nie zbliżaj się do sternika, ciociu. Może ci zrobić krzywdę. Odpowiedziała tak naturalnie, jakbyśmy się spotkali na korytarzu koło mojej sypialni:

- Nonsens. Od dawna nie jest w stanie nikomu ani pomóc, ani zaszkodzić, Numerze Piąty. Należy się raczej obawiać mego brata.

- Gdzie on jest?

- Na dole. - Wskazała palcem pokład, jakby chciała powiedzieć, że jest w ładowni. - Usiłuje się dowiedzieć, dlaczego statek stoi w miejscu.

Podbiegłem do burty i wyrząłem. Zobaczyłem nie wodę, lecz nocne niebo. Niezmiernie daleko, pode mną, były rozrzucone niezliczone gwiazdoloty. Zdałem sobie sprawę, że statek nie posuwał się w przód, a nawet się nie kołysał, ale cały czas tkwił pochylony w bezruchu. Odwróciłem się do ciotki, a ona powiedziała

- Nie płynie, ponieważ go zakotwiczył, żeby sprawdzić czemu nie płynie.

W tym momencie poczułem, że zsuwam się po linie do czegoś, co uznałem za ładownię. Czuć tam było zwierzęta. Przebudziłem się, choć w pierwszej chwili nie zdałem sobie z tego sprawy.

Stopami dotykałem podłogi i spostrzegłem, że koło mnie są David i Phaedria. Byliśmy w ogromnej sali, chyba gdzieś na jakimś poddaszu. Phaedria wyglądała ślicznie, ale była bardzo spięta i nerwowo gryzła wargi. Zapiał kogut.

- Jak myślisz, gdzie mogą być pieniądze? - spytał David. Miał przy sobie torbę z narzędziami.

Phaedria albo spodziewała się, że powie coś innego, albo też odezwała się w odpowiedzi na własne myśli.

- Mamy mnóstwo czasu. Marydol pilnuje. Marydol grała w naszych sztukach.

- Jeśli nie ucieknie. Gdzie twoim zdaniem są pieniądze? - Nie tutaj. Na dole, za biuram.

Do tej pory kucąła. Teraz wstała i zaczęła się skradać do przodu. Była cała ubrana na czarno, począwszy od czarnych baletek, aż po czarną wstążkę w czarnych włosach. Biała twarz i ręce ostro kontrastowały z tym ubiorem, a karminowe usta wyglądały jak pomyłka, odrobina koloru pozostawiona przez niedopatrzenie. David i ja szliśmy za nią.

Na pokładzie, w dużej odległości od siebie, porozstawiane były skrzynki. Kiedy przechodziliśmy koło nich zauważyłem, że zawierają drób, po jednym ptaku w każdej, gdy zbliżyliśmy się do stojącej drabiny, którą schodzi się na dół przez luk, zdałem sobie sprawę, że są to hodowane do walki koguty. Nagle przez jedno z okienek w dachu wpadł promyk słońca prosto na skrzynkę.

Siedzący tam kogut uniósł się i rozpostarł pstrokate jak u ary skrzydła. Ujrzałem też jego dzikie, czerwone oczy.

- Chodźcie - powiedziała Phaedria. - Następne są psy. Zeszliśmy za nią po drabinie. Na następnym piętrze panowało istne piekło.

Psy były uwiązane na łańcuchach w oddzielnych boksach. Przegrody między nimi były tak wysokie, że nie mogły widzieć swoich sąsiadów. Między rzędami takich zagród porobiono szerokie alejki. Były to psy do walki, różnej wielkości - od dziesięciofuntowych terierów po większe od małych koni brytany, bydłeta o zdeformowanych głowach, przypominających obrośnięte naroślami stare drzewa, i szczękach, które jednym kłapięciem mogłyby człowiekowi odgryźć nogi. Psy robił niewiarygodny wprost hałas, gęsty jak ciało stałe. Na dole wziąłem Phaedrię pod rękę i spróbowałem pokazać jej na migi, że powinniśmy natychmiast stąd wyjść. Byłem bowiem pewien, że gdziekolwiek się znaleźliśmy, stało się to bez pozwolenia. Pokręciła głową. Ponieważ nie mogłem zrozumieć, co mówiła, nawet gdy wyraźnie i z przesadą poruszała ustami, napisała wilgotnym palcem na zakurzonej ścianie:

- One tak zawsze, - jak coś usłyszą z ulicy.

Na niższe piętro schodziło się schodami, do których prowadziły ciężkie, choć nie zaryglowane drzwi. Zainstalowano je chyba głównie dla wyciszenia hałasu. Poczujęm się dużo lepiej, kiedy je zamknęliśmy za sobą, mimo że nadal było bardzo głośno. Doszedłem już całkiem do siebie i powinienem powiedzieć Davidowi i Phaedrii, że nie wiem gdzie jestem ani co tam robimy. Powstrzymał mnie jednak wstyd. Zresztą i tak łatwo mogłem odgadnąć cel tej wyprawy. David pytał gdzie są pieniądze, a przecież tak często mówiliśmy - choć uważałem to wtedy za próżne przechwałki - o jednym dużym napadzie, który uwolniłby nas od konieczności popełniania drobnych kradzieży.

Gdzie byliśmy dowiedziałem się później - przy wychodzeniu. Informację zaś o tym, jak się tam znaleźliśmy poskładałem sobie z rozmów i różnych luźnych uwag. Pierwotnie zaprojektowano ten budynek jako magazyn. Znajdował się on przy Rue des Egouts, niedaleko zatoki. Jego właściciel zaopatrywał entuzjastów różnego rodzaju sportowych walk. Uważano go za posiadacza największego zbioru używanych w tym celu stworzeń w całym Departamencie. Ojciec Phaedrii dowiedział się, że niedawno odstawił on część swych najcenniejszych zbiorów na statek. Idąc do

niego w interesach wziął ze sobą Phaedrię. Ogólnie było wiadomo, że zakład otwierano nie wcześniej niż po ostatnim Aniele Pańskim. Poszliśmy więc tam tuż po drugim, następnego dnia po wizycie Phaedrii. Do środka dostaliśmy się przez okienko w dachu.

Trudno mi opisać to, co ujrzeliśmy na następnym, to jest pierwszym piętrze budynku.

Niewolników do walki widziałem wiele razy na targu, kiedy razem z Davidem i Mr. Milionem chodziłem do biblioteki. Nie było ich jednak nigdy więcej niż dwóch lub trzech i zawsze byli zakuci w ciężkie kajdany. Tutaj leżeli i siedzieli, gdzie się tylko dało. Przez chwilę zastanawiałem się dlaczego nie porozszarpywali jeden drugiego i jeszcze naszej trójki na dokładkę. Potem zauważyłem, że byli uwiązani na krótkich łańcuchach, przytwierdzonych od podłogi. Dookoła każdego z nich tworzyło się koło zadrapań i drzazg w deskach, po których łatwo można było poznać jak daleko mogą sięgnąć. Ich skromne meble - słomiane sienniki, parę krzeseł i ławek były albo tak lekkie, że jeśli nimi rzucili nie mogły nikomu wyrządzić krzywdy, albo też bardzo solidne i przygwożdżone do podłogi. Myślałem, że będą na nas krzyczeli i grozili nam, jak to robili w czasie walki. Oni chyba jednak rozumieli, że póki są na łańcuchach, nic nam nie zrobią. Kiedy schodziliśmy po schodach, wszyscy odwrócili głowy w naszą stronę. Gdy jednak zobaczyli, że nie mamy dla nich jedzenia, okazali mniejsze nami zainteresowanie niż psy piętro wyżej.

- Prawda, że oni nie są już ludźmi? - powiedziała Phaedria. Szła teraz wyprostowane jak żołnierz w czasie parady. Z zaciekawieniem przyglądała się niewolnikom. Patrząc na nią pomyślałem, że w rzeczywistości jest wyższa i smuklejsza niż w moich myślach. Była nie tylko ładna, ale piękna. -

Właściwie są zwierzętami - odezwała się ponownie. Uczyłem się o nich, więc wiedziałem więcej niż ona. Wyjaśniłem jej, że jako niemowlęta byli ludźmi czasem nawet jako dzieci, a nawet później.

Różnice między nimi, a normalnymi ludźmi wynikały z zabieg chirurgicznych (częściowo przeprowadzanych na mózgu) i zmianach w systemie gruczołów dokrewnych, wywołanych przy pomocy środków chemicznych. Oczywiście różnili się też wyglądem, ze względu na liczne blizny.

- Twój ojciec robi coś takiego z małymi dziewczynkami dla waszego domu?

- Tylko czasami - odpowiedział David. - Zabiera to mnóstwo czasu, a klienci przeważnie wolą normalne dziewczyny, nawet jeśli lubią trochę dziwaczne.

- Chciałabym je zobaczyć. To znaczy te, z którymi to robił.

Ja w dalszym ciągu myślałem o otaczających nas niewolnikach do walki i powiedziałem:

- Nie wiedziałaś o nich? Myślałem, że tu już byłaś. O psach wiedziałaś.

- O tak, już ich przedtem widziałam, ich właściciel opowiadał o nich. Chyba po prostu głośno myślałam. Byłoby straszne, gdyby byli jeszcze ludźmi.

Pomyślałem, że ciekawe czy potrafią zrozumieć co mówi. Cały czas wodzili za nami wzrokiem.

Na parterze było zupełnie inaczej niż na wyższych piętrach. Ściany były wyłożone boazerią z panneaux. Wisiały w nich wizerunki psów, kogutów, niewolników i różnych dziwnych zwierząt.

Okna wychodziły na ulicę Egouts i na zatokę. Były wąskie i tak wysoko, że wpuszczały tylko niewielkie smugi słonecznego światła. Wydobywały one z mroku tylko jedno oparcie luksusowego fotela, obitego czerwoną skórą, nie większy od książki kwadracik brązowego dywanu i na pełną

karafkę. Po zrobieniu pierwszych trzech kroków myślałem, że nas odkryto. W naszą stronę kroczył wysoki młodzieniec o wąskich ramionach. Kiedy stanąłem, on też się zatrzymał ze zdumieniem. Na

jego twarzy malował się niepokój. Było to moje własne odbicie w lustrze miedzi oknami. Poczułem chwilowe zmieszanie, które przychodzi, kiedy ktoś obcy, kogo się wcale nie wyróżnia wśród

innych, odwraca się albo porusza głową i okazuje się, że jest to świetny kumpel, na którego po raz pierwszy spojrzeliśmy z zewnątrz. Tym ponurym chłopcem o ostrej brodzie, którego widziałem,

zanim sam się w nim rozpoznałem, byłem ja, taki jakim widzieli mnie Phaedria, Dawid, Mr. Milion i moja ciotka.

- To tutaj rozmawia z klientami - powiedziała Phaedria. - Jeśli chce coś sprzedać, każe swoim pomocnikom przynosić towar po jednej sztuce, żeby nie mieli porównania. Jednak nawet tutaj słyszeć szczekanie psów. Tatę i mnie wziął na górę i pokazał wszystko.

- Czy pokazał wam, gdzie trzyma forszę? - spytał Dawid.

- Tam z tyłu. Widzisz ten gobelin? Tak naprawdę jest to zasłona. Kiedy rozmawiał z tatą przyszedł jakiś facet, żeby mu oddać pieniądze. Potem zaniósł je za tę zasłonę.

Drzwi za gobelinem prowadziły do małego biura, a w przeciwległej do nich ścianie były jeszcze

jedne drzwi. Nie widać tam było żadnego sejfu ani kasetki. Dawid wyważył zamek w biurku

łomem, który wyjął, ze swojej torby. Ale było tam tylko pełno papierzysk. Miałem właśnie zamiar otworzyć drugie drzwi, gdy usłyszałem z następnego pokoju coś w rodzaju drapania lub szurania.

Co najmniej przez minutę nikt z nas się nie ruszał. Ja stanąłem jak wryty z teką na zasuwce. Za mną, po lewej stronie, Phaedria szukała właśnie pod dywanem schowka w podłodze. Zastygła tak,

przykucnięta, a spódnica rozłożyła się dookoła niej jak czarna kałuża. Gdzieś w pobliżu biurka

słyszałem oddech Dawida. Szuranie powtórzyło się. Skrzypnęła deska w podłodze. Dawid

powiedział cichutko:

- To zwierze.

Zdjąłem rękę z zasuwki i spojrzałem na niego. Wciąż jeszcze trzymał łom i miał bladą twarz, ale uśmiechał się.

- To tylko uwiązane tam zwierzę szura nogami. - Skąd wiesz? - spytałem.

- Ktokolwiek by tam był, musiał nas usłyszeć, zwłaszcza kiedy się włamywałem. Jeśli to człowiek, wszedłby tutaj, a jeżeli się boi, to by się schował i siedział cicho.

- Chyba ma rację. Otwórz drzwi - powiedziała Phaedria. - A co zrobimy, jeśli to nie zwierzę?

- To zwierze - rzekł Dawid. - Ale, jeżeli nie?

Odpowiedź wyczytałem z ich twarzy. Dawid chwycił za łom, a ja otworzyłem drzwi.

Pokój był większy niż się spodziewałem, ale pusty i brudny. Jedyne światło wpadało przez wąziutkie okienko, wysoko osadzone w ścianie naprzeciwko drzwi. Na środku podłogi stała duża, okuta żelazem skrzynia z ciemnego drewna, a przed nią leżało coś, co wyglądało jak kupa szmat.

Kiedy wszedłem tam z wysłanego dywanem biura, szmaty się poruszyły i ukazała się twarz, trójkątna jak u modliszki, z brodą uniesioną zaledwie cal nad podłogą. Pod krzaczastymi, brązowymi brwiami oczy płonęły jak szkarłatne ogniki.

- To z pewnością tutaj - powiedziała Phaedria. Patrzyła nie na twarz, lecz na okutą żelazem skrzynię. - Dawid, potrafisz ją otworzyć?

- Chyba tak - odpowiedział, ale tak jak ja patrzył na oczy stworka w łachmanach. - Ale co z nim?



- rzekł po chwili.

Zanim Phaedria czy ja mogliśmy odpowiedzieć, dziwadło otworzyło usta ukazując długie i wąskie, szaro-żółte zęby.

- Chrry - powiedziało.

Żadnemu z nas nie przyszło do głowy, że stwór umiał mówić. Było to tak, jakby przemówiła mumia. Ulicą przejechała karetą, stukając żelaznymi kołami o kocie łby.

- Chodźmy - powiedział Dawid - uciekajmy stąd.

- Jest chory - sprzeciwiła się Phaedria. - Właściciel przyniósł go tutaj, żeby go mieć pod ręką i opiekować się nim. Jest chory.

- Chorego niewolnika przytwierdził łańcuchami do skrzyni z forszą? - wyraził powątpiewanie Dawid.

- Nie widzisz? To- jedyna ciężka rzecz w tym pokoju. Trzeba tylko podejść i walnąć biedaczysko w głowę. Jeżeli się boisz, daj mi łom i sama to zrobię.

- Zrobię to.

Razem z nim podszedłem na odległość kilku stóp od skrzyni. Buńczucznie machał łomem przed niewolnikiem.

- Hej ty! Odsuń się stąd.

Niewolnik wydał z siebie jakiś bulgot i na czworakach odsunął się na bok, ciągnąc za sobą łańcuch. Owinięty był w brudny, podarty koc. Sprawiał wrażenie nie większego niż dziecko, ale zauważyłem, że ma ogromne ręce.

Odwróciłem się i zrobiłem krok w stronę Phaedrii chcąc ją namówić, żebyśmy poszli, jeśli Dawidowi nie uda się otworzyć skrzyni w ciągu kilku minut. Pamiętam, że zanim cokolwiek usłyszałem czy poczułem zobaczyłem, że Phaedria szeroko otwiera oczy i jeszcze się zastanawiałem czemu to zrobiła, kiedy z brzękiem wysypały się narzędzia Dawida, a on sam jęknął i z hukiem upadł na podłogę. Phaedria krzyknęła, a wszystkie psy na trzecim piętrze zaczęły ujadać.

Wszystko to nie trwało oczywiście nawet sekundy. Niemal w tym samym momencie, kiedy Dawid padał, odwróciłem się, żeby zobaczyć co się dzieje. Niewolnik z szybkością błyskawicy wyciągnął rękę i chwycił mojego brata za nogę w kostce, a natychmiast potem zrzucił z siebie koc i wskoczył na niego dosłownie jak małpa.

Złapałem go za szyję i pociągnąłem do tyłu myśląc, że kurczowo trzyma Dawida i będę go musiał siłą odciągnąć. Jednak kiedy tylko poczuł dotyk moich rąk, odrzucił Dawida na bok i jak pajak wykręcił się z mojego uścisku. Miał cztery ręce.

Widziałem, że młóci nimi w powietrzu usiłując mnie chwycić. Puściłem go i odskoczyłem w tył, jakby mi w twarz rzucono szczura. Ta instynktowna odraza uratowała mnie. Kopnął nogami w tył z taką siłą, że gdybym go mocno trzymał, dając mu oparcie, z pewnością pękłaby mi wątroba albo śledziona i byłoby po mnie.

Tymczasem on przewrócił się w przód, a ja z trudem chwytając powietrze runąłem do tyłu.

Upadłem, a potem się poturlałem wydostając się spoza zasięgu jego łańcucha. Dawid też wygramolił się już w bezpieczne miejsce, a Phaedria była od niego odsunięta.

Przez pewien czas trząsałem się tylko i usiłowałem usiąść. Wszyscy troje po prostu gapiliśmy się na niego. Phaedria westchnęła przeciągle i spytała mnie:

- Jak oni to zrobili, że taki jest?

Powiedziałem jej, że przypuszczalnie przeprowadzono transplantację dodatkowej pary rąk.

Przedtem konieczne było zniesienie naturalnej odporności organizmu na wszczepianie obcej tkanki.

W czasie operacji przypuszczalnie zastąpiono część jego żeber strukturą kostną z ramion dawcy.

- W ramach samokształcenia robiłem coś podobnego z myszami. Oczywiście nie były to aż tak ambitne doświadczenia. Najdziwniejsze jest dla mnie to, że ma chyba pełną władzę w przeszczepionych rękach. Końcówki nerwów prawie nigdy do siebie nie pasują, chyba że ma się do czynienia z bliźniętami jednojajowymi. Temu, kto to robił musiało się chyba sto razy nie udać, zanim wreszcie osiągnął cel. Ten niewolnik z pewnością wart jest majątek.

- Myślałem, że pozbyłeś się już myszy. Czy nie pracujesz teraz na małpach?

Jeszcze nie, ale miałem na to ochotę. W każdym razie jasne było, że gadaniem do niczego nie dojdziemy.

- Myślałem, że się palisz do wyjścia - powiedział Dawid.

Tak faktycznie było, ale teraz o wiele bardziej pragnąłem czegoś innego. Chciałem zbadać to stworzenie dużo bardziej niż Dawid i Phaedria kiedykolwiek pożąдали pieniędzy. Dawid zawsze chełpił się tym, że jest ode mnie odważniejszy. Wiedziałem, że gdy powiem: "Ty może chcesz uciec, ale nie zasłaniaj się mną, braciszku" - sprawa będzie załatwiona.

- Nie jest w stanie nas dosięgnąć. Możemy czymś w niego rzucać - powiedziała Phaedria.

- Jeśli spudłujemy, może tym samym rzucać w nas.

Kiedy tak rozmawialiśmy, czteroręki niewolnik uśmiechał się głupkowato. Byłem prawie pewien, że rozumie co najmniej część naszej rozmowy. Kiwnąłem na Dawida i Phaedrię, żeby przeszli do pokoju, gdzie było biurko. Kiedy już tam byliśmy, zamknąłem drzwi.

- Nie chciałem, żeby nas słyszał. Jeżeli znajdziemy jakieś ostrza na kijach, coś w rodzaju włóczni, będziemy mogli go zabić nie zbliżając się zbyt. Czego tu użyć jako patyków? Macie jakieś pomysły?

Dawid pokręcił przecząco głową, ale Phaedria powiedziała: - Zaraz, zaraz, coś mi się przypomina.

Obydwaj spojrzeliśmy na nią, a ona zmarszczyła brwi udając, że szuka w pamięci. Pochlebiało jej nasze zainteresowanie.

- Co takiego? - zapytał Dawid.

- Kije do zamykania i otwierania okien. Takie z haczykiem na końcu. Pamiętacie okna w tej sali, gdzie właściciel rozmawia z klientami? Są bardzo wysoko. Kiedy dogadywał się z tatą, jeden z jego pracowników wszedł z takim kijem i otworzył okno. Muszą tu gdzieś być.

Po pięciu minutach poszukiwań znaleźliśmy dwa. Były niezłe. Miały koło sześciu stóp długości, półtora cala grubości i były zrobione z twardego drewna. Dawid wywinął swoim udając, że wbija go w Phaedrię. Potem zapytał mnie:

- A skąd weźmiemy ostrza?

Mój nieodłączny skalpel jak zwykle spoczywał w futerale w kieszonce na moich piersiach.

Przymocowałem go do kija taśmą izolacyjną, którą Dawid na szczęście miał przy pasku, a nie w torbie. Nie mogliśmy jednak znaleźć niczego na drugi grot. W końcu Dawid wymyślił, że może to być kawałek szkła.

- Okno nie wchodzi w rachubę - powiedziała Phaedria. - Usłyszano by na zewnątrz, a poza tym chyba trzaśnie przy pierwszym uderzeniu.

- Grube szkło jest twarde. Spójrzcie tutaj.

Znów zobaczyłem własną twarz. Dawid wskazywał na duże lustro, które tak mnie poprzednio zaskoczyło. Uderzył w nie butem i rozbiło się z brzękiem, po którym psy znów zaczęły ujadać. Wyszukał długi, prawie trójkątny kawałek i podniósł go do światła. Błyszczał jak drogocenny kamień.

- Prawie tak dobre jak te, które wbili z agatu i jaspisu na Świętej Annie - stwierdził.

Zgodnie z umową podeszliśmy z przeciwnych stron. Niewolnik wskoczył na skrzynię i stamtąd przyglądał się nam spokojnie. Głęboko osadzone oczy zwracał to na Dawida, to na mnie, aż w końcu, kiedy byliśmy już blisko, Dawid się na niego rzucił.

Kiedy szklane ostrze przejechało mu po żebrach, błyskawicznie odwrócił się, chwycił kij Dawida i pociągnął go do siebie. Uderzyłem w niego, lecz nie trafiłem. Nim odzyskałem równowagę, już mocował się z Dawidem w drugim końcu sali. Schyliłem się i dźgnąłem w niebo włócznią. Dopiero po krzyku Dawida zorientowałem się, że to temu wbiłem skalpel w udo. Zobaczyłem jak tryska krew, jasna krew z tętnicy i oblewa kij. Wypuściłem go i przeskoczyłem skrzynię rzucając się na nich.

Niewolnik szykował się już na mnie. Z uśmiechem leżał na plecach. Wszystkie cztery ręce miał podniesione, jak kończyny zdechłego pająka. Pewien jestem, że w ciągu paru sekund udusiłby mnie, gdyby nie to, że Dawid, nie wiem, odruchowo czy świadomie, zasłonił mu oczy ramieniem, tak, że nie zdołał mnie chwycić i upadłem pomiędzy jego wyciągnięte ramiona.

Niewiele więcej pozostało do dowiedzenia. Uwolnił się od Dawida, mnie przyciągnął do siebie i chciał przegryźć mi gardło. Powstrzymałem go wbijając mu kciuk w oko. Phaedria wykazała więcej odwagi niż się po niej spodziewałem. W wolną rękę włożyła mi włócznię Dawida ze szklanym ostrzem i zadałem cios w gardło. Przeciąłem mu chyba obie żyły i tchawice.

Opatrzyłem Dawida i zaraz wyszliśmy - bez pieniędzy i bez wiedzy, którą chciałem zdobyć, badając ciało niewolnika.

Marydol pomogła nam zabrać Dawida do domu. Mr. Milionowi powiedzieliśmy, że Dawid upadł, kiedy przeszukiwaliśmy opuszczony dom. Wątpię jednak, czy nam uwierzył.

Jest jeszcze jedna sprawa związana z tym wydarzeniem - to znaczy z zabiciem niewolnika. Po wyjściu dokonałem odkrycia, które wywołało na mnie wtedy dużo większe wrażenie i kusi mnie, by od razu o tym powiedzieć.

Najpierw jednak opiszę coś, co być może było tylko przywidzeniem. Trudno to zresztą obiektywnie ocenić, gdyż z pewnością w mojej pamięci uległo powiększeniu i zniekształceniu pod wpływem czasu. Kiedy zadawałem niewolnikowi ostateczny cios, nasze twarze były bardzo blisko siebie. Pewnie pod wpływem światła, padającego z wysoko umieszczonych okien za nami, zobaczyłem odbicie mojej własnej twarzy w jego źrenicach. Wydała mi się bardzo podobna do jego twarzy. Od tamtej pory nie mogę zapomnieć, co Dr. Marsch powiedział o wytwarzaniu dowolnej liczby identycznych jednostek dzięki klonom i że kiedy byłem młodszy, ojciec uważany był za handlarza dziećmi. Od czasu wyjścia z więzienia próbowałem znaleźć ślad mojej matki, kobiety z fotografii, którą mi pokazała ciotka. Zdjęcie było jednak z pewnością zrobione długo przed moim urodzeniem - być może nawet jeszcze na Ziemi.

Odkrycia, o którym mówiłem, dokonałem tuż po wyjściu z budynku, w którym zabiłem niewolnika - mianowicie na dworze była nie jesień, tylko środek lata. Ponieważ wszyscy czworo dołączyła do nas Marydol - bardzo martwiliśmy się Dawidem, a poza tym gorączkowo wymyślaliśmy wytłumaczenie dla jego rany - nie odczułem tego szoku aż tak boleśnie, jak

odczułym go w innych okolicznościach, ale i tak był bardzo silny. Pamiętałem, że drzewa były niemal całkowicie nagie. Teraz było bardzo ciepło i powietrze było przesiąknięte typowo letnią wilgocią. W pokrytych bujnymi liśćmi koronach uwijały się wilgi. Fontanna w naszym ogrodzie nie tryskała już ciepłą wodą, którą puszczano tak długo, jak występowały przymrozki, grożące popękaniem rur. Kiedy pomagaliśmy Dawidowi iść ścieżką prowadzącą do domu, zamoczyłem rękę w basenie. Woda była chłodna jak rosa.

Moje okresy nieświadomości, chodzenie we śnie, przedłużyły się więc. Tym razem pochłonęło to całą zimę i wiosnę. Poczulem się strasznie zagubiony.

Kiedy weszliśmy do domu wskoczyła mi na ramię małpa. Myślałem, że należy do ojca. Potem Mr. Million wyjaśnił, że było to oswojone przeze mnie zwierzątko z mojego własnego laboratorium. Nie znałem jej, sądząc jednak po bliznach pod futerkiem i po wykrzywionych łapkach, ona знаła mnie.

Opiekuje się Popo od tamtej pory. Kiedy byłem w więzieniu zajmował się nią Mr. Million. Przy ładnej pogodzie wciąż jeszcze wspina się po szarych, zwietrzałych ścianach tego domu. Kiedy widzę jej przygarbioną sylwetkę biegającą po parapetach, wydaje mi się czasem, że ojciec jeszcze żyje i w każdej chwili może mnie zawołać na parę godzin do biblioteki. Przebaczam to jednak mojemu pupilowi.

Ojciec nie wezwał do Dawida lekarza, tylko kurował go sam. Jeśli intrygowało go, gdzie Dawid tak się zranił, nie pokazał tego po sobie. Osobiście wydaje mi się, że uważał, choć teraz nie ma to już znaczenia, że to ja go czymś pchnąłem podczas kłótni. Mówię tak, ponieważ od tej pory jakby się czegoś bał, kiedy byliśmy sami. Nie był bojaźliwy i od lat miewał czasami do czynienia z najgorszymi przestępcami. Przestał jednak być przy mnie swobodny, jak gdyby miał się na baczności. Powodem tego mogło być oczywiście coś, co powiedziałem lub zrobiłem podczas zapomnianej zimy.

Marydol, Phaeuria, ciotka i Mr. Million często odwiedzali Dawida. Jego pokój stał się czymś w rodzaju miejsca naszych spotkań. Tylko czasami przeszkadzał nam w nich ojciec. Marydol była

drobną, miłą blondyneczką. Bardzo ją polubiłem. Odprowadzałem ją czasami do domu. W drodze powrotnej zatrzymywałem się na targu niewolników, tak jak to często robiliśmy z Mr. Milionem i Dawidem, żeby kupić smażony chleb, słodką, czarną kawę i popatrzeć na licytację. Nie ma bardziej nieciekawych twarzy niż twarze niewolników. Ja jednak przyglądałem się im badawczo. Minęło wiele czasu, co najmniej miesiąc, nim zrozumiałem dlaczego to robię. Na plac przyprowadzono młodego chłopaka, niewolnika do zamykania. Twarz i plecy pokrywały mu blizny od bata. Zęby miał połamane. Poznałem go jednak - porwana twarz była moją twarzą i twarzą ojca. Odezwałem się do niego i byłbym go kupił i uwolnił. Odpowiedział mi jednak tak służalczo, typowo dla niewolników, że odwróciłem się z niesmakiem.

Tego wieczoru ojciec kazał mi przyjść do biblioteki. Przez kilka ostatnich nocy nie robił tego. Przyglądałem się naszym odbiciom w lustrze, odgradzającym wstęp do laboratoriów. On wyglądał na młodszego niż w rzeczywistości, ja na starszego. Moglibyśmy prawie być tym samym człowiekiem. Kiedy odwrócił się do mnie twarzą i ponad jego ramieniem nie ujrzałem swojego odbicia, lecz tylko ręce jego i moje, moglibyśmy być tym czterorękim niewolnikiem.

Nie potrafię powiedzieć kto pierwszy rzucił myśl, żeby go zabić. Przypominam sobie tylko, że pewnego wieczoru, po odprowadzeniu Marydol i Phaedrii do domu, kiedy szykowałem się do snu, zdałem sobie sprawę, że właśnie o tym rozmawialiśmy nieco wcześniej siedząc z Mr. Milionem i ciotką przy łóżku Dawida. Oczywiście nie mówiliśmy tego otwarcie. Być może nawet sami przed sobą nie przyznawaliśmy się do tej myśli. Ciotka wspomniała o pieniądzach, które gdzieś podobno ojciec ukrył, a Phaedria o jachcie, luksusowym jak pałac. Dawid opowiadał o wpływach politycznych, jakie zapewniają pieniądze.

Ja nic nie mówiłem. Myślałem tylko o godzinach, tygodniach i miesiącach, które mi zabrał, o unicestwieniu mojego "ja", które noc po nocy systematycznie mordował. Myślałem o tym, że jeszcze tej nocy mogę pójść do biblioteki, a odzyskać przytomność dopiero jako starzec i do tego może jako żebak.

Stało się dla mnie jasne, że muszę go zabić, bo jeśli mu to powiem, kiedy będę leżał odurzony

narkotykami na łuszczącym się skórzanym łóżku, on zabije mnie bez najmniejszych skrępowań.

Czekając na przyjście służącego ułożyłem plan. Nie będzie żadnego śledztwa ani żadnego aktu

zgonu ojca. Ja go zastąpię. Klienci nie zauważą zmian. Znajomym Phaedrii przekaz, że pokłóciłem się z ojcem i odszedłem z domu. Przez jakiś czas nie będę się z nikim widywał. Potem od czasu do czasu mogę się ucharakteryzować i porozmawiać z kimś wybranym w zaciemnionym pokoju. Plan

ten był niewykonalny, ale wtedy wydawał mi się całkiem realny, a nawet prosty. W kieszeni

miałem przyszykowany skalpel. Ciało chciałem zniszczyć w jego własnym laboratorium. Wyczytał

wszystko z mojej twarzy. Rozmawiał ze mną tak jak zawsze, ale chyba już wiedział. W pokoju

stały kwiaty. Nigdy ich przedtem nie było i zacząłem się zastanawiać, czy nie domyślił się już

wcześniej i nie polecił ich przynieść, jakby to była jakaś specjalna okazja. Nie kazał mi kłaść się na łóżku, tylko wskazał mi krzesło, a sam usiadł przy biurku.

- Będziemy dziś mieli gościa - powiedział. Spojrzałem na niego.

- Jesteś na mnie zły. Widzę jak to w tobie narasta. Czy wiesz kto...

Miał jeszcze coś powiedzieć, kiedy ktoś zastukał do drzwi, a kiedy zawołał: "Proszę!" - weszła Nerissa, wprowadzając Derm-mondaine i Dr. Marscha. Zdziwiła mnie jego obecność, a jeszcze

bardziej obecność dziewczyny. Usiadła koło Dr. Marscha tak, że widać było, że tej nocy należy do niego.

- Dobry wieczór, Doktorze - powiedział ojciec. - Dobrze się pan bawi?

Marsch uśmiechnął się pokazując duże, szerokie zęby. Tym razem miał na sobie ubranie,

skrojone według ostatniej mody.

- Świetnie. I ciałem, i umysłem - powiedział. - Widziałem jak naga dziewczyna, dwa razy wyższa od mężczyzny przechodzi przez ścianę.

- To hologramy - odezwałem się. Znow się uśmiechnął.

- Wiem. Widziałem jeszcze wiele innych rzeczy. Miałem zamiar je wszystkie wliczyć, ale pewnie zanudziłbym panów. Wystarczy, jeżeli powiem, że ma pan wspaniały zakład - ale pan o tym dobrze wie.

- Zawsze miło to jeszcze raz usłyszeć - odrzekł ojciec. - Czy zgodnie z umową chce pan



porozmawiać?

Ojciec spojrział na demi-mondaine. Wstała, pocałowała Dr. Marscha i wyszła z pokoju. Ciężkie drzwi zamknęły się za nią z cichym trzaskiem.

Jak pstryknięcie kontaktu albo tłukące się stare szkło.

Wiele razy wspominałem wyjście dziewczyny: jej buty na wysokich obcasach i grubych podeszwach, suknię z dekoltem na plecach sięgającym pośladków, jej nagi kark, upięte do góry tapirowane włosy przetykane wstążkami i małymi światełkami. Nie przypuszczała nawet, że zamknięcie przez nią drzwi oznacza koniec takiego świata, jaki znała zarówno ona, jak i ja.

- Kiedy pan wyjdzie, ona będzie czekała - powiedział ojciec do Marscha.

- Jeśli nie będzie, na pewno ma pan inne. - Zielone oczy antropologa błyszczały w świetle lampy.

- Ale przejdźmy do sprawy. - Bada pan rasy. Czy grupę podobnych do siebie mężczyzn, którzy mniej więcej tak samo myślą można nazwać rasą?

- I kobiet - odpowiedział Marsch z uśmiechem.

- A tu - ciągnął ojciec - tu, na Sainte Croix, zbiera pan materiały, które weźmie pan ze sobą na Ziemię?

Oczywiście, zbieram materiały. Nie wiem jednak, czy wrócę na macierzystą planetę.

Musiałem na niego dziwnie spojrzeć, gdyż tym razem uśmiech skierował do mnie i, jeżeli to możliwe, jeszcze bardziej protekcyjnie niż przedtem powiedział:

- Dziwisz się?

- Zawsze uważałem Ziemię za ośrodek nauki - powiedziałem. Rozumiem naukowca, który wyjeżdża z Ziemi na badania terenowe, ale...

- Nieprawdopodobnym wydaje ci się, by ktoś chciał zostać w terenie? Spróbuj wczuć się w moje położenie. Na szczęście dla mnie nie tylko ty masz szacunek dla siwych włosów i mądrości starego świata. Dzięki mojej ziemskiej edukacji otrzymałem propozycję objęcia katedry na waszym uniwersytecie z prawie tak dużą pensją, jakiej sobie zażyczę i zwolnieniem od nauczania co drugi rok. A podróż stąd na Ziemię zajmie mi dwadzieścia lat czasu newtonowskiego. Subiektywnie jest

to dla mnie oczywiście tylko pół roku, ale jeżeli wrócę, moje wykształcenie będzie przestarzałe o czterdzieści lat. Nie, wasza planeta chyba jednak zyskała luminarza.

- Odchodzimy od tematu naszej rozmowy - odezwał się ojciec. Marsch kiwnął twierdząco głową i powiedział:

- Tak. Chciałem jeszcze tylko dodać, że antropolog ma szczególne predyspozycje, żeby się zdomowić w innej kulturze - nawet w tak dziwnym środowisku; jakie stworzyła wokół siebie pańska rodzina. Mogę was chyba nazwać rodziną, bo prócz pana są jeszcze dwie osoby. Nie ma pan chyba nic przeciw temu, bym na was dwóch mówił w liczbie pojedynczej?

Spojrzał na mnie, jakby oczekiwał protestu, ale kiedy nic nie powiedziałem, ciągnął:

- Mam na myśli pańskiego syna Davida - w stosunku do pańskiego "ja" jako całości jest synem, a nie bratem - i kobietę, którą pan uważa za ciotkę, a która faktycznie jest córką poprzedniej, nazwijmy to, "wersji" pana.

- Chce mi pan powiedzieć, że jestem klonem, czyli duplikatem ojca, i obaj myślicie, że, jest to dla makie szok. Otóż nie. Podejrzywałem to już od pewnego czasu.

- Cieszę się, że to słyszę. Szczerze mówiąc, kiedy byłem w twoim wieku takie samo odkrycie bardzo mną wstrząsnęło. Wszedłem do biblioteki mojego ojca - do tego samego pokoju - żeby się z nim rozprawić. Chciałem go zabić - powiedział na to ojciec.

- A zrobił to pan? - zapytał Dr. Marsch.

- To nie ma chyba znaczenia. Istotny jest mój zamiar. Mam nadzieję, że pańska obecność załagodzi Numerowi Piątemu to przeżycie.

- Tak pan na niego mówi?

- Tak mi wygodniej, bo nazywa się tak samo jak ja. - Jest pana piątym klonem?

- Moim piątym eksperymentem? Nie! - Ojciec zgarbił się. Wysokie ramiona wtulone w ciemny

szkarłat starego szlafroka sprawiały, że wyglądał jak dziki ptak. Przypomniało mi się, że widziałem kiedyś w jakiejś historii naturalnego ptaka, który nazywał się czerwonoramienny orzeł. Posiwiła za starości ulubiona małpka ojca wspięła się na biurko. - Nie, raczej pięćdziesiątym, jeśli pan musi to wiedzieć. Robiłem je dla wprawy. Wy, którzy nigdy tego nie próbowaliście, myślicie, że to prosta technika, bo obilo wam się o uszy, że to możliwe. Nie wiecie jednak jak trudno jest uniknąć

spontanicznych różnic. Każdy gen, który we mnie dominuje musi pozostać dominantą, a ludzie to nie zielony groszek. Proste prawo Mendla nie zawsze się tu sprawdza.

- Niszczył pan te, które nie wyszły? - zapytał Marsch

- Sprzedawał je - powiedziałem. - Kiedy byłem dzieckiem zastanawiałem się, czemu Mr. Milion zatrzymywał się na targu, żeby się przyjrzeć niewolnikom. Teraz już wiem. - Skalpel wciąż leżał w futerale w mojej kieszeni. Czułem go.

- Mr. Milion jest może bardziej sentymentalny ode mnie - odezwał się ojciec. - Poza tym nie lubię wychodzić z domu. Widzi pan, Doktorze, będzie pan musiał uściślić swoje przypuszczenie, że jesteśmy tą samą osobą. Są jednak drobne różnice.

Dr. Marsch już miał odpowiedzieć, ale przerwałem mu.

- Po co? - zapytałem. - Po co David i ja? Po co kiedyś Ciotka Jeannine? Po co to ciągnąć?

- Tak - powiedział ojciec. - Po co? Zadajemy to pytanie, żeby móc dalej pytać.

- Nie rozumiem.

- Szukam samowiedzy. Jeśli zgodzisz się tak to ująć, szukam samowiedzy. Istniejesz dzięki mnie, a ja istnieję dzięki osobie, która była przede mną, a sama powstała dzięki temu, którego umysł

symuluje Mr. Milion. Jednym z pytań, na które szukamy odpowiedzi jest - dlaczego jej szukamy.

Ale to nie wszystko. Pochylił się do przodu, a małopka uniosła biały pyszczek i błyszczące,

zdziwione oczy, by spojrzeć mu w twarz. - Chcemy dowiedzieć się, czemu wciąż nam nie

wychodzi, czemu inni rozwijają się i zmieniają, a my wciąż jesteśmy tutaj.

Pomyślałem o jachcie, o którym rozmawiałem z Phaedrią i powiedziałem :

- Ja tu nie zostanę.

Dr. Marsch uśmiechnął się.

- Nie zrozumiałeś mnie chyba - odezwał się ojciec. - Nie mówiłem "tutaj" w sensie fizycznym, tylko "tutaj" w odniesieniu do naszego intelektu i pozycji społecznej. Wiele podróżowałem, może i ciebie to czeka, ale...

- Zawsze kończy się to tutaj - podpowiedział Dr. Marsch.

- Wciąż na tym samym poziomie.- Był to chyba jedyny raz, kiedy widziałem ojca podnieconego.

Wymachiwał rękoma w stronę notatników i taśm, piętrzących się wzdłuż ścian, z trudem

dobytując głosu. - Ile to już pokoleń? I nie zdobyliśmy sławy ani władzy nawet na tej małej, skolonizowanej planecie. Trzeba coś zmienić, ale co? - Wlepił oczy w Dr: Marscha.

- Nie was jednych to spotkało - powiedział Dr. Marsch i uśmiechnął się. - Brzmi to jak truizm.

Nie miałem jednak na myśli pańskiego duplikowania się. Chodzi mi o to, że od czasu, kiedy stało się to możliwe na Ziemi, w ostatnim ćwierćwieczu XX wieku, kilkakrotnie powstawały podobne

serie ludzi. Dla opisanego tego zjawiska zapożyczyliśmy termin technologiczny. Nazywamy to

procesem relaksacji. To złe określenie - ale nie ma lepszego. Czy wie pan, czym jest relaksacja w technice?

- Nie.

- Niektórych zagadnień nie można rozwiązać od razu, lecz tylko poprzez szereg przybliżeń. Na

przykład przy wymianie ciepła obliczenie temperatury na powierzchni ciała o nieregularnych

kształtach może być początkowo niemożliwe. Ale inżynier albo komputer mogą założyć jaka

przypuszczalnie będzie ta temperatura, zbadać w jakim stopniu wartości te sprawdziły się, a jakim jeszcze podlegają zmianom i na tej podstawie je uściślić. W miarę jak zwiększa się dokładność

danych przybliżeń, kolejne zestawy temperatur są coraz bardziej do siebie podobne, aż w końcu

można w zasadzie wyeliminować wszelkie zmiany. Dlatego właśnie twierdzę, że jesteście tą samą osobą.

- Chciałbym, żeby przekonał pan Numer Piąty - dowiedział niecierpliwie ojciec - że wszystkie

doświadczenia, które na nim wykonałem, a szczególnie badania narkoterapeutyczne, których tak

bardzo nie lubi, są konieczne. Jeżeli marny osiągnąć coś więcej, niż do tej pory, musimy się

dowiedzieć... - Ojciec krzychał już prawie. Przerwał, żeby zapanować nad głosem. - Taki jest cel jego istnienia, a także istnienia Davida. Chciałem się czegoś dowiedzieć dzięki skrzyżowaniu z

kimś innym.

- Podobnie można pewnie uzasadnić przyjście na świat Dr. Veil o pokolenie wcześniej -

powiedział Dr. Marsch. - jeśli jednak chodzi o badanie pańskiej, odmłodzonej osobowości, to tak samo przydatne byłyby jego badania nad panem.

- Chwileczkę - powiedziałem. - Wciąż pan mówi, że on i ja jesteśmy identyczni. To nieprawda.

Zgadzam się, że pod pewnymi względami jesteśmy podobni, ale tak naprawdę jestem inny niż ojciec.

- Nie ma takich różnic, których nie tłumaczyłby wiek. Ile masz lat? Osiemnaście. A pan - spojrzał na ojca - pewnie prawie pięćdziesiąt. Są tylko dwa czynniki, które sprawiają, że ludzie różnią się między sobą. To dziedziczność i środowisko, charakter i pożywienie. Ponieważ osobowość kształtuje się głównie w ciągu pierwszych trzech lat życia, decydujący wpływ wywiera na nią atmosfera domu rodzinnego. Każdy rodzi się w jakimś środowisku, chociaż czasem może ono być tak niedobre, że go zabija. Nikt nie tworzy sobie środowiska, w którym się wychowuje. Zapewnia mu to poprzednia generacja. Jedyny wyjątek stanowi sytuacja relaksacji antropologicznej.

- Tylko dlatego, że obaj wychowaliśmy się w tym domu.

- Który pan zbudował, umeblował i zapełnił wybranymi przez siebie ludźmi. Ale chwileczkę.

Porozmawia my o człowieku, którego żaden z was nie widział, który urodzi się w domu przygotowanym przez zupełnie od niego odmiennych rodziców: to znaczy o pierwszym z was...

Już go nie słuchałem, Przyszedłem, żeby zabić ojca i Dr. Marsch musiał stąd wyjść. Przyglądałem mu się, jak siedząc na krześle pochyla się do przodu i żywo gestykuje długimi białymi dłońmi.

Okrutne usta poruszały się w oprawne czarnej brody. Patrzyłem na niego, ale nic nie słyszałem.

Było to tak, jakbym ogłuchł albo jakby on potrafił porozumiewać się tylko za pomocą bezdźwięcznego przekazywania myśli, a ja wiedząc, że są to głupie kłamstwa odciąłem się od nich.

- Pan jest ze Świętej Anny - powiedziałem nagle.

Spojrzał na mnie ze zdziwieniem, przerywając jakieś bezsensowne zdanie.

- Owszem, byłem tam kilka lat zanim przyjechałem tutaj.

- Pan się tam urodził. Studiował pan tam antropologię z książek napisanych na Ziemi dwadzieścia lat wcześniej. Jest pan autochtonem albo półautochtonem. Ale my jesteśmy ludźmi.

Marsch zerknął na ojca i odpowiedział:

- Autochtonów już nie ma. Według naukowców ze Świętej Anny wymarli prawie sto lat temu.

- Nie wierzył pan w to, kiedy przyszedł pan zobaczyć się z ciotką.

- Nigdy nie zgadzałem się z Hipotezą Veila. Chodziłem do wszystkich, którzy cokolwiek opublikowali z mojej dziedziny. Naprawdę nie mam czasu tego słuchać.

- Jest pan autochtonem, a nie Ziemianinem. Chwilę potem byłem sam na sam z ojcem.

Większość wyroku odbyłem w obozie pracy w Górach Strzępiastych. Był to mały obóz -

przeważnie przebywało tam koło 150 więźniów - a czasami, kiedy w zimie szczególnie wielu

zmarło - mniej niż osiemdziesięciu. Rąbaliśmy drzewo i wypalaliśmy z niego węgiel. Jeśli

znaleźliśmy dobrą brzezinę, robiliśmy narty. Nad granicą lasu zbieraliśmy rzekomo leczniczy mech solankowy i snuliśmy dalekosiężne plany budowania pochylni do zsuwania kamieni, które

zmiażdżyłyby sztywno kroczące roboty, które były naszymi strażnikami. Ten moment jednak nie

nadszedł. Kamienie nigdy nie chciały zjeżdżać. Praca była ciężka, a strażnicy dokładnie tak surowi i sprawiedliwi, jak ich zaprogramowano. Załatwiono na zawsze sprawę faworyzowania lub

brutalnego traktowania więźniów przez najemnych dozorców i tylko dobrze ubrani panowie na

zebraniach zarządu więzień mogli być okrutni bądź pobłażliwi.

Tak im się przynajmniej wydawało. Czasem godzinami rozmawiałem z moim strażnikiem o Mr.

Milionie. Raz w kącie, w którym spałem znalazłem schowany kawałek mięsa, a raz kostkę

twardego, brązowego i gruboziarnistego jak piasek cukru.

Przestępca nie może odnieść korzyści ze swego czynu. Jak powiedziano mi dużo później - sąd nie

znalazł dowodów, że David był faktycznie synem mego ojca i uczynił ciotkę jego

spadkobierczynią.

Kiedy umarła, jej pełnomocnik poinformował mnie w liście, że odziedziczyłem "duży dom w

mieście Port-Mimizon wraz z meblami i przyległymi do niego ruchomościami". Dom ten "znajduje się przy ul. Saltimbanque 666 i jest obecnie pod opieką służącego-roboty". Ponieważ roboty, które mnie pilnowały nie zezwalały na posiadanie przyborów o pisania, nie mogłem odpisać.

Czas leciał jak na skrzydłach. Jesienią znalazłem nieżywe skowronki u podnóży wysuniętych na

północ skał, a na wiosnę na stokach, zwróconych na południe.

Dostałem list od Mr. Miliona. Większość dziewcząt zatrudnionych u ojca odeszła podczas śledztwa w sprawie jego śmierci. Resztę musiał zwolnić, kiedy zmarła ciotka, bo jako maszyna nie był w stanie wyegzekwować niezbędnego posłuszeństwa. David wyjechał do stolicy. Phaedria wyszła dobrze za mąż, a Marydol została sprzedana przez rodziców. Data na liście była trzy lata późniejsza niż data mojej rozprawy w sądzie. Trudno było mi jednak stwierdzić, jak długo list szedł do mnie. Kopertę wiele razy otwierano i zaklejano. Była brudna i podarta.

Kiedyś, po burzy, z trudem furkocząc skrzydłami, przyleciał do naszego obozu jakiś morski ptak, chyba gap. Był tak wyczerpany, że nie mógł już dalej pofrunąć. Zabiliśmy go i zjedliśmy.

Jeden z naszych strażników dostał szału, spalił piętnastu więźniów i całą noc walczył z innymi strażnikami mieczami białego i niebieskiego ognia. Na jego miejsce nie dano potem drugiego.

Z kilkoma innymi więźniami przeniesiono mnie do obozu na północy. Były tam czerwone skały o tak głębokich rozpadlinach, że jeśli wrzuciłem do nich kamyczek, to jego grzechotanie zmieniało się wkrótce w huk osuwających się skał, który pół minuty później całkowicie cichnął z powodu oddalenia i ginął gdzieś w ciemności, nie sięgając dna.

Udawałem, że jestem wśród ludzi, których znałem. Kiedy osłaniałem przed wiatrem miskę z zupą, Phaedria siedziała obok mnie na ławce i z uśmiechem opowiadała o swoich znajomych.

David całymi godzinami grał na zakurczonym podwórku naszego obozu w rakiетки i spał przy ścianie obok mego legowiska. Kiedy szedłem w góry z piłą, trzymałem za rękę Marydol.

Z czasem wspomnienia zacierały się, ale nawet w ostatnim roku więzienia co noc zasypiałem z myślą, że Mr. Milion rano weźmie nas do biblioteki miejskiej i zawsze budziłem się ze strachu, że przyszedł po mnie służący ojca.

Potem powiedziano, że ja i jeszcze trzech więźniów mamy iść do innego obozu. Sami nieśliśmy prowiant, ale w drodze niemal pomarliśmy z głodu i z zimna. Stamtąd zaprowadzono nas do

następnego obozu, gdzie przesłuchiwali nas nie tacy jak my więźniowie, lecz wolni ludzie w mundurach. Z tego, co mówiliśmy porobili notatki, a w końcu kazali nam się wykąpać, spalili nasze stare ubrania i dali nam duże kawały mięsa z kaszą.

Pamiętam, że dopiero wtedy pozwoliłem sobie pomyśleć, co to wszystko oznacza. Maczałem

chleb w pachnącym sosie, tak, że cały nim przesiąkał i zgarniałem nim kawałki mięsa i ziarna kaszy. Pomyślałem o smażonym chlebie i o kawie na targu niewolników nie jak o wspomnieniu z przeszłości, ale jak o czymś, co mnie jeszcze czeka. Ręce zaczęły mi się trząść i w końcu nie mogłem już utrzymać miski. Miałem ochotę biec ku ogrodzeniom obozu i krzyczeć.

Dwa dni później sześciu z nas wsadzono do zaprzęgniętego w muły wozu, którym krętymi drogami zjeżdżaliśmy w dół i w dół, aż zostawiliśmy za sobą kończącą się już zimę, zniknęły brzozy i jodły, a strzeliste przydrożne kasztany i dęby obsypane były wiosennymi kwiatami.

Na ulicach Port-Mimizon było rojno od ludzi. Zgubiłbym się już po chwili, gdyby Mr. Milion nie zamówił dla mnie lektyki. Kazałem tragarzom zatrzymać się i za pieniądze, które mi dał, kupiłem od ulicznego sprzedawcy gazetę, żeby w końcu dowiedzieć się, jaka naprawdę jest data.

Miałem odsiedzieć zwykłą w podobnych przypadkach karę pozbawienia wolności od roku do pięćdziesięciu lat. Znałem miesiąc i rok, kiedy mnie zamknięto. W obozach nie było jednak możliwości, żeby wiedzieć, jaki jest rok bieżący. Każdy to liczył, ale nikt nie znał. Ktoś dostawał gorączki i za dziewięć dni, kiedy znów mógł pracować, mówił, że minęły dwa lata. Potem ty sam dostawałeś gorączki. Z gazety, którą kupiłem, nie pamiętam żadnego nagłówka, żadnego artykułu. Całą drogę do domu wpatrywałem się tylko w datę nad tytułem.

Minęło dziewięć lat.

Kiedy zabiłem ojca miałem osiemnaście lat. Teraz miałem dwadzieścia siedem. Myślałem, że mam ze czterdzieści.

Szare, łuszczące się ściany naszego domu nic się nie zmieniły. Żelazny pies z trzema wilczymi

łbami w dalszym ciągu stał w ogrodzie od frontu, ale fontanna ucichła, a wśród paproci i mchu było pełno chwastów. Mr. Milion zapłacił tragarzom, otworzył kluczem drzwi, które za czasów ojca były zawsze zamknięte tylko na łańcuch. Kiedy to zrobił, podbiegła do nas bardzo wysoka, chuda

kobieta, która sprzedawała na ulicy pralinki. Była to Nerissa. Miałem teraz służącą, a gdybym tylko chciał mogłem mieć kochankę, chociaż nic jej nie mogłem zapłacić.

Muszę teraz chyba wyjaśnić czemu spisywałem te wspomnienia. Kosztowało mnie to wiele dni



pracy. Muszę też wytłumaczyć, dlaczego się tłumaczę. No więc tak. Napisałem to, żeby dokonać rachunku sumienia, a zrobiłem to teraz, ponieważ wiem, że kiedyś przeczytam to i będę się wstydził.

Być może do tego czasu rozwiążę zagadkę mojego "ja" albo też przestanie mi na tym w ogóle zależeć.

Od czasu, gdy wyszedłem na wolność minęły trzy lata. Kiedy po raz pierwszy weszliśmy tu z

Nerissą, w domu panował straszny bałagan, gdyż jak opowiadał Mr. Milion, ciotka spędziła ostatnie dni swego życia na poszukiwaniu skarbu, który ojciec rzekomo gdzieś ukrył. Nie znalazła go, a

moim zdaniem w ogóle go nie ma. Ponieważ znam jego charakter lepiej niż ona, jestem

przekonany, że większość tego, co zarobił na dziewczynach wydał na doświadczenia i aparaturę.

Początkowo sam bardzo potrzebowałem pieniędzy, ale dzięki reputacji, jaką miał nasz dom szybko

ściągnęły do niego dziewczyny, które chciały się sprzedać i mężczyźni, którzy chcieli je kupić.

Pomyślałem od razu, że moja rola sprowadzi się niemal wyłącznie do tego, że ich sobie przedstawię i mam już teraz dobry komplet pracownic. Phaedria mieszka z nami i też pracuje - jej tak wspaniale zapowiadające się małżeństwo okazało się pomyłką. Kiedy wczoraj pracowałem w sali operacyjnej,

usłyszałem, że jest przy drzwiach. Otworzyłem i zobaczyłem, że ma ze sobą dziecko. Kiedyś one

przyjdą po nas.

## PIERZASTE TYGRYSY

Ta wielka rzeka w dole to Mekong - powiedział jacht powietrzny. - To bardzo słynna rzeka. Moi panowie prowadzili w jej okolicach wojnę, która trwała... z pewnością nie uwierzyłbyś, jak długo.

- Zgadza się - odparł Quoquo, psycholog. Był miękki, niebieski i przypominał trochę

wyrośniętego nad miarę królika. - Nie uwierzyłbym. I ciągle nie mogę zrozumieć, po co twoi, jak ich nazywasz "panowie" stworzyli maszyny które kłamią.

- Wydawało mi się - zauważył z szacunkiem jacht - że twoim głównym zadaniem jest właśnie zrozumienie moich odeszłych w niebyt szacownych panów. Z całą pewnością...

- Zamilcz, proszę - powiedział Quoquo, który co prawda rejestrował tę rozmowę z myślą o

swoich przyszłych wykładach, ale teraz wolałby zdecydowanie porozmawiać za pośrednictwem

przytroczonego do pasa komunikatora z jednym ze znajdujących się w dole uczestników ekspedycji.

- Oczywiście. Czy mam zniżyć lot? Mógłbym wtedy pokazać ci wiele interesujących rzeczy.

Gdybyś chciał, moglibyśmy nawet przelecieć kilka razy nad Angkor Thom.

- Leć tam, gdzie ci kazałem.

Jacht rozpostarł skrzydła (podczas lotu z prędkością naddźwiękową były one przyciśnięte do kadłuba i maszyna przypominała wysmukłą, srebrną strzałę, teraz jednak, z rozstawionymi szeroko płatami i raketowym ogniem liżącym niezniszczalną powłokę, jacht wyglądałby jak Feniks, gdyby oczywiście przyglądała mu się choćby jedna para oczu, którym widok Feniksa byłby znajomy) i wylądował nieopodal Eksperymentalnej Stacji Biologicznej 73, celu podróży Quoquo.

- Za życia moich panów miejsce to było częścią Kambodży - oznajmiła maszyna. - Nie mogę ci podać nazwy miasta, bo żadnego nie ma w pobliżu. Te góry, które widzisz, to Pasma Dangrek.

Quoquo tylko chrząknął w odpowiedzi.

Nieco później Dondiil, biolog przebywający na stałe w Stacji, zapytał z podziwem w głosie:

- Przyleciałeś jedną z i c h maszyn?

- Oczywiście - parsknął Quoquo. - Chciałem się czegoś dowiedzieć, a poza tym są znacznie szybsze od naszych.

- I dowiedziałeś się czegoś?

Quoquo pogłaskał się po brzuchu, zaczesując sobie futerko w poziomie pasy. Był to zwyczajowy gest wyrażający negację połączoną z zakłopotaniem.

- Spędziłem już tysiące godzin próbując wyciągnąć coś z tych maszyn i powinienem wiedzieć, że to beznadziejna sprawa... Ale cóż, zawsze przecież ma się nadzieję.

Dondiil przyznał mu rację energicznym potrząśnięciem całego ciała.

- Przekonałem się, że ich maszyny dysponują bardzo ograniczonym zasobem wiedzy - powiedział dyplomatycznie. - Biologicznej wiedzy, rozumie się.

Quoquo zdawał się go nie słyszeć.

- Znają historię i geografę - mówił. - Geografia to nazwy miejsc, a historia to bezsensowne walki i wyprawy. Pewien mój kolega spędził wiele razy po dwadzieścia okresów czuwania, żeby

udowodnić ponad wszelką wątpliwość, że Paryż we Francji i Paryż w Teksasie nie miały ze sobą

nic wspólnego oprócz nazwy. "Francja" znaczy tyle; co "Kraina Franków", czyli tych, którzy zawsze mówią prawdę. "Teksas" oznacza "Kraj Przyjaciół", czyli tych którzy ze sobą nie walczą.

"Przyjaciele", na których cześć tak nazwano tę Krainę, byli kanibalami. Czy to nie robi wrażenia?

- Z psychologicznego punktu widzenia może i tak przyznał Dondiil - ale jako biolog uważam za zupełnie naturalne, że obszary nadmorskie i wyspy są deficytowe, jeżeli chodzi o proteiny pochodzenia zwierzęcego.

- Obecnie - kontynuował swoją myśl Quoquo - mam zamiar badać te istoty w ich najbardziej prymitywnym stadium rozwoju.

- A jak ja mogę ci pomóc?

- W trakcie moich przygotowań skatalogowałem ponad dziesięć dwudziestek takich prymitywnych grup i uszeregowałem je według ilości informacji, jakimi na ich temat dysponuję.

Jedna ze stojących na najniższym szczeblu rozwoju nazywała się "Ludźmi Żółtych Liści". Czy wiesz coś może na ich temat?

Dondiil pogładził się poziomo po brzuchu.

- Zamieszkiwali dokładnie ten obszar. Cechowało ich posiadanie pewnego przesądu, nie występującego w żadnej innej części planety - wierzyli w istnienie "pierzastych tygrysów".

Uszy Dondiila ustawiły się w pozycji wyrażającej wielkie zainteresowanie.

- Wiesz, nad czym pracuję - wpadł w słowo koledze. Usiłuję odtworzyć ten wymarły gatunek, to znaczy te zwierzęta, które oni nazywali "tygrysami"... - Przerwał, żeby po chwili dodać: - Ale, szczerze mówiąc, nie wiem, jak to może pomóc w rozwiązaniu twego problemu, czyli zniknięcia rasy, która niegdyś władała tym światem.

Quoquo stał przez chwilę w miejscu, poruszając szybko swym ogonkiem, po czym zaczął

przechadzać się po pomieszczeniu.

- Wiemy z badań nad pozostawionymi przez nich zapisami, jak również z tego, co usłyszeliśmy od ich maszyn, że przed ich zniknięciem wyginęło wiele gatunków dzikich zwierząt.

Dondiil przytaknął mu energicznym potrząśnięciem ciała.

- Na przykład pewne prymitywne plemię zamieszkujące basen Kongo, Batwa - kontynuował Quoquo - wyginęło mniej więcej w tym samym czasie, co goryl nizinny. Podobnie po wytrzebieniu pelikana brązowego nie spotyka się już wzmianek o francuskojęzycznej ludności zamieszkującej obszary nad dolną Missisipi.

- A Ludzie Żółtych Liści?

- Zniknęli w tym samym czasie, co twoje tygrysy.

- Ale chyba nie uważasz, że ponowne pojawienie się tygrysów... - ... spowoduje ponowne pojawienie się związanego z nimi plemienia - zaśmiał się Quoquo. - Oczywiście, że nie. Ale jako psycholog bardzo chciałbym wiedzieć, jak obecność tych zwierząt wpływała na umysłowość mieszkających tu niegdyś istot. W przypadkach, o których ci wspomniałem, nie ma żadnych szans na przekonanie się o tym, a to dlatego, że po tamtych zwierzętach nie pozostał nawet najmniejszy ślad. Tobie natomiast udało się odtworzyć tygrysy i to dokładnie w tym samym miejscu, gdzie żyła związana z nimi grupa. Chciałbym spróbować odczuć to, co czuły te wymarłe istoty. Mogę nauczyć się myśleć tak, jak one i wtedy dowiemy się o wiele więcej, niż udało nam się dowiedzieć do tej pory.

- Ale przecież tygrysy istniały naprawdę - zaprotestował Dondiil. Odnaleźliśmy kilka kompletnych szkieletów. Ty zaś powiedziałaś, że pierzaste tygrysy były tylko przesądem.

- Bo były. Ludzie Żółtych Liści wierzyli, że tygrysy - te prawdziwe, którymi ty się zajmujesz - potrafią oddzielić swoją duszę od ciała i wysłać ją naprzód w poszukiwaniu zdobyczy. Ich obecność można było stwierdzić na podstawie specyficznego układu światłocieni, słonecznych plam, drżenia liści i temu podobnych fenomenów, kojarzących się obserwatorowi z prawdziwymi tygrysami.

- A dlaczego nazywano je "pierzastymi"? - zapytał Dondiil.

- Przy najłżejszym podmuchu wiatru te "tygrysy", rzecz jasna, znikały. Ludzie Żółtych Liści tłumaczyli to tym, że dusze tygrysów są niezwykle lekkie, jak pióra, i że wiatr unosi je po prostu ze sobą. -

Westchnął. Gdy ludzie z grup stojących na wyższym szczeblu rozwoju przybywali w te okolice, nie mogli się nadziwić, że przesąd ten jest przyczyną tak ogromnego strachu i przerażenia.

A jednak, gdy zniknęły tygrysy, zniknęli też Ludzie Żółtych Liści, być może byli bardziej związani z naturą niż przypuszczali to ci, którzy ich odwiedzali. Zdaje się, że tak też miała się sprawa z całą tą rasą.

- Czy nie nadużyję twojej cierpliwości, jeśli poproszę cię o wyjaśnienie, dlaczego tę grupę nazywano Ludźmi Żółtych Liści? - zapytał Dondiil.

- Bali się bardzo znacznie liczniejszej i bardziej zaawansowanej w rozwoju grupy zwanej Syjamczykami wyjaśnił Quoquo. - Syjamczycy zabijali ich mężczyzn i zabierali ich kobiety. Z tego powodu całe plemię kryło się w najbardziej niedostępnych częściach gór, schodząc do dolin tylko wtedy, gdy zmuszał ich do tego głód. Najczęściej było to w okresie suszy, przed nadejściem zimowego monsunu.

- Rozumiem. Wtedy wyschnięte liście, szczególnie bambusa, są właśnie koloru żółtego.

- Otóż to. I tylko wtedy mógł ich zobaczyć ktoś obcy. Czy mógłbyś mi teraz pokazać swoje tygrysy?

Klatki, w których Dondiil trzymał zwierzęta stanowiące owoc jego doświadczeń, znajdowały się na zewnątrz. Jego asystenci utrzymywali wokół nich dwudziestostokowej szerokości pas wolny od roślin; w miejscu, gdzie się kończył, zaczynała się nieprzebytą ścianą dżungla wschodniej Azji.

Quoquo przyglądał się temu przez chwilę, po czym odwrócił się w stronę okazów Dondiila.

- Niezwykle ciekawe - zauważył. - Czy te czarno-pomarańczowe pasy są autentyczne?

- Jak najbardziej - odparł Dondiil.

- Powiedz mi, jak to osiągnąłeś? Jak można odtworzyć zupełnie umarły gatunek zwierząt?

Mówiąc to Quoquo dotknął ręką swego prawego ucha, co znaczyło, że chociaż wie, co za chwilę usłyszy, to jednak uważa, że zwykłe zasady dobrego wychowania wymagają, żeby jednak zadał te pytania i ewentualnie skorygował lub poszerzył zakres posiadanych przez siebie wiadomości.

- Odkryliśmy sporo materiałów, w tym także kolorowe zdjęcia - odparł skromnie Dondiil. - Do

tego jeszcze natrafiliśmy na szkielety, o których już ci wspominałem. W dodatku, chociaż tygrysy jako takie wyginęły, zachowało się wiele gatunków mniejszych, spokrewnionych z nimi kotów.

Krzyżowaliśmy je przez dwie dwudziestki obiegów tej planety dokoła Słońca, zmieniając ich kod genetyczny i dobierając materiał z każdego następnego pokolenia pod kątem rozmiarów, ubarwienia i innych cech charakterystycznych dla tygrysów.

- Ale - odezwał się Quoquo unosząc dłoń w geście przerywającym rozmówcy wypowiedź, chociaż Dondiil i tak przestał już mówić - czy moglibyście przeprowadzić selekcję również pod kątem charakterystycznego dla tygrysów zachowania? Mam przed sobą pięć wielkich, pręgowanych zwierząt, które obserwują mnie niesamowitymi, pięknymi oczami, ale czy to mają być właśnie te okrutne bestie, siejące postrach wśród Ludzi Żółtych Liści? Leżą właściwie bez ruchu, jeśli nie liczyć koniuszków ich ogonów i jeżeli mam być szczery, to ich widok wcale nie wywołuje u mnie dreszczu przerażenia.

- Jest całkiem prawdopodobne, że pod tym względem mój eksperyment niezupełnie się powiódł - przyznał markotnie Dondiil - chociaż muszę powiedzieć, że dostarczane im bydło zabijają niezwykle sprawnie.

- Nie znam się na psychologii zwierząt, ale jeśli chcesz, dam ci adres mojego kolegi, który być może mógłby ci coś doradzić. - Mówiąc to odwrócił się, żeby odejść, ale w tej właśnie chwili jeden z tygrysów zakaszłał. Był to głęboki, wibrujący dźwięk, zakończony długim, powtarzanym wielokrotnie "rrr".

- Któreś z twoich zwierząt jest chyba chore - zauważył Quoquo.

- Och, nie - odparł Dondiil. - To charakterystyczny dla nich odgłos. Zbliża się pora karmienia, dlatego robią się trochę niespokojne.

Quoquo ponownie spojrzał w kierunku klatek. Jedno ze zwierząt usiadło i w momencie, kiedy na nie patrzył, rozwarło paszczę w szerokim ziewnięciu.

- Mają wspaniałe zęby - zauważył Quoquo.

- Ten akurat jest jednym z mniejszych. Powinieneś zobaczyć tego dużego, tam, w kącie.

- No cóż, bardzo to było ciekawe - powiedział Quoquo zacierając dłonie w geście wyrażającym zadowolenie z gościnności gospodarza. - Zyskałem wiele nowych wiadomości, ale teraz muszę już zająć się moimi własnymi sprawami.

- Zamierzasz przejść się po dżungli?

- Oczywiście. Jakże inaczej mógłbym obserwować i fotografować te cienie i plamy światła, o których ci mówiłem? Mam przy sobie komunikator, więc gdybyś był uprzejmy włączyć nadajnik wysyłający sygnał kierunkowy, to z pewnością uda mi się uniknąć zabłądzenia, sam natomiast zatroszczę się o to, żeby nie wpaść do żadnej przepaści.

- Nie chcesz zobaczyć, jak karmimy zwierzęta? - zapytał z lekkim rozczarowaniem w głosie Dondiil. Niezbyt często miewał tutaj gości.

- Najpóźniej jutro muszę być z powrotem za biurkiem - odparł Quoquo sprawdzając, czy wszystko w porządku z jego aparatem. - Jest tu jakieś wejście do dżungli, czy będę musiał używać miotacza?

- Będziesz musiał - powiedział, Dondiil. - Tak właśnie zawsze robimy. Trzeba iść prosto przed siebie, a prędzej czy później zawsze trafi się na trop jakiejś zwierzyny.

Quoquo pochylił głowę (konwencjonalny gest oznaczający przyjęcie czegoś do wiadomości), odbezpieczył miotacz, ustawił przełącznik mocy rażenia w pozycji środkowej i nacisnął spust. W zielonej ścianie pojawiła się stuskokowej długości i jednoskokowej średnicy dziura.

W ciągu dwóch godzin udało mu się przejść spory kawał w głąb dżungli i sfotografować ogromną w liczbę cieni, poruszających się liści i zielonych drzew, które jednak, jak musiał przyznać w duchu, w najmniejszym nawet stopniu nie przypominały pręgowanych zwierząt Dondiila. Na użytek przenośnego rejestratora powiedział:

- Od jakiegoś czasu wędruję po porośniętych dżunglą zboczach Gór Dangrek, stanowiących niegdyś ostatnią ostoje prymitywnego plemienia zwanego Ludźmi Żółtych Liści i dużego, mięsożernego zwierzęcia zwanego "tygrysem". Przekonałem się, jak bardzo odizolowani od reszty

świata byli Ludzie Żółtych Liści i jak trudna była ich walka o przetrwanie - walka, którą ostatecznie przegrali. Nie uzyskałem jednak żadnego potwierdzenia teorii łączącej ich zniknięcie ze zniknięciem tygrysów. Plamy światła docierające tu przez gęstwinę gałęzi i liści tworzą często najfantastyczniejsze kształty, zaś tyki bambusów, choć niemożliwe do zgięcia, chwieją się w najłżejszych podmuchach wiatru, ale ani te zjawiska, ani żadne inne nie wywołują skojarzeń z jakimikolwiek zwierzętami. Krótko mówiąc, nie widziałem żadnych "pierzastych tygrysów".

Wyłączył rejestrator i nasłuchiwał przez moment cierpliwego popiskiwania sygnału naprowadzającego, zastanawiając się, czy powinien iść jeszcze dalej, czy może lepiej by było wracać już do Stacji. Właśnie zdecydował się na to drugie, kiedy popiskiwanie ucichło, a zamiast niego z komunikatora odezwał się podekscytowany głos Dondiila:

- Quoquo! Quoquo, słyszysz mnie?

- Słyszę - odpowiedział. - Przyszła do mnie jakaś wiadomość?

- Quoquo, moje zwierzęta uciekły. Potrzebuję twojej pomocy.

- Chyba żartujesz?

- To było w czasie karmienia - bełkotał Dondiil - jeden z moich asystentów otworzył drzwi

klatki, żeby wpuścić do środka małego wołu, a tygrysy niespodziewanie rzuciły się do wyjścia. Na zewnątrz opanowało je prawdziwe szaleństwo, nie zwróciły w ogóle uwagi na jedzenie, tylko

rzuciły się od razu w kierunku przejścia, które wypaliłeś. Jeden zahaczył łapą biednego Aniipana, który jest w stanie krytycznym. Chyba rozumiesz, że trzeba je koniecznie schwytać: Gdyby zginały, opóźni to znacznie moje badania. Czy mógłbyś mnie poinformować natychmiast, jak tylko

zobaczysz któregoś z nich i nie spuszczać go z oka, dopóki się tam nie zjawimy?

- Oczywiście - odparł Quoquo wyjmując miotacz i sprawdzając stan ładunku. - Ale muszę cię

uprzedzić, że właśnie zamierzałem wracać i nie zmieniłem decyzji. Również jeżeli uznam, że moje własne bezpieczeństwo wymaga, bym zranił któreś z tych stworzeń, nie zawaham się tego uczynić.

- Rozumiem - potwierdził Dondiil i przerwał połączenie.

Quoquo nie przebył nawet stu skoków, kiedy zauważył pierwszego tygrysa przyczajonego w gęstym poszyciu. Nie było czasu na to, żeby zawiadomić Dondiila, czy w ogóle na cokolwiek poza



błyskawicznym poderwaniem miotacza i naciśnięciem na spust. Błysk ognia rozświetlił na moment mroczniejącą dżunglę, a gdy minęło napięcie, Quoquo obejrzał dokładnie miejsce, w którym znajdowało się zwierzę. Szukał jakichś jego fragmentów, które można by później zbadać. Nie znalazł jednak nic oprócz popiołu, popękanych kamieni i spieczonych grudek ziemi.

Drugiego zabił po nie więcej niż pięćdziesięciu skokach, a trzeciego po następnych trzydziestu.

W chwili, gdy ujrzał czwartego, był już pewien, że to niemożliwe, żeby wszystkie były prawdziwe.

Zawahał się przed naciśnięciem spustu i ujrzał z przerażeniem, że pręgowana bestia niknie w gęstwinie dżungli. Wypalił, ale za późno, a potem - zamiast sprawdzić rezultat swego strzału - stał

jak wrośnięty w ziemię, rozglądając się powoli dokoła siebie, najdłużej Przyglądając się cieniom rzucanym przez potężne pnie drzew. Pierzaste tygrysy. Wszędzie pierzaste tygrysy. Wrzasnął

przeraźliwie i rzucił się na oślep do ucieczki, a błyszczące niespotykaną u żadnego zwierzęcia

inteligencją oczy patrzyły w ślad za nim z kępy żółknących bambusów.

## PIEŚŃ ŁOWCÓW

*Siedem już zim minęło, odkąd padła Troja,*

*A my wciąż płyniemy pod obcymi gwiazdami,*

*Wyglądając umykającego przed nami brzegu Italii.*

*Wergiliusz*

Odkryłem, że to małe urządzenie zapamiętuje moje słowa, a potem, dzięki mechanizmowi,

którego nie rozumiem, powtarza je. Niedawno postanowiłem sprawdzić, jak wiele może

zapamiętać. Mówiłem przez dłuższy czas, ale powtórzyło wszystko. Teraz wykasowałem to - jest

do tego specjalny guzik - i zacząłem jeszcze raz. Chce zostawić informację o tym, co mi się

przydarzyło, tak, żeby ktoś, kto przyjdzie i znajdzie mnie martwego, wszystko zrozumiał. Czuje, że ktoś przyjdzie, chociaż nie wiem dlaczego. Chciałbym, żeby wiedział.

Nie wiem, jak się nazywam. Ludzie, wśród których się znajduje i którzy, jak dotąd, byli dla mnie dobrzy, nazywają mnie Poderżnięte Gardło. To dlatego, że mam zamię biegnące

czerwonobrazową pręgą od jednego ucha do drugiego.

Każdy dzień będzie miał swój numer. Ten dzień jest pierwszy.

Ci ludzie są wyżsi ode mnie - mężczyznom sięgam zaledwie do ramienia. Mówią, że znaleźli mnie w śniegu godzinę po przejściu Wielkich Sań, ale co to takiego są te Wielkie Sanie, nie mogę się dowiedzieć. Z początku sądziłem, że nazywają tak jakieś zjawisko natury - na przykład burzę śnieżną - ale oni powtarzają, że widzieli to po raz pierwszy w życiu i że z początku nawet się przed tym schowali.

Zanieśli mnie do swego obozu. Kiedy odzyskałem już trochę siły odkryłem, że słabo, bo słabo, ale mówię ich językiem. Ubierają się w futra, a ich chaty wykonane są ze skór zwierzęcych rozpiętych na szkieletach z młodych drzewek, a potem obsypanych śniegiem. Na dworze wiatr wieje coraz mocniej, usypując wokół chat zaspę. Leżę na posłaniu z futer; jedyne, mocna przyćmione światło pochodzi z podwieszonego do sufitu na surowym rzemieniu, fosforyzującego grzyba.

Drugi dzień

Obudziła mnie jedna z kobiet, przynosząc kamienną miseczkę z czymś w rodzaju zupy, co chyba miało również spełnić rolę lekarstwa. Spytałem ją, czy tak jest w istocie, a ona odpowiedziała, że przyrządzają to gotując młode gałązki pewnego gatunku drzewa. "Zupa" była cieniutka i trochę zbyt ostro przyprawiona jak na mój smak, ale poczułem się po niej znacznie silniejszy.

Wstałem i wyszedłem na zewnątrz, a kobieta pokazała mi małe, osłonięte miejsce jakieś sto metrów od obozu - tam mężczyźni załatwiają swoje potrzeby.

Kiedy wróciłem, mężczyzn już nie było. Poszli na polowanie, wyjaśniły kobiety. Powiedziałem im, że też chciałem pójść, bo nie chcę żyć na ich koszt i z pewnością potrafiłbym zdobyć więcej mięsa, niż zjadam. Roześmiały się słysząc to i powiedziały, że jestem jeszcze zbyt młody i mały, żeby polować z mężczyznami. Nie mówiły tego, żeby mi zrobić przykrość, tylko w życzliwy,

trochę kpiarski sposób stwierdzały po prostu fakt, toteż przez chwilę czułem się, jakbym był na jakimś przyjęciu (choć żadnego przyjęcia, czy w ogóle czegokolwiek poza ostatnią nocą nie pamiętam), pomimo że dął wiatr, sypał śnieg i było bardzo zimno. Śmiały się także z mojego kombinezonu, który różni się bardzo od ich futrzanych strojów.

Potem powiedziały, że teraz idą zbierać żywność, a ja na to odparłem, że im pomogę. Bardzo je

to rozbawiło i ułożyły nawet coś w rodzaju pieśni, jak to będą deptały różne jadalne rośliny i jeszcze przed południem nie będą mógł rozprostować grzbietu. Jednak kiedy już nacieszyły się do woli, Czerwona Kluy, która, jak mi się zdaje, jest matką wodza i tym samym najważniejszą kobietą w plemieniu, weszła do jednej z chat i pojawiła się po chwili z bronią, mówiąc, że bada pilnował, by nic nie napadło i że mam starać się zabić każde zwierze, jakie udałoby mi się dostrzec. Mam tę broń do dzisiaj. Składa się z drewnianej ramy, trzech płaskich, sprężystych kawałków kości (a może rogu) i rzemiennej cięciwy. Można nią miotać kamienie albo kawałki lodu, ale właściwym pociskiem jest wygięta w specjalny sposób, pogrubiona z obydwu stron pałka z bardzo ciężkiego drewna, czasem dodatkowo nabita kawałkami kości lub ostrymi odłamkami skał. Przebyliśmy około trzech kilometrów, cały czas brnąc w śniegu, który na najłatwiejszych odcinkach sięgał nam niemal do kolan. Szliśmy jedno za drugim, zmieniając się na prowadzeniu. Kobiety poobwijały sobie stopy mocowanymi za pomocą rzemieni skórami, ja natomiast mam ciepłe, nie przepuszczające wilgoci buty z jakiegoś czarnego tworzywa. Wielokrotnie przechodziliśmy tuż koło drzew, bowiem Czerwona Kluy starała się, wtedy, gdy było to możliwe, wybierać drogę mniej zasypaną śniegiem, a to najczęściej oznaczało zawietrzną stronę lasu. Czy mogę powiedzieć, że drzewa stanowiły dla mnie pierwszą niespodzianką? Przedtem, zanim je ujrzałem, nic nie było w stanie mnie zdziwić, bowiem byłem zbyt jeszcze otępiały po tym, jak nic nie pamiętając ze swojej przeszłości, niespodziewanie znalazłem się wśród tych ludzi. Chociaż nie mogę sobie niczego przypomnieć, to wydaje mi się, że gdzieś w podświadomości mam zakodowane mgliste pojecie, dotyczące posługiwania się pewnymi przedmiotami i wyglądu niektórych rzeczy, znanych mi z nazwy, chociaż nigdy przedtem, jak mi się wydaje, nie widzianych. Nie wiem jak powinny wyglądać drzewa i trudno mi dokładnie określić, co akurat w nich mi się nie podobało. Są zielone lub zielonobrazowe i zwykle mają pojedynczy pień, chociaż są i takie o podwójnych lub potrójnych, albo o wielu pniach, łączących się w górze w jeden. U góry są gałęzie - proste, krzywe, powyginane - zależnie od gatunku. Czasem (im grubsza gałąź, tym dalej sięga) łączą się ponownie, by znowu się rozdzielić i wypuścić młode zielone pędy. Niektóre drzewa pokryte są rosnącymi pojedynczo lub w rozetkach liśćmi, inne nie mają ich wcale. Są giętkie,

chylące się pod ciężarem śniegu, a potem, gdy zsunie się niepożądany balast, prostujące się raptownie, a są i sztywne, stojące bez najmniejszego drgnienia.

Dotarliśmy wreszcie do celu wędrówki - łagodnego, nachylonego ku południowi stoku, tu i ówdzie nakrapianego sporych rozmiarów kamieniami. W wielu miejscach śnieg miał tutaj zaledwie kilka centymetrów głębokości. Kobiety rozproszyły się, odgarniając go na bok i zrywając niewielkie, wolno rosnące roślinki, którym te trudne warunki bytowania zdawały się doskonale służyć. Początkowo starałem się im pomóc, ale nie miałem pojęcia, które gatunki są jadalne, a poza tym nie miałem żadnej torby. Cały czas się ze mnie śmiały, więc w końcu dałem sobie spokój ze zbieractwem i w zamian za to zająłem się nauką strzelania z miotającej pałki kuszy.

Była to bardzo interesująca broń, a poza tym - jak się przekonałem - nie wymagająca wielkich umiejętności, jako że sprężyny odgięte są już zawczasu, a wystrzelona pałka dzięki swemu ruchowi wirowemu może trafić w cel nawet nie znajdujący się dokładnie na linii jej lotu. Czerwona Kluy pokazała mi jak należy umieścić kamień na cięciwie i z początku ćwiczyłem przy ich użyciu. Potem przypomniałem sobie, że oprócz tego nagrywającego urządzenia mam w kieszeni-składany nóż (oraz zapalniczka i kilka innych rzeczy), toteż przerzuciłem się na własnoręcznie wystruganą pałką.

Szkoda mi było tych pięknie wygładzonych i pokrytych tajemniczymi wzorami, które miałem w kołczanie. Kamienne i kościane szpikulce z pewnością by się połamały.

Nic ciekawego się nie wydarzyło aż do chwili, kiedy słońce wisiało niemal dokładnie nad naszymi głowami. Wtedy to rozległy się przeszywające krzyki, dochodzące, zdaje się, spomiędzy drzew rosnących u podnóża zbocza. Kobiety w jednej chwili przerwały zbieranie i stanęły bez ruchu niczym pnie drzew, spoglądając w kierunku, z którego rozlegał się hałas. Tak się akurat złożyło, że moja kusza przygotowana była do oddania próbnego strzału wystruganą przeze mnie pałką. Zamarłem, z bronią wycelowaną przed siebie.

Krzyki rozbrzmiewały coraz głośniejsze, aż wreszcie zza zasłony drzew wybiegła smukła postać. Z początku odniosłem wrażenie, że to dziewczyna. Potem, kiedy zaczęła biec w naszą stronę, używając zarówno tylnych, jak i przednich kończyn, że to zwierzę. Kiedy wreszcie usłyszałem z bliska

wysoki, przeraźliwy głos i ujrzałem długą szyję oraz ostrą, wysuniętą do przodu dolną część

twarzy, pomyślałem, że to ptak. Kobiety stały jak wmurowane aż do chwili, kiedy niezwykła postać dostrzegła je, zawróciła i rzuciła się do ucieczki.

Wtedy dopiero ożyły i wrzeszcząc oraz ciskając kamieniami puściły się w szaleńczą pogoń.

Byłem zdumiony, jak szybko poruszały się nawet najstarsze z nich. Czerwona Kluy krzyknęła,

żebym strzelał i po chwili wahania - postać wciąż zadziwiająco przypominała mi człowieka -

strzeliłem. Niestety, kusza załadowana była tylko lekką pałką mojej własnej roboty. Uciekinier, trafiony w okolice pasa, zatoczył się, ale nie upadł. Najszybciej, jak potrafiłem, wyciągnąłem z kołczanu ciężką, porządną pałkę i pobiegłem za kobietami.

Powiedziałem, że pobiegłem, lecz bardziej zgodne z prawdą byłoby stwierdzenie, że popędziłem

ogromnymi skokami. Chciałem tylko biec, ale każdy krok zamieniał się w pięciometrowej długości

sus i w czasie nie dłuższym niż kilka uderzeń serca przebyłem kilkusetmetrową odległość.

Jednocześnie doświadczyłem drugiego zaskoczenia: zarówno kobiety, jak i ścigana przez nas ofiara biegly nie zapadając się w ogóle w śnieg, nawet tam, gdzie miał on z pewnością ponad metr

głębokości.

Kiedy znalazłem się już tak blisko, że niemal nie można było nie trafić, przystanąłem na sporym kamieniu i strzeliłem, tym razem już ciężką, najeżoną kolcami pałką. Celowałem w głowę, ale źle obliczyłem kąt i pałka trafiła ją w kolana, łamiąc jej obydwie nogi. "Jej", gdyż teraz nie mogłem już mieć wątpliwości, że była to kobieta. Ledwo jej ciało zdążyło dotknąć śniegu, a już dopadła ją

Czerwona Kluy i reszta. Widziałem, jak umierając zwraca do słońca piękną i delikatną, choć bardzo dziwną twarz, po czym jej oczy straciły swój blask i odwróciły się, pokazując białka. Czerwona

Kluy przecięła jej tętnicę szyjną i wraz ze szkarłatną zamarzającą niemal natychmiast krwią uciekło z niej życie.

- Kto to? - zapytałem, zeskakując z głazu.

- Lenizee. Łania Lenizee. Jeszcze młoda.

Jedna z kobiet, Błyszcząca Aa, pomacała pośladki dziewczyny.

- Mężczyźni pewnie nie przyniosą nic tak dobrego. Szybko uciekała... Mięso ma tak delikatne, że chyba będzie spadać z rusztu.

- Macie zamiar ją zjeść?

- Po tym, jak ty wybierzesz jakąś część dla siebie, oczywiście - odpowiedziała, opacznie rozumiawszy moje pytanie.

- Tak - potwierdziła Czerwona Kluy. - To Poderżnięte Gardło ją zabił.

- Jesteśmy wyprawą myśliwską! - zawołała jedna z kobiet.

Czerwona Kluy dotknęła dłonią brody. Ten gest, jak zdążyłem się już zorientować, oznaczał

"tak". W tej samej chwili tam, skąd wybiegła przed kilkoma chwilami dziewczyna, rozległ się potężny ryk. Na skraju lasu stała kobieta, tak wysoka i tak potężnie zbudowana, że można ją było śmiało uznać za olbrzymkę i krzyczała coś, czego nie mogłem zrozumieć. Kobiety natychmiast jej

odpowiedziały, wymachując kamieniami, którymi ciskały za uciekającą dziewczyną. Olbrzymka

chodziła nerwowo między drzewami, nie przestając krzyczeć głosem znacznie głębszym i

potężniejszym, niż kiedykolwiek zdarzyło mi się słyszeć u mężczyzny. Miała niezwykle bujne,

sięgające niemal do pasa włosy o kolorze pakuł oraz kwadratową, silną twarz, wystarczająco

szlachetną i brutalną zarazem, by jej posiadaczka mogła być jakąś królową barbarzyńców.

Usiłowałem dowiedzieć się od kobiet, kto to jest, ale robiły tyle hałasu, że nie mogłem ich

przekrzyczeć, toteż wreszcie zająłem się wyszukaniem i załadowaniem do kuszy największej i

najgroźniej wyglądającej pałki, na wypadek, gdyby olbrzymka miała zamiar się zbliżyć.

Nie miała. Po mniej więcej godzinie bezustannych krzyków odwróciła się i zniknęła między

drzewami, pozwalając kobietom zanieść w tryumfalnym pochodzie ciało dziewczyny do obozu. W

drodze powrotnej zapytałem Czerwoną Kluy, kim była ta olbrzymka.

- Ketincha - odpowiedziała.

- Ale kto to jest?

- Po prostu Ketincha, widziałeś ją przecież. Mieliśmy szczęście, że nie było z nią jej męża.

- Gdzie oni mieszkają?

- W lesie, blisko małego wodospadu. Wiesz, gdzie to jest?

Przyznałem, że nie, po czym zapytałem, czy to liczne plemię.

- To nie plemię - roześmiała się Czerwona Kluy. - W okolicy jest za mało mięsa - trzeba ci było zobaczyć Ketina. Był jeszcze ich syn, ale gdzieś sobie poszedł.

Robiło mi się niedobrze na myśl, że miałbym jeść mięso dziewczyny, mimo iż tak mało przypominała człowieka. Kiedy jednak wrócili mężczyźni (tak się złożyło, że właściwie z pustymi rękoma), okazało się, że odmawiając przyjęcia pożywienia spowodowałbym poważny kryzys społeczny. Nie pozostawało mi więc nic innego, jak przyjąć spory kawał delikatnego mięsa i przełknąć go z tak dobrą miną, jak to tylko było możliwe. Byłem zresztą bardzo głodny, a mięso, tak miękkie jak przepowiedziała to Błyszcząca Aal, że niemal rozpadało się w ustach, pozbawione było właściwie smaku. (Może dlatego, że ci ludzie nie używają soli i nie uznają przyprawionego mięsa). Na posiłek, oprócz łani Lenizee, składał się jeszcze jakiś drobny zwierzak, upolowany przez myśliwych (mięso miał nieco twardsze, ale chyba smaczniejsze) oraz zioła i korzenie, które zbierały kobiety.

Kiedy tak siedzieliśmy przy ognisku zauważyłem, że mężczyźni przyglądają mi się jakoś dziwnie, ale dopiero po dłuższym czasie zorientowałem się, dlaczego. Zaczęła mi rosnać broda, a oni, oprócz rzadkiego meszku na górnej wardze, nie mieli żadnego zarostu. Kiedy zrozumiałem, co jest nie tak, prze prosiłem i poszedłem do wskazanej mi rano "łazienki": Wśród przedmiotów, jakie znalazłem w kieszeniach była też golarka, toteż użyłem jej, a kiedy byłem już pewien, że moja twarz jest zupełnie gładka, wróciłem do ogniska. Niektórzy zdawali się być zaskoczeni zmianą w moim wyglądzie, ale chyba szybko uznali, że to, co widzieli wcześniej, było po prostu cieniem rzucanym przez pełgający płomień. Taką mam w każdym bądź razie nadzieję.

Trzeci dzień

Nie wiem czy powinienem najpierw opowiedzieć o tym, co najważniejsze, czy po prostu zdać relację z wydarzeń w takiej kolejności, w jakiej następowały? Zastanawiałem się nad tym, zanim włączyłem to urządzenie i doszedłem do wniosku, że najlepiej będzie zacząć od streszczenia tego, co, jak mi się wydaje, było najistotniejsze. Spróbowałem, ale natychmiast wpadłem w pułapkę nie kończących się wyjaśnień, wyprzedzających relację o wypadkach, do których miały się odnosić.

Dzisiaj poszedłem z mężczyznami na polowanie. Czerwona Kluy naopowiadała im, jak szybko potrafię biegać i że bez wysiłku naciągam kuszę jej syna, toteż odnosili się do mnie nieufnie i nawet z odrobiną wrogości.

Sposób, w jaki polują, nie wymaga żadnych wielkich umiejętności. Przez pół dnia, czy nawet trochę więcej, przedzieraliśmy się przez las; nie natrafiając po drodze na nic lepszego niż kilka małych zwierzątek, takich, jakie jadłem wczorajszego wieczoru. Mają długie puszyste ogony, przypominają trochę małpy i są niezwykle zwinne. Jest ich kilka rodzajów, ale przynajmniej dla mnie są tak do siebie podobne z wyglądu i zachowania, że tylko z wielkim trudem można je odróżnić. Mężczyźni strzelali do nich przy każdej okazji, używając gładkich, pozbawionych kolców pałek; uбитą zwierzynę zakopywali w śniegu: zaznaczając miejsce odpowiednio splecionymi gałązkami.

Po czterech czy pięciu godzinach wędrówki trafiliśmy na trop, który z całą pewnością należał do potężnych rozmiarów człowieka, poruszającego się olbrzymimi krokami. Przypomniałem sobie, co Czerwona Kluy mówiła mi o Ketinie, mężu Ketinchy - nie był to ktoś, kogo pragnąłbym spotkać w środku zasypanego śniegiem lasu. Mężczyźni jednak zdawali się mieć na ten temat wręcz przeciwne zdanie, bowiem od razu zaintonowali tajemniczą, to wznoszącą się, to znów opadającą pieśń i ruszyli przed siebie szybkim truchtem, który pozwalał im utrzymywać się na powierzchni kopnego śniegu. Po kilku próbach, kiedy to biegłem albo za szybko, albo za wolno, udało mi się w pełni opanować tę nową dla mnie umiejętność. (Z racji mego niskiego wzrostu było mi chyba nawet łatwiej niż im). Ich przywódca, syn Czerwonej Kluy zwany Długim Nożem, widząc, że z początku miałem pewne kłopoty, powiedział mi, że zwykle biega się znacznie łatwiej i że dzisiaj śnieg jest wyjątkowo nieprzyjemny. Zapytałem, czy to dlatego, że jest głębszy, niż zazwyczaj.

- Nie - odparł. - Często jest nawet jeszcze głębszy. Ale kiedy poleży kilka dni, a nie ma nowych opadów, zamarza z wierzchu jak tafla jeziora. Wtedy po prostu się po nim chodzi i o wiele łatwiej jest polować. Czasem, kiedy spadnie go bardzo dużo, w ogóle nie można się poruszać; siedzimy wtedy w obozie i czekamy, aż stwardnieje.

Wiatr przybrał na sile i zaczął formować nowe zaspę. Zapytałem, czy to nie utrudni nam drogi. - Nie, bo nie jest taki syпки: Gorzej z wiatrem, będzie się źle strzelać.

- Więc koniec z małpkami? Roześmiał się.

- No pewnie, tropimy przecież Nashhwonka. To dobrze, że jest taki duży - podejdziemy blisko i będziemy strzelać z wiatrem. Nie powinniśmy chybić.



Wiatr był tak zimny, że z każdym oddechem zdawało mi się, że zamarzają mi płuca. Biegłem obok Długiego Noża przez jakieś dwa czy trzy kilometry - inni zostali trochę z tyłu - kiedy zapytał:

- Czy w swoim kraju nigdy nie biegałeś po śniegu?

Odpowiedziałem, że nie pamiętam mojego kraju.

Ktoś rzucił na ciebie urok. Powinieneś się cieszyć.

- Dlaczego?

- Bo nikt cię nie zabije. Kiedy ginie zaklęte zwierzę, urok szuka nowego domu i przenosi się na jego zabójcę.

- Nie jestem zwierzęciem. Zachichotał, nie przerywając biegu.

- Wszystkie zwierzęta tak mówią. Nashhwonk też, uważaj.

- Czy on nas aby nie usłyszy? Przecież śpiewacie...

- Chcemy, żeby nas usłyszał. Boi się nas, więc zacznie uciekać. Kiedy go dogonimy, będzie zbyt zmęczony, żeby się dobrze bronić. Jest za duży do biegania po śniegu.

- Czy Ketin też jest za duży?

Z wyrazu twarzy Długiego Noża wywnioskowałem, że w lepszym tonie byłoby nie wymieniać tego imienia.

- Ketin ma bardzo lekki krok - odpowiedział i zwiększył tempo, tak że po chwili miał nade mną dziesięć metrów przewagi.

Było to zachowanie do tego stopnia dziecinne, że wstyd powiedzieć, ale aż mi się udzieliło.

Przyśpieszyłem i tak, jak się tego spodziewałem, okazało się, że potrafię biec znacznie szybciej od niego. Dogoniłem go i przez chwilę bieglśmy ramię w ramię, po czym, starając się cały czas poruszać niezbyt wysokimi skokami, wyprzedziłem go i bez żadnych problemów pozostawiłem z tyłu. Aby podkreślić moją wyższość, nie zwalniałem tempa, aż wreszcie cała gromada znalazła się poza zasięgiem mojego wzroku i słuchu.

Las robił się coraz bardziej gęsty i wkrótce znaczną część energii musiałem poświęcić na

kluczenie między pniami i przeskakiwanie połamanych konarów. Nagle, przedarłszy się przez splątane zarośla, znalazłem się na otwartej przestrzeni. Wiatr tymczasem zamienił się w prawdziwą wichurę, ale pomimo zacinającego śniegu mogłem dostrzec w odległości mniej więcej kilometra przede mną szeroki na co najmniej sto metrów, częściowo przysypany już śniegiem, ale ciągle jeszcze doskonale widoczny ślad. Wspinał się szeroką wstęgą na łagodne wzniesienie, zupełnie jakby jakaś nieprawdopodobna siła przepchnęła wtedy wielusettonowy ciężar.

Zapomniawszy momentalnie o Nashhwonku, którego tropem do tej pory szedłem, popędziłem przed siebie, by zbadać z bliska tajemnicze zjawisko. Widok zasłaniał mi częściowo mały pagórek, a kiedy znalazłem się na jego wierzchołku, ujrzałem coś, co kazało mi natychmiast odłożyć na bok wszelkie myśli o badaniu zagadkowego szlaku. Na samym jego środku, na masywnym krześle wykonanym z ciemnego drewna siedział człowiek większy, niż mógłbym to sobie wyobrazić w najśmielszych przypuszczeniach. Twarz miał zwróconą w moją stronę, jakby spodziewał się mego nadejścia, aczkolwiek coś w jego grubych rysach zdawało się świadczyć o tym, że nie oczekiwał mnie tak szybko.

- Jesteś jednym z nich? - zapytał, lekkim ruchem głowy pokazując że ma na myśli członków plemienia, których pieśń, przytłumiona odległością i padającym śniegiem; właśnie w tej chwili dotarła do moich uszu.

- Nie - odparłem. - Jestem ich gościem.

- Ale polujesz z nimi.

Wstał i dosyć niezgrabnie obszedł swoje krzesło, by stanąć za jego oparciem. Choć był potężnie zbudowany i bardzo wysoki, to i tak jego nogi wydawały się nieproporcjonalnie długie.

- Nie poluje na ciebie - powiedziałem.

- To mądrze.

- Nie boje się ciebie. - (Było to kłamstwo i przypuszczam, że tak właśnie zabrzmiało). - Nie

poluję na ludzi; sądziłem, że tropimy jakieś zwierzę. - (Kolejne kłamstwo, widziałem przecież jego ślady. Jednak jak o człowieku zacząłem myśleć o nim dopiero wtedy, gdy przemówił). - Ty jesteś

Nashhwonk?

- Zabójca ludzi, tak mnie nazywają. Widzisz? - Uniósł krzesło jak piórko i skierował je w moją stronę. Końce wszystkich czterech nóg były zastrzone i miały barwę znacznie ciemniejszą, niż reszta drewna. Wyglądały, jakby były zrobione z metalu.

Nashhwonk postukał palcem grubości mego przedramienia w łączącą ramy oparcia poprzeczkę.

- Ściągną, którymi to jest związane wyciąłem z ludzkiej nogi. Co do twoich przyjaciół, to zabiłam ich już para tuzinów. Teraz chcą dopaść mnie w głębokim śniegu, po którym mogą poruszać się jak muchy, ale tutaj, na szlaku Wielkich Sań śnieg zamienił się w lód i wątpię, żeby byli szybsi ode mnie. Nawet na pewno nie będą. Zabije ich wszystkich. Kto jest ich wodzem? Długi Nóż? Zapytaj go, co przydarzyło się jego ojcu.

- Już tu jest - odparłem. - Sam możesz go zapytać.

Kilkoma potężnymi susami Długi Nóż stanął przy moim boku.

- Widzę, że go znalazłeś - wysapał. - Tak myślałem, że tu właśnie na nas poczeka. Czasem sam udeptuje spory szmat śniegu, by ułatwić sobie poruszanie, ale to bez znaczenia. I tak go dostaniemy. - Skoro nie udało się wam wcześniej, to skąd wiesz, że teraz akurat będzie inaczej?

Nashhwonk utkwiał w Długim Nożu spojrzenie swych przekrwionych oczu i nie odzywał się ani słowem. W pewnej chwili, nie wypuszczając ani na moment swego krzesła, ruszył powoli wzdłuż ugnieczonego traktu. Długi Nóż i ja, trzymając się cały czas na skraju głębokiego śniegu, potruczaliśmy za nim. Pieśń łowców zbliżała się coraz bardziej.

- Nie bój się, zabijemy go - powiedział Długi Nóż: - Będzie dzisiaj masa mięsa. Nie raz już go zabijaliśmy

- Nashhwonk to Nashhwonk, ten czy inny, cóż to za różnica.

Wiatr dał nam prosto w twarz, oślepiając nas zacinającym śniegiem. W pewnej chwili Długi Nóż przyspieszył kroku i wbiegł na trakt jakieś pięćdziesiąt metrów przed Nashhwonkiem. Kusze miał przygotowaną do strzału i domyśliłem się, że chce wykorzystać silny wiatr i trafić olbrzymą w

głowę. Jednak Nashhwonk momentalnie zgiął się w pół i osłaniając krzesłem całą górną część ciała ruszył prosto na napastnika. Strzał równałby się po prostu zmarnowaniu jednej pałki, toteż Długi Nóż wycofał się w głęboki śnieg. Reszta myśliwych dotarta właśnie do miejsca walki.

- A ty co? - zapytał Długi Nóż. - Będziesz chyba jadł mięso, nie?

Odparłem, że przypuszczam, że tak.

- Wiec możesz nam trochę pomóc. Idź na drugą stronę, musimy go okrążyć i strzelać wszyscy naraz.

Wykonując polecenie, o mało co nie zbliżyłem się za bardzo do Nashhwonka. Wielki niczym

drzewo rzucił się ze swoim krzesłem w moją stronę, tak że ledwo zdołałem uniknąć

przygwożdżenia do ziemi, a potem machnął nim jeszcze niczym cepem, chybiając nie więcej niż o

kilka centymetrów. Długi Nóż strzelił, trafiając go w ramię, ale pałka nie wyrządziła olbrzymowi żadnej widocznej szkody. W chwili potem Nashhwonk popędził za mną. Jego nogi były dłuższe

ode mnie całego, toteż na ubitym śniegu mógł osiągnąć niezwykłą szybkość, ja jednak, jak się ku memu niemałemu zdziwieniu okazało, przewyższałem go nie tylko zwrotnością, co było oczywiste,

ale wcale nie byłem od niego wolniejszy. Wiedziałem, że zdołam mu uciec, jeśli tylko nie pośliznę się i nie przewrócę. Nie musiałem się specjalnie wysilać, żeby wyobrazić sobie, jakie by były tego następstwa.

W ślad za mną na drugą stronę przeprawili się także i inni i po kilku minutach Nashhwonk był

już okrążony. Uderzenie zaostrej pałki rozcięło mu skórę na czole, ale dzięki gęstym brwiom

krw nie zalewała mu oczu. Poza tym, o ile mogłem się zorientować, jeszcze się nam nie udało

wyrządzić mu żadnej krzywdy. Po pewnym czasie stało się jasne, że trzeba będzie zmienić taktykę, te pałki, które po wystrzeleniu padały na ubity przez Wielkie Sanie śnieg, o ile, rzecz jasna, nie działo się to zbyt blisko Nashhwonka, można było podnieść i użyć ponownie, te jednak, a było ich niemało, które mijały cel i wpadały w olbrzymie zaspę, przepadały na dobre. W miarę, jak

wyczerpywały się zapasy amunicji i rosło zmęczenie olbrzyma, krąg zaciskał się coraz bardziej. Ci, którzy nie mieli już czym strzelać, przewieszali kusze przez ramię i wyciągali zza pasa noże o

szerokich, kamiennych ostrych rękojeściach ze skóry. Kiedy Nashhwonk był odwrócony do nich

plecami, doskakiwali do niego, usiłując przeciąć mu ścięgna w nogach. Jeden z nich znalazł się w pewnej chwili zbyt blisko olbrzyma i został trafiony potężnym zamachem monstrualnego krzesła.

Przeleciał w powietrzu kilka metrów, a gdy padł na śnieg, Nashhwonk był już przy nim, usiłując przygwoździć go do ziemi. Myśliwy próbował odturlać się na bok i już prawie mu to się udało, kiedy jedna z zastrzonych nóg krzesła przebiła mu udo, wbijając się głęboko w lód. Nashhwonk poderwał krzesło do góry, szykując się do zadania ostatecznego ciosu, ale w tej samej chwili Długi Nóż potężnym skokiem znalazł się na jego plecach i wbił mu ostrze w kark.

Trysnęła pulsująca w rytm bicia ogromnego serca fontanna krwi - zupełnie jakby Nashhwonk miał w środku wyłącznie kipiącą życiem czerwień. Puścił krzesło i sięgnął do Długiego Noża swymi mocarnymi rękami, ale ten dźgnął go w przegub. Jednocześnie inni myśliwi przecięli gigantowi ścięgna Achillesa i Nashhwonk, niczym wielkie drzewo, padł ciężko na ziemię. Kiedy wyciągnęliśmy z jego objęć nie mogącego złapać tchu Długiego Noża, olbrzym już nie żył.

Cześć z nas zajęła się rannym myśliwym, inni zaś nie zwlekając zabrali się do ćwiartowania

Nashhwonka. Wielką głowę o dzikich oczach, dłonie, stopy i wnętrzności pozostawiono na miejscu, stanowiące zaś specjalną nagrodę wątrobę i otulone warstwą tłuszczu serce zamrożono w śniegu.

Były one przeznaczone dla Długiego Noża. Na jego polecenie prawie połowa ludzi poszła do lasu, by przygotować sanie do transportu mięsa. Uwinęli się tak szybko, że wrócili jeszcze przed końcem ćwiartowania, ciągnąc za sobą sanie wykonane z giętkich, powiązanych rzemieniem drzewek.

Końce dwóch najdłuższych odgięto ku górze, tak, że mogły służyć jako płozy. Spod swego

futrzanego odzienia Długi Nóż wyciągnął trójkątną płachtę, wykonaną ze zszytych ze sobą wielu bardzo cienkich skór jakichś małych zwierząt. Ociosana starannie żerdź służyła za maszt, zaś dwie inne za reje. Powiedziałem Długiemu Nożowi, że sądziłem, iż będziemy musieli sami ciągnąć załadowane sanie.

- Będziemy, ale tylko na trudniejszych odcinkach - odparł. - Ten żagiel zaoszczędzi nam masę roboty. Mamy dobry wiatr - prosto w plecy, gdy będziemy jechać śladem po Wielkich Saniach i trochę z boku, kiedy będziemy zbliżać się do obozu. Taki jest najlepszy.

- Gdyby wiatr był inny, nie szlibyśmy w tę stronę - wyjaśnił mi jeden z mężczyzn - Dobry myśliwy zawsze poluje pod wiatr lub w poprzek, bo wtedy można wrócić, nawet jeśli jest dużo

mięsa, a poza tym zwierzęta nie mogą nic zwietrzyć.

- Tak - powiedział Długi Nóż - ale kiedy trafiliśmy na trop Nashhwonka, musieliśmy iść tam, gdzie i on.

Kiedy sanie zostały załadowane, ułożyliśmy rannego na stercie zamrożonego już mięsa, a potem wdrapaliśmy się sami, gdzie kto mógł znaleźć miejsce. Długi Nóż stał z tyłu sań, wparty stopami w to, co zostało z nóg Nashhwonka i operował żaglem oraz długim rumplem. Po raz pierwszy przyszło mi do głowy zastanowić się, jak mogły wyglądać Wielkie Sanie. Zapytałem o to przycupniętego koło mnie myśliwego.

- Nie wiesz? - zdziwił się. - Przecież stamtąd przybyłeś.

- Jesteś pewien?

- Ubierasz się tak jak oni, a znaleźliśmy cię wkrótce po tym, jak odjechali.

- Nic nie pamiętam. Zostawiły taki szeroki ślad... Czy były szersze niż dłuższe?

- Nie. Znacznie dłuższe. Jak kij.

- I byli na nich ludzie?

- Mężczyźni i kobiety, wszyscy ubrani jak ty. Tamte Sanie nie były płaskie, jak te. Był na nich wielki szałas, a na tym szałasie cała masa mniejszych. Nie miały żagla, ale nikt ich nie ciągnął, kiedy ruszały w drogę. Tak, jakby specjalnie dla nich świat się pochylał, a one po prostu po nim zjeżdżały.

- Rozumiem - powiedziałem, chociaż kompletnie nic nie rozumiałem. Mimo że poruszaliśmy się

z wiatrem i nie było pozornego ruchu powietrza, który mógłby nas dodatkowo ziębić, to bezruch, w jakim przebywałem sprawił, że odczuwałem chłód znacznie wyraźniej niż wtedy, kiedy tropiłem

Nashhwonka.

Zapytałem, czy Wielkie Sanie poruszały się z taką szybkością, ale mój sąsiad potrząsnął głową.

- Nie szybciej niż dobry piechur. Szliśmy za nimi przez dłuższy czas, ale tamci nie pozwolili nam się na nie wspiąć, więc musieliśmy wrócić. Wtedy znaleźliśmy ciebie.

Wieczorem, przy ognisku, myślałem ciągle o Wielkich Saniach i o zabiciu Nashhwonka.

Sądziłem, że członkowie plemienia uważają mnie już za swojego - potrafię przecież skakać i biegać lepiej, niż którykolwiek z nich, sam zabiłem łanię Lenizee i to ja przeciąłem jedno ze ścięgien Nashhwonka, kiedy ten szykował się do zabicia Długiego Noża. Jednak kilka chwil temu, kiedy już

wszyscy spali, Długi Nóż przyszedł do mnie i powiedział, że będzie dla mnie lepiej, jeśli opuszczę obóz.

- Jeżeli tego nie zrobisz - powiedział - to pewnego dnia, kiedy zabraknie żywności, ktoś - najprawdopodobniej jedna z kobiet - zabije cię, bez względu na to czy jesteś zaczarowany czy nie.

Odparłem, iż nie sądziłem, że są zdolni do takich rzeczy.

- Czy znasz Krzywą Nogę? Tego, którego zranił Nashhwonk?

- Tak, ale sądziłem, że nazywa się Ognisty Kogut.

Kiedy rana się zagoi, będzie się nazywał Krzywa Noga. Czy było by w porządku, gdybyśmy go zabili i zjedli?

- Nie wiem, ale nie wydaje mi się.

- To by nie było w porządku. Ludzie z Wielkich Sań uważają inaczej, ale według naszych odwiecznych praw można jeść każde mięso, z wyjątkiem mięsa człowieka. Jeżeli jednak Krzywa Noga nie wydobrzeje do następnego okresu głodu, najprawdopodobniej zostanie zabity. Głód jest najwyższym prawem - kto go nie przestrzega, ten ginie. Jeśli złamie się jakieś inne prawo, jest się karany chorobą albo niepowodzeniem w łowach. Czasem wina może być wybaczona, czasem wybaczenie można sobie kupić.

- Rozumiem.

- Ty nie jesteś człowiekiem. Na twarzy rosną ci włosy i musisz je ścinać - widziałem, jak to robisz. Sądzę, że jesteś spokrewniony z Ketingem.

- Nigdy go nie widziałem.

- Nic nie pamiętasz, dlaczego więc nie miałbyś zapomnieć także swego pochodzenia? On także skacze bardzo daleko, chociaż jest duży, a ty mały. I też ma włosy na twarzy.

- Co powinienem zrobić?

- Opuścić nas jutro rano. Część mięsa Nashhwonka należy do ciebie. Dam ci je. Możesz też wziąć sanie, które dzisiaj zbudowaliśmy. To dobre drewno.

- Czy mógłbym dostać żagiel? Długi Nóż potrząsnął głową.

- Nie, jest zbyt cenny.

- Dam ci za niego moją porcję mięsa Nashhwonka. Roześmiał się.

- Więc nie będziesz potrzebował sań, żeby je przewieźć.

- Zdobę mięso. Ty dasz mi żagiel, a ja dam ci moją część Nashhwonka.

- Zgoda.

Sięgnął pod futro i wyciągnął skórzaną płachtę.

- Musisz tylko przywiązać go rzemieniami, tak jak widziałeś to dzisiaj.

Kiedy już poszedł, zacząłem się zastanawiać, jak wiele prawdy było w jego słowach. Miałem

nawet zamiar spać z nożem w dłoni, ale doszedłem do wniosku, że przecież teraz mięsa jest w bród i że nie grozi mi bezpośrednio niebezpieczeństwo.

Czwarty dzień

Rano na skraju wioski znalazłem obiecane sanie. Były nietknięte, z uwiązanyymi do masztu

rejami. Poszedłem do chaty Długiego Noża, gdzie on i Czerwona Kluy przygotowywali właśnie

poranny posiłek i oddałem mu kuszę, którą jego matka pożyczyła mi pierwszego dnia mego pobytu

w wiosce. Miałem nadzieję, że pozwolą mi ją zatrzymać. Tak się jednak nie stało, aczkolwiek

zostałem zaproszony na śniadanie. Potem odwiedziłem leżącego w swojej chacie Krzywą Nogę i

zyczyłem mu szybkiego powrotu do zdrowia. Przez cały czas naszej rozmowy ani na moment nie

wypuścił z dłoni noża, więc przypuszczam, że to, co wczorajszego wieczoru powiedział mi Długi

Nóż, było prawdą. Przydałaby mi się kusza Krzywej Nogi, ale nie miałem nic, co mógłbym mu za

nią zaoferować.

Kiedy się z nim pożegnałem, nie miałem tu już nie więcej do roboty. Wróciłem do sań,

przywiązałem żagiel i naciągnąłem szot. Wiatr osłabł nieco, ale ciągle wiał z zachodu, co

oznaczało, że bez większych kłopotów powinienem dojechać do śladu pozostawionego przez

Wielkie Sanie, chociaż tam przyjdzie mi pewnie ciągnąć moje sanki za sobą.



Z tak małym ładunkiem sanie poruszały się bez problemu nawet po miękkim śniegu i tylko dwa razy musiałem im trochę pomóc, kiedy podjazd okazał się zbyt stromy. Żeglowanie po śniegu okazało się wielką frajdą, a gdy już nauczyłem się porządnie wyostrzać do wiatru, udało mi się osiągnąć całkiem znaczną prędkość. Zaczynałem się co prawda martwić o żywność, ale nie miało większego sensu, żebym zatrzymał się i starał wytropić śnieżne małpki, bo przecież i tak nie miałbym czym ich zabić. Moją szansą było jak najszybsze dogonienie Wielkich Sań, bowiem na zdobycie jedzenia w inny sposób raczej nie miałem co liczyć.

Z tego, czego udało mi się dowiedzieć wynikało, że Wielkie Sanie wyprzedzały mnie o jakieś sześćdziesiąt godzin. Poruszały się jednak powoli, a poza tym sporą część dnia spędziły z ludźmi Długiego Noża, toteż byłem przekonany, że jeśli uda mi się utrzymać tę prędkość, to być może doścignę je jeszcze dzisiaj, a z całą pewnością w dniu jutrzejszym.

Po dotarciu do szlaku wciągnąłem sanie na szczyt wzgórza - tego samego, które dostrzegłem podczas polowania na Nashhwonka - po czym z niemalą ulgą zająłem na nich miejsce i zjechałem na dół. Okazało się to niemal równie przyjemne, jak żeglowanie. Pomimo przeciwnego wiatru udało mi się, poruszając się zakosami po całej szerokości szlaku, osiągnąć następne wzniesienie bez zsiadania z sań, a tym samym znacznie szybciej, niż gdybym musiał je ciągnąć za sobą.

Po mniej więcej godzinie przyszła mi do głowy myśl, że usuwając część wzdłużnic, koniecznych podczas transportu tak położnego ciężaru, jaki stanowiła martwa tusza Nashhwonka, teraz zaś zupełnie niepotrzebnych, mogę znacznie zmniejszyć masę mego wehikułu. Odwiązałem je, zyskując dzięki temu sporo rzemieni, które wykorzystałem dla lepszego umocowania masztu, łącząc go z wygiętymi ku górze przednimi częściami płóz. Prędkość wzrosła w sposób wyraźny, a gdy po jakimś czasie, ku mej wielkiej radości, wiatr zmienił swój kierunek na bardziej północny, pędziłem z taką szybkością, że ze szczytu każdego wzniesienia, na jakie po drodze wjeżdżałem, zacząłem się już pilnie rozglądać w poszukiwaniu sylwetki Wielkich Sań. Zapadł zmrok, ja jednak żeglowałem dalej. Niewiele już dzieliło mnie od całkowitego zamarznięcia, ale mimo to nie przerwałem podróży nawet po zachodzie słońca, korzystając ze światła najpierw obydwu, a potem

już tylko jednego księżycy. Kiedy jednak i ten schował się za horyzont przestałem w ogóle widzieć szlak. Mógłbym bardzo łatwo skrócić w złą stronę i nic o tym nie wiedząc zjechać z niego, tracąc tym samym to, co dzisiaj udało mi się nadrobić. Około północy zatrzymałem się i odciągnąłem sanie jakieś pół kilometra w bok - chociaż może to być znacznie bliżej, bo naprawdę jestem bardzo zmęczony. Znalazłem tę kępę niewysokich drzew i dla osłony przed wiatrem wygrzebałem sobie przy nich dziurę w śniegu.

## Piąty dzień

Kiedy się rano obudziłem - a niewiele brakowało bym się już nie obudził - nogi miałem tak zmarznięte, że w ogóle nie mogłem nimi poruszyć. Musiałem długo je masować i nacierać śniegiem, zanim poczułem, że wraca do nich życie. Skórę twarzy mogłem masować sobie do woli, i tak nie reagowała na dotknięcie. Sądzę, że przeżyłem tylko dzięki nadzwyczajnym właściwościom mego kombinezonu oraz dzięki temu, że położyłem się bardzo późno, kiedy do świtu pozostało już niewiele godzin. Teraz wiem, że zawsze muszę mieć ogień, jakieś schronienie, oraz że nie wolno mi kłaść się bezpośrednio na śniegu.

Kiedy już przywróciłem czucie mój na pół zamrożonym kończynom, zacząłem się zastanawiać nad sposobem zdobycia czegoś do jedzenia, chociaż, dziwna rzecz, wcale nie odczuwałem głodu. Możliwe, że od Wielkich Sań dzieliło mnie nie więcej niż kilka kilometrów. Jeżeli jednak okazałoby się inaczej, to bez jedzenia byłbym za słaby, by przetrwać do następnego rana. Rozpaliłem więc ognisko i przypomniawszy sobie kobiety zbierające jadalne rośliny, zacząłem grzebać w śniegu.

Dopóki szukałem wśród drzew, niczego nie znalazłem, potem jednak uprzytomniłem sobie, że przecież kobiety wybrały odkryty, nachylony ku południowi stok. Znalazłem podobne miejsce i niebawem dokopałem się do roślinek, które, jak mi się wydawało, jadłem w obozie Długiego Noża. Po chwili z całym ich naręczem wróciłem do ogniska.

Czerwona Kluy i inne kobiety gotowały je wrzucając gorące kamienie do skórzanej, wypełnionej śniegiem torby. Nie miałem takiej torby, ale po kilku próbach przekonałem się, że mogę się

doskonale obejść bez niej, wycinając po prostu nożem odpowiednich rozmiarów dziurę w zamrzniętej ziemi. Posiłek, jaki sobie przyrządziłem był obfity, ale niezbyt sycący. Potrzebowałem mięsa, a szczególnie tłuszczu. Skończyłem już jeść i właśnie przygotowywałem się do wyruszenia w dalszą drogę, gdy usłyszałem głosy, dochodzące z miejsca, w którym znalazłem moje rośliny. Wyjrzałem ostrożnie zza krzaków, stanowiących tej nocy moje schronienie i zobaczyłem na stoku więcej niż tuzin ludzi - mężczyzn, kobiet i dzieci. Część z nich badała ślady, jakie po sobie pozostawiłem, reszta zaś szukała żywności. Uderzył mnie ich niski wzrost i krępa budowa ciała, oraz to, że kręcące się między dorosłymi dzieci były w różnym wieku - Czerwona Kluy wyjaśniła mi bowiem, że dzieci rodzą się tylko o jednej porze roku, kiedy istnieje możliwość zdobycia dla nich pożywienia, oraz że osiągają wiek dorosły, zanim urodzi się następna generacja.

Północny wiatr dął z dużą siłą i zależało mi na tym, by korzystając z tego ruszyć w drogę ale nie wydawało się możliwe, żeby udało mi się dotrzeć niepostrzeżenie do ukrytych po przeciwnej stronie zarośli sań. Po pewnym czasie jednostajny wiatr zamienił się w przypadkowe podmuchy, tworzące z padającego i wzbijanego w powietrze śniegu ruchome, przypominające zjawy kolumny. Pomyślałem, że pięknie by wyglądały załamujące się w nich promienie słońca. Jednak już i tak zachmurzone niebo robiło się coraz ciemniejsze - tak ciemne, iż miałem nadzieję, że korzystając z właściwie już półmroku będę mógł jakoś dobiec do sań, unikając dostrzeżenia przez tajemniczych ludzi ze stoku.

Zbytnio jednak zwlekałem. Kiedy już, już, niemal się zdecydowałem, cała grupa zamarła nagle w bezruchu, zwrócona w moją stronę, a po chwili czterech mężczyzn, wymachując używanymi do grzebania w śniegu narzędziami o krótkich trzonkach i ciężkich, wygiętych ostrzach, ruszyło w moim kierunku.

Byłem pewien, że zdołałbym im uciec, ale nie ulegało też dla mnie wątpliwości, że musiałbym porzucić sanie. Niscy, krępi mężczyźni poruszali się jednak dość szybko i nie było szans, żebym zdążył napiąć żagiel i odjechać saniami, tym bardziej że śnieg był sypki; a wiatr niepewny.

Najlepszym wyjściem z sytuacji wydawało mi się okazanie im moich pokojowych zamiarów.

Wyszedłem zza krzaków z wyciągniętymi przed siebie pustymi rękoma, przygotowany jednak na

błyskawiczny odwrót gdyby mimo wszystko postanowili mnie zaatakować.

Podziałało. Cała czwórka zatrzymała się jakieś pięć metrów przede mną i chociaż cały czas ściskali swe zakrzywione narzędzia, to wydawali się bardziej zdziwieni niż wojowniczy.

Są uderzająco brzydzy. Twarze mają tak okrągłe, jakby ktoś wykreślił je cyrkiem, oczy niewielkie i schowane pod wysuniętymi łukami brwiowymi, nosy zaś małe i tak zadarte ku górze, że nozdrza wydają się być małymi kółeczkami.

- Jestem przyjacielem - powiedziałem. - Nie chcę z wami walczyć.

- Ani my z tobą - odparł najstarszy (włosy miał zupełnie siwe) i zarazem najwyższy.

- Więc pozwólcie mi spokojnie odejść.

- Wolałbym raczej, żebyś nauczył nas swojej mądrości.

Podszedł do mnie, podając mi rękojęcią do przodu swoją gracę. Wziąłem ją; domyślając się, że ten gest ma jakieś rytualne znaczenie, po czym, widząc, że tego oczekuje, oddałem mu ją z powrotem.

- Czy nauczysz nas mądrości?

- Muszę iść.

Zdałem sobie nagle spraw, że wiatr zupełnie ustał. Śnieg sypał coraz bardziej.

- Niedobrze teraz wyruszać w podróż.

Przez chwilę zastanawiałem się, czy aby nie czyta w moich myślach.

- Rzeczywiście - powiedziałem.

- Chodź do naszego szałas. Damy ci jeść. Kiedy śnieg przestanie padać, wyruszysz w drogę.

Przez moment zawahałem się, ale zbyt świeże było jeszcze wspomnienie przeraźliwego zimna, jakiego doświadczyłem podczas noclegu pod gołym niebem. Skinąłem głową na znak zgody i w tej samej chwili cała czwórka uśmiechnęła się (są znacznie mniej brzydzy, kiedy się uśmiechają) i wyraźnie uspokoiła. Pół minuty później, kiedy w padającym śniegu dotarliśmy do czekających na

stoku kobiet i dzieci, wszyscy obskoczyli mnie dookoła, dziwiąc się memu niezwykleму ubraniu i poszturchując się nawzajem, zdaje się, że dla sportu.

Są ubrani znacznie gorzej, niż plemię Długiego Noża. Chodzą boso po śniegu i większość ma ręce gołe aż po łokcie. Dzieci niemal bez wyjątków biegają nago, ale całe pokryte są puszystym włosem, który w miarę dorastania zamienia się w mocno przerzedzoną szczecin.

Najstarszy i najwyższy z nich nazywa się Poszukiwacz Gniazd i jest o pół głowy niższy ode mnie. Wszyscy jednak są barczyści, a na ich rękach i nogach widać węzły stalowych mięśni.

Poszukiwacz Gniazd i jeszcze jeden mężczyzna otwierali pochód, w środku szły kobiety, dzieci i ja, na końcu zaś pozostali dwaj mężczyźni, i w ten sposób dotarliśmy do szałas, w którym teraz jestem.

(Martwię się trochę o sanie, tym bardziej że nie zdjąłem żagla, ale nie wydaje mi się, żeby ktokolwiek miał ochotę wychodzić w zamieć, która szaleje na zewnątrz. Poza tym już dawno musiał je przysypać śnieg).

Szałas zrobiony jest z gałęzi i wydaje mi się, że chyba jednak lepiej mieszka się w chatach ze skór. Gałęzie opierają się o rusztowanie składające się z dwóch drzew i przymocowanego do nich, siedmiometrowej może długości, drąga. Dziura w jednej ze ścian służy za drzwi, zaś dym z płonącego pośrodku niewielkiego ogniska wydobywa się na zewnątrz przez otwór, wytopiony w pokrywającej cały szałas warstwie śniegu. Cuchnie tu właśnie dymem oraz mocnym, słonawym odorem ciał ludzi, nazywających siebie Pamigaka.

Kiedy już weszliśmy do środka, kobiety pośpiesznie rozpały ogień i po chwili zostałem poczęstowany potrawą przyrządzoną z korzeni i liści; jako rodzaj deseru rozdzielono, jak mi się wydaje według systemu odzwierciedlającego obowiązującą tutaj hierarchię, kilkanaście niewielkich zwierzątek. Otrzymałem najokazalsze z nich, chyba ryjące, o charakterystycznym krótkim pysku.

Drugie co do wielkości wziął dla siebie Poszukiwacz Gniazd, trzy następne wręczył pozostałym trzem mężczyznom, zaś resztę, na którą składały się głównie okazy wielkości myszy, rozdał swoim ulubionym kobietom i dzieciom. Zauważyłem, że najstarsza, okryta łachmanami kobieta w ogóle nic nie dostała. Nazywa się Krwawa Twarz o Poranku i zdaje się być przedstawicielką absolutnych

nizin społecznych, chyba czymś w rodzaju pariasa.

Skóry, które zdjęliśmy ze zwierząt ofiarowaliśmy kobietom, a następnie upiekliśmy mięso nad ogniem. Nigdy jeszcze nie miałem w ustach czegoś równie smacznego, toteż zjadłem prawie wszystko, łącznie z tym, co, jak mi się dotąd wydawało, zupełnie do jedzenia się nie nadaje. Zostawiłem tylko stopy, dłonie i wnętrzności. Ciemność, jaka panowała na dworze oraz noszący wszelkie znamiona kolacji posiłek zdawały się wskazywać na to, że jest już noc, chociaż w rzeczywistości musiało być dopiero koło południa. To niezwykle gęsto sypiący śnieg powstrzymywał dopływ słonecznego światła.

- A teraz nauczysz nas mądrości - powiedział Poszukiwacz Gniazd.

Powiedziałem mu, że obawiam się, iż niewiele będę miał im do zaoferowania. Skinął poważnie głową.

- Tak, to jest pierwszy owoc mądrości - pokora.

- To raczej ja chciałbym się czegoś od was dowiedzieć. Widzieliście Wielkie Sanie?

Pokiwali głowami. Zauważyłem, że temat bardzo ich poruszył.

- Jak dawno temu odeszły?

- Były tutaj, potem dzień ich nie było, a potem ty się zjawiłeś. Poznaliśmy po twojej twarzy i stroju, że jesteś z Wielkich Sań. Tak jak oni przypominasz Wiggikki, tylko że ty nie jesteś tak okrutny.

- Kto to jest, ci Wiggikki?

- Myśliwi, którzy szybko biegają i śpiewają. To oni upolowali większość tych zwierząt. -

Poszukiwacz Gniazd uśmiechnął się szeroko. Polują dla nas, a gdy próbują zapolować na nas, wtedy pokazujemy im, że z nami nie przelewki.

- Nie rozumiem. Jak to, polują dla was?

- Mają taki zwyczaj, że kiedy zabijają jakieś małe zwierzę, zakopują je w śniegu, by zabrać je, kiedy będą wracać z polowania. Zamiast nich jednak myje zabieramy i to, co widzisz, w taki

właśnie sposób zdobyliśmy. Jednak to najlepsze, które ty dostałeś, sami zabiliśmy, wyciągając małego Pummangę z jego ciepłego domku pod ziemią.

- Chyba znam tych Wiggikki. Przedwczoraj zabili Nashhwonka.

- O, to nowina! My sami...

Od strony otworu wejściowego rozległ się przeraźliwy krzyk. Pariaska, która tam siedziała, rzuciła się na oślep do wnętrza szałas, rozrzucając przy tym płonące głownie z ogniska. Wszyscy zerwali się na nogi, gadając jeden przez drugiego w podnieceniu, gdy w pewnej chwili zagłuszył ich nowy głos, to głęboki jak basowe dudnienie kotłów, to znów zawodzący niczym potężna wiolonczela:

- Miłego dnia, brudasy. Co żeście znaleźli na stoku?

Przed wejściem do szałas przyklęknął człowiek dorównujący chyba rozmiarami Nashhwonkowi i starał się zajrzeć do wnętrza. Miał małą cofniętą brodę, krótką górną wargę, wydatne kości policzkowe i duże zielone oczy, tak piękne, że aż nie pasujące do twarzy mężczyzny. Dzięki nim z tego człowieka, pomimo jego wzrostu i oczywistej płci, emanowało coś, jakby kobiecość, czy może nawet zniewieściałość. W dużej, ale dość delikatnie wyglądającej dłoni trzymał sporządzoną z żebra jakiegoś ogromnego zwierzęcia pałkę, zakończoną sprawiającymi bardzo groźne wrażenie hakami.

Mężczyźni, a wraz z nimi kilku dorastających chłopców ruszyli od razu w jego stronę, podczas gdy kobiety skupiły się wokół Krwawej Twarzy o Poranku, której plecy przeorane były na całej długości świeżą szramą - najwidoczniej dosięgnął ją jeden z haków. Dołączyłem do mężczyzn, aczkolwiek dysponując jedynie składanym nożem nie bardzo wiedziałem, na co mógłbym liczyć.

Poszukiwacz Gniazd uniósł ostrzegawczo swą zakrzywioną broń.

- Weź mnie - powiedział. - Wyciągnij mnie stąd, Mimmunka, a umierając wbiję ci to po rękajeść w czoło.

Chichot Mimmunki przypominał odgłos, jaki wydaje niewielki wodospad.

- Ciebie nie chcę - odparł. - Masz mięso tak twarde jak korzenie, które zjadasz. Daj mi kogoś

małego i miękkiego, na kim ci nie zależy, to sobie pójdę.

- Żeby wrócić jutro.

- Nie, przysięgam. Jutro zmieniam tereny łowieckie. Przenoszę się na równinę nad rzeką. Bagna są teraz zmarznięte, więc będę mógł zabijać nawet dwa razy na dzień. Pamiętasz, jak wziąłem od ciebie tego małego krzykacza? To było wtedy, kiedy księżyce podały sobie ręce. Ile dni minęło, zanim ujrzałeś mnie ponownie? Co najmniej dwadzieścia, jak nie więcej.

- Bo cały czas tropiliśmy cię po lesie.

- A gdzie tam. Nawet tego nie zauważyłem. No, popatrz na nich, co stoją za tobą. Chyba ich wszystkich nie potrzebujesz, co?

- Nasze prawa mówią, że musimy starać się chronić współplemieńców.

- Ho, ho. Czy to jeszcze jedna z tych szlachetnych zasad, przyniesionych przez Wielkie Sanie?

- Nasze prawa zawsze tak mówiły.

- Więc czego się od nich nauczyłeś? Gadali tylko ot, tak sobie?

- Mogłeś sam z nimi rozmawiać, tak jak myto uczyniliśmy.

- O, tak - powiedział Mimmunka - mogłem ich wiele nauczyć.

Zdawał się zapomnieć o tym, że przyszedł tu po łup, ale zauważyłem, że cały czas przysuwa się do Poszukiwacza Gniazd.

- Niczego byś ich nie nauczył. Twoje życie polega tylko na zabijaniu.

- Mało wiesz. Daj mi tę, którą trafiłem moją pałką.

Kobiety zaszeptały między sobą, a kiedy odwróciłem się w ich stronę, wypchnęły już przed siebie Krwawą Twarz o Poranku.

- A to kto? - zapytał nagle Mimmunka. Patrzył prosto na mnie.

Poszukiwacz Gniazd nic nie odpowiedział. W momencie, kiedy Mimmunka odwrócił od niego wzrok, rzucił się naprzód, mierząc swą bronią w rękę napastnika. Mimmunka szarpnął się wstecz,



ale Poszukiwacz Gniazd, odzyskawszy równowagę po pierwszym potężnym zamachu, nie zrezygnował. Ponowił atak, tym razem mierząc w głowę olbrzyma.

To, co nastąpiło później działo się tak szybko, że zupełnie straciłem orientację. Po chwili Poszukiwacz Gniazd leżał na śniegu przy wejściu do szałas, Mimmunka zaś zniknął. Pozostali mężczyźni rzucili się za nim w pogoń, wykrzykując gardłowymi głosami groźby i wyzwiska.

Zanim zdołałem podbiec do Poszukiwacza Gniazd, dwie kobiety pomogły mu wstać na nogi i doprowadziły go do ogniska. Jak idiota zapytałem, czy nic mu się nie stało.

- Trochę mnie zadrapał. Już nieraz bywało znacznie gorzej.

Kobiety ściągnęły z niego brudną skórzaną koszulę, by opatrzyć mu rany i zobaczyłem, że jego szeroka pierś jest pokryta licznymi bliznami.

- Młodzi pobiegli za Mimmunką: Chyba ich nie zabije?

Poszukiwacz Gniazd potrząsnął głową.

- Na pewno nie. Będzie. uciekał, chyba że uda im się go okrążyć. Gdyby to był Ketin albo Wiggikki, to co innego. Zawołałbym ich wtedy z powrotem.

- Nie poszedłem z nimi - powiedział ze smutkiem w głosie prawie już dorosły chłopiec.

Poszukiwacz Gniazd zachichotał.

- I bardzo dobrze. Nawet Mimmunka mógłby stać się groźny, gdyby mu przyszła ochota na twoje kruche mięso, Białe Jabłko.

- A jednak powinienem pójść.

- Za rok już pójdziesz.

Jeden za drugim wrócili trzej młodzi mężczyźni, z minami wściekłymi i dumnymi zarazem.

Kiedy usiedli przy ognisku i gdy rany Poszukiwacza Gniazd zostały już opatrzone, zapytałem go, czego on i jego plemię nauczyli ludzi, którzy przyjechali Wielkimi Saniami.

- Wszystkiego, co sami potrafimy - odpowiedział. Leżał na wznak tuż przy ogniu, ale swą starą,

szkaradną, okrutnie wyglądającą twarz zwrócił w moją stronę. - Pieśni, zawierających nasze prawa.

Jak walczyliśmy i gdzie znajdujemy żywność. Jak budujemy szałas i co usłyszeliśmy od innych ludzi. Ale ty jesteś przecież jednym z nich - nic ci nie powiedzieli?

Odniosłem wrażenie, że nie byłoby rozsądne przyznać się do tego, że nic nie pamiętam.

- Chciałem po prostu jeszcze raz usłyszeć to od was - powiedziałem

- Najczystsza woda jest u samego źródła. To też jest mądrość. My ich nauczyliśmy i oni nas uczyli.

- Mógłbyś coś z tego powtórzyć?

- Niech to zrobi ktoś inny. Pamiętam wszystko; ale gdy straci trochę krwi czuję, że jednak jestem już stary. Niech mówią młodzi.

Przez dłuższą chwilę panowało milczenie. Wreszcie, jękając się trochę z przejęcia, odezwał się

Białe Jabłko:

- Świat się zmieni. Śnieg się stopi i nigdy już nie wróci, a dzieci, które się urodzą nie będą wiedziały, co to jest, i będą się dziwić, gdy będziemy im o nim opowiadać.

- Kiedy to się stanie?

Białe Jabłko wzruszył bezradnie ramionami.

- Podobno niebawem. Ale co znaczy "niebawem" dla ludzi z Wielkich Sań? Kto to może wiedzieć?

- Być może nie za twego życia - odezwał się Poszukiwacz Gniazd. - A może jeszcze przed moją śmiercią.

- Właśnie. Ludzie z Wielkich Sań odsłoniли przed nami kurtynę dni.

Poprosiłem, by opowiedział o tym dokładniej.

- Z szałasu na Wielkich Saniach przynieśli kamień. Gdy go się dotknęło, czuć było życie,

zupełnie jakby płonął w nim ogień. Wtedy właśnie została rozdarta kurtyna dni i ujrzeliśmy przed nami świat takim, jaki będzie, gdy zniknie śnieg. Słońce świeciło jasno i wszędzie było mnóstwo roślin. Chodzili między nimi ludzie z naszego plemienia, a wraz z nimi Lenizee, jego żona i dzieci.

- A co my musimy zrobić? - przypomniał mu Poszukiwacz Gniazd.

- Nie wolno nam jeść niektórych rodzajów żywności - odparł markotnie Białe Jabłko, po czym nieoczekiwanie się uśmiechnął. - Tego właśnie nie rozumiem. Można jeść wszystko, co można zdobyć, natomiast nie wolno jeść tego, czego nie ma. Jak moglibyśmy jeść coś, czego nie ma?

- To, co spotyka się bardzo rzadko, nie może być zjadane. Takie jest nowe prawo. Niektóre ptaki, na przykład... - Poszukiwacz Gniazd umilkł; a ja, spoglądając w kierunku wypełnionego już ciemnością wejścia zauważyłem, że śnieg zdążył już zatrzeć ślady niedawnej potyczki z Mimmunką. Nawet jego krew, do tej pory odcinająca się wyraźnie od białego śniegu, zniknęła pod świeżą puszystą warstwą.

- Niektóre ptaki zakładają gniazda pod zwieszającymi się do ziemi gałęziami - wyjaśnił Białe Jabłko. Kiedy nadejdzie ciepło, nie będą wiedziały, co się dzieje i przez jakiś czas będą znosiły mało jajek. Nie wolno ich jeść.

Poszukiwacz Gniazd leżał z zamkniętymi oczami. Po chwili Białe Jabłko nachylił się do mnie i dokończył przyciszonym głosem:

- On znajdował kiedyś bardzo dużo tych gniazd i teraz się tym martwi. Ale wtedy można było to robić. Czy prawo może sięgać wstecz?

Potrząsnąłem głową.

Niespodziewanie odezwał się Poszukiwacz Gniazd.

- Myślałem, że zginę w obronie kobiet i dzieci. Nie sądziłem, że umrę przy ognisku.

Szósty dzień

Przesłuchałem właśnie to, co nagrałem wczoraj - Cim jeszcze się nie obudziła - i doszedłem do wniosku, że nie powinienem urwać tak raptownie mojej relacji. Nie było to jednak zamierzone, po prostu po odejściu człowieka zwanego Mimmunką nic więcej już się nie zdarzyło. Śnieg padał nieustannie. Poszukiwacz Gniazd leżał przy ognisku, oddychając chrapliwie. Resztę wieczoru spędziłem rozmawiając z innymi członkami plemienia i przysłuchując się ich rozmowom, a potem wszyscy poszli spać.

Kiedy się obudziłem dziś rano, Poszukiwacz Gniazd już nie żył. Zdaje się, że tylko dla mnie

stanowiło to zaskoczenie, inni bowiem wyjaśnili mi, że musiał czuć zbliżającą się śmierć wtedy, gdy mówił o niej poprzedniego wieczoru. Dlatego właśnie wszyscy położyli się spać w tak

znakomitych nastrojach - wiedzieli bowiem, że mogą niebawem oczekiwać stypy i przypuszczali, że ja także się z tego powodu cieszę. Zapytałem, czy mają zgromadzoną specjalnie na ten cel żywność. Wy tłumaczyli mi, że jedynym daniem na stypie będzie właśnie Poszukiwacz Gniazd.

Wolałem się po tym już nie odzywać, ale zdaje się, że Białe Jabłko zauważył wyraz mojej twarzy, bowiem odwołał mnie potem na bok i zapewnił, że sam Poszukiwacz Gniazd wielokrotnie uczestniczył w takich ucztach i że jego duch dopiero wtedy zazna prawdziwego spokoju, gdy jego ciało w całości wróci do plemienia, do którego należało. Wspomniiał też coś o tym, że to bardzo przykre, iż matka Poszukiwacza Gniazd już nie żyje, bowiem podczas stypy miałaby prawo do serca i oczu swego zmarłego syna.

Podczas naszej rozmowy kobiety zaczęły już oprawiać ciało. Nie chciałem zostać tu ani chwili dłużej; najszybciej jak tylko mogłem, opuściłem szałas i ruszyłem w stronę zarośli, w których ukryłem moje sanie.

Śnieg jeszcze trochę prószył, a wiatru było tylko tyle, że mogłem czuć jego podmuchy na twarzy.

Przekonałem się niebawem, jak mądrym pomysłem było zdejmowanie żagla na noc i trzymanie go pod ubraniem, bowiem pozostawiony przeze mnie na saniach zamarzł tak, że za nic nie mogłem go rozprostować. Musiałem rozpalić ognisko i dopiero gdy się ogrzał, udało mi się rozpiąć go na maszcie.

Musiałem dopchać sanie do szlaku - tam na ubitym śniegu mogłem wykorzystać nawet wiatr tak słaby, jak dzisiaj; jechałem, tyle że dosyć wolno.

Odkryłem, że takie właśnie, nieśpieszne żeglowanie ma swoje przyjemne strony. Nawet nastawiwszy żagiel maksymalnie do wiatru mogłem swobodnie zmieniać pozycję w saniach, nie obawiając się ewentualnej wywrotki. Zdobycie każdego, niewielkiego nawet wzniesienia traktowałem jak wielki sukces, który mogłem następnie godnie uczcić zjeżdżając w dół po

pochyłości. Żagiel wtedy przez chwile łopotał bezużytecznie, by zaraz ponownie wypełnić się wiatrem i jak się zdawało, ze zdwojoną dzięki temu krótkiemu odpoczynkowi siłą pchał nas dalej naprzód.

Słońce było już w pół swej drogi na niebie, kiedy ujrzałem Promienistą Cim. Biegła przede Inną po szlaku, z początku tak bardzo oddalona, że zdawała się być tylko małą, czarno-brązową plamką na białym tle śniegu. Przy tym wietrze minęło sporo czasu, zanim udało mi się z nią zrównać; pamiętam, że przez jakieś pół godziny myślałem, że jest mężczyzną - nie tylko dlatego, że wydawało się bardziej prawdopodobne, iż samotny wędrowiec będzie właśnie mężczyzną, ale i z racji jej wysokiego wzrostu, za wysokiego jak na kobietę, oraz ze względu na szybkość, z jaką się poruszała, a którą, jak się wydawało, mogła utrzymać w nieskończoność.

Na jej widok odczułem jakąś bliżej nie sprecyzowaną obawę. Trzymała się południowej krawędzi szlaku - gdybym jechał po jego północnej stronie, to w momencie, kiedy bym ją wyprzedzał, dzieliłaby nas blisko stumetrowa odległość. Mogła stanowić dla mnie zagrożenie, lecz gdybym minął ją bez zatrzymywania, straciłbym okazję zasięgnięcia informacji. Z drugiej strony, gdybym się jednak zatrzymał, straciłbym tę przewagę, jaką dawała mi szybkość sań.

Gdy odległość między nami zmniejszyła się i mogłem dokładniej obserwować jej ruchy, doszedłem do wniosku, że musi być kobietą, chociaż biegła długim krokiem doskonale wytrenowanego atlety. Zauważyłem również, że nie miała innej broni oprócz zwykłej pałki, niewiele dłuższej od tych, których Wiggikki używają jako amunicji do swoich kusz, z tą tylko różnicą, że jej była zupełnie prosta.

Skierowałem sanie w jej stronę. Musiała usłyszeć skrzypienie płóz po zmarzniętym śniegu, gdyż nie zmniejszając tempa biegu odwróciła w moją stronę głowę. Może i zdziwiła się, ale jej twarz nie należy do tych, na których uwidaczniają się uczucia; nawet teraz, po dziesięciu czy nawet więcej godzinach przebywania razem, nie potrafię odczytać jej wyrazu. Wtedy, kiedy zobaczyłem ją po raz pierwszy, dostrzegłem tylko ciemne oczy i wysokie, wydatne kości policzkowe.

Ciągle jeszcze dzieliła nas spora odległość, toteż mogliśmy się porozumiewać wyłącznie krzykiem. Pomagając sobie gestami (poluzowałem przy tym niechcący żagiel, tracąc jeden czy dwa podmuchy wiatru), zapytałem ją, czy chciałaby wsiąść na sanie. Dotknęła dłonią brody, co

oznaczało potwierdzenie, po czym nie czekając, aż zwolnię lub zatrzymam się, kilkoma susami

podbiegła do sań i bez wysiłku na nie wskoczyła, a następnie usiadła na pozostałości rusztowania, które służyło do transportu ciała Nashhwonka.

- Dobrze biegasz - powiedziałem.

- Ale to jest lepsze. Niedługo musiałabym się zatrzymać. Czy możesz jechać prędzej?

- Nie, bo wiatr jest za słaby. Zaraz się trochę rozpędzimy, żagiel się już wypełnił.

(W rzeczywistości zacząłem się obawiać, jaki wpływ będzie miał jej ciężar na tempo naszego poruszania się).

- Dokąd jedziesz?

Powiedziałem jej, że próbuję dogonić Wielkie Sanie.

- Nie zaczekają na ciebie? Sądziłam, że jesteś jednym z nich.

- Jeżeli nawet czekają, to ja nic o tym nie wiem. A ty? Dokąd idziesz? Niespodziewanie

uśmiechnęła się szeroko, pokazując wspaniałe zęby. - Ja też chcę dogonić Wielkie Sanie.

W pierwszej chwili pomyślałem, że mato być rodzaj pochlebstwa, oznaczającego, że pójdzie wszędzie tam, gdzie i ja. Musiała się tego domyślić z mego wyrazu twarzy, bowiem powiedziała:

- Nie wierzysz mi, ale to prawda. Łowca Ryb nie żyje i to jest jedyne miejsce, w którym chcę być. Spytałem ją, kto to był ten Łowca Ryb.

- Jeden z naszych. Ktoś uderzył go w twarz pałką. Bardzo cierpiał, więc kiedy przybyły Wielkie Sanie, zaniósłam go do nich. Było mi go wtedy żal.

Umilkła, a ja nie bardzo wiedziałem, czy mądrze będzie pytać ją dalej. Dotarliśmy właśnie do długiego podjazdu i skorzystałem z tego pretekstu, by zeskoczyć z sań i trochę je popchać.

- Jesteś bardzo silny, jak na swój wiek - powiedziała, kiedy minęliśmy wierzchołek wzgórza i zaczęliśmy zjeżdżać w dół.

Odparłem, że właściwie całą pracę wykonał za mnie wiatr.

- Ale i tak jesteś silny. Od razu przyspieszyliśmy, kiedy zacząłeś pchać, a tuż przed szczytem

żagiel w ogóle nie pracował.

- Wydaje mi się, że kiedyś byłem cięższy.

Na znak, że mnie nie zrozumiała, podniosła dwa palce do oka. Nie wiedziałem, jak jej to wyjaśnić, więc wreszcie, trochę nieskładnie, powiedziałem:

- Myślę, że w innym świecie byłem większy, to znaczy cięższy, niż tutaj.

- Tak, wiem o tym, że istnieją inne światy, chociaż sama nigdy ich nie widziałam. Nikt mi nie wierzył, dopóki nie pojawiły się Wielkie Sanie. Jestem pewna, że one są z innego świata. Istnieje też świat marzeń oraz cała masa światów lepszych i gorszych od niego. Z którego ty jesteś?

- Nie wiem.

- Znam to uczucie - powiedziała.

- To dlatego właśnie chcesz dogonić Wielkie Sanie? Bo są z innego świata?

- Już ci powiedziałam.

Siedziała teraz odwrócona w moją stronę. Jej wierzchnie okrycie miało okazałych rozmiarów kołnierz, który teraz nastawiła tak, że futro okrywało jej krótkie brązowe włosy niczym kaptur.

- To jedyne miejsce, w którym chcę być. Myślisz, że mi pozwolą?

- Nie wiem.

- Chyba nie... Ale może, jeśli będę szła za nimi wystarczająco długo, uda mi się ich przekonać?

- Powiedziałaś, że zaniostaś do nich Łowcę Ryb. Jak on umarł?

- Nie zabili go, jeśli to miałaś na myśli. Wiesz, wydaje mi się, że ty wcale nie jesteś jednym z nich.

Poczułem, jakby mi się nagle coś zważyło na głowę. To uczucie nie opuściło mnie nawet jeszcze teraz, chociaż minęło już pewnie ponad dziesięć godzin.

- Ubierasz się właściwie tak, jak oni - powiedziała - ale masz inną twarz. Równie dobrze mógłbyś być jednym z naszych, który założył ich ubranie.

- Czym różni się moja twarz?

- Wyrazem. Usta masz za szerokie i chyba za duże zęby. Ale może się myłę, może chodzi tylko o

jej wyraz. Skąd masz to ubranie?

- Nie wiem.

- Zabrałeś jednemu z nich?

- Nie wiem. Kiedy znaleźli mnie Wiggikki, miałem już to na sobie. Nie mam pojęcia, skąd to się wzięło, ani skąd sam jestem.

- A co zrobisz, jeżeli dogonimy Wielkie Sanie, a oni uznają, że zamordowałeś jednego z nich?

Powiedziałem jej, że nigdy się nad tym nie zastanawiałem i żeby zmienić temat zapytałem, jak umarł Łowca Ryb.

- Ludzie z Wielkich Sań wyleczyli go. Z początku nie chcieli nic robić, bo to nie oni go

skrzywdzili, ale potem powiedzieli, że pomogą mu, bo to ich obecność dała mi nadzieję, więc gdyby mnie zawiedli, to tak, jakby wyrządzili mi krzywdę. Zajęli się nim nie dlatego, że umierał, ale

dlatego, że płakałam i szarpałam moje włosy. Wydało mi się to bardzo dziwne i nadal mi się

wydaje. Zabrali go, a kiedy wrócił, czuł się już lepiej i po godzinie mógł chodzić bez niczyjej pomocy. Nabierał szybko siły, więc uderzyłam go jeszcze raz - pokazała swoją pałkę - i wtedy

umarł. Teraz chciałabym być z nimi. Wiem, że nadawałabym się tylko do najgorszej pracy, choć

jestem najstarszą córką swego ojca, ale najgorsza praca tam, to więcej niż najlepsza gdziekolwiek indziej. Jeśli trzeba, mogłabym nawet patroszyć dla nich zwierzynę i zjadać wnętrzności. Czy ty też czujesz coś takiego?

- Czuję tylko, że tam należ, że Wielkie Sanie są moim domem albo częścią mojego domu. - Masz szczęście. Też chciałabym móc tak o sobie powiedzieć.

- Czy mogę wiedzieć, jak się nazywasz? Uśmiechnęła się.

- Jestem Promienista Cim. Podoba ci się to imię? Dotknąłem mojej brody.

- Mój ojciec chciał mnie nazwać Siedem Śniegów, bo tak się u nas często nazywa córki, ale

urodziłam się akurat wtedy, kiedy był na łodzi. Zanim wrócił, moja matka wstała już z łóżka i

zobaczyła przypominającą jasną gwiazdkę Cim, która śmigła z drzewa na drzewo i nie czekając na niego, nadała mi imię.

Rozłożyliśmy się obozem, kiedy słońce dotykało już niemal horyzontu.



Sądząc po świeżości śladu, od Wielkich Sań dzieli nas nie więcej niż parę kilometrów - na szlaku prawie nie ma zasp, a śnieg jest tak ubity, że nawet przy słabym wietrze, takim jaki mieliśmy dzisiaj, można żeglować z całkiem przyzwoitą prędkością. Sądzę, że gdyby wiało choćby trochę mocniej - albo gdyby sanie nie były obciążone dodatkowym ciężarem Cim - już dzisiaj zakończyłbym pościg. Kusilo mnie, żeby żeglować i w nocy, ale przypomniałem sobie, czym to może grozić i z ciężkim sercem zatrzymałem się zawczasu, byśmy mogli jeszcze przygotować sobie jakieś schronienie.

Cim znała się na tym nieporównywalnie lepiej ode mnie. Zamierzałem rozbić obóz na odkrytym terenie, możliwie blisko szlaku, ona jednak poradziła mi skierować się do małego zagłębienia gruntu kilkaset metrów dalej. Płynie tutaj strumień i jest sporo drewna na opał, a także trochę grubszych konarów, z których można wybudować coś w rodzaju wiatrochronu. Powiedziałem jej, że nie mam żadnej żywności, ona jednak tylko się roześmiała i kazała mi zrobić dużym kamieniem przerębel w lodzie. Ryby pierzchły we wszystkie strony, ale po chwili, kiedy Promienista Cim wsadziła do wody swą pałkę, z którą ani na moment się nie rozstawała, wypłynęły brzuchami do góry na pokrytej cienkim lodem płyciźnie kilkanaście metrów w dół strumienia. Nie pozostało nam nic innego, jak tylko wybić tam w lodzie kolejną dziurę i wyłowić kijami i gałęziami tyle ryb, ile się dało. Zjedliśmy obfitą kolację, a teraz Cim już śpi. Wiatr coraz wyraźniej przybiera na sile i jeżeli Wielkie Sanie zatrzymają się w nocy choćby na kilka godzin, to myśl, że mamy duże szanse dogonić je przed jutrzejszym popołudniem. Jeżeli nam się to nie uda, to czeka nas kolejny dzień pościgu.

## Siódmy dzień

Jak zwykle przesłuchałem wszystko, co powiedziałem wczoraj i wydaje mi się, że od tamtej chwili minęło znacznie więcej, niż tylko jeden dzień, chociaż właściwie nie ma zbytnio o czym opowiadać. Zaraz po skończeniu nagrywania zapadłem w sen. Nasze schronienie miało ściany tylko z trzech stron - coś jak szałas Poszukiwacza Gniazd - zaś w miejscu czwartej rozpaliliśmy ognisko. Pozwoliłem Cim spać tuż przy nim, nie dlatego, żebym żywił jakieś głupie przesady na temat kobiecej słabości, ale dlatego, że jestem pewien, iż jej futra, aczkolwiek rzeczywiście piękne, nie są tak ciepłe jak mój pikowany kombinezon.

Gdzieś w środku nocy obudziłem się, by stwierdzić, że ogień prawie wygasł. Cim drżała przez sen z zimna, ja zaś nie mogłem nigdzie znaleźć przygotowanego przez nas na noc zapasu drewna.

Najwidoczniej zdążyła już je całe zużyć. Zrobiło mi się wstyd, że to ona czuwała do tej pory, by ogień nie wygasł, toteż przestąpiłem przez nią ostrożnie i wyszedłem przynieść trochę opału.

Na niebie świeciły obydwie księżycy. Ich blask odbijał się w nieskazitelnie białym śniegu, na którego tle wąskie pasy wolnej od lodu wody wyglądały jak rozrzucone niedbale ścinki czarnej wstążki. Wyzbieraliśmy już drewno w bezpośredniej bliskości naszego schronienia, toteż poszedłem jakieś dwieście metrów w dół strumienia i wróciłem z pełnym naręczami gałęzi. W pierwszej chwili pomyślałem, że mam halucynacje - podwójne księżycowe cienie (drzew, jak w pierwszej chwili pomyślałem), zdawały się być skupione koło naszego przygasającego ogniska. W pewnej chwili jeden z nich nachylił się i podniósł z ziemi jakiś miękki ciężar. Kiedy się odwrócił, światło obydwu księżyców padło na twarz Cim; jej głowa zwieszała się bezwładnie w dół, zaś policzki zdawały się być bielsze i bardziej bezkrwiste od śniegu.

Cisnąłem mój ładunek w śnieg, z wyjątkiem najgrubszego i najdłuższego konaru i z krzykiem rzuciłem się w ich stronę. Było to głupie i żalosne, bowiem, jak się po chwili przekonałem, napastników było czterech, a każdy z nich miał co najmniej trzy metry wzrostu. Mimo to udało mi się zadać cios. Kiedy jeden z nich stanął między mną, a tym, który trzymał Cim, zamachnąłem się moim konarem i uderzyłem w coś, co zadźwięczało jak metal. W tej samej chwili poczułem, jakby ktoś oblał mnie płynnym ogniem. Runąłem na plecy, a to coś, co uderzyłem, pochyliło się nade mną. Chciałem powiedzieć, że miało twarz jak z koszmarnych majaczeń, ale jest faktem, że chyba już wtedy majaczyłem, a nawet i teraz mówię właściwie tylko dlatego, że boję się zasnąć i zobaczyć to raz jeszcze.

Musiałem leżeć w śniegu kilka godzin. Ból skupił się po prawej stronie klatki piersiowej, tuż nad miejscem, w którym zaczynają się żebra. Czułem jednak jakoś, że nic poważnego mi się nie stało, że to było coś jakby uderzenie biczem albo użądlenie owada, toteż pomimo bólu bardziej martwiłem się, by nie zamarznąć na śmierć, niż o to, co mi zrobili.

Nareszcie, kiedy zaczęło już szarzeć, odzyskałem na tyle władzę w kończynach, by rozpiąć kombinezon i dotknąć ogniska bólu. Kiedy wyjąłem rękę, była cała we krwi.

Gdy wreszcie mogłem już wstać, zebrałem rozsypane przeze mnie drewno i rozpałem ognisko.

Wiele bym dał za jakieś naczynie, w którym mógłbym zagrzać wodę i opłukać ranę, ale niczym takim nie dysponowałem, toteż musiałem ochlapać zakrwawione miejsce lodowatą wodą ze strumienia. Wróciłem zaraz do ognia, bo zimno było naprawdę przejmujące. Podarłem żagiel na pasy i tymi prymitywnymi bandażami powstrzymałem krwawienie, po czym załatałem, na ile się dało, dziurę w kombinezonie i obwiązałem się w tym miejscu dookoła resztką żagla, by choć w ten sposób zabezpieczyć się przed podmuchami wiatru. Pocisk, który mnie zranił, nie opuścił mego ciała, na plecach bowiem nie ma rany wylotowej .

Dylemat, przed którym stanąłem - ciągle jeszcze nie wiem, czy rozwiązałem go. prawidłowo - polegał na tym, czy powinienem ścigać stworzenia, które porwały Cim, czy też raczej kontynuować pogoń za Wielkimi Saniami, by następnie pozyskać sobie pomoc ich załogi (której, jak się wydaje, byłem kiedyś członkiem). Postanowiłem sam tropić napastników, chociaż, jak powiadam, wcale nie jestem przekonany, czy była to słuszna decyzja. Gdybym jednak szedł nadal za Wielkimi Saniami, mógłbym dogonić je zbyt późno - tak, to bardzo ważny punkt. Bez żagla, nawet po szlaku, poruszałbym się z pewnością nie prędzej, niż idąc śladem istot, które nas napadły.

Poza tym obawiam się - i powinienem zdać sobie dobrze sprawę z tych obaw - tego, czego mógłbym się dowiedzieć, doścignąwszy wreszcie Wielkie Sanie. Gdyby zaginął jeden z członków załogi, z pewnością szybko by to zauważyli i zmienili kurs, albo wysłaliby wyprawę ratunkową. Z tego, co wiedziałem wynikało, że nic takiego nie miało miejsca. Równie dobrze mogło się okazać, że zostałem wypędzony za jakąś zbrodni, albo, jak powiedziała Cim, że przywłaszczyłem sobie to ubranie, a wraz z nim osobowość, która do mnie nie należała i do której nie miałem żadnego prawa.

Właściwie już nic więcej nie mam do dodania. Szedłem ich tropem na północ, przez coraz bardziej pagórkowatą okolicę, ponieważ jednak jestem bardzo osłabiony, wątpię, żebym przebył więcej niż jakieś dziesięć kilometrów. W kilku miejscach napotykałem na świeże ludzkie ślady, ale nikogo nie widziałem. Nie mam żywności. Aha, wziąłem ze sobą broń Cim, magiczną pałkę.

Wygląda po prostu jak kawał prostego kija o długości około pół metra i może dwucentymetrowej średnicy. Uchwyt jest jasnobrązowy - jak w kuszy, którą kiedyś miałem - i ma rzemienną pętlę do

założenia na dłoń. Drugi koniec jest koloru czarnego i jest na nim osiem czy dziesięć jakby krótkich kolców, prawie zupełnie białych. Nie używałem jej jeszcze i uważam bardzo, by nie dotknąć czarnego końca.

## Ósmy dzień

Nie wiem, czy tak jest rzeczywiście; nie ma tutaj ani dnia, ani nocy. Którykolwiek by to zresztą był, muszę już zatrzymać się i odpocząć. Opowiem o tym, co się wydarzyło, aczkolwiek jest bardzo prawdopodobne, że będę martwy, zanim zdołam dokonać następnego nagrania.

Wczoraj przerwałem marsz późnym popołudniem. Przygotowałem sobie schronienie w zaroślach i rozpałem małe ognisko, które zgasło zanim jeszcze udało mi się zasnąć. Byłem zbyt osłabiony, by cokolwiek robić, toteż przygotowałem się na to, że w nocy zjawi się po mnie śmierć.

Kiedy mimo wszystko obudziłem się dzisiaj rano, pierwszą rzeczą, jaką zobaczyłem była śnieżna małpka przyglądająca mi się z oddalonej o jakieś dwadzieścia metrów gałęzi. Rzuciłem w nią pałką, czując przy tym, jakby coś grzebało mi pazurami w mojej ranie. Dopisało mi szczęście, bowiem udało mi się trafić. Podskoczyła, jakby mocno zdziwiona i przeniosła się trochę dalej. Po mniej więcej pół minucie zauważyłem, że ma kłopoty z utrzymaniem się na gałęzi, a po następnej pół minucie zsunęła się na ziemię. Próbowwała jeszcze uciekać, ale po chwili padła na śnieg. Kiedy do niej dotarłem, jeszcze żyła; patrzyła na mnie błagalnie swymi małymi oczkami, po czym wzrok jej zmętniał, ruchy zamarły, a wargi w ostatnim grymasie odsłoniły drobne zęby.

Tak się niefortunnie złożyło, że małpka spadła, ale magiczna pałka nie. Zaklinowała się w rozdzieleniu gałęzi gdzieś sześć czy siedem metrów w górze i musiałem cisnąć w nią chyba z tuzin kul śnieżnych, zanim udało mi się ją wreszcie strącić. Jedząc małpkę, pociąłem pozostałą mi jeszcze część zagła na wąskie, długie paski i splotłem z nich linkę, której jeden koniec uwiązałem do pętli przy rękojeści pałki.

Mam nadzieję, że pozwoli mi to uniknąć ryzyka postradania pałki, chociaż nie miałem jeszcze okazji wypróbować mego pomysłu.

Małpka okazała się tak chuda, że nie miało sensu pozostawianie czegokolwiek na później.

Zjadłem, co się dało, po czym ruszyłem w poszukiwaniu śladów porywaczy. W nocy wiatr nie wiał zbyt mocno, toteż nie miałem większych kłopotów z ich znalezieniem, jako że były niemal równie dobrze widoczne, jak poprzedniego dnia. Pamiętam, że idąc noga za nogą usiłowałem sobie

wmówić, że czuje się znacznie lepiej niż wczoraj i że będę mógł przebyć większą odległość - ale to nie była prawda. Byłem nawet trochę słabszy. Nie przeszedłem jeszcze nawet kilometra, kiedy zdałem sobie sprawę, że niebawem bada musiał odpocząć i że jeśli raz się zatrzymam, to potem, wystawiony wśród gołych skał na podmuchy lodowatego wiatru, mogę nie mieć już sił, by ruszyć dalej.

Miałem już właśnie zacząć rozglądać się za czymś, co mogłoby posłużyć mi jako schronienie, kiedy zobaczyłem, że ślady istot, za którymi podążałem, nikną w miejscu, o jakie mi właśnie chodziło, a mianowicie w otwierającej się w skalistym zboczu szczeliny. Pomyślałem, że spędzili tu noc, ale w chwili, kiedy zagłębiałem się w ciemność wypełniającą przestrzeń między kamiennymi ścianami uświadomiłem sobie, że nie było nigdzie widać śladów wskazujących na to, żeby stąd wychodzili.

Szczelina, która, jak z początku przypuszczałem, mogła mieć metr albo dwa głębokości, w rzeczywistości zdawała się nie mieć końca, zamieniając się wkrótce w schodzący w dół, skalny korytarz.

Po dwudziestu krokach wszelkie światło znikło. Wyciągnąłem z kieszeni zapalniczkę, po czym natychmiast ją schowałem, obawiając się, że mogą mnie zobaczyć. Widok, jaki błysk światła utrwalił na mojej siatkówce, był dosyć niepokojący: korytarz, szeroki i wysoki na piętnaście do dwudziestu metrów, biegł prosto przed siebie, z sufitu zwisały stalaktyty, zaś na jego "podłodze", pokrytej, jak mi się wydawało, ubitą gliną, leżały liczne kamienie i stały kałuże wody.

Szedłem przez dłuższy czas przed siebie, aż wreszcie byłem pewien, że minąłem odcinek, który widziałem. Nic się nie zmieniło z wyjątkiem temperatury powietrza, która była tutaj wyraźnie wyższa. Po chwili rozpiąłem górą kombinezonu.

Zmiany - brak wszechobecnego do tej pory zimna i dziennego światła - nie pozostały bez wpływu na mój stan psychiczny. Byłem zdezorientowany i to się nie zmieniło do chwili obecnej, ale jednocześnie zdaje mi się, że zbliżyłem się wyraźnie do Wielkich Sań, tak jakbym wkraczając do tego ukrytego przed światem miejsca, wrócił w jakiś sposób do życia, jakie prowadziłem, zanim Wiggikki znaleźli mnie w śnieżnej zaspie. Naprawdę trudno opisać to uczucie. Mam wrażenie,

jakbym znał doskonale moje możliwości i ograniczenia, jakbym wiedział co mogę zrobić, a czego już nie dam rady. Jestem teraz pewien, że rana w mojej piersi, aczkolwiek jeszcze bardziej bolesna niż dotąd, mnie nie zabije i ta pewność kłóci się w sposób wyraźny z tym, co mówi zdrowy rozsądek. Jednocześnie bardziej, niż do tej pory boję się istot, które porwały Cim, natomiast znacznie mniej śmierci, która przestaje być dla mnie tym, czym była na zewnątrz, czyli uosobieniem wszelkiego możliwego zła. Ale nie skończyłem jeszcze mojej relacji.

Szedłem więc w zupełnej ciemności naprzód, dotykając ręką ściany i ostrożnie badając grunt wysuniętą przed siebie stopą zanim decydowałem się na kolejny krok. Było to bardzo męczące, toteż po jakimś czasie zdecydowałem się użyć do tego celu magicznej pałki. Po tylu godzinach spędzonych w absolutnej czerni nie byłem pewien, czy światło, które się przede mną pojawiło jest prawdziwe, czy też może należy to uznać tylko za złudzenie, tak jak kolorowe plamy, które widać, gdy naciśnie się zasłonięte powiekami gałki oczne. Jednak z każdym moim krokiem robiło się coraz jaśniej, aż wreszcie ujrzałem źródło blasku. Zanim to jednak nastąpiło, w mimo wszystko ciągle jeszcze pustym półmroku spotkałem wampiry.

Tak je w każdym razie nazwałem. Są to nietoperze o ludzkich twarzach i nagich, bezwłosych ciałach. Rozpiętość ich skrzydeł sięga metra, a może nawet troszeczkę więcej. Pierwszy atak przypuściły wtedy, kiedy jeszcze w ogóle nie mogłem ich dostrzec; tylko ich sylwetki przesłaniały na mgnienie oka widniejący hen daleko przede mną punkcik światła. Broniłem się przed nimi pałką, a one krzyczały z bólu wysokimi, skrzeczącymi głosami i słyszałem, jak trafione śmiertelnie uderzały w ściany i spadały na podłogę, gdzie jeszcze przez chwilę próbowały się czołgać. Nic nie widziałem, więc deptałem po nich, narażając się na ich ugryzienia. Na szczęście moje buty okazały się zbyt twarde dla ich zębów, ale udało im się rozedrzeć na przedramieniu zewnętrzną warstwę mego kombinezonu.

Po jakichś stu metrach zrobiło się na tyle jasno, że mogłem im się lepiej przyjrzeć. Twarze mają do tego stopnia ludzkie, że nie ma żadnego problemu z rozróżnieniem płci. Ich włosy są długie i powiewają za nimi w locie, niezwykle smukłe palce połączone cienką, prawie niewidoczną skórą, ramiona zaś stanowią szkielet dla skórzastych skrzydeł. Ciała mają zupełnie nagie, nogi zaś, wbrew moim oczekiwaniom, nadzwyczaj długie - nie mają żadnych kłopotów z bieganiem po dnie jaskini.

Dzięki niezwykle ruchliwym, chwytным stopom, przypominającym ludzkie dłonie lub ptasie

szpony mogą utrzymywać się na gładkiej powierzchni zwieszających się z sufitu stalaktytów.

Gdyby nie wystające im spomiędzy warg groźnie zaostrome zęby to przypuszczam, że te ich drobne twarzyczki o dużych, ciemnoniebieskich oczach byłyby nawet ładne. Jakiś czas temu

znalazłem szczelinę, w której teraz odpoczywam i cały czas obserwuję, jak te tajemnicze istoty łapiają w płynącym pod mną strumieniu białe, ślepe ryby. Czynią to w ten sposób, że stoją bez ruchu na jednej nodze, a gdy jakaś ryba podpłynie do nich, wykonują błyskawiczny ruch drugą i chwytają szamoczącą się zdobycz w szpony. Używając magicznej pałki Cim sam mógłbym chyba nałapać tych ryb, ale po pierwsze, są bardzo małe, a po drugie nie mam ognia, żeby je nad nim upiec.

Dziewiąty dzień

Nareszcie mogłem zasnąć. To miejsce jest nie więcej niż w jednej czwartej wysokości jamy, ale i tak wydaje się bardzo wysoko. Widzę przed sobą leżące pośrodku jaskini miasto zupełnie tak, jakbym był ptakiem. Albo, co by było w tych warunkach znacznie lepsze, jednym z wampirów.

Sądzę, że jestem na tym samym poziomie, co wierzchołki najwyższych wież.

Miasto wygląda upiornie nawet z tej odległości, ponieważ budynki nie mają ani ścian, ani stropów. Składają się wyłącznie z metalowych szkieletów, zupełnie jakby ich budowniczy

uznali, że wystarczy po prostu stawiać jedno piętro nad drugim, natomiast za suity i ściany służyć będą sufit i ściany ogromnej jaskini. W rezultacie sprawia to wrażenie, jakby te części budowli po prostu rozpadły się w pył; gdzieś tam widać ich resztki trzymające się jeszcze

metalowych szkieletów konstrukcji.

Obudziłem się dziś rano ze świadomością, że muszę znaleźć coś do jedzenia, w przeciwnym

bowiem razie będę z dnia na dzień coraz słabszy, aż wreszcie umrę z głodu, nie udzielwszy żadnej pomocy Promienistej Cim. Poszedłem do miasta w nadziei, że uda mi się zdobyć jakiś palny

materiał, na którym będę mógł upiec sobie ryby ze strumienia. Z gliniastej drogi zszedłem, rzecz jasna, na długo przed położeniem się spać, bowiem zrobiło się już tak jasno, że obawiałem się, iż mogę zostać dostrzeżony.

Dno jaskini, po którym teraz szedłem, zasypane było gładkimi, obtoczonymi przez wodę

kamykami, tu i ówdzie zaś spoczywały ogromne, oderwane od ścian lub sufitu głązy. Starłem się

trzymać w ich cieniu, ale w miarę zbliżania się do miasta pochodzące z budynków światło -

aczkolwiek żółte i niezbyt jaskrawe - było coraz jaśniejsze i bardziej rozproszone, aż wreszcie czułem się zupełnie nagi, jakby z ażurowych wież obserwowały mnie niezliczone pary oczu, przed których natarczywymi spojrzeniami nie miałem gdzie się schować.

Po przebyciu dwóch czy trzech kilometrów znalazłem się już na tyle blisko, by stwierdzić, że upiorne budowle wypełnione były stojącymi bez ruchu maszynami. Nie wiadomo czemu spodziewałem się, że na obrzeżach miasta natrafię na mniejsze budynki i być może na stosy odpadków, ale teraz odniosłem wrażenie, że się myliłem - wieże zdawały się wystrzelać zniecka spod skalistej powierzchni.

Kiedy jednak podszedłem jeszcze bliżej, okazało się że moje domysły były słuszne. Ta część jaskini, w której się w tej chwili znajdowałem, musiała być kiedyś wypełniona wszelkiego rodzaju odpadkami.

Teraz jednak to wszystko już zniknęło, wtopiwszy się w gliniasto-skaliste podłoże, tak że tylko drobne nierówności terenu, niezwykle, rdzawo-brązowe nacieki i od czasu do czasu jakiś kos stopu tak twardego, że przetrwał bez śladu rdzy całe stulecia, świadczyły o przeszłości tego miasta.

Niszczące działanie czasu dotknęło również małe budowle stojące u podnóża olbrzymich wież. Pozostały po nich tylko zarysy fundamentów i czasem niewielkie baseny czarnej wody, stojącej tam, gdzie niegdyś były piwnice. Ścian nigdzie już nie mogłem się dopatrzeć; mogło ich zresztą nigdy nie być, a domniemane budynki równie dobrze mogły być na przykład jakimiś ledwo co wyniesionymi nad poziom gruntu platformami.

Minąwszy miniaturowe, ciche jeziora znalazłem się tuż pod potężnymi wieżami. Światło było już bezlitośnie jasne i jak mi się wydaje, szedłem naprzód wyłącznie dlatego, że powodował mną jakiś rodzaj fatalizmu. Muszę pomóc Cim, muszę także znaleźć żywność. W mieście była zarówno Cim, jak i jedzenie, a że najwyraźniej nigdy nie zapadał tu zmrok, to chwila ta równie dobrze nadawała się na dokonanie rekonesansu, jak i każda inna.

Przypuszczam, że mimo wszystko nikt mnie nie zobaczył. U wejścia do miasta nie było żadnych strażników, a jeżeli nawet byli, to ich ciała musiały rozsypać się w pył co najmniej tysiąc lat temu. Otaczały mnie tylko szerokie ulice oraz gładkie, piętrzące się w góro szkielety budynków. Ulice



wydawały się zbyt otwarte, zbyt nagie, zbyt mało chronione, by mogły pozostać nie splądrowane.

Najniższa kondygnacja pobliskiej budowli wznosiła się najwyżej metr nad powierzchnie ulicy.

Wszedłem do środka.

Nie ma sensu, żebym dokładnie zdawał relacje z tego, co widziałem, bo nie pamiętam wszystkich

szczeǳółów, które byłyby ważne przy opisie. Przeznaczenia zdecydowanej większości

zgrupowanych w budynku maszyn nie potrafiłem się nawet domyśleć, wszystkie jednak musiały

być wręcz nieprawdopodobnie stare. Niektóre miały szklane okienka, ale były one ciemne i martwe.

Cześć przypominała swym kształtem ludzi; cześć znów dziwaczne zwierzęta o niezwykłych,

zginających się niegdyś w wielu miejscach ciałach.

Właściwie nie miałem zamiaru mówić o mojej przygodzie z jedną z tych przypominających

człowieka maszyn, ale może to jednak okazać się dosyć istotne, a poza tym, chociaż postąpiłem z całą pewnością nierozważnie, jak na razie nie pociągnęło to za sobą żadnych przykrych

konsekwencji.

Przeszedłem przez ulice, chcąc dostać się do następnego budynku. Maszyna stała w zacienionej

niszy jednego z bocznych korytarzy, myślę, że wszystkie inne maszyny są popsute, a to jedną, która nie jest (a w każdym bądź razie nie tak bardzo, jak pozostałej, przeoczono kiedyś po prostu dlatego, że stała w ukryciu.)

Przez moment odniosłem wrażenie, że to ogromnych rozmiarów człowiek, toteż skierowałem się

w jej stronę. Z bliska jednak podobieństwo znikło, natomiast uwidoczniły się liczne różnice: miała za długie ręce, jej dłonie wyposażone były w haki i zębate chwytaki, nie miała oczu, (to, co z

początku wziąłem za oczy, okazało się po prostu dwoma światełkami), a zamiast nóg miała dwa

koła. Chyba właśnie to, że stała w wyprostowanej pozycji zwróciło na nią moją uwagę. Wśród stert martwego metalu wyglądała niemal jak żywa istota. Kiedy się do niej zbliżyłem, przemówiła do

mnie.

Nie przypuszczam, żebym kiedykolwiek zapomniał to chwilo. Było to tak, jakby nagle

przemówił kamień, a jednak, po raz pierwszy od porwania Cim, nie byłem wreszcie sam. Ton jej

głosu był ostry; ale przyjazny i chociaż posługiwała się tym samym językiem co ja, to niektóre

wyrazy wymawiała w bardzo dziwny sposób, którego nawet nie będę starał się teraz naśladować.

Byłem tak zdumiony, że z początku nie rozumiałem, co właściwie powiedziała. Po kilkunastu sekundach powtórzyła to raz jeszcze:

- Oczekuję na polecenia.

Dopiero za drugim razem udało mi się wykrztusić:

Nie odpowiedziała. Chociaż moim pierwszym odruchem było rzucić się do ucieczki, a drugim - schować się gdziekolwiek, to jednak w gruncie rzeczy wcale nie byłem tak bardzo zaszokowany tym, że mogę rozmawiać z maszyną, mimo iż taki Długi Nóż na przykład, żeby daleko wie szukać, z całą pewnością byłby tym wręcz przerażony, o ile w ogóle by zrozumiał, rzecz jasna, co się dzieje. Po jakimś czasie, kiedy maszyna ciągle nic nie mówiła, a znikąd nie dochodziły żadne podejrzanе odgłosy, zebrałem w sobie dosyć odwagi, by zapytać.

- Jak długo tu stoisz?

- Nie mam mechanizmu rejestrującego upływ czasu.

- Ale wiesz o tym, że czas mija?

- Wiem, że inni mają taki mechanizm.

- Gdzie mogę znaleźć coś do jedzenia?

- W wozie.

Jeden z wampirów - zwabiony, jak sędzę, naszymi głosami - wleciał do budynku i teraz kluczył między stojącymi bez ruchu urządzeniami. Obawiałem się, że może zjawić się ich więcej, ale mimo to zapytałem.

- Gdzie to jest?

- Tam.

Jedno z ramion uniosło się powoli, wskazując mi drogę. Przypuszczam, że od chwili, kiedy

poruszyło się po raz ostatni, musiały minąć setki, a kto wie, czy nie tysiące lat. Z początku zadrżało lekko, jakby jeden z mechanizmów nie mógł obudzić się do życia, ale drżenie szybko ustało i ramię opadło z powrotem ruchem tak płynnym, jakby zostało zmontowane nie dalej jak wczoraj.

Kierunek, jaki mi wskazała maszyna, był równoległy do korytarza. Bałem się, że ominę to miejsce (o ile w ogóle jeszcze istniało), toteż zapytałem, czy nie mogłaby mnie tam zaprowadzić.

- Tak - usłyszałem w odpowiedzi i zanim zdołałem zaprotestować chwyciła mnie w swe potężne ręce i przeniosła na wierzch tego, co uważałem za jej głowę. Znajdowało się tam coś w rodzaju barierki, która mogła zabezpieczyć mnie przed wypadnięciem, pod warunkiem, że pozostanę w pozycji siedzącej.

Gdyby nie linka, z pewnością zgubiłbym magiczną pałkę. W chwili, kiedy wyciągnąłem ją na górę maszyna ruszyła naprzód. Wampir uciekł nam z drogi, wrzeszcząc ze strachu. Skręciliśmy najpierw w jeden korytarz, potem, po przebyciu co najmniej kilometra, w drugi. Zdążyłem już stracić zupełnie orientację, bowiem cały czas posuwaliśmy się w głąb olbrzymiej budowli.

Wreszcie zatrzymaliśmy się w miejscu, które, dla mnie przynajmniej niczym się nie różniło od jakiegokolwiek innego i zanim zdążyłem o to poprosić, zostałem łagodnie postawiony na podłodze, tuż obok jakiegoś tajemniczego, obudowanego ze wszystkich stron urządzenia czy przedmiotu, w którym nie mogłem się dopatrzeć ani kół, ani niczego innego, co by mogło służyć do poruszania się. Z boku były drzwiczki, ale bez klamki. Dotknąłem ich ostrożnie, a potem spróbowałem otworzyć, wpychając paznokcie w wąziutką szczelinę między nimi a krawędzią otworu drzwiowego, lecz moje usiłowania spełzły na niczym.

- Powinien cię wpuścić - powiedziała maszyna zza moich pleców. Doznałem nagłego, irracjonalnego uczucia, że ta tajemnicza, przypominająca kolosalnych rozmiarów skrzynię rzecz rozpoznała we mnie obcego i za chwilę o tym ogłosi. Nic takiego jednak się nie stało, natomiast maszyna sięgnęła ponad moją „głowę” i chwyciła za krawędź drzwi swoją stalową dłonią. Coś trzasnęło i drzwi się otworzyły.

- Zepsułaś to - powiedziałem.

- I tak byt już zepsuty, bo powinien cię od razu wpuścić.

Wszedłem do środka. "Wóz" może i był kiedyś pełen żywności, ale zdecydowana jej większość zgniła już tak dawno, że nie pozostał choćby ślad zapachu i nawet zalegający dno szary pył bardziej

przypominał kurz, niż pozostałości czegoś do jedzenia. Po dobrych dwudziestu minutach buszowania znalazłem metalowe pudełko pełne białych twardych kostek, sprawiających wrażenie nietkniętych zębem czasu. Polizałem jedną; miała kwaskowy smak, jakby z domieszką czegoś słonego - zdecydowanie zbyt intensywny, ale domyśliłem się niemal od razu, że kostki przeznaczone były do rozpuszczania w wodzie. Wsadziłem pudełko do kieszeni, po czym wyszedłem na zewnątrz i poprosiłem maszyn, która czekała tam na mnie cierpliwie, by zaniosiła mnie na miejsce, z którego wyruszyliśmy.

Zostawiłem ją tam, a sam wróciłem do szczeliny, w której spędziłem poprzednią noc. Wyjąłem kostki z pudełka, nabrałem w nie wody ze strumienia i rozpuściłem jedną. Otrzymałem znakomity, niezwykle pożywny napój, nie przypominający niczego, co kiedykolwiek zdarzyło mi się próbować. Kiedy wypilem całą porcję, uczucie głodu minęło, jak ręką odjął. Osuszyłem starannie pudełko, zapakowałem resztę kostek i czując się trochę niepewnie blisko dna jaskini, wdrapałem się tutaj, gdzie mam zamiar się przespać.

## Dziesiąty dzień

Wraz z trzema maszynami wyszliśmy na zewnątrz. Poprosiłem je, by zatrzymały się na noc w takim miejscu, gdzie mogłyby nas sobą osłonić od wiatru. Znajdujemy się jakieś trzy kilometry od wejścia do jaskini; jutro z samego rana ruszymy na południe w poszukiwaniu śladów Wielkich Sań. Rana w moim boku chyba się powoli zasklepia, chociaż ani na chwilę nie daje o sobie zapomnieć, a od czasu do czasu odzywa się naprawdę nieznośnym bólem.

Dziś rano, kiedy się obudziłem, zszedłem na dno jaskini i udałem się do miasta z mocnym postanowieniem odnalezienia Promienistej Cim. Minąłem budynek, w którym odkryłem pierwszą maszynę nazwałem ją "Kołowiec" - i może dwie przecznice dalej omal nie wpadłem na jedną z istot, które porwały Cim. Z perspektywy czasu zdarzenie to może się wydać bardziej niż zabawne, bowiem starałem się ze wszystkich sił zachować maksymalną ostrożność, ale muszę przyznać, że wtedy akurat jakoś nie mogłem dostrzec w tym nic śmiesznego.

Wyszedł prosto na mnie zza rogu. Mając w pamięci broń, która zraniła mnie trzy dni temu, nie

uciekałem - nie wiem, co by się stało, gdybym jednak tak zrobił - tylko dla lepszego zamachu cofnąłem się krok wstecz i cisnąłem w niego magiczną pałką. Trafiła go w lewe, mechaniczne ramię i upadła na ziemię. Rzucił się na mnie, ale zdołałem dać nura pod jego wyciągniętymi rękami, przyciągnąć do siebie pałkę i w momencie, kiedy się do mnie odwracał, powtórzyć rzut. Celowałem w twarz, ale znowu trafiłem w niewłaściwą stronę. Teraz miałem już jednak pałkę pod pełną kontrolą - rzuciłem trzeci raz i tym razem trafiłem go w lewy policzek. Wystarczyło. Pocięła cienka strużka krwi, jego lewe oko przestało nagle się poruszać, osunął się na kolana - w tej pozycji był niewiele wyższy ode mnie - i mogłem obserwować, jak umiera ta jego część, która jeszcze była człowiekiem.

Przypuszczam, że więcej niż połowa jego mózgu musiała już być sztuczna, bowiem minęło sporo czasu, zanim przestał się w ogóle poruszać. Jeszcze przez kilka minut po śmierci ciała ręce wciąż wyciągały się drapieżnie w moim kierunku, a, nawet usiłował się czołgać w moją stronę. Nie mógł już jednak chodzić - i to mnie uratowało. Przypuszczam, że narządy równowagi były jeszcze pozostałościami jego ludzkiego ciała i kiedy umarły, porażone błyskawicznie działającą trucizną, nie mógł już stanąć na nogi.

Przez jakiś czas czekałem, aż umrze także jego część mechaniczna, ale zdawała się ona być bardzo przywiązana do życia, czy czegoś tam, co ją poruszało. Unikając potężnych rąk kopałem go w głowę, ale odgłos, przypominający głuche bicie olbrzymiego gongu niósł się po pustych ulicach tak zwielokrotnionym echem, że szybko z tego zrezygnowałem. Zostawiłem go wreszcie, ciągle jeszcze drgającego i pełzającego ślamazarnie w sobie tylko wiadomym kierunku. W moim kombinezonie zrobiło się nadzwyczaj ciepło i myślałem nawet, żeby go w ogóle ściągnąć, a nie chciałem go nieść, a tym bardziej zostawić było przecież w nim to nagrywające urządzenie, a oprócz tego zapalniczka, golarka, nóż i parę innych rzeczy - toteż wreszcie zdecydowałem się rozpiąć górę, zsunąć ją i zawiązać rękawy dokoła pasa. Otrzymałem w rezultacie strój nie tylko nie krepujący moich ruchów, ale i dostosowany znakomicie do panującej w jaskini temperatury. Teraz dopiero widzę, jak bardzo okazało się to istotne.

Nie sądzę, żebym miał kiedykolwiek zapomnieć moją wędrówkę przez miasto. Ulice były niezwykle szerokie (choć starałem się trzymać raczej tuż przy ścianach budynków, a czasem

nawet przechodziłem przez nie na skróty) gdzieś wznoszące się w górę i rozchodzące łagodnymi łukami we wszystkie strony. Konstruktorom miasta udało się najwidoczniej wynaleźć absolutnie niezawodny system oświetlenia, bowiem zawieszane pod estakadami oraz u wejść i we wnętrzach budynków światła ciągle jeszcze płonęły słabym blaskiem.

Po kilku kilometrach wędrówki dostrzegłem zmianę w wyglądzie chodnika. Z początku nie bardzo wiedziałem, na czym ona polega. Starłem się przypomnieć sobie wygląd ulic, którymi do tej pory szedłem i chociaż nie miałem z tym żadnego problemu - szczególnie, jeśli chodzi o miejsce mojej walki z tajemniczą istotą, której mechaniczne części uparcie nie chciały umrzeć - to minęło sporo czasu, zanim uświadomiłem sobie, że tutaj kamienny chodnik był znacznie ciemniejszy.

Kiedy nachyliłem się i dotknąłem go, na moich palcach pozostała wilgoć.

Biorąc pod uwagę mikroklimat, jaki panował w jaskini, wydawało się to zupełnie niemożliwe.

Półka skalna, na której spędziłem ostatnią noc była zupełnie sucha, podobnie jak dno jaskini między jej ścianami a granicą miasta. Byłem też zupełnie pewien, że tam, gdzie walczyłem z człowiekiem-maszyną chodnik także był suchy. Dotknąłem dłonią ścian budynków, bowiem zaczęły mi się pętać po głowie jakieś myśli o podziemnym odpowiedniku deszczu, ale nie znalazłem na nich nawet śladu wilgoci. Sama ulica natomiast wyglądała tak, jakby ktoś ją przed chwilą oblał wodą.

Wtedy właśnie zobaczyłem Kluy. Leżała po drugiej stronie ulicy, w kącie utworzonym przez załamujący się tutaj fundament budynku, odcinając się wyraźnie swoim szkarłatem od ciemnej szarości chodnika i trochę jaśniejszej metalowego szkieletu budowli. Z początku pomyślałem, że to pułapka, ale żaden szczegół otoczenia nie zdawał się na to wskazywać - był to po prostu czerwony kwiat Kluy z kilkucentymetrową łodyżką i paroma Liśćmi, dokładnie taki sam, jaki zdarzało mi się nieraz znajdować pod śniegiem.

Podniósłszy go z ziemi przekonałem się, że jednak wcale nie jest to prawdziwy kwiat. Zrobiony był z cieniutkich, zabarwionych na czerwono, kamiennych płatków, wyciętych najprawdopodobniej z łatwo dostępnych stalaktytów. Liście wykonano z tego samego materiału, tyle że były leciutko karbowane i pomalowane na zielono. Za łodygę służyła uformowana procesami natury cienka, kamienna rurka, zaś pośrodku stalaktytowych płatków błyszczał szlachetny kamień.

Spojrząwszy przed siebie dojrzałem wiele takich czerwonych, żółtych, białych i niebieskich

kwiatów, leżących to tu, to tam, jakby rozrzucił je po ulicy jakiś gwałtowny podmuch wiatru, co było jednak raczej nieprawdopodobne, bowiem nie przetrwałyby najlżejszego nawet upadku.

Zauważyłem, że im dalej się posuwałem, tym mniejsze były między nimi odległości. Tknięty nagłym impulsem wszedłem do jednego z budynków i przebiegłszy pośpiesznie wzdłuż szpalerów nieruchomych maszyn długimi, mrocznymi korytarzami, dotarłem do sąsiedniej ulicy; była zupełnie sucha i nie leżał na niej nawet jeden kwiat.

Po kilkuminutowym odpoczynku (chyba niepotrzebnie biegłem, bo ból odezwał się ze zdwojoną siłą), wróciłem z powrotem na ulice z kamiennymi kwiatami. Możliwe - a nawet bardzo

prawdopodobne - że jednak ktoś wiedział o mojej obecności w mieście. Jeżeli tak było, to raczej nie należało się łudzić, że uda mi się zwodzić go przez dłuższy czas przeskakując z jednej ulicy na drugą. Z drugiej strony nie można było wykluczyć ewentualności, że kwiaty nie mają ze mną nic

wspólnego. Równie dobrze mogły tutaj leżeć od setek, jeżeli nie tysięcy lat, zaś tajemnicza wilgoć wcale nie musiała być z nimi związana. Jeśli tak miało być w istocie, to na końcu tej ulicy mogło znajdować się coś bardzo interesującego. Możliwe, że znowu odezwał się we mnie ów niezwykle

fatalizm, ale bez wahania ruszyłem przed siebie, z początku trzymając się możliwie blisko

metalowych szkieletów budowli, potem zaś idąc już samym środkiem ulicy, bowiem kwiaty leżały po obu jej stronach tak grubą warstwą, że miałbym poważne kłopoty z poruszaniem się po niej.

Niebawem ponownie ujrzałem żywą istotą. Jedno z wysokich, poruszających się nieco

chwiejnym krokiem stworzeń, które porwały Cim, wybiegło na ulice kilkaset metrów przede mną.

Dokładnie na jej środku ustawiło coś, co przypominało wysoką laskę zakończoną czymś w rodzaju smukłych rogów, po czym umknęło z powrotem w cień budynku, z którego wyszło.

Trzymałem już w pogotowiu magiczną pałkę Cim, ale dla pewności sprawdziłem, czy linka

gdzieś się nie zapętlila, machnąłem nią para razy i w każdej chwili oczekując ataku, ruszyłem naprzód.

Atak nie nastąpił. Jestem pewien, że cały czas byłem obserwowany, ale nikt mnie nie napadł.

Gdy zbliżyłem się nieco do rogatej, laski zobaczyłem, że była wykonana nie z gładkiego drewna, jak do tej pory przypuszczałem, lecz z jakiegoś szarego, lekkiego metalu, pokrytego delikatnym

wzorem, składającym się z figur geometrycznych przeplatanych wizerunkami ludzkich twarzy.

Domniemane rogi z bliska przypominały raczej lekko wygięte antenki jakiegoś owada. Wydawały się być lekko chropowate, ale gdy przyjrzałem im się dokładniej, okazało się, iż są po prostu

zapisane wyrytymi w nich literkami, tak drobnymi, że niemal niemożliwymi do odczytania, ale i tak jestem pewien, że należącymi do pisma, którego nigdy w życiu nie widziałem na oczy. Chodziło

chyba o to, żebym wziął tę laskę, aczkolwiek utrudniłoby mi to bardzo swobodne posługiwanie się pałką. Po chwili namysłu zarówno pałką, jak i zwoje uwiązanej do niej linki wziąłem w prawą rękę, lewą zaś chwyciłem za rogatą laskę.

Doznałem uczucia, jakbym dotknął węża. Mój wzrok mówił mi, że nic się nie stało, że laska wciąż jest sztywna i prosta, że sterczącymi w górę antenkami, moje palce jednak czuły żywą istotę - zimną i spiętą do skoku. Omal jej nie upuściłem i teraz jestem pewien, że gdybym tak zrobił, zostałbym natychmiast zabity. Ponieważ jednak obok wrażenia obcowania z czymś żywym

doświadczałem też uczucia, że to coś jest mi posłuszne, tak jak są mi posłuszne moje kończyny, nie wypuściłem jej z ręki, tylko, chociaż była lekka, przewiesiłem ją sobie przez ramię.

Ulica nagle zarojła się życiem. Stworzenia, które zabrały mi Cim - jak się później dowiedziałem, nazywają się Min - wybiegały ze wszystkich wejść do okolicznych budynków, a nawet skakały z niższych pięter, z brzękiem i łoskotem krusząc zalegające chodniki kwiaty. Poderwałem się do ucieczki, oni jednak padli przede mną na twarz.

Widząc, że sprawy przybierają taki obrót, zatrzymałem się, oczekując, że któryś z nich przemówi. Kiedy jednak nic takiego nie nastąpiło, będąc już przekonany, że nie grozi mi z ich strony żadne niebezpieczeństwo, nachyliłem się i dotknąłem jednego z nich. Podnieśli się wtedy na kolana, czyniąc jakieś gesty szeroko rozłożonymi rękoma, następnie zaś wzięli mnie delikatnie za ramię i poprowadzili pokrytą kwiatami ulicą aż do miejsca, w którym zbiegały się wszystkie ulice miasta. Stała tam gigantycznych rozmiarów budowla, ze ścianami, balkonami i wieżyczkami, jednym słowem tak niepodobna do reszty budynków w mieście, jak to tylko można sobie wyobrazić. Sporo brakowało jeszcze do jej zupełnego ukończenia; materiał, który walał się dookoła, wyglądał jakby wykradziono go z ażurowych wież.

Weszliśmy do środka przez coś, co przypominało niskie, szerokie okno. Aż do tej chwili nie



byłem pewien, czy eskortujące mnie istoty potrafią mówić, teraz jednak słyszałem dokoła mnie szmer przyciszonych rozmów. Chociaż nie mogłem uchwycić ich sensu, to wydawało mi się, że rozpoznałem język, którym posługiwali się Wiggikki i inne plemiona, z którymi miałem styczność. Zwróciłem się do jednego z mych niezwykle towarzyszy i zapytałem go, dokąd mnie prowadzą.

- Przed tron, miejsce sądu.

- Do przybytku czystości - dodał drugi.

- Dlaczego akurat tam?

- Bo jesteś cały i kompletny, jesteś doskonały.

- A wy nie jesteście?

Przystanął i odwrócił w moją stronę swą twarz. Dopiero wtedy dostrzegłem, że ich twarze nie były tylko czymś po prostu koszmarnym, ale że były w stanie wyrażać pewne uczucia, aczkolwiek, jak misie zdaje, bardziej chyba od fragmentów żywego ciała były do tego zdolne ich mechaniczne części. Coś jakby wściekłość, ale równie dobrze mogła to być rozpacz; wykrzywiło jego metalowo-plastyczne

- Jesteśmy tacy, jak widzisz! - odparł.

- Przepraszam - powiedziałem. - Nie jestem przyzwyczajony do waszego wyglądu i wydawało mi się, że w swoim rodzaju także jesteście doskonali.

- A w twoim?

Musiał poznać po mojej minie, że nie bardzo wiem, o co mu chodzi, bowiem powtórzył:

- A gdybyśmy należeli do twojego rodzaju, jak byś wtedy nas ocenił?

- Ale nie należycie - odparłem. Zdaje się, że już wtedy częściowo domyśliłem się, kim są, bowiem nie poruszałem więcej tego tematu.

Ruszyliśmy dalej.

- Jesteś mężczyzną - ni to stwierdził, ni zapytał jeden z nich. Skinąłem głową.

- Czy wiesz może o kimś, kto nie jest?

- Porwaliście przecież kobietę, Promienistą Cim!

- Ona nie jest człowiekiem.

- Wydawało mi się, że jest.

- Zostałeś oszukany.

Podczas tej rozmowy szliśmy długim korytarzem o wielu zakrętach. Z początku mijaliśmy od czasu do czasu okna, ale niebawem znaleźliśmy się głęboko we wnętrzu budowli, toteż jedyne źródło światła stanowiły przytwierdzone do ciemnych ścian lampy, takie same, jakie widziałem na ulicach.

- Teraz będzie ich dwóch - usłyszałem za moimi plecami.

Weszliśmy do dużego, niskiego, pogrążonego w półmroku pomieszczenia, którego podłoga zasłana była purpurowymi atłasami. Na biegnącym wzdłuż wszystkich czterech ścian niewielkim podwyższeniu stały ciasno, jedno przy drugim, krzesła; wszystkie były puste - z wyjątkiem jednego, dokładnie vis-a-vis wejścia, na którym siedział człowiek dzierżący w dłoni taką samą jak moja rogatą laskę. Cim była przykuta łańcuchem do jego krzesła. Kiedy wstał i postąpił kilka kroków w moją stronę, zobaczyłem, że był karłem, i do tego bardzo tłustym.

Istoty, które mnie tu doprowadziły, padły przed nim na kolana. Oparłszy się na swojej lasce przyjrzał mi się dokładnie, po czym zapytał:

- Nie widzicie, że on może umrzeć? Przecież jest ranny.

- Ale chodzi - odparł jeden z półludzi. - Pożyje, jeśli będziemy go dobrze traktować.

- Umrze - zawyrokował karzeł.

Cim posłała mi rozdzierające serce spojrzenie. Chyba rzeczywiście nie uważali jej za człowieka, bowiem łańcuch, którym przykuto ją do krzesła, opasywał ciasno jej szyję.

- Weźcie go - polecił karzeł. - Zaopiekujcie się nim i powiedzcie mi, kiedy umrze.

Odparłem na to, że jeżeli mam gdziekolwiek iść, to muszę wziąć ze sobą Cim.

Z początku nie chciał się zgodzić, ale kiedy przekonał się, że nie mam zamiaru ustąpić, obrócił

się na pięcie i dotknął obroży Cim. Łańcuch puścił, Cim zaś przebiegła przez salę i objęła mnie swymi ramionami. Spytałem ją, czy nic jej nie zrobili.

- Teraz nic - odparła. - Ale zabrali mi moje futra. Musimy je znaleźć, bo inaczej zamarznę. Czym cię zranili?

- Nie wiem. To stało się zaraz potem, jak cię porwali.

- Chodź - powiedział jeden z moich strażników. - Zaopiekujemy się tobą. Wyzdrowiejesz.

Zapytałem, co mają zamiar zrobić.

- Zreperujemy twoje ciało. Niektóre części są uszkodzone, jedno płuco chyba do niczego już się nie nadaje. Damy ci nowe, lepsze i trwalsze.

- I kiedy już mi wymienicie parę rzeczy, będę wyglądał dokładnie tak, jak wy. Powiedziałaś, że podziwiacie mnie, ponieważ jestem cały i kompletny?

Niesamowitą twarz wykrzywiło coś na kształt uśmiechu.

- Myślisz, że właśnie w ten sposób staliśmy się tym, czym jesteśmy. Nic podobnego.

- Słuchałam, jak rozmawiali - wtrąciła się Cim. - Zdaje się, że kiedyś było ich znacznie mniej, więc podzielili się, uzupełniając brakujące fragmenty częściami z metalu.

- Interesujący pomysł. Ale to też nieprawda.

- Nic nie wiecie! - parsknął karzeł, który usadowił się z podkulonymi nogami na swoim krześle.

Przypominacie dzieci, które przypadkiem weszły do teatru na pół minuty przed końcem spektaklu.

Widzicie poruszających się, ucharakteryzowanych ludzi, słyszycie muzykę, jesteście świadkami czynności, których nie rozumiecie i nie macie nawet pojęcia, czy to przedstawienie jest komedią, czy tragedią, ani czy ci, których oglądacie to aktorzy, czy może publiczność.

Kiedy mówił, wszystkie istoty z wyjątkiem tej, która przed chwilą z nami rozmawiała, padły twarzami na podłogę. Nasz niedawny rozmówca skinął na nas i wyszliśmy za nim innymi drzwiami niż te, przez które nas tu wprowadzono. Zapytałem, czemu wszyscy oddają taką cześć temu karłowi.

- Bo jest człowiekiem - odpowiedział. - Do twojego przyjścia sądziliśmy, że już ostatnim.

- W takim razie powinniście się zainteresować, skąd przyszedłem. Skąd wiecie, że na zewnątrz nie ma więcej ludzi? Mężczyzn, kobiet i dzieci, prawdziwych ludzi, mieszkających gdzieś daleko od was?

- Czy tak jest naprawdę?

- Nie - odparłem, czując się nagle bardzo głupio.

- Więc czemu miałyby nas to interesować? Skąd przyszedłeś, skoro nie od innych ludzi?

- Nie wiem. Nie pamiętam. Kilka dni temu Wiggikki znaleźli mnie leżącego w śniegu. Wiem tylko tyle.

Usiłowałem wytłumaczyć, co czuję.

- Nic nie pamiętam, ale jednak coś musiało we mnie pozostać. Znam nazwy wielu rzeczy,

których nigdy nie widziałem. Zaczynam nagle o czymś myśleć, szukam tego, a potem

uświadamiam sobie, że przecież nigdy nic takiego nie posiadałem, że jakieś "półki", "szafki" czy

"szuflady", które nie wiadomo skąd pojawiają się w mojej pamięci, w ogóle nie istnieją. Czasem myślę o innych ludziach, ale ich też nie ma.

- Nie wiesz, skąd pochodzisz - powiedział półczłowiek - ale ja ci to wyjaśnię. Gdzieś daleko stąd jest , wśród wzgórz mała dolina. Tam się urodziłeś, wśród ludzi, którzy pamiętali dawne lata i

potęgę, jaka była udziałem człowieka. Tam się wychowałeś, ale w tym czasie inni gdzieś zniknęli i w pewnej chwili ujrzałeś, że wszyscy dookoła są od ciebie starsi, że jesteś ostatnim ze swego

pokolenia. Potem oni umierali, a ty już wiedziałeś, że gdy ich zbraknie, zostaniesz sam wśród

zezwierzęconych bestii, grzebiących w ziemi w poszukiwaniu korzonków lub. chłepczących

łapczywie ciepłą jeszcze krew. Gdy wreszcie nadszedł ten dzień, twój umysł odmówił ci

posłuszeństwa i poszedłeś przed siebie, byle dalej od wygasłego ogniska i spoczywającego przy

nim trupa starej kobiety. Wkrótce znaleźli cię Wiggikki. Teraz jesteś szczęśliwy, bowiem nie

dostrzegasz różnicy między sobą a zwierzętami. My jednak wyleczymy cię i znowu będziesz sobą.

- Wiem, że nie należę ani do Wiggikki, ani do Pamigaka, ani nie jestem jednym ze

współplemieńców Promienistej Cim. Jednak...

Oni są mniej warci, niż kurz na twoich butach. Popatrz na tę istotę, która stoi przy tobie. Gdyś miał ochotę ją zabić, mógłbyś to zrobić ot, tak, po prostu dla przyjemności.

- Wiem - odparłem. - Rzeczywiście mógłbym, ale tylko dlatego, że mam coś, co do niej należy.

Mówiąc to odwiązałem linkę i oddałem Cim jej magiczną pałkę.

- Mówiłem o prawie moralnym, nie o rzeczywistych możliwościach.

Skręciliśmy w wąski, ciemny korytarz i zeszliśmy w dół dosyć długimi schodami.

- Gdybyś ty, czy Władca, zechciał ją unicestwić, nie byłoby w tym nic złego. Czy wiesz, jak używać laski, którą niesiesz? Najłżejsze dotknięcie rogów to śmierć.

- Jeżeli spodziewasz się, że zabije tym Cim, to czeka cię spore rozczarowanie.

- To wcale nie wygląda na miejsce, w którym mieliby cię leczyć - zauważyła Cim:

Rzeczywiście. Lampy świeciły tu tak słabo i były umieszczone tak daleko od siebie, że widziałem tylko szarociemne plamy na ślicznej twarzy Cim i fosforyzujący poblask oczu istoty, która nas tu doprowadziła.

- Są różne sposoby leczenia - odpowiedział nasz przewodnik. - Fizyczne, umysłowe, duchowe...

Nagle zrobił krok wstecz i usłyszałem skrzyp otwieranych, a potem błyskawicznie zamykanych drzwi.

W tej samej chwili rozbłysły jasne światła. Sądząc po rozmiarach i kształcie pomieszczenia, w którym nas zamknęto, znajdowało się ono bezpośrednio pod salą tronową tłustego karła. Jedyna różnica polegała na tym, że tutaj nie było ani podwyższenia, ani wypolerowanych krzeseł, podłoga zaś niczym nie różniła się od nawierzchni ulic miasta.

Rozległ się przytłumiony stuk, jakby ktoś wyszarpnął zatyczkę ze skobla. Cim przycisnęła się do mnie.

- Przysyła kogoś, kto ma nas zabić - wyszeptwała.

W tym momencie jedne z trojga drzwi, znajdujących się w przeciwległej ścianie, otworzyły się szeroko.

Mężczyzna, który wszedł nie był może aż tak duży, jak Nashhwonk, ale i tak musiał się

porządnie schylić, by nie uderzyć głową w futrynę. Miał zmierzwioną żółtą brodę i skołtunione

włosy, które sterczały we wszystkie strony, sprawiając wrażenie, jakby jego głowa była zbyt duża, by mogły udźwignąć ją barki, chociaż i tak były co najmniej dwukrotnie szersze od moich.

Nie to jednak zwróciło przede wszystkim moją uwagę. Pierwszą rzeczą, jaką spostrzegłem były

jego oczy: duże i żółte jak złoto. Potem zauważyłem, jak się porusza; Cim jest śliczna i wszystkie jej ruchy pełne są niezwykłego wdzięku, ale przy nim wygląda czasem wręcz niezdarnie.

Domyśliłem się, kto to jest, jeszcze zanim wypowiedziała jego imię.

- Ketin! - syknęła i uniósłszy swą magiczną pałkę jak do zadania ciosu cofnęła się ostrożnie pod ścianę.

- Tak, Ketin - odparł brodacz. Jego głos przypominał pomruk oddalonej o pięć kilometrów burzy.

Chwycił za zamknięcie drzwi, znajdujących się obok tych, przez które wszedł i szarpnął kilka razy; mięśnie, jakie napięły mu się na grzbiecie, przypominały wygładzone przez wiatr, spiętrzone skały.

Bąłem się, a jednocześnie w pewnym sensie w ogóle nie czułem strachu. To znaczy, silniej niż

dotąd odczuwałem moją fizyczną słabość i wiedziałem, że Ketin byłby dla mnie śmiertelnie

groźnym przeciwnikiem, równocześnie jednak wiedziałem, czy też może wydawało mi się, że

wiedziałem, iż Cim myliła się mówiąc: "Przysyła kogoś, kto ma nas zabić".

- Jestem pewien, że wszystkie są dobrze zamknięte - zwróciłem się do Ketina.

- Aha - powiedział i odwrócił się w moją stronę tak, jakby ważył tyle, co dym z ogniska. - Wiesz to miejsce?

- Nie, ale je rozumiem.

To go zastanowiło. Zauważyłem, że przez twarz przemknęło mu coś jakby cień wątpliwości:

- A kim jesteś? - zapytał, by w chwili potem samemu odpowiedzieć. - To ty tropisz Wielkie Sanie.

- Tropiłem je.

- Usłyszałem o tobie już przedtem, zanim mnie schwytali. Mój przyjaciel - miałem go o tak, pod

ręką i zanim go zabiłem, połachotałem trochę, żeby się dowiedzieć, co nowego słyszać - więc mój przyjaciel wyznał mi, że spędziłeś noc z jego ludźmi, a potem ruszyłeś w ślad za Wielkimi Saniami.

Mogę zabić ciebie albo ją, tak jak zabiłem jego, więc jeśli mi od razu nie powiesz, jak się stąd wydostać, to będę się tak długo z tobą bawił, aż to od ciebie wydobędę.

- Nie możesz mnie zabić, Ketin.

Ketin uśmiechnął się lekko i ruszył w naszą stronę.

- Zaczekaj chwile i posłuchaj. Wsadzono nas tutaj właśnie po to, żebyś cię zabił. Oczywiście, nigdy by mi to się nie udało w uczciwej walce, ale ta pałka, którą widzisz, ma zabójcze właściwości, których ja sam nawet nie rozumiem. Co prawda zabiłbym cię w samoobronie, ale niebawem poczułbym się z tego powodu bardzo dumny i zacząłbym myśleć o takich jak ty czy Cim jak o kimś gorszym ode mnie.

- Miałbyś prawo być dumny, gdyby udało ci się mnie zabić - powiedział Ketin.

- Bardziej dumny czuje się teraz, właśnie dlatego, że nie musiałem cię zabić. Wydaje mi się, że wiem, jak moglibyśmy stąd uciec. Spójrz w górę. Sufit jest w cieniu, ale podejrzewam, że masz znacznie lepszy wzrok ode mnie. Co widzisz?

- Belkę podtrzymującą sufit.

- Powinny tam być drzwi, kłapa otwierająca się do dołu.

- Nie widzę. - Ketin przesunął się trochę z głową zadartą do góry.

- Skąd wiesz, że powinny być? - zapytała Cim. Także patrzyła w górę.

- Muszą. To pomieszczenie znajduje się bezpośrednio pod salą tronową. Jest duże, ale bez żadnego wyposażenia; Ketina trzymano tuż obok, żeby móc wypuścić go na każdego, kto by się tutaj znalazł. Ten, kto to wszystko obmyślił, musiał także zapewnić sobie jakiś łatwy i szybki sposób wrzucania tu swoich wrogów. Pasowałoby to zresztą do tego nędznego pałacu - pretensjonalnego, tandetnego, najwyraźniej budowanego bez żadnej ogólnej koncepcji, z materiałów pościąganych z lepiej zachowanych budynków. Wielka dziecinada.

- Jesteś pewien? Więc dlaczego nas tutaj nie wrzucili?

- Mechanizm wbudowany jest zapewne w tron króla. Na jego polecenie zbudowano to wszystko,

ale nie z jego woli tu się znaleźliśmy. Poza tym wiedział, że mam łaskę i że mógłbym zabić Ketina.

Bardzo był dla ciebie okrutny?

- Czasem - odparła Cim. - Ale nie w taki sposób, jak się spodziewałem. I nie tak, jak Łowca Ryb.

- Chyba zwodzisz i mnie, i siebie - zahuczał Ketin.

Pokręciłem głową i wskazałem pałką w górę:

- Tam!

Ketin zbliżył się do mnie i chociaż teraz widziałem, że jest jeszcze większy, niż mi się z początku wydawało, to zupełnie już nie czułem strachu.

- Widzę - powiedział. Przykucnął, po czym skoczył w górę, chwytając za podtrzymujące sufit wzmocnienia.

- Nie zauważyłam tego - przyznała Cim. - A było prawie na samym środku, każde z nas powinno to od razu zobaczyć.

- Tam właśnie powinno być. Karłowi chodziło o to, aby mógł wrzucać ludzi stojących przed jego tronem, ale zauważyłem, że tacy jak ty, Ketin czy Wiggikki w zamkniętym pomieszczeniu zawsze starają się trzymać możliwie blisko ściany. Zresztą, niekoniecznie w pomieszczeniu - nawet biegnąc śladem Wielkich Sań posuwałaś się tuż przy krawędzi szlaku. Staracie się widzieć nie będąc widzianymi i mieć gdzieś w pobliżu ścianę, o którą moglibyście się oprzeć w razie ataku.

- Ty natomiast zawsze wychodzisz na sam środek - odparła Cim. - Czasem bardzo się tym

niepokoje. Pod tym względem jesteś bardziej podobny do tego karła, Mantru, niż do nas. Przez ten czas, kiedy mnie trzymał przy sobie, nieraz zauważyłam, że on także nigdy nie staje pod ścianami.

W górze rozległ się trzask, kłapa otworzyła się i Ketin, pomimo swych rozmiarów, błyskawicznie wdrapał się na górę. Po chwili rozległ się czyjś krzyk.

- Dasz radę tam doskoczyć? - zapytała Cim. - Wątpię, żeby Ketin po nas wrócił.

Gdyby nie rana w moim boku, nie byłoby problemu, teraz jednak, chociaż starałem się ze

wszystkich sił, udało mi się jedynie chwycić dłońmi o krawędź otworu. Usiłowałem się rozhuścić i zahaczyć najpierw stopą, a potem wciągnąć reszty ciała, ale nie dawałem rady. Poczułem, że rana znowu zaczęła krwawić. W tej samej chwili pojawił się Ketin i chwyciwszy mój zawiązany w pasie



kombinezon jednym ruchem poderwał mnie w górę.

Pomieszczenie było puste, tylko na podłodze nieporadnymi, konwulsyjnymi ruchami usiłowały pełzać jakieś cztery krabopodobne stworzenia. Przyjrzawszy im się dokładniej stwierdziłem, że były to resztki dwóch Minów, rozerwanych przez Ketina na pół. W ich mechanicznych częściach ciągle jeszcze kołatała się resztką życia. Ketin buszował teraz po całej sali, jakby spodziewał się znaleźć kogoś ukrytego za jednym z krzesel. Kiedy udało mi się wreszcie nabrać tchu w piersi, powiedziałem mu, że pamiętam mniej więcej drogę, jaką prowadzono nas do pomieszczenia pod podłogą i że pójdę tam, by wyprowadzić Cim.

- Nie trzeba - powiedział do otworu. Po chwili był już z powrotem, z Cim wetkniętą pod pachą niczym jakiś pakunek. Wyglądała na mocno przestraszona, ale ścisnęła cały czas mocno swoją pałkę i moją rogatą laskę.

- Teraz możemy iść - oznajmił Ketin.

- Musimy znaleźć futro Cim - odpartem.

- I moje. Też mi zabrali.

Właściwie dopiero teraz zwróciłem uwagę, że Ketin był prawie nagi. Jego żona, jak sobie przypominałem, miała na sobie jakieś złachmanione futrzane okrycie.

Skręciliśmy w pierwszy z brzegu korytarz, ale nie przeszliśmy więcej niż dwadzieścia metrów, kiedy jakiś pocisk - przypuszczam, że taki sam jak ten, który mnie zranił - przemknął między głową Ketina i moją i uderzył z impetem w ścianę. Ketin, nie zważając na to, chciał iść do przodu, ale ostrzegłem go, że niechybnie zostaniemy zabici.

- Nie boję się - odparł.

- To bardzo dobrze, ale ja boję się tak, że starczy za nas dwóch. Zresztą zabiją nas bez względu na to, czy będziemy się bać, czy nie. Wracamy.

- Ale nie możemy wyjść na zewnątrz bez ubrań - zaprotestowała Cim. - To także pewna śmierć.

- Poza tym pałacem jest całe miasto, w wielkiej jaskini, w której jest zupełnie ciepło. Na pewno znajdziemy coś, w co będziecie mogli się ubrać.

Udało mi się jednak ich zawrócić i po chwili byliśmy już ponownie w sali tronowej.

Tym razem wybraliśmy schodzący w dół korytarz, którym mnie niedawno prowadzono. W pewnym momencie zacząłem się obawiać, że pomyliłem drogę, ale niebawem poczuliśmy świeże powietrze, a wkrótce potem znaleźliśmy się wśród wznoszących się dumnie w górę szkieletów wiekowych budowli.

Minowie nie ścigali nas. Przez kilka godzin wędrowaliśmy wzdłuż szeregów znieruchomiałych mechanizmów. Zastanawiałem się, gdzie mieszkali budowniczo miasta. Gdzieś w jego obrębie powinny chyba znajdować się komfortowo wyposażone pokoje, osobne dla spożywania posiłków, osobne dla snu i być może dla rozrywki, my jednak wciąż widzieliśmy tylko rzędy metalowych lampek. Zrozumiałem wreszcie, że rzekome "miasto" - będę je jednak dalej tak nazywał, bo zdążyłem się już do tego przyzwyczaić - nie było niczym innym jak tylko olbrzymim kompleksem schowanych pod ziemią magazynów, w których drogocenne maszyny miały zapewnioną doskonałą ochronę przed wszelkimi możliwymi oddziaływaniami pogody. Budowniczo, kimkolwiek byli, mieszkali na powierzchni i tam też, bardzo dawno temu, zginęli. Wóz, do którego zaprowadziła mnie spotkana przeze mnie maszyna, musiał zawierać zapasy żywności dla wznoszących miasto robotników, czy też raczej dla ich panów, bowiem robotnikami były z całą pewnością właśnie maszyny.

Uświadomiłem to sobie właśnie w pobliżu miejsca, gdzie trafiłem na Kołowca. Powiedziałem Ketinowi i Cim, by szli za mną, po czym zaprowadziłem ich do niego.

Stał tak, jak go zostawiłem. Być może mnie rozpoznał, bowiem jego głowa zwróciła się w naszą stronę i przez chwilę nawet wydawało mi się, że w ślepych oczach, które są tylko punkcikami światła, dostrzegłem coś w rodzaju radości z ponownego spotkania, ale było to, rzecz jasna, tylko złudzenie. Kiedy zapytałem go czy zrobi to, o co go poproszę, dotknął potężną metalową dłońią swojej brody. Poleciałem mu, by poszukał w mieście innych działających maszyn.

Znalazł dwie. Jedna nie ma ani nóg, ani rąk, tylko długie, giętkie ciało i trzymetrowe szczęki; porusza się jak wąż i nazwałem ją "Smok". Druga wyposażona jest w sześć nóg - idąc podnosi je po trzy na przemian. Ma cztery ręce, z których dwie są większe, a dwie mniejsze. Nazwałem ją "Żuk".

Razem wróciliśmy pod pałac karła.

Z jakiegoś powodu spodziewałem się zastać tam gotowych do jego obrony Minów, ale moje oczekiwania się nie sprawdziły. Wyjaśniłem maszynom, że szukamy ciepłych ubrań, upewniając się przedtem, czy wiedzą co to w ogóle jest ubranie, a następnie poleciłem im przystąpić do rozbiórki pałacu, którą przerwać miały dopiero wtedy, gdy znajdą to, czego szukają.

Pozlepiana z najróżniejszych kawałków budowla zaczęła się powoli rozpadać. Sądziłem, że maszyny będą działać niezależnie od siebie, one jednak współdziałały ze sobą, zupełnie jakby w jakiś niesłyszalny dla nas sposób mogły się ze sobą porozumiewać. Smok swą wielką paszczą ścigał na dół wyżej umocowane części konstrukcji, Kołowiec odciągał je na bok, Żuk zaś przenosił najcięższe fragmenty, zależnie od potrzeby to zwiększając, to znów zmniejszając długość swoich nóg. W powietrzu unosiły się kłęby kurzu, który widziałem po raz pierwszy od chwili wejścia do jaskini, a wraz z nimi jakiś dziwny, kwaśny zapach.

Kiedy mniej więcej dwudziesta część pałacu leżała już w gruzach pojawili się Minowie.

Niektórzy byli uzbrojeni, ale ani nie strzelali do maszyn, ani nie mierzyli w naszym kierunku. Przez dłuższą chwilę po prostu stali obserwując postępującą szybko destrukcję, po czym jeden z nich - chyba ten sam, który zaprowadził mnie i Cim do pomieszczenia pod salą tronową zbliżył się do nas: Kiedy pozostało mu jeszcze do przebycia jakieś pięć metrów, zatrzymał się i położył na ziemi swą przypominającą widły broń.

- Zatrzymaj je - poprosił.

Odpowiedziałem mu, żeby sam je sobie zatrzymał, jeśli potrafi.

- My nie potrafimy. Mówiliśmy już do nich, ale one nie chcą nas słuchać. Jeśli je zaatakujemy, będą się bronić. Czego chcecie?

- Naszych ubrań - odpowiedziała za mnie Cim. - Jak nam je dacie, będziemy mogli wyjść na zewnątrz, do naszego świata, wy zaś zostanieie w tym grobie, który jest waszym światem.

- Dostaniecie je. Powiedźcie maszynom, żeby przerwały pracę.

Cim popatrzyła na mnie, ale ja nic nie powiedziałem.

- Natychmiast. Mają natychmiast przestać.

- I wtedy, kiedy zostawią w spokoju wasze rumowisko, będziecie mogli nas zabić?

- Po co mielibyśmy was zabijać, skoro macie zamiar odejść? Moglibyście przecież zdążyć jeszcze raz je uruchomić. Zostawię tutaj moją broń, reszta też położy swoją na ziemi.

Kazałem Ketinowi zniszczyć ją natychmiast; uczynił to, szybkim ruchem łamiąc ją o swoje kolano.

- Pójdę po wasze ubrania - powiedział Min. - Potem każecie im przestać.

Popędził, nie czekając na moją odpowiedź.

Wkrótce zjawił się z powrotem. Biegł jak maszyna, ale mimo jego błyszczących bez żadnego wyrazu oczu odniosłem wrażenie, że tymi odmierzającymi idealnie równe susy nogami kieruje

jednak człowiek. Ponownie przystanął pięć metrów od nas i rzucił na ziemię stertę futer, zupełnie tak, jakby pobrudził sobie o nie ręce. Cim i Ketin nie zwlekając przywdziali swoje zwykłe stroje.

- Zatrzymaj je teraz! - zażądał Min.

Potrząsnąłem głową.

- Przecież obiecałeś.

Wyjaśniłem mu, że niczego nie obiecywałem. Wskazał na Cim.

- Ale ona tak powiedziała. Kiedy oddamy wam ubranie, odejdziecie; zatrzymacie maszyny i wróćcie na zewnątrz.

- Ona jest tylko zwierzęciem - powiedziałem. - Jej słowa nie są wiążące nawet dla niej, a cóż dopiero dla mnie.

Odwrócił się i wraz z innymi zniknął we wnętrzu pałacu.

- Masz zamiar go zupełnie zburzyć? - zapytała Cim.

Skinąłem głową.

- Nie przypuszczam, żeby Mantru ci na to pozwolił - powiedziała i miała racje. Nie minęły nawet trzy minuty, kiedy ujrzałem karła idącego przy pomocy trzech Minów przez rumowisko.

Załadowany ciężkimi dźwigarami Kołowiec ruszył akurat prosto na niego; sądziłem, że Mantru się przestraszy, ale nie, krzyknął tylko coś, czego w hałasie czynionym przez Żuka oraz Smoka nie dosłyszałem, i Kołowiec zatrzymał się, zrzucając swój ciężar na ziemię. Krzyknął ponownie i Żuk zamarł w pół kroku, a głowa Smoka zawisła w bezruchu w powietrzu. Trzymając swą rogatą laskę jak lancę karzeł zbliżył się do nas.

Nie miałem najmniejszego pojęcia, jak mam w razie czego użyć swojej, ale wyszedłem mu naprzeciw.

- Tylko my dwaj zostaliśmy - przemówił. - Nie powinieneś niszczyć mego domu.

- Nie trzeba było próbować mnie w nim zabić.

- Mówisz o tej bestii? To mój wezyr to zaaranżował, nie ja. Poza tym, mogłeś go łatwo zgładzić i przypuszczaliśmy, że to zrobisz.

- Co się stało, już się nie odstanie.

- Nie stało się nic takiego, czego by nie można naprawić. Odeślij swoje zwierzęta na zewnątrz.

Te maszyny, które znalazłeś i moi słudzy łatwo naprawią zniszczenia, a może pewnego dnia...

Głos mu się załamał. Nie bardzo mogłem odczytać uczucie, malujące się na jego tłustej, skośnookiej twarzy. Mogła to być równie dobrze nadzieja, jak i rozpacz.

- Co pewnego dnia? - zapytałem.

- A może pewnego dnia moi słudzy znajdą wreszcie dla mnie, to znaczy dla nas, prawdziwą

kobietę. Dlatego właśnie wysyłam ich na zewnątrz, ale zwierzęta robią się coraz bardziej podobne do nas, więc od czasu do czasu słudzy popełniają błąd, którego z całą pewnością by nie. popełnili, mając możliwość porównania wysyłanego przez mózgi tych istot promieniowania z moim.

- Nie sądzę, żebyś to właśnie chciał powiedzieć - odparłem. Nie wiem skąd o tym wiedziałem, ale byłem o tym przekonany.

Jego tłusta, rozlazła twarz nabrała nagle ostrości.

- Zabiję cię, jeśli będziesz sobie ze mnie kpił! - ostrzegł.

- Już od dawna z niczego nie kpiłem.

- Kiedyś ludzie wrócą do tego świata. Odnajdą nas tutaj, a wtedy zniszczymy te bestie, jak to już kiedyś uczyniliśmy i wzniesiemy nowe, sięgające gwiazd miasta.

- Rozumiem - powiedziałem - ale my jednak sobie stąd pójdziemy.

Nie wiem, co mu wtedy strzeliło do głowy - w każdym bądź razie byłem zaskoczony, że zdecydował się mnie zaatakować. Być może uczynił tak dlatego, że nie wierzyłem w spełnienie jego marzenia; wydaje mi się jednak, iż większy wpływ na jego decyzję miało to, że rozwiązałem rękawy mego kombinezonu i założyłem na siebie jego górną część. Zobaczył wtedy, że ubrany jestem tak, jak ludzie z Wielkich Sań i pomyślał pewnie, że jestem jednym z tych, na których czekał i że mam zamiar go tutaj zostawić.

Cokolwiek było tego przyczyną, w każdym razie gwałtownym ruchem wysunął w moim kierunku swoją łaskę, która w tej samej chwili zaczęła błyskawicznie rosnać, tak że jej rogata głowa zdawała się lecieć w powietrzu niczym na skrzydłach. Zasłoniłem się moją łaską, a ta niespodziewanie ożyła w moim ręku; znowu czułem wyraźnie, że ściskam w dłoni smukłe, muskularne ciało jakiegoś zwierzęcia. Owinęła się wokół łaski karła i razem rosły coraz bardziej, będąc się zawzięcie wygiętymi rogami.

Powiedziałem już, że łaska była zimna, teraz jednak stała się jeszcze zimniejsza, bardziej od najbardziej zmrożonego lodu, jakiego kiedykolwiek zdarzyło mi się dotknąć, ja jednak zdawałem sobie sprawę, że nie o temperaturę tu chodzi, a o coś zupełnie innego; o odciąganie energii, którego efekty można porównać tylko do przejmującego zimna.

Łaska karła - być może dlatego, że była po prostu dłuższa - zaczęła się odginać do tyłu.

Spojrzałem na jego twarz i zobaczyłem, że wykrzywił ją grymas bólu. Ściskał swą broń obiema rękami, pot kapał mu z tłustych podbródków, łaski jednak coraz bardziej przeginały się w jego stronę, ja zaś czułem, jak coraz mniej pozostaje we mnie sił. Wydawało mi się, że moja energia życiowa szybkim strumieniem spływa po dłoni na łaskę.

Wkrótce rogata głowa była już tuż przy nim i moja odgięta się nagle wstecz i uderzyła w niego z całych sił. Puścił łaskę, ale za późno: smukłe rogi przebiły go na wylot. Gdy umierał, odczułem wielkie zadowolenie i chwilowy przypływ niezwykłej siły, który jednak pozostawił mnie drżącego i ledwo trzymającego się na nogach.

Nie rozmawiałem o tej walce z Cim i Ketinem, ale wieczorem, kiedy rozłożyliśmy się obozem, oni pierwsi zaczęli o tym mówić. Okazało się, że widzieli zupełnie coś innego, niż ja. Obydwójce twierdzą zgodnie, że po prostu on skierował swoją łaskę na mnie, ja swoją na niego i po chwili on padł martwy. Nie wiem, co o tym myśleć, chociaż nawet jeszcze w trakcie walki wydawało mi się, że toczy się ona poza obrębem otaczającego nas świata.

Opuściliśmy miasto zaraz po śmierci karła. Min, którego nazwał swoim wezyrem przyszedł do nas i zapytał, czy mamy zamiar zrównać z ziemią resztki pałacu. Nie miałem siły wykrztusić z siebie choćby jednego słowa, więc Cim odpowiedziała za mnie, że nie, nie mamy takiego zamiaru. - To właściwie i tak nie ma już żadnego znaczenia - powiedział. - Z tego, co zostało, wybudujemy grobowiec dla Mantry.

Ketin chciał jak najprędzej wyjść na zewnątrz i przynaglał mnie, żebym wskazał mu drogę.

Kiedy wreszcie ruszyliśmy, usłyszałem za sobą chrzęst i zgrzyt poruszających się maszyn.

Sądziłem, że przystąpiły na nowo do niszczenia pałacu, ale gdy się obejrzałem zobaczyłem, że idą za nami.

Przeszedłem jakoś pół kilometra, ale na nic więcej nie było już mnie stać. Kołowiec wziął mnie w swe olbrzymie ręce i posadził na swojej głowie, tak samo jak wtedy, kiedy go znalazłem.

Zmieściliby się tu jeszcze zarówno Ketin, jak i Cim, ale byli zbyt przestraszeni, by pozwolić się posadzić.

W zadziwiająco krótkim czasie dotarliśmy do granicy miasta. W pewnej chwili zarówno budynki, jak i rozjaśniające je światło zostały za nami, my zaś znaleźliśmy się na dnie jaskini.

Maszyny ryczały potężnymi głosami, wspinając się na zwalone ze stropu głązy, Ketin zaś i Cim musieli zdrowo wyciągać nogi, by za nimi nadążyć. Niebawem weszliśmy w prowadzący na zewnątrz korytarz. Stalowe grzbiety maszyn strącały ze sklepienia gęste niczym las stalaktyty, toteż naszej wędrowce towarzyszył wzmacniany wielokrotnym echem huk i łoskot spadającego gruzu.

Nagle zrobiło się zupełnie zimno, a wraz z pierwszym podmuchem świeżego powietrza doleciał mnie charakterystyczny zapach śniegu. Zapiąłem dokładniej kombinezon. Minęliśmy jeszcze jeden zakręt i przed nami dojrzałem otwór jaskini i zaczynającą się zaraz za nim białą przestrzeń.

Obawiałem się, czy przypadkiem nie wyjdziemy na zewnątrz nocą, ale okazało się, że jest to popołudnie.

Cim i Ketin chcieli jak najprędzej oddalić się od jaskini, ja jednak przekonałem ich, żeby zatrzymać się na chwilę i poczekać, aż maszyny zasypią wejście do korytarza. Tak też uczyniliśmy - czarna jama zniknęła pod tonami skał i kamieni. Znając energię i determinację Minów byłem pewien, że prędzej czy później i tak uda im się wydostać na zewnątrz, ale przynajmniej przez jakiś czas nikt nie będzie narażony na spotkanie z nimi.

Gdy maszyny skończyły, słońce miało już za sobą trzy czwarte odmierzonej codziennie drogi.

Powiedziałem Cim i Ketinovi, że mam zamiar w dalszym ciągu tropić Wielkie Sanie. Starłem się, by zrozumieli, że jest to moja własna decyzja, dotycząca wyłącznie mnie i że absolutnie nie są zobowiązani do tego, by mi towarzyszyć. Cim odparta, że zrobi to, co ja, Ketin zaś miał inne plany, ale powiedział, że zostanie z nami do chwili, kiedy uda mu się coś zabić, byśmy mieli jakiś zapas żywności. Pokazałem mu białe kostki, które zabrałem z jaskini, ale nie wydaje mi się, by zrozumiał, do czego służą.

I to już wszystko, co się dzisiaj wydarzyło. (Jest to z całą pewnością najdłuższy z dni, o jakich do tej pory opowiadałem). Nie będę tego przesłuchiwał, obawiam się bowiem, że wyczerpałem już pojemność tego urządzenia. Dziś udało mi się chyba wreszcie zrozumieć, do czego ono służy - nie tylko zapamiętuje moje słowa, ale również je przekazuje i wiem, że wy, na Wielkich Saniach, słyszycie mnie teraz. Kiedy jestem cicho i nie słychać nic oprócz strzelających płomieni, delikatnego oddechu Cim i ciężkich westchnień Ketina, wydaje mi się, że ja was też słyszę. Nie wiem, czemu nie chcecie do mnie mówić, ale dobrze wiedzieć, że jesteście

Jedenasty dzień

Był to zły dzień, chociaż może nie do końca. Śniło mi się - być może dlatego, że znowu spałem na mrozie - że ponownie porwany Cim. We śnie Minowie przyszli jeszcze raz, a ich pocisk trafił mnie w to samo miejsce, co przedtem, tym razem jednak ból był znacznie większy. Leżałem w śniegu wśród rozrzuconych, bezużytecznych polan i myślałem o tym, że wszystko zacznie się od początku i że Wielkie Sanie jeszcze bardziej się ode mnie oddalą.



Ale to był tylko sen.

Żuk już się rano nie poruszył. Najwidoczniej zabiło go w nocy zimno. Kołowiec poradził nam, co ewentualnie mogłoby go jeszcze uratować, ale nic nie pomogło. Po raz pierwszy zobaczyłem płaczącą Cim. Kołowiec tłumaczył jej, że Żuk nie umarł, że jeśli się go naprawi, będzie znowu działał, ale ona go nie rozumiała. Szczerze mówiąc, ma więcej racji od niego, bo kto zjawi się tu z narzędziami, by go naprawić? Skoro zaszkodził mu mróz jednej nocy, to co będzie po stu?

W dalszą drogę wyruszyliśmy już tylko z Kołowcem i Smokiem. Jechałem na Kołowcu, ale jego metalowy pancerz jest tak przeraźliwie zimny, że musiałem siedzieć na warstwie gałęzi. Po kilku godzinach trafiliśmy na ślad Wielkich Sań. Jest już przysypany śniegiem, ale wciąż jeszcze dobrze widoczny i maszyny poruszają się po nim znacznie szybciej, niż wtedy, gdy musiały brnąć przez ogromne zaspy.

Ketin opuścił nas, mówiąc, że idzie na polowanie i że jeżeli będziemy cały czas trzymać się szlaku, to znajdzie nas bez trudu. Wrócił wieczorem, taszcząc ciało młodej kobiety nieznanego mi gatunku. Jest wyższa i szczuplejsza od kogokolwiek z nas i musiała być bardzo piękna, zanim Ketin złamał jej kark. Nie chciał jeść, mówiąc że ona jest dla nas, a że Cim i ja byliśmy już po kolacji, przytroczyliśmy ją do grzbietu Smoka. Ketin ma odejść jutro rano.

Zanim skończę, dodam jeszcze, że rozdarcie na rękawie, które zawdzięczam wampirom, okazało się bardziej kłopotliwe, niż przypuszczałem. Zimno, które dostaje się przez dziurę, ochładza całe moje ciało. Owinąłem to miejsce resztką żagla z sań Długiego Noża, ale niewiele to pomogło.

Chyba właśnie dlatego rana w moim boku boli bardziej niż do tej pory.

Dwunasty dzień

Płasciwie nie ma za bardzo o czym mówić. Cały dzień posuwaliśmy się po szlaku, ale ten wcale nie wygląda na świeższy. Ketin odszedł z samego rana. Jestem bardzo zmęczony, ale zmusiłem się do przejścia kilkuset metrów, żeby się trochę rozgrzać. Około południa usłyszałem Pieśń Wiggikki

- z pewnością jest to inna grupa, ale pieśń ta sama. Przypomniało mi to o polowaniu na Nashhwonka i postanowiłem sprawdzić, czy ciągle jeszcze potrafię biegać nie zapadając się w śniegu. Niestety, nie mogę nabrać odpowiedniej szybkości: Może kiedy wydobrzeję. Wieczorem Kołowiec nałamał gałęzi na ognisko. Cim wzięła mój nóż i wycięła kawałek uda kobiety, którą upolował dla nas

Ketin, ale ja napiłem się tylko trochę wody z rozpuszczoną kostką z jaskini. Cim zachwyciła się moim nożem, jak to znakomicie kroi zamrożone mięso. Myśli pewnie, że jestem przygnębiony i stara się mnie podnieść na duchu, ja zaś po prostu czuję wielkie zmęczenie.

Trzynasty dzień

W przeciągu kilku godzin straciliśmy zarówno Kołowca, jak i Smoka. Pierwszy zatrzymał się Kołowiec - nie mógł już nawet mówić. Smok nigdy nie potrafił, więc nie miał nam kto powiedzieć, co mamy robić. Próbowaliśmy wszystkiego, co zastosowaliśmy wcześniej wobec Żuka, ale nic nie pomogło. Kołowiec był dobrym przyjacielem i będzie nam go brakować. Wkrótce potem stanął także i Smok.

Wycięliśmy najlepsze kawały mięsa z grzbietu upolowanej przez Ketina kobiety i ruszyliśmy dalej na piechotę. Mięso jest dla Cim, ja bowiem chyba bym się nie zmusił, by je przełknąć.

O zmroku, kiedy zastanawialiśmy się już, czy może by się nie zatrzymać, dołączył do nas jeden z Pamigaka. Z początku go nie poznałem, ale potem okazało się, że jest to Białe Jabłko. Gada jak najęty i domyślam się, iż musi się cieszyć, że wreszcie udało mu się nas znaleźć, bowiem kilka ostatnich nocy spędził zupełnie sam, a to na pewno nie należy do przyjemności.

Mówi, że sporo o nas słyszał. Zdaje się, że widzi nas masa ludzi, ale boją się zbliżyć. Plotka głosi, że idą z nami okrutne potwory. Zapytałem Białe Jabłko, czy je widział, a on roześmiał się i powiedział, że nie, po czym zaczął się przechwalać, że on w takie bajki nie wierzy. Musiał minąć przysypanych śniegiem Smoka i Kołowca nie podejrzewając nawet, co to jest. Wątpię, czy byłby w stanie wyobrazić sobie, że takie coś może się poruszać, chyba że zobaczyłby któregoś z nich w ruchu. Mówi, że chce zadać ludziom z Wielkich Sań kilka pytań.

Obydwoje już zasnęli. Białe Jabłko chrapie trochę, ale i tak słyszę doskonale, jak coś porusza się tuż za zasięgiem rzucanego przez nasze ognisko światła. Cały czas trzymam laskę w zasięgu ręki.

Słyszę też wasze oddechy, chociaż jesteście daleko, na Wielkich Saniach i zastanawiam się, czemu milczycie. Może to jakaś próba? Czy jeżeli ją przejdę, jeżeli zrobię to, co należy, odezwiecie się do mnie choćby jeden, jedyny raz?

Czternasty dzień

Nie wiem, czemu ta liczba miałaby mieć dla mnie jakieś szczególne znaczenie, ale tak właśnie

jest.

Miałem okropne sny. Zabiłem jednego z Minów zaklętą pałką Cim, oni zaś obwołali mnie czymś w rodzaju ich króla. Uderzałem tego Mina raz po raz, trucizna mieszała się z jego krwią, on jednak uparcie nie chciał do końca umrzeć, powtarzając, że chce być moim niewolnikiem i wykonywać wszystkie moje rozkazy. Ogarnęło mnie jakieś dziwne podniecenie i zarazem wstyd, że zabijam kogoś tylko dlatego, że chce być moim przyjacielem, jednocześnie zaś pragnąłem, by umarł jak najprędzej, tak, by nikt się o tym nie dowiedział.

Obudziłem się zlany potem, co na trzaskającym mrozie nie należało do przyjemności, momentalnie bowiem poczułem, jak na moim ciele tworzy się cienka skorupa lodu. Już nie zasnąłem. Kiedy się rozwidniło, poszedłem szukać śladów istoty, którą słyszałem w nocy. Znalazłem je bez trudu w odległości nie więcej niż piętnastu metrów od ogniska i należą do człowieka, który z niewiadomych powodów stawia kroki nierównej długości.

Dzisiaj przeszliśmy bardzo niewielką odległość - jestem po prostu zbyt słaby. Dobrze, jeśli pokonaliśmy dziesięć kilometrów, obawiam się jednak, że chyba mniej. Wasz ślad staje się coraz mniej widoczny, więc musicie poruszać się znacznie szybciej od nas. Wieczorem powiedziałem Cim i Białemu Jabłku, żeby szli dalej beze mnie, oni jednak nie chcą nawet o tym słyszeć. Wczoraj Białe Jabłko zjadł prawie cały zapas mięsa, ale dzisiaj nabierał sporo jadalnych roślin, toteż dorzuciłem je do mego wieczornego bulionu z kostki.

*M yślałaś, że śpię, a ja słyszałam wszystko, co mówiłaś. Wiem, że mówisz do tego czarnego ucha, ono powtarza potem twoje słowa. Teraz śpisz, więc ja ci coś powiem, a kiedy się obudzisz i mnie już nie będzie, może tego posłuchasz albo ono samo odezwie się do ciebie moim głosem.*

*Kocham cię, ale nie mogę cię kochać jak męża, więc muszę odejść. Gdyby twoje serce bito w piersi Łowcy Ryb, moglibyśmy mieszkać razem nad brzegiem wody.*

*Sądziłam, że naprawdę chce dogonić Wielkie Sanie. Kiedy wzięłaś mnie ze sobą - pamiętasz to jeszcze? - wydawało mi się, że zależy mi na tym bardziej niż tobie. Ale wtedy myślałam, że pogoń zajmie nam nie więcej niż jeden, dwa dni.*

*Teraz wiem, że mamy niewielkie szanse i widzę, że ślad robi się coraz mniej wyraźny. Wkrótce dotrzemy na zupełnie obce dla mnie tereny, a gdy ślad za nami zniknie, nie będę mogła wrócić do rzek i jezior, które znam.*

*Wiec odchodzę. Gdybym miała nadzieję, że poszedłbyś ze mną, pielęgnowałabym cię aż do twego wyzdrowienia, ale ja wiem, że to niemożliwe. Nie mogę już zostać. Kocham cię i bardzo bym chciała, byśmy mogli być na zawsze razem.*

Piętnasty dzień

Cim odeszła. Z początku myślałem, że znowu ją porwano, ale na śniegu nie było żadnych innych śladów oprócz jej. Szliśmy nimi jakieś pół kilometra. Przecinał je trop tego utykającego człowieka, który kręci się wokół nas od jakiegoś czasu. Wzięła ze sobą magiczną pałkę.

Żegnaj, Cim.

Śniło mi się, że znowu zabiłem Mantru. Do tej pory myślałem, że moje osłabienie spowodowane jest raną i zimmem, ale teraz wiem, że to nieprawda. Brakuje mi sił, które zabrała mi rogata laska.

Mantru używał pewnie swojej od dzieciństwa i dlatego był taki mały. Ja już się chyba nie skurcze, ale też chyba nie uda mi się wyprostować pleców i wypiąć piersi...

Jest już późno, chyba dobrze po północy. Przegadaliśmy cały wieczór, snując plany na przyszłość. Białe Jabłko już spał, ja zaś szeptałem do was, kiedy zjawił się Krzywa Noga.

Zdumiałem się, jak wielką przyjemność sprawił mi widok jego szczupłej, pokiereszowanej twarzy - zupełnie jakbym wychował się wśród Wiggikki, a nie spędził tam zaledwie trzy dni. Może to

dlatego, że to były p i e r w s z e dni. Czuje się tak, jakbym wrócił do domu, czy może raczej jakby część tego domu przyszła do mnie, chociaż nigdy przecież nie miałem z Krzywą Nogą zbyt wiele

do czynienia. Kiedy sięgam pamięcią wstecz, to wydaje mi się, że najważniejsi byli wtedy dla mnie Czerwona Kluy i jej syn, Długi Nóż. Na Krzywą Noge zwróciłem uwagę dopiero wtedy, gdy

Nashhwonk omal go nie zabił. Wtedy nazywał się jeszcze Ognisty Kogut.

Jest teraz z nami. Mówi, że ściga Wielkie Sanie już od tygodnia. Kiedy na nas trafił, wstydził się z początku do nas przyłączyć, ale teraz to przemógł. Chodził dokoła naszego ogniska przez dwie

ostatnie noce. Widział, jak odchodzi Cim, ale nie próbował ani jej zatrzymać, ani z nią

porozmawiać. Mówi, że płakała. Mam nadzieję, że daje sobie rade.

Krzywa Noga ma sanie. Słyszał o tym, że ja też mam, toteż zbudował swoje, żeby mnie dogonić.

Są większe od tych, które kupiłem od Długiego Noża za mięso Nashhwonka i powinny udźwignąć

nas trzech nawet przy lekkim wietrze. Wyruszamy z samego rana i żaden z nas nie wątpi, że zdołamy dogonić Wielkie Sanie w przeciągu czterech, najwyżej pięciu dni.

### Szesnasty dzień

Był chyba najszczęśliwszym dniem mego życia. Żeglowaliśmy niemal od świtu, pędząc szybciej od wiatru i ciągnąc sanie nie częściej niż raz na godzinę. Ponieważ szlak zawiany jest teraz sporymi wydmami, nie jedziemy po zlodowaciałej, równej powierzchni, tylko żeglujemy po śnieżnych falach. Krzywa Noga siedzi na rufie, naciąga żagiel i śpiewa swą łowiecką pieśń, Białe Jabłko zeskakuje, gdy trzeba trochę popchać (choć wydaje się taki mały i tłusty, to jednak w jego ciele drzemie ogromna ilość energii), ja zaś leżę na dziobie i rozkoszuje się rolą pasażera. Brakuje mi Kołowca, ale muszę przyznać, że takie żeglowanie jest znacznie przyjemniejsze, niż jazda na jego głowie. Od czasu do czasu rozlega się skrzypienie wiązań, wiatru zaś niemal zupełnie się nie odczuwa. Cały czas albo przyśpieszamy, albo zwalniamy, ja zaś umilam sobie czas zastanawiając się, jak też Krzywa Noga poradzi sobie z kolejną zaspą.

Nasz dzisiejszy obóz jest najbardziej komfortowym, jaki zdarzyło mi się widzieć od chwili opuszczenia Wiggikki. Krzywa Noga ma ze sobą mały skórzany namiot, który wraz z Białym

Jabłkiem obsypał ze wszystkich stron śniegiem. Teraz, kiedy na środku płonie małe ognisko, jest w nim niemal za ciepło.

Zanim skończę, powinienem chyba dodać, że cały dzień zastanawiałem się co powiedzieć, gdyby ktoś mnie zapytał, co zrobiłem ze swoją rogatą laską. Powiem prawdę - zostawiłem ją po prostu w śniegu. Zupełnie celowo. Krzywa Noga ma swoją kuszę, więc nie będę jej już potrzebował. Była to ostatnia rzecz, jaką zabraliśmy ze sobą z jaskini, z wyjątkiem pudełka z białymi kostkami. Zostały już tylko trzy.

### Siedemnasty dzień

Najcieplejszy ze wszystkich dotąd. Krzywa Noga i Białe Jabłko twierdzą, że oni też takiego jeszcze nie widzieli. W południe śnieg zaczął się topić. Kiedy już zaczęliśmy się obawiać, że utkniemy w miejscu, temperatura poczęła spadać i po jakimś czasie utworzyła się zamrznięta nawierzchnia, na której mogliśmy osiągnąć dużą prędkość.

Rozdzieliliśmy między siebie kostki z jaskini, chociaż Białe Jabłko i Krzywa Noga mieli

początkowo pewne opory. Potem Białe Jabłko nazbierał trochę roślin, zaś Krzywa Noga upolował śnieżną małpkę, toteż w sumie mieliśmy prawdziwą ucztę.

P ó ż n i e j : Nie mogę spać, więc wyszedłem na zewnątrz. Jest bardzo jasno. Kiedy zobaczyłem błyszczący śnieg, pomyślałem, że muszą świecić oba księżyce, ale to nie to. Na niebie jest coś, co przypomina słońce, tyle że świeci od horyzontu po horyzont, srebrzystą chmurą, która przyćmiła swoim blaskiem wszystkie gwiazdy. Dopiero po dłuższej chwili zrozumiałem, co to jest: zwierciadło z rozproszonego nad nocną stroną planety metalicznego pyłu. To niby-słońce jest odbiciem prawdziwego, którego promienie, normalnie ginące w pustce, wracają teraz na ziemię odbite od olbrzymiego lustra.

Osiemnasty dzień

Kiedy się obudziliśmy temperatura musiała wynosić kilka stopni powyżej zera i przez cały dzień rosła. Z początku ciągnęliśmy sanie za sobą, ale w końcu zostawiliśmy je w spokoju. Poradziłem Krzywej Nodze, by wziął żagiel i takielunek, co też uczynił. Białe Jabłko niósł namiot.

Poruszaliśmy się znacznie wolniej, niż saniami i wydawałoby się, że powinno nas to przygnębić, ale wcale tak nie było; skoro nasze sanie nie mogą jechać po tym śniegu, to tym bardziej nie uda się to Wielkim Saniom, które przecież są zbyt duże, by je ciągnąć.

Wiec mimo tego, że idziemy noga za nogą, Wielkie Sanie nie oddalają się już od nas. Odnoszę wrażenie, że najbardziej z nas wszystkich zależy na dotarciu do nich Krzywej Nodze. Powiedział mi, że odkąd został kaleką, wydawało mu się, że kiedy nie patrzy akurat w twarze swych współplemieńców, to twarze te zmieniają nagle swój wyraz. Nie mógł już dłużej wśród nich zostać. Jego rana nie jest jeszcze w pełni wyleczona, ale może już zupełnie dobrze chodzić, a nawet jest w stanie kawałek przebiec.

Dzisiaj cały dzień szliśmy w kierunku, z którego dobiegał nas odgłos płynącej wody. Moi towarzysze mówią, że zdarzało się już nieraz, że śnieg się topił, ale nigdy nie odbywało się to tak gwałtownie. Wieczorem pokazałem im srebrny obłok i starałem się wyjaśnić, co to jest. Byli przestraszeni i zdumieni, ale nie sądzę, by wiele z tego zrozumieli.

## Dziewiętnasty dzień

Jestem sam. Próbowałem rano iść z nimi, ale po kilku godzinach nie dałem rady. Powiedziałem im, żeby szli dalej beze mnie. Białe Jabłko chciał mnie nieść, ale jestem dla niego stanowczo za ciężki. Wraz z Krzywą Nogą zrobili z dwóch tyczek i żagla rodzaj noszy, lecz po kilku metrach okazało się, że zraniona kończyna Krzywej Nogi nie wytrzymuje dodatkowego obciążenia. Wtedy oświadczyli, że zostaną ze mną, aż wydobrzeje.

Jedynym wyjściem, jakie mi pozostało, było udać, że boje się, iż będą chcieli mnie zabić - tak, jak to Wiggikki czynią ze swymi chorymi. Rzeczywiście, mogli to zrobić bez żadnego problemu;

nie miałem sił, by się bronić i oni o tym dobrze wiedzieli. Udawałem, że naprawdę się tego

obawiam, toteż wreszcie odeszli, chociaż co chwila oglądali się za siebie. Czuję się teraz bardzo samotny, ale co miałem zrobić? Nie chciałem, by przeze mnie stracili okazje dostania się na

Wielkie Sanie, a nie jestem aż takim głupcem, by wierzyć w to, że kiedykolwiek wyzdrowieje. Być może, kiedy uda im się dogonić Wielkie Sanie, powiedzą o mnie załodze. Taką mam przynajmniej

nadzieje - teraz, kiedy sam już na pewno tam nie dotrę, byłaby to najlepsza rzecz, jaka mogłaby mnie spotkać.

Przekonałem się, że mogę iść najwyżej pięć minut, potem zaś muszę długo odpoczywać.

Urządziłem małe obozowisko, takie samo, jak kiedyś, kiedy też byłem zupełnie sam. Leże teraz na wznak i obserwuje odbite, fałszywe słońce. Rozjaśniony niezwykłą poświatą świat wygląda bardzo

dziwnie i wypełniony jest odgłosami, wydawanymi przez topniejący śnieg. Małe, nocne zwierzątka, których istnienia do tej pory nawet nie podejrzewałem, kręcą się niezdecydowanie po roziskrzonym śniegu. Jedno z nich przeszło kilka minut temu tuż koło mnie - miało duże oczy, niemal ludzką

twarz i przypominało niewielkiego niedźwiadka, chociaż, kiedy się nad tym zastanowić, to nie

bardzo mogę sobie przypomnieć, jak właściwie powinien wyglądać niedźwiadek.

Ślad Wielkich Sań idzie prosto na zachód, zdając się nie mieć końca, zupełnie, jakby obiegał planetę dookoła. Na wschodzie zaś, tam, skąd przyszedłem...

Widzę jakiś ruch. Początkowo pomyślałem, że to jakieś sanie, ale te nie mogłyby przecież

zeglować po topiącym się śniegu. Cokolwiek to jest, zbliża się bardzo szybko i jest zbyt duże na sanie. Może ciepło przywróciło do życia Kołowca... Nie, to jest jeszcze większe od niego.

Przypomina poruszające się wzgórze i widzę na nim ludzkie sylwetki.

I to mi wystarczy. Wiem już, kim jesteście. Ta mała planeta ma kształt kuli, wy zaś okrążyliście ją i oto nadszedł koniec mówienia o wszystkim do tego małego urządzenia. Będę mógł rozmawiać z wami twarzą w twarz. Kim jest ten wysoki człowiek? Czy mi się zdaje, czy on ma... skrzydła?...

## SIEDEM AMERYKAŃSKICH NOCY

*Wielce szanowna i czcigodna Pani!*

*Jak już uprzednio Pani donosiłem, wydaje mi się wielce prawdopodobne, że syn Pani Nadan (oby Allah zachował go w swojej opiece!), opuścił starą stolicę i udał się - podporządkowując się swojej własnej lub też czyjejs innej woli - na północ, w rejon Zatoki Delaware. Moje przypuszczenie zostało obecnie potwierdzone odnalezieniem na tamtych terenach notesu, który niniejszym*

*załączam. Jak Pani widzi, nie był on wykonany w Ameryce i chociaż zawiera zapiski z jednego tylko tygodnia, to wiele spośród znajdujących się w nim informacji pozwala nam żywić nowe nadzieje.*

*Sporządziłem fotokopię jego zawartości, która może dopomóc mi w moich poszukiwaniach, ale zdaję sobie sprawę z możliwości, iż Ty, Pani, dzięki dokładnej znajomości młodego człowieka stanowiącego obiekt naszych poszukiwań, możesz odnaleźć wskazówki, które umknęły mojej uwadze. Gdyby tak się stało, proszę Cię o jak najszybsze powiadomienie mnie o tym.*

*Aczkolwiek waham się czy wspominać o tym w kontekście tak zachęcającego odkrycia, to muszę jednak nadmienić, że nie otrzymałem jeszcze kolejnej wpłaty. Przypuszczam, że spóźnienie to jest rezultatem opieszale działającej poczty, niemniej jednak czuję się zmuszony Panią ostrzec, że będę musiał zaprzestać poszukiwań, o ile przed nadejściem zimy nie otrzymam środków wystarczających na pokrycie ponoszonych przeze mnie wydatków.*

Łączę wyrazy najwyższego szacunku

Hassan Kerbelgi

Nareszcie jestem! Po dwunastu morderczych dniach na pokładzie "Księżniczki Fatimy" -

dwunastu dniach zimna, nudy, złego jedzenia i wibracji silników- radość bycia na lądzie dorównuje chyba uldze skazańca, którego list szacha wyciąga w ostatniej chwili spod spadającego ostrza

śmierci. Ameryka! Ameryka! Koniec z nudnymi dniami! Mówi się, że każdy, kto tu przybywa, albo

cię kocha, albo nienawidzi - na Allacha, jak cię Kocham, Ameryko! Rozpocząwszy wreszcie te

relację stwierdziłem, że nie wiem, od czego właściwie mam ją rozpocząć. Przed opuszczeniem



domu czytałem różne zapiski z podróży, więc kiedy ujrzałem cię, o Księgo, leżącą w całej swej krasie na bazarowym straganie, pomyślałem sobie, dlaczego mnie również nie miałyby spotkać rozmaite przygody i czemu nie miałbym napisać książki jak Osman Aga? Przecież tak niewielu podróżników dociera do tego smutnego kraju, a ci, którzy tu przybywają trafiają zwykle na północną część wybrzeża.

I to właśnie jest wskazówka, której szukałem: od czego zacząć. Dla mnie Ameryka zaczęła się od kolorowej wody. Kiedy wczoraj rano wyszedłem na pokład zauważyłem, że ocean zmienił swoją barwę z zielonej na żółtą. Nigdy o czymś takim nie słyszałem, ani z moich lektur, ani od wuja

Mirzy, który był tutaj trzydzieści lat temu. Obawiam się, że zachowywałem się jak ostatni głupiec biegając po pokładzie, paplając bez opamiętania i wyglądając co chwila za burtę, aby upewnić się, że intensywna, musztardowa barwa ciągle tam jest i że nie zniknęła, jak to się dzieje z rzeczami widzianymi w snach, które rozplývają się w nicość właśnie w chwili, kiedy chcemy je komuś

pokazać. Steward powiedział mi, że nie jest to dla niego nic nowego, zaś Golam Gassem, handlarz zbożem, którego unikałem aż do tej chwili przez cały czas podróży, odparł tylko: "Tak, tak" i odwrócił się ode mnie w sposób świadczący o tym, że on ze swojej strony również mnie unikał i że trzeba by cudu o wiele większego od żółtej wody, żeby zmienić jego uczucia.

Właśnie wtedy na pokładzie pojawił się jeden z nielicznych rodowitych Amerykanów podróżujących pierwszą klasą: Mister (tak się tutaj mówi) Tallman, mąż uroczej Madam Tallman, zasługującej ze wszech miar na kogoś rzeczywiście mojego wzrostu. Nie wiem, czy jej mąż wybrał to nazwisko w celu samoosmieszenia, czy też kierując się nadzieją, że może w ten sposób wymaże z pamięci innych tę swoją niedoskonałość. Może zresztą odziedziczył je po swoim ojcu, stając się kolejnym z niezliczonych przykładów ironii igrającego z ludźmi losu. (Najwyraźniej coś było nie w porządku z jego plecami). Jakby nie dość było przedstawienia, które już z siebie urządziłem,

złapałem Mr. Tallmana za rękaw i kazałem mu wyjrzeć za burtę i podziwiać żółtą barwę oceanu.

Mr. Tallman zbladł jak płótno i odwrócił się ode mnie, sprawiając wrażenie kogoś, kto z całą pewnością uderzyłby mnie, gdyby tylko miał na to odwagę. Było to chyba dosyć zabawne - słyszałem później chichoty opowiadających sobie to zdarzenie pasażerów - ale nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek wcześniej widział na czyjejs twarzy tyle nienawiści. Właśnie wtedy

pojawił się zażywający spaceru kapitan, a ja, zbity nieco z tropu, ale jeszcze nie do końca, oznajmiłem mu po raz ostatni tego dnia, że woda zrobiła się zupełnie żółta.

- Wiem - odparł kapitan i wskazał mi ruchem głowy nieszczęsnego Mr. Tallmana - To jego kraj wykrwawia się na śmierć.

Jest już wieczór i widzę, że przerwałem poprzednim razem pisanie zanim nawet opisałem wrażenie, jakie wywarł na mnie pierwszy widok wybrzeża. Cóż, niech i tak będzie. W domu jest teraz prawie północ, pora kiedy wszystkie kawiarnie dosłownie kipią życiem. Jakże bym chciał teraz tam być u Twego boku, Yasmin, zamiast wśród tych odzianych w czerwone i fioletowe stroje obcych, mrowiących się a ulicach niczym armia najeźdźców i znikających w swoich domach niczym uciekające do nor szczury. Jednak Ty, Yasmin, moja Matka lub ktokolwiek, kto będzie czytał te słowa, chciałby z pewnością wiedzieć, jak spędziłem dzień-tylko wy czasem o mnie myślicie, gdy tak siedzę nachylony nad starym, zniszczonym stołem w obskurnym pokoju i słucham dobiegającego z ulicy tupotu pośpiesznych kroków.

Dzisiejszego ranka spałem bardzo długo. Przypuszczam, że byłem bardziej zmęczony podróżą, niż początkowo przypuszczałem. Kiedy się obudziłem, miasto już od dawna żyło, rozbrzmiewając krzykami przekupniów zachwalających pod moim zamkniętym szczelnie oknem ryby i owoce, i łoskotem toczących się po popękany bruku szerokich, metalowych kół wielkich, drewnianych wozów nazywanych przez Amerykanów "ciężarówkami", które rozwożą towary pochodzące z zacumowanych na Potomacu statków. Można tutaj zobaczyć wiele dziwnych rzeczy, moja Yasmin.

Kiedy szedłem na śniadanie (żeby dostać się do głównego holu i restauracji trzeba wyjść na dwór, co musi być bardzo niewygodne w razie złej pogody), ujrzałem jedną z tych "ciężarówek"

zaprzęzoną w dwa woły, konia i muła zapewniam Cię, że widok ten rozbawiłby Cię do łez.

Woźnice bezustannie strzelają z batów.

Pierwsze wrażenie, jakie można odnieść jest takie, że Ameryka nie chyba aż tak biedna, jak się uważa. Dopiero później staje się oczywiste, jak wiele pozostało jeszcze z poprzedniego stulecia.

Ulice są brukowane, ale chodniki i jezdnie są stare i popękane. Wszędzie stoją wspaniałe, chociaż bardzo zniszczone i zaniedbane budynki (mój hotel jest jednym z nich; nazywa się "Inn of Hollidays"), sprawiające wrażenie dużo wcześniejszych niż u nas gdzie tradycyjna architektura była przez tak wiele lat zakazana przez prawo. Hotel stoi przy Marne Street; kiedy już skończyłem śniadanie (było bardzo smaczne i według naszych standardów bardzo tanie, chociaż mówiono mi już, że poza sezonem nie sposób tutaj dostać czegokolwiek), zapytałem właściciela gdzie mam się udać, aby zobaczyć najbardziej godne uwagi miejsce. Właściciel jest niskim, wręcz nieprawdopodobnie brzydkim człowiekiem, jakby irbusem, podobnie jak wielu innych.

- Nie ma już żadnych wycieczek - pokręcił głową.

Wyjaśniłem mu, że chciałem po prostu trochę pospacerować, a przy okazji może wykonać jeden lub dwa szkice.

- A jeśli tak, to w innego. Na północ do budowli, na południe do teatru, na zachód do parku. Czy chce pan iść do parku, Mr. Jaffarzadeh?

- Jeżeli pan tam idzie, to niech pan wynajmie przynajmniej dwóch ludzi do ochrony. Mogę panu polecić pewną agencję.

- Mam pistolet.

- To za mało, proszę pana.

Rzecz jasna postanowiłem w tym momencie, że pójdę do parku, i to zupełnie sam. Uznałem jednak, że rozsądniej będzie pozostawić sobie tę małą przygodę na później, kiedy już przekonam się, jakie jeszcze atrakcje, które wzbogacą moją osobowość, czekają na mnie w tym kraju.

Zgodnie z tą decyzją po wyjściu z hotelu skierowałem się na północ. Do obecnej chwili jeszcze nie odziałem tego, ani żadnego innego amerykańskiego miasta w nocy. Nie jestem w stanie sobie wyobrazić, jak wówczas wygląda, kiedy ludzie, tak jak to się dzieje u nas, wylegają tłumnie na ulice. Nawet w środku jasnego dnia odnosi się wrażenie, że znalazło się w samym centrum

karnawału, czy też przedstawienia jakiegoś zwariowanego cyrku, które rozpoczęło się ponad sto lat temu i jeszcze się nie skończyło.

Na pierwszy rzut oka wydaje się, że jedynie co czwarta lub co piąta osoba nosi na sobie piętno

genetycznej katastrofy, która zniszczyła starą Amerykę, ale kiedy przyzwyczałem się już nieco do panującego na ulicach rozgardiaszu, a tym samym stara, sprzedająca kwiatki kobieta i chłopak, który przemknął z wrzaskiem tuż przed kołami nadjeżdżającej "ciężarówki" przestali być dla mnie tylko "Amerykanami", a zaczęli być po prostu ludźmi - innymi słowy, zacząłem patrzeć na nich tak, jak spoglądam nas na mijanych na ulicy przechodniów - zobaczyłem, że trudno jest znaleźć kogoś, kto nie byłby w taki czy inny sposób naznaczony. Te deformacje, chociaż każda z osobna jest z całą pewnością odrażająca, w połączeniu z barwnymi, jaskrawymi łachmanami nadają tej szkaradnej zbiorowości charakter karnawałowego korowodu. Siedziałem niespiesznie przed siebie, mijając coraz to nowe grupy muzyków i a przestrzeni kilkunastu zaledwie kroków widziałem mężczyzny tak wysokiego, że siedząc na niskim stopniu był jeszcze znacznie wyższy ode mnie, brodatego karta o obumarlYM ramieniu i kobiet, której twarz została przez jakiś diabelski wybryk losu podzielona na dwie części: jedną wielkooką i idiotycznie rozpaczającą, drugą wykrzywioną szyderczym grymasem.

Nie ma co do tego żadnej wątpliwości - Yasmin nie może tego przeczytać. Siedzę już tak od co najmniej godziny i wpatruję się w płomień świecy. Siedzę i słucham, jak od czasu do czasu coś uderza w stalowe okiennice mego pokoju. Prawda jest taka, że zostałem niemal sparaliżowany przez strach, który nie wiadomo skąd zagnieździł się we mnie wczoraj i narastał z każdą chwilą.

Wszyscy wiedzą, że Amerykanie byli kiedyś arcysprawnymi twórcami rozmaitych substancji wpływających na świadomość. Ta sama wiedza, dzięki której stworzyli z najróżniejszych chemikaliów to, co ich zniszczyło, a dzięki czemu ich chleb nigdy nie czerstwiał, mogli wytruć wszystkie szkodniki oraz dysponowali wielką ilością nadających się do wszelkich celów sztucznych materiałów, pozwoliła im na wytworzenie syntetycznych alkaloidów, które wywoływały gorączkowe zwiidy i majaki.

Z całą pewnością przynajmniej część tych umiejętności przetrwała do dzisiaj, a nawet jeśli nie, to przynajmniej pewna ilość tych substancji, przechowanych w różnych skrytkach przez siedemdziesiąt lub sto lat, tym bardziej groźnych, im mniej o nich pamiętano. Podejrzewam, że ktoś na statku podał mi taki środek.

Nareszcie! Poczuję się o tyle lepiej, kiedy wreszcie to napisałem - a kosztowało mnie to ogromnie dużo wysiłku - że aż wstałem z miejsca i przeszedłem kilka razy po pokoju. Napisałem, i

od razu przestałem w to wierzyć.

A przecież w nocy śnił mi się ten chleb, o którym czytałem po raz pierwszy w małej salce lekcyjnej wiejskiego domu wuja Mirzy. Nie był to żaden złożony, wielowarstwowy sen, jakie nieraz miewałem i nad jakimi rozmyślałem później przy porannej kawie, tylko wizja bochenka białego chleba leżącego na tacy pośrodku niewielkiego stołu. Chleba, który zachował jeszcze zapach pieca (bez wątpienia jeden z najcudowniejszych, jakie istnieją na świecie), chociaż cały pokryty był szarą pleśnią. Dlaczego Amerykanie pragnęli czegoś takiego? A jednak wszyscy historycy stwierdzają zgodnie, że pragnęli, podobnie jak chcieli zapewnić swoim zmarłym pozory wiecznego życia.

To ten kraj, ze swymi kolorowymi, cuchnącymi ulicami, zdeformowanymi ludźmi i ostrą, obcą mową prawic, że czuję się otumaniony i oszołomiony. Chwała Allachowi, że chociaż do Ciebie mogę mówić w mim ojczystym języku, o Księgo! Czy uwierzycie, że wyciągnąłem wszystkie moje ubrania, żeby przynajmniej przeczytać ich metki? Czy ja sam uwierzę, kiedy będę to czytał w domu?

Wznoszące się w północnej części miasta budowle publiczne - w których, jak się domyślam, koncentrowała się niegdyś wszelka działalność polityczna - stanowią znaczny kontrast w porównaniu z ulicami wciąż jeszcze zamieszkanymi terenów. W tych ostatnich wszystkie budynki znajdują się w końcowym stadium rozkładu lub też były niefachowo naprawiane przy użyciu niewystarczających środków, ale wszystkie aż kipią życiem, rojąc się od tych, którzy egzystują dzięki działalności handlowej związanej z wciąż jeszcze czynnym portem, od tych, którzy są od nich uzależnieni i tak dalej, i tak dalej. Monumentalne budowle, jako że wzniesione z najodporniejszych materiałów, wydają się niemal nienaruszone, chociaż tu i ówdzie można dostrzec zwaloną kolumnę lub przechylony portyk, zaś w pęknięciach ścian zagnieździły się małe, smutne drzewka - zdaje się, że przede wszystkim *carpinus caroliniana*. Jeżeli jednak jest prawdą to, co się czyta, że broda czasu jest siwa nie z powodu upływu lat, lecz od pyłu zrujnowanych miast to większość tego pyłu musi pochodzić właśnie stąd. Te imponujące skorupy są już naprawdę tylko

skorupami. Wydaje się, że wznoszono je z myślą o mechanicznej wentylacji, bowiem wiele z nich jest zupełnie pozbawiona okien, stanowiąc jedynie mroczne, cuchnące rozkładem skóry, w które nie odważyłem się zapuścić. Inne z kolei miały całe ściany ze szkła, których nieliczne tafle pozostały na swoim miejscu, dzięki czemu mogłem naszkicować zarysy tych budynków. Większość jednak była zniszczona, a broda czasu zmiotła nawet ostre, szklane odłamki.

Chociaż te stare budowle (z jednym tylko czy dwoma wyjątkami), są zupełnie puste, napotkałem wielu żebraków. Byli to tubylcy, którym deformacje ciała uniemożliwiały jakąkolwiek pracę. Nie sposób było nie czuć dla nich współczucia, chociaż ich wygląd jest niejednokrotnie równie odstręczający, jak ich natręctwo. Proponowali mi, że zaprowadzą mnie do dawnej rezydencji ich padyszacha, więc aby mieć pretekst do dania im kilku drobnych monet poszedłem z nimi, każąc im uprzednio przysiąc, że pozostawią mnie później w spokoju.

Budynek, który mi pokazali usytuowany był na końcu długiej alei, wzdłuż której wznosiły się wspaniałe budowle, więc mieli chyba rację twierdząc, że niegdyś znajdowało się w nim coś ważnego. Pozostały z niego ledwie fundamenty, trochę gruzu i jedno walące się skrzydło, więc nie mógł być zbudowany ze zbyt odpornych materiałów. Bez wątplenia był to jakiś letni pałac lub inna tego typu rezydencja. Żebracy zapomnieli już, jak się nazywał i mówili o nim po prostu "biały dom".

Znalazłszy się tam udałem, że zamierzam wykonać kilka szkiców, więc zgodnie z danym mi przyrzeczeniem wszyscy odeszli. Jednak po jakichś pięciu lub dziesięciu minutach powrócił jeden z nich, najbardziej widać ze wszystkich przedsiębiorczy. Nie miał dolnej szczęki, więc zrozumienie go sprawiało mi początkowo trochę trudności, ale po kilku minutach pokrzykiwania - ja kazałem mu iść precz i groziłem, że zabiję go na miejscu, a on głośno protestował - zorientowałem się, że "b" to u niego "d", "m" to "n", "p" zaś to "t", i od tej chwili poszło nam znacznie lepiej.

Nie będę próbował oddać na piśmie jego wymowy. Powiedział, że ponieważ okazałem się tak hojny, pragnie pokazać mi wielki sekret - coś, o czym cudzoziemcy tacy jak ja nie wiedzą nawet, że istnieje.

- Pewnie chodzi ci o czystą wodę - podsunąłem.

- Nie, nie. To wielki, bardzo wielki sekret, kapitanie. Myślisz, że to wszystko jest martwe? -

Wskazał swoją zdeformowaną ręką na otaczające nas, zrujnowane budowle.

- Rzeczywiście, tak sędzę.

- Jedna ciągle żyje. Chcesz zobaczyć? Zaprowadzę. Nie przejmuj się innymi, oni się mnie boją.

Odpędzę ich.

- Jeżeli planujesz jakąś zasadzkę, to ostrzegam cię, że ty pierwszy w niej zginiesz.

Przyjrzał mi się uważnie. W jego zdeformowanej twarzy dostrzegłem nagle coś ludzkiego i poczułem iskierkę autentycznego współczucia.

- Widzisz tam? Ten duży dom na południu, przy Pennsylvania Avenue? Kapitanie, ojciec ojca mojego ojca był tam ministrem ("ninistren"). Nie oszukam cię.

Sądząc z tego, co czytałem o polityce tego kraju z czasów ojca ojca jego ojca było to bardzo niewiele znaczące zapewnienie, ale mimo to poszedłem za nim.

Minęliśmy kilka kwartałów, Przechodząc po drodze Przez dwa zniszczone budynki. W obydwu dostrzegłem ludzkie kości i przypomniawszy sobie o jego przechwałce zapytałem, czy są to szczątki tych, którzy tu kiedyś pracowali.

- Nie, nie - poklepał się po piersi (jakiś nawykowy gest, jak przypuszczam) i uniósłszy z podłogi jedną czaszkę przytrzymał ją tuż przy swojej głowie, żebym mógł zauważyć deformacje bardzo podobne do jego własnych. - My tu śpimy, chroniąc się za grubymi ścianami przed różnymi rzeczami, które Przychodzą nocą. Tu umieramy, najczęściej zimą. Nikt nas nie grzebie.

- Sami powinniście to robić - zauważyłem.

Rzucił czaszkę, która spadła z trzaskiem na kamienną podłogę, budząc tysiakkrotne, ponure echo.

- Nie ma łopat, nie ma siły. Chodź.

Na pierwszy rzut oka budynek, do którego mnie przyprowadził sprawiał wrażenie jeszcze bardziej zniszczonego od tych, które widziałem do tej pory. Jedna z jego wież leżała w gruzach. Jednak przyjrzawszy się dokładniej stwierdziłem, że mimo wszystko chyba mnie nie okłamał.

Powybijane okna były zasłonięte okiennicami wykonanymi przynajmniej równie starannie jak te, które znajdują się tu, w norm pokoju, zaś drzwi, chociaż stare i zniszczone, były szczelnie zamknięte i sprawiały wrażenie bardzo solidnych.

- To jest muzeum - poinformował mnie mój przewodnik - Chyba ostatni fragment Milczącego Miasta, które ciągle jeszcze żyje tak jak dawniej. Chcesz wejść do środka?

Odparłem, iż wątpię, czy udałoby nam się tego dokonać.

- Tam są wspaniałe maszyny. - Pociągnął mnie za rękaw. - Więc chociaż zajrzyj, kapitanie.

Chodź.

Poszliśmy wzdłuż ściany budynku, mijając jej liczne załamania i wreszcie dotarliśmy do

znajdującego się na jego zapleczu czegoś w rodzaju niszy, czy też alkowy. Żebrak wskazał z dumą na metalową, zarośniętą częściowo zielskiem kratę. Kazałem mu odejść nieco dalej, po czym

ukląłem na ziemi i zajrzałem do środka.

Za kratą była nienaruszona, bardzo brudna szyba, ale mimo to mogłem dostrzec wnętrze piwnicy.

Tak jak powiedział mój przewodnik, w równych szeregach stały tam najróżniejsze mechanizmy.

Przyglądałem im się przez dłuższy czas, próbując odgadnąć, do czego mogły służyć. W pewnej

chwili zjawiał się między nimi jakiś stary Amerykanin. Szedł niespiesznie, spoglądając to na jedną stronę, to a drugą, przecierając co chwila metalowe części trzymaną w dłoni szmatą.

Tymczasem żebrak zbliżył się do mnie i wskazując na starego mężczyznę powiedział:

- Wciąż przyjeżdżają z północy i z południa, żeby się tutaj uczyć. Pewnego dnia znowu będziemy wielcy.

Pomyślałem wtedy o moim ukochanym kraju, w którym taki ponury, smutny czas - chociaż bez

genetycznych zniszczeń - trwał dwadzieścia trzy stulecia. Dałem mu trochę pieniędzy,

powiedziałem, że ja również wierzę w to, iż Ameryka znowu będzie wielka i wróciłem do hotelu.

Ostworzyłem okiennicę, żeby móc widzieć górujący nad miastem obelisk i schwytać nieco

promieni zachodzącego słońca. Jego ogniste pola i doliny nie wydają mi się wcale bardziej obce czy groźne od tego dziwnego, przygnębiającego kraju. Mimo to wiem, że wszyscy stanowimy jedność:



żebrak, opiekujący a maszynami starzec, same maszyny, słońce i ja. Sto lat temu, kiedy to miasto kipiało życiem, filozofowie zastanawiali się, dlaczego wszystkie neutrony, protony i elektrony mają dokładnie taką samą masę. Teraz wiemy, że istnieje tylko jedna cząstka każdego tego rodzaju przenosząca się bezustannie w przeszłość i przyszłość - elektron, gdy kierunek jego przemieszczania jest taki sam, jak nasz, a pozytron, gdy jego przesunięcie w czasie posiada znak ujemny.

Aby stworzyć jeden przedmiot te same cząsteczki muszą pojawić się miliardy miliardów razy, a ponieważ w ten sam sposób powstają wszystkie przedmioty, wszyscy jesteśmy zaledwie szkicami wykonanymi tym samym zestawem kredek.

Wszedłem, żeby coś zjeść. Niedaleko hotelu znajduje się dobra restauracja, lepsza nawet od tej, która jest na miejscu. Kiedy wróciłem, właściciel poinformował mnie, że dzisiejszego wieczoru w teatrze odbędzie się przedstawienie i zapewnił, że ponieważ jest to tak blisko stąd (bardzo się chlubi tym teatrem, którego obecność w pobliżu stanowi chyba jedyną okoliczność uzasadniającą istnienie jego hotelu), będę mógł pójść tam bez żadnej eskorty. Prawdę mówiąc wstyd mi nieco, że nie

wynająłem dzisiaj ludzi, żeby przedostać się do leżącego po drugiej stronie kanału parku, teraz więc przynajmniej pójdę na przedstawienie, rzucając wyzwanie pograżonym w mroku ulicom.

Jestem już z powrotem w tym zbyt dużym, pustym, nieprzytulnym pokoju, który powoli zaczyna się stawać moim drugim domem, nie mogąc się pochwalić żadnymi przygodami. Teatr znajduje się co najwyżej sto kroków na południe od hotelu. Trzymając dłoń na rękojeści pistoletu i czując się cokolwiek głupio zmierzałem w tamtą stronę wraz z całkiem sporym tłumem, składającym się głównie z Amerykanów.

Sam budynek jest przynajmniej równie stary jak te, które wznoszą się w Milczącym Mieście, ale znajduje się w znacznie lepszym stanie. U publiczności - w znacznie większym stopniu, niż u nas dawało się wyczuć nastrój rozbawienia (choć dla mnie w sporej części był to obcy i niezrozumiały jego rodzaj), zaś mniej było tego, co nazwałbym "uwielbieniem Sztuki". Mimo to wiedziałem, że dramat cieszy się tutaj prawdziwą estymą, na co wskazywały choćby różnobarwne, urozmaicone stroje publiczności. Respekt okazywany w przesadnie poważny sposób jest zawsze dowodem małej wiary.

Będąc po kolacji minąłem obojętnie ustawione w foyer stoiska, przy których Amerykanie

(jedzący, zdaje się, niemal bez przerwy wszystko, na co tylko mogą sobie pozwolić) kupowali najróżniejsze zimne przekąski i słodczyce, i poszedłem prosto na widownię. Ledwo zdążyłem zająć miejsce, kiedy starszy, palący fajkę dżentelmen poprosił mnie, bym umożliwił mu dojście do jego fotela. Rzecz jasna natychmiast wstałem z miejsca i przepuściłem go, zgodnie z naszymi (jeśli nie ich) nakazami dobrego wychowania zwracając się do niego "Dziadku". Kiedy siadał, a ja wciąż jeszcze stałem, spojrzałem na jego twarz dokładnie pod tym samym kątem, pod jakim widziałem ją po południu i rozpoznałem w nim tego starego człowieka, którego obserwowałem przez zakratowane okno w hali maszyn.

Znalazłem się w trudnej sytuacji. Miałem wielką ochotę z nim porozmawiać, ale jednocześnie nie mogłem przecież przyznać się do tego, że go szpiegowałem. Roztrząsałem właśnie ten problem, kiedy światła zgasły i rozpoczęło się przedstawienie.

Były to "Odwiedziny na małej planecie" Vidala, jedna z klasycznych sztuk starego amerykańskiego teatru, o której wiele czytałem, lecz nigdy wcześniej nie miałem okazji oglądać. Z pewnością podobałaby mi się znacznie bardziej, gdyby wystawiono ją w scenografii i kostiumach z epoki, ale niestety reżyser postanowił "unowocześnić" całe przedsięwzięcie, podobnie jak u nas wystawia się "Rustam Bega" w taki sposób, jakby Rustam był bohaterem dopiero co zakończonej wojny. Generał Powers został przedstawiony jako współczesny amerykański żołnierz o manierach tchórzliwego bandyty, Spelding jako wydawca oszczerczych plakatów i tak dalej, i tak dalej.

Jedynymi postaciami, których koncepcja rzeczywiście mi się spodobała, byli kuśtykający kosmonauta Kreton oraz niewinna bohaterka, Ellen Spelding, grana przez promieniującą urodą, jasnowłosą Amerykankę.

Przez cały czas trwania pierwszego aktu (a szczególnie podczas dłuższych kwestii wygłaszanych przez Ellen Spelding), myślałem o siedzącym obok mnie starym człowieku. Jeszcze przed opuszczeniem kurtyny zdecydowałem, że najlepszym sposobem nawiązania znajomości będzie oferta przyniesienia mu z foyer kebaba (lub czegośkolwiek, na co miałby ochotę), jako że jego wychudzona sylwetka sugerowała, iż nie miałby nic przeciwko poczęstunkowi, zaś wyraźna słabość nóg stanowiła znakomity pretekst do złożenia takiej propozycji. Wypróbowałem ten gambit

natychmiast po zapaleniu pochodni. Zdziałał tak, jak sobie tego życzyłem. Kiedy wróciłem, niosąc na papierowej tacy kanapki i napoje, mój sąsiad poinformował mnie, iż podczas przedstawienia zauważył, jak bezwiednie zginam i rozprostowuję prawą dłoń.

- Zgadza się - potwierdziłem. - Przed przyjściem tutaj sporo pisałem.

Sporokowało go to do wygłoszenia długiego, częściowo dla mnie niezrozumiałego wykładu na temat różnych rodzajów maszyn do pisania. Potok słów powstrzymało dopiero jakieś moje pytanie, które musiało mu chyba uświadomić, że orientuję się w tej dziedzinie znacznie słabiej, niż przypuszczał.

- Czy zdarzyło ci się kiedyś wyrzeźbić literę w ziemniaku, a następnie użyć jej do stemplowania papieru?

- Robiłem to jako dziecko - odparłem. - Używaliśmy do tego rzepy, ale zasada była ta sama.

- Dokładnie, a chodzi tu o zasadę przedłużonej abstrakcji: Odpowiedz mi teraz na takie oto pytanie: co stanowi środek przenoszenia informacji na najniższym z możliwych poziomów?

- Przypuszczam, że mowa.

Jego ostry śmiech wzbił się ponad gwar rozmów.

- Wcale nie? To zapach - tu chwycił mnie mocno za ramię - zapach jest esencją wszelkiego

porozumiewania się. Zwróć zresztą uwagi na samo słowo "esencja". Czując zapach innego człowieka przyjmujesz do swego ciała wyprodukowane przez niego związki chemiczne, analizujesz

je i na podstawie tej analizy określasz jego stan emocjonalny. Czynisz to bezustannie i do tego stopnia automatycznie, że w znacznej mierze nie zdajesz sobie z tego sprawy, i mówisz po prostu:

"Wydawał się przestraszony"; albo "Był zły". Rozumiesz?

Skinąłem głową, mimo woli zainteresowany jego słowami.

- Kiedy mówisz, informujesz swego rozmówcę jak byś pachniał, gdybyś pachniał tak, jak

powinieneś i gdyby on mógł wyczuć to tam, gdzie teraz stoi. Jest niemal pewne, że mowa rozwinęła się dopiero wówczas, gdy plioceńskie złodowacenia zmusiły człowieka do wynalezienia ognia i gdy w wyniku częstego wdychania dymu jego zmysł powonienia uległ znacznemu osłabieniu.

- Widzę, do czego pan zmierza.

- Nie, wcale nie widzisz. Ty słyszysz, chyba że potrafisz czytać z ruchu ust, co w tym zgiełku byłoby bardzo przydatną umiejętnością. - Odgryzł potężny kęs, rozsypując okruszki różowego mięsa, które z całą pewnością nie pochodziło z żadnego prawdziwego zwierzęcia. - Kiedy piszesz, informujesz kogoś, co byś mówił, gdyby on mógł cię słyszeć, a drukując litery rzepą mówisz mu, co byś pisał. Zauważ, że tym samym osiągnęliśmy już trzeci poziom abstrakcji.

Ponownie skinąłem głową.

- Niegdyś uważało się, że dopuszczalne jest istnienie jedynie określonej liczby  $K$  poziomów abstrakcji, zanim dojdzie do całkowitego zniknięcia pierwotnego przesłania. Około siedemdziesięciu lat temu przeprowadzono bardzo ciekawe obliczenia, mające na celu ustalenie dla różnych systemów dokładnie sprecyzowanej liczby  $K$ . Teraz wiemy już, że w przypadku o otwartej krzywej liczba ta może równać się nieskończoności oraz że możliwe są także przebiegi o krzywej zamkniętej.

- Nie rozumiem.

- Jesteś młody i przystojny, ze swoimi szerokimi ramionami i czarnym wąsem prezentujesz się nadzwyczaj okazale. Przypuśćmy, że zakochuje się w tobie młoda kobieta. Gdybyście siedzieli razem na gałęzi jakiegoś drzewa prawdopodobnie czułbyś zapach jej pożądania. Ona mówi ci o tym pożądaniu, ale może ci przecież o nim również napisać, czyż nie tak?

Przyznałem mu rację, przypomniawszy sobie listy Yasmin.

- Załóżmy jednak, że te listy są przesycone słodkim, ciężkim zapachem perfum. Rozumiesz? To

właśnie krzywa zamknięta: woń perfum nie jest wonią jej ciała, lecz jej sztuczną symulacją. Może to nie być to, co ona czuje, ale to, co ona ci mówi, że czuje. Twoja miłość jest w rzeczywistości skierowana do wieloryba, jelenia i klombu róż. - Chciał powiedzieć jeszcze coś więcej, ale kurtyna poszła w górę i rozpoczął się drugi akt.

Dla mnie okazał się on zarazem bardziej zabawny, jak i bardziej bolesny. Pierwsza scena, w której Kreton (do którego wkrótce dołącza Ellen) odczytuje myśli domowego kota, została rozwiązana wręcz znakomicie. Muzyka ukrytej przed wzrokiem widzów orkiestry ilustrowała myśli zwierzęcia. Żałuję, że nie znam nazwiska kompozytora, ale nie zostało ono wymienione w

programie. Ściana sypialni stała się ekranem w teatrze cieni. Widoczne na nim sylwetki kotów najpierw uganiały się za ptakami, a potem, gdy palce Ellen dotknęły brzucha zwierzęcia, uprawiały miłość. Jak już wspomniałem, Kreton i Ellen stanowili najznakomitsze postaci przedstawienia. Zestawienie delikatnej urody Ellen i jej szlachetnej naiwności z odczuwanym przez Kretona pożądaniem w znakomity sposób uwidaczniało trudności, jakie w tej sytuacji musiały pojawić się przed każdym telepatą, gdyby tacy rzeczywiście istnieli.

Z drugiej strony jednak kończąca akt scena, w której Kreton przywołuje prezydentów, zrobiona była najgorzej, jak tylko można sobie wyobrazić. Pojawiający się na skutek pomyłki obcy władca grany był w sposób pozbawiony odrobiny dobrego smaku przez jakiegoś Tarka. Przyznaje, że jestem nieco uprzedzony wobec tej łąkającej krwi rasy, ale i tak to, co widziałem nie może w żaden sposób zostać usprawiedliwione. Prezydent Rady światowej, który się wreszcie zjawił, został przedstawiony jako Amerykanin.

Pod koniec tej sceny znajdowałem się w nie najlepszym nastroju. Sądzę, że nie doszedłem jeszcze zupełnie do siebie po trudach podróży, a ponieważ cały dzień spędziłem na dość w sumie meczących wędrówkach wśród ruin Milczącego Miasta, byłem w takim stanie ducha, w którym nawet najmniejsze poirytowanie odbiera się jako śmiertelną obrazę. Siedzący obok mnie starzec wyczuł moje niezadowolenie, ale źle odgadł jego przyczynę, bowiem zaczął przeproszać mnie za podłą kondycję amerykańskiej sceny, mówiąc, że wszyscy utalentowani aktorzy emigrują, gdy tylko uda im się zdobyć większy rozgłos, zaś wracają dopiero wówczas, kiedy nie powiedzie im się po drugiej stronie Atlantyku.

- Nie, nie - zaprzeczyłem. - Kreton i dziewczyna są bardzo dobrzy, a reszta obsady co najmniej przyzwoita.

Mogło się wydawać, że w ogóle mnie nie usłyszał.

- Biorą ich, skąd tylko mogą. Najważniejsza jest twarz. Wystarczy, że wystąpią w trzech przedstawieniach i już uważają się za aktorów. W Smithsonian Institute (już chyba wspominałem, że tam pracuje?), mamy taśmy z prawdziwymi mistrzami: Laurence Olivier, Orson Welles,

Katharine Cornell. Spelding jest fryzjerem, a w każdym razie nim był. Ustawiał krzeselko pod starym pomnikiem Kennedyego i golił przechodniów. Ellen jest ulicznicą, Powers woźnicą, a ten kulawy Kreton jeszcze niedawno naganiał marynarzy do wesołego domku przy Portland Street. Jego pogarda dla własnej kultury narodowej nieco mnie zażenowała, chociaż jednocześnie wprowadziła mnie w lepszy nastrój. (Zauważyłem, że te dwa doznania często są ze sobą połączone - być może w głębi duszy czuje się upokorzony faktem, że ludzie nie mający żadnego znaczenia mogą wpłynąć na stan mego ducha zaledwie kilkoma słowami lub jakimś nieistotnym czynem).

Opuściłem go i poszedłem do znajdującego się w holu straganu ze słodkościami. Amerykanie mają bardzo sympatyczny zwyczaj wykonywania z marcepanu kopii nakrapianych jaj dzikiego ptactwa. Kupiłem całe ich pudełko, nie tylko dlatego, że sam chciałem ich spróbować, ale ponieważ byłem pewien, że będą stanowiły nie lada atrakcje dla starca, który z całą pewnością nie był dość zamożny, żeby móc sobie często pozwalać na tego rodzaju smakołyki. Okazało się, że miałem rację, bowiem zaczął je od razu ze smakiem zajadać. Ja również skosztowałem, ale zapach marcepanowego jajka okazał się tak nieprzyjemny (jakby składało się wyłącznie ze sztucznych barwników), że nie sięgnąłem już po następne.

- Mówiliśmy o pisaniu oraz o zamkniętej i otwartej krzywej - odezwał się po pewnym czasie starzec. - Nie zdążyłem powiedzieć, że obie można uzyskać w czysto mechaniczny sposób, ale monografia, nad którą właśnie pracuje, dotyczy właśnie tego problemu, a tak się składa, że akurat mam przy sobie kilka przeznaczonych do niej przykładów. Najpierw krzywa zamknięta. W czasach, kiedy nasz prezydent zaliczał się do dziesięciu najpotężniejszych ludzi na świecie - tak jak Paul Laorem, którego widzisz na scenie - podczas pełnienia swego urzędu otrzymywał każdego dnia setki listów z prośbą o przesłanie swego podpisu. Gdyby chciał te prośby spełnić, zajmowałoby mu to kilka godzin dziennie, zaś gdyby odmówił, zyskałby całe zastępy wrogów.

- Cóż więc uczynił?

- Odwołał się do nauki, a ona stworzyła maszynę, która to napisała.

Zza poły swego zniszczonego, ale czystego ubrania wyciągnął złożoną-kilkakrotnie kartkę

papieru. Rozłożywszy ją zobaczyłem, że zawierała tekst czegoś w rodzaju krótkiego przemówienia, napisany dziecięcym charakterem pisma. Usiłując przypomnieć sobie listę amerykańskich prezydentów, którą widziałem kiedyś w jakimś almanachu, zapytałem, czyja to była ręka.

- Maszyny. Natomiast to, czyją rękę imitowała jest jedną z zagadek, które usiłuje wyjaśnić.

W przyćmionym świetle niemal niemożliwością było odczytać wyblakłe pismo, ale udało mi się zidentyfikować słowo Sardynia.

- Chyba nietrudno będzie umiejscowić je w czasie, porównując jego treść ze znanymi wydarzeniami historycznymi?

Stary człowiek potrząsnął głową.

- Autorem treści jest inna maszyna, która miała za zadanie wywołać u odbiorców określony efekt psychologiczny. Wątpię, czy znajdują się tam jakiegokolwiek odniesienia do bieżących wydarzeń. Ale proszę spojrzeć tutaj. - Wyciągnął następną kartkę i rozłożył ją przede mną. Na ile mogłem stwierdzić, była zupełnie czysta. Wpatrywałem się w nią jeszcze, kiedy kurtyna poszła w górę.

W chwili, kiedy pojawił się Kreton ze swym miniaturowym samolotem, starzec wziął kolejne jajko i odwrócił się w stronę sceny. Pudełko było jeszcze w połowie pełne. Spodziewając się, że będzie miał później ochotę na jego zawartość, a także z obawy, żebym go nie upuścił rozsypując słodycze na podłodze, zamknąłem je i schowałem do bocznej kieszeni mojej marynarki.

Efekty specjalne towarzyszące lądowaniu drugiego statku kosmicznego zostały przygotowane bardzo starannie, ale w trzecim akcie było jeszcze coś, co sprawiło mi nie mniej satysfakcji, niż scena z kotem w akcie drugim. Otóż wykorzystano chwyt sceniczny znany u nas pod nazwą

"złotogłowi Periego", tak już wyeksploatowany, że możliwy do zaakceptowania jedynie pod warunkiem zastosowania w zupełnie nowy, świeży sposób. John - kochanek Ellen - znajduje

chusteczkę Kretom i poczuwszy zapach perfum przykłada ją do nosa. W tym samym momencie

podświetlana ściana, którą wykorzystano w drugim akcie, rozjaśnia się, aby graficznie (a według mnie wręcz pornograficznie) zaprezentować pragnienia i pożądania Ellen, zdradzając tym samym

publiczności, że John posiadał na tę krótką chwilę telepatyczne zdolności Kretona, o którym

wszyscy zdążyli już zapomnieć.

Chwył ten okazał się nadzwyczaj przekonujący, utwierdzając mnie w przekonaniu, że w żadnym wypadku nie zmarnowałem tego wieczoru. Przyłączyłem się do powszechnej owacji, jaka wybuchła, gdy aktorzy wyszli przed kurtynę. Potem, kiedy zabierałem się już do wyjścia, zauważyłem, że mój sąsiad sprawia wrażenie bardzo chorego. Zapytałem go, czy nic mu nie jest, a on wyznał mi ze smutkiem, że chyba zjadł zbyt dużo i podziękował mi za moją troskliwość. To, że zdobył się na to w takiej chwili świadczyło o jego naprawdę dobrych manierach.

Pomogłem mu wyjść z teatru, a zobaczywszy, że nie dysponuje żadnym środkiem lokomocji zaproponowałem, że odprowadzę go do domu. Podziękował mi ponownie i powiedział, że mieszka w pokoju przy muzeum.

W ten oto sposób kilkuminutowy spacer z teatru do hotelu zamienił się w trzy lub nawet czterokilometrową wędrowkę przy świetle księżyca, której większa część prowadziła zaśmieconymi ulicami opuszczonej części miasta.

Za dnia ledwo co zwróciłem uwagę na nagi szkielet autostrady. Nocą, kiedy wędrowaliśmy pod jej zrujnowanymi estakadami, zrobiła na mnie wrażenie czegoś nieprawdopodobnie starego i złowieszczego. Przyszło mi wtedy na myśl, że gdzieś na Atlantyku może znajdować się jakiś uskok czasowy, taki sam, o jakich istnieniu w kosmosie donoszą nasi astronomowie. Jak to jest, że zachodni brzeg Oceanu, choć pokryty ruinami nie mającymi nawet wieku, wydaje się o tyle starszy od naszego, nad którym unosi się jeszcze cień Dariusza? Czyż nie może być tak, że każdy statek przemierzający wody Atlantyku cofa się o dziesięć tysięcy lat?

Przez ostatnią, bezsenną godzinę zastanawiałem się, czy wprowadzić do mojego notatnika ten zapis. Jaką jednak wartość miałby dziennik podróży, gdyby nie zawierał wszystkiego, co się podczas niej wydarzyło? Przejrzę go podczas drogi powrotnej, żeby przedstawić matce i Yasmin poprawioną, wygładzoną wersję.

Wydaje się, że zajmujący się muzeum uczeni nie mają żadnych dochodów oprócz tych, jakie uzyskują ze sprzedaży wydartych przeszłości skarbów. Od kobiety, która pomogła mi położyć starca do łóżka kupiłem fiołkę czegoś, co ma być najwspanialszym dziełem nieżyjących już od



dawna chemików, którzy zajmowali się tworzeniem i produkcją środków halucynogennych. Jest ona - a właściwie, była wysokości połowy mego serdecznego palca. Niewykluczone, że zawierała tylko zwykły alkohol, chociaż zapłaciłem za nią niebagatelną cenę.

Zacząłem tego żałować jeszcze zanim stamtąd odszedłem i wcale nie przestałem po powrocie do hotelu, ale wtedy wydawało się, że jest to jedyna w swoim rodzaju okazja i nie mogłem się oprzeć, żeby podjąć wyzwanie. Po zażyciu tego środka będę już do końca życia niekwestionowanym autorytetem w tych sprawach.

Oto, co uczyniłem: nasączyłem płynem z fiołki jedno z pozostałych w pudełku, marcepanowych jajek. Płyn z pewnością szybko wyschnie, ale narkotyk - jeżeli w ogóle jakiś jest - pozostanie.

Wymieszam dokładnie jajka i codziennie, poczynając od jutrzejszego wieczoru, będę jedno zjadał.

Usiadłem do pisania jeszcze przed śniadaniem, między innymi dlatego, że nie spodziewam się, żeby obsługiwano gości tak wcześnie rano. Dzisiaj mam zamiar odwiedzić park rozciągający się po drugiej stronie kanału. Jeśli jest tam tak niebezpiecznie, jak mówią, to najprawdopodobniej już nie wrócę, żeby spisać wydarzenia dnia. Jeżeli jednak wrócę... Cóż, wtedy zastanowię się, co powinienem zrobić.

Wczoraj, chociaż byłem potwornie zmęczony, jednak nie mogłem zasnąć. Być może sprawiło to podniecenie wywołane nadspodziewanie długą drogą powrotną z teatru, ale jest faktem, że cały czas miałem przed oczami obraz Ellen. Moje wędrujące swobodnie myśli powiązały ją z marcepanowymi jajkami - wyobraziłem sobie, że jestem Kretonem i siedzę na łóżku trzymając w objęciach kota, a Ellen wnosi na tacy śniadanie, składające się z sześciu słodkich jajek

Kiedy już mój umysł przestał produkować tego rodzaju fantasmagorie, postanowiłem polecić właścicielowi, żeby sprowadził mi jakąś dziewczynę, abym mógł pozbyć się wywołanego podróżą napięcia. Wrócił po mniej więcej godzinie, spędzonej przeze mnie na lekturze, przyprowadzając aż trzy. Najpierw dał mi na nie zerknąć przez szparę w drzwiach, a potem wślizgnął się do pokoju, pozostawiając je na korytarzu. Zwróciłem mu uwagę, że prosiłem tylko o jedną.

- Wiem, Mr Jaffarzadeh, wiem. Pomyślałem tylko, że może będzie pan chciał sam wybrać.

Sądząc z tego, co udało mi się przez tę krótką chwilę zobaczyć, żadna z nich nie przypominała Ellen. Mimo to podziękowałem mu za jego zapobiegliwość i zaproponowałem, żeby wpuścił je do środka.

- Chciałem panu najpierw powiedzieć, sir, że musi mi pan pozwolić ustalić z nimi cenę. Mogę uzyskać znarownie niższą niż pan, bowiem wiedzą, że nie uda im się mnie oszukać, a poza tym liczą na to, że będę je w przyszłości polecał moim gościom. - Wymienił zupełnie nieistotną sumę.

- W porządku - skinąłem głową. - A teraz proszę je wprowadzić.

Sklonił się z uśmiechem, starając się nadać swej mizernej, szczupłej twarzy jak najbardziej miły wyraz. Patrząc na niego przypominałem sobie obraz, przedstawiający karła wezwanego przed oblicze Sulejmana.

- Przedtem jednak chciałbym pana poinformować, że gdyby zechciał pan mieć wszystkie trzy jednocześnie, może pan to zrobić, płacąc tak, jak za dwie. Gdyby zaś zainteresował się pan dwiema, może je pan mieć za półtorej ceny. Pomyślałem, że zechce pan wziąć to pod uwagę, jako że wszystkie są nadzwyczaj urocze.

- W porządku, wziąłem. Wpuść je.

- Zapale jeszcze jedną świecę - paplał bez ustanku, uwijając się po pokoju. - Przy cenie, jaką pan płaci, nie pobieram za to dodatkowej opłaty. Dziewczęta również mogę dopisać do rachunku, oczywiście jako sprzątaczkę, ma się rozumieć.

Kiedy świeca już płonęła, a on ustawił ją na oddzielającej oba łóżka szafce, otworzył drzwi i skinął na czekające dziewczyny.

- Ja już sobie pójdę - powiedział. - Proszę wybrać co się panu podoba, a resztę odesłać. - (Byłem pewien, że uczynił to z premedytacją. Spodziewał się, że nie będę mógł zdecydować się na odprawienie którejkolwiek z nich i będę musiał zagrabić za wszystkie trzy).

Postanowiłem już, że Yasmin nigdy nie może się o tym dowiedzieć. Chodzi nie tyle o tę sytuację, co o to, co potem nastąpiło. Siadłem na łóżku stojącym najbliżej drzwi, mając nadzieję zdecydować szybko, która z nich najbardziej przypominała kobietę odtwarzającą rolę Ellen. Pierwsza była zbyt niska i miała bladą, mizerną twarz. Druga, blondynka, była wysoka, ale zbyt tłusta. Trzecia, która wchodząc potknęła się w progu, do złudzenia przypominała Yasmin.

Przez kilka sekund nawet uwierzyłem, że to naprawdę ona. Nauka tak przyzwyczała nas do wymyślania i akceptowania najfantastyczniejszych teorii, tłumaczących zachodzące wokół nas wydarzenia, że nasze umysły tworzą je niemal odruchowo, bez udziału naszej świadomości.

Yasmin stęskniła się za mną, w kilka dni po moim wyjeździe zarezerwowała sobie kabinę, a może nawet zdecydowała się na podróż drogą powietrzną, mimo powszechnie znanego stanu amerykańskich lotnisk. Przybywszy tutaj zasięgnęła informacji w konsulacie i zjawiła się pod moimi drzwiami w chwili, kiedy właściciel zapalał świecę, a następnie nic o tym nie wiedząc weszła w towarzystwie sprowadzonych przez niego prostytutek.

Było to, rzecz jasna, czyste szaleństwo. Zerwałem się z miejsca i chwyciłem świecę po to tylko, żeby zobaczyć, że dziewczyna, chociaż miała duże, ciemne oczy i małą, zaokrągloną brodę Yasmin, jednak nią nie była. Pomimo kruczoczarnych włosów i delikatnych rysów bez wątplenia była

Amerykanką, a kiedy podeszła do mnie (zachęcona z pewnością zainteresowaniem, jakie jej okazałem), zobaczyłem, że podobnie jak Kreton ma sztuczną stopą.

Jak widzicie mimo wszystko wróciłem żywy z wyprawy do parku. Zanim udam się na spoczynek zjem jedno jajko, ale najpierw zdam pokrótce relację z wydarzeń dnia.

Park leży po drugiej stronie kanału, między miastem i rzeką. Drogą lądową można do niego dotrzeć jedynie od północy. Ponieważ nie uśmiechała mi się tak długa wędrówka, wynająłem małą łódź o czerwonym, postrzępionym żaglu, aby zawiozła mnie na jego południowy kraniec, zwany Hains Point. Podobno w dawnych czasach znajdowała się tam fontanna, ale teraz nic już z niej nie zostało.

Trafiliśmy na słoneczną, wiosenną pogodę i pokonywaliśmy zwawo fale bez nawet śladu potwornego kołysania, które tak dręczyło mnie na pokładzie "Księżniczki Fatimy". Siedziałem na dziobie, obserwując pyszną zieleń parku po jednej stronie kanału i ruiny starego fortu po drugiej, podczas gdy podeszły wiekiem mężczyzna zajmował się sterowaniem, a jego pięknie opalona, mniej więcej jedenastoletnia wnuczka obsługiwała żagiel.

Kiedy minęliśmy już przylądek, mężczyzna oznajmił mi, że za niewiele większą opłatą może zawieźć mnie do Arlington, gdzie znajdują się ruiny największej budowli, jaka zachowała się z

przeszłości. Podziękowałem mu, postanawiając odłożyć tę wyprawę na później. W chwilę potem przybiliśmy do brzegu w miejscu, w którym fragment betonowego nabrzeża pozostał w niemal nienaruszonym stanie.

W prawo i w lewo prowadziły pozostałości starych dróg, ja jednak nie wybrałem żadnej z nich, kierując się prosto przed siebie i w miarę możliwości w górę. Kiedyś, bez wątpienia cały ten teren służył wypoczynkowi i rozrywce, ale bardzo niewiele zachowało się z pawilonów i rzeźb, których niegdyś musiało tu być bez liku. Wszędzie dokoła widziałem niewielkie, płaskie pagórki, które kiedyś były zapewne ogródkami skalnymi, teraz pogrzebanymi pod warstwą ziemi oraz duże kałuże stojącej wody. W wielu miejscach dostrzegłem nory słynnych amerykańskich szczurów, chociaż nigdzie nie udało mi się zobaczyć samych zwierząt. Sądząc po średnicy otworów, opowieści o ich rozmiarach nie były w najmniejszym stopniu przesadzone. Do niektórych ja sam mógłbym z łatwością się zmieścić.

Dzikie psy, przed którymi ostrzegał mnie zarówno właściciel hotelu, jak i mój przewoźnik, pojawiły się po przejściu przeze mnie około kilometra. Mają one krótką sierść, najczęściej w czarne, brązowe i białe łaty. Wagę każdego z nich oceniałem na mniej więcej dwadzieścia pięć kilogramów. Dzięki swoim inteligentnym pyskom i sterczącym zabawnie uszom nie sprawiają wrażenia zbyt niebezpiecznych, ale wkrótce zauważyłem, że idą cały czas moim śladem, stopniowo zmniejszając odległość. Usiadłem na kamieniu, za plecami mając spory zbiornik wody i sporządziłem kilka ich szkiców, po czym zdecydowałem się użyć mego pistoletu. Najwyraźniej nie wiedziały, co to jest, dzięki czemu mogłem wymierzyć czerwony promień celowniczego lasera w sam środek szerokiej piersi największego osobnika, a następnie nacisnąłem spust, ustawiony na najsilniejszy impuls.

Długo jeszcze słyszałem ich żalosne wycie. Niewykluczone, że opłakiwały swego poległego przywódcę. Dwukrotnie natrafiłem na przerdzewiałe urządzenia, mogące przy tak dobrej pogodzie, jak dzisiaj, służyć niepełnosprawnym do odbywania przejażdżek po parku. Wuj Mirza zawsze

mawia, że jestem znakomitym kolorystą, ale mogłem tylko marzyć o tym, żeby oddać przesyczone zielenią cienie, którymi słońce plamiło obficie całą okolicę.

Nie spotkałem nikogo aż do chwili, kiedy dotarłem do nasypu starego, zrujnowanego mostu kolejowego. Zostałem tam otoczony przez czterech czy pięciu Amerykanów udających żebraków.

Psy, które jak się domyślam, żywią się głównie resztkami wyrzuconymi przez wodę, wyglądały znacznie dostojniej, a przede wszystkim nie kryły swoich prawdziwych zamiarów. Gdyby ci ludzie przypominali nieszczęśliwe istoty, które spotykałem w Milczącym Mieście, rzuciłbym im kilka

monet, oni jednak mieli mniej lub bardziej sprawne ciała i z pewnością mogli pracować, ale woleli trudnić się rozbojem. Powiedziałem im, że przed chwilą musiałem zabić ich rodaka (nie

wspominając, że chodzi o psa), który mnie napadł i zapytałem, gdzie mogę zgłosić ten wypadek.

Usłyszawszy to wycofali się i pozwolili mi w spokoju dokończyć spaceru, nie szczędząc mi jednak tysiąca wrogich spojrzeń. Powróciłem do hotelu bez żadnych przygód, zmęczony i bardzo

zadowolony z wyprawy.

Zjadłem jedno z jajek. Przyznaję, że niełatwo przyszło mi zmusić się do tego, żeby ugryźć

pierwszy kęs, ale mój wewnętrzny opór przypominał szklaną ścianę - w pewnym momencie po

prostu rozsypał się w pył. Jajko było przeraźliwie słodkie, lecz nie wyczułem nawet śladu żadnego innego smaku. Zobaczymy. Boję się znacznie bardziej niż w parku.

Nic się nie działo, więc poszedłem na kolacji. Zapadający zmierzch podkreślał jeszcze bardziej

karnawałowy nastrój ulicy: kolorowe światelka przed wszystkimi sklepami i dochodząca z dachów

muzyka, gdzie zamożniejsi tubylcy mieli prywatne ogrody. Do tej pory jadałem zwykle w hotelu,

ale polecono mi "dobrą", amerykańską restaurację, znajdującą się w niezbyt wielkiej odległości przy Maine Street.

Wyglądała dokładnie tak, jak mi ją opisano: goście siedzieli w niewielkich niszach na

wyściełanych ławkach. Blaty stołów, wykonane z materiału przypominającego drobnoziarnisty,

lekko porowaty sztuczny kamień, sprawiały wrażenie bardzo starych. Zamówiłem Zestaw Numer

Jeden - żółtawą zupę rybną z ciastowatym, amerykańskim chlebem, a następnie dużą bułkę z

nięsem i surowymi jarzynami, polaną obficie sosem pomidorowym. Szczerze mówiąc, niezbyt mi to smakowało, ale wydawało mi się, że powinienem skosztować więcej miejscowych potraw, niż do tej pory.

Odczuwam wielką pokusę, żeby w tym miejscu zakończyć opisywanie wydarzeń tego dnia, nawet odłożyłem już pióro, zakończywszy poprzednie zdanie i zacząłem szykować się do snu.

Jednak jaki sens ma nieuczciwe prowadzenie pamiętnika? Nikomu tego nie pokażę, najwyżej sam bidę czytał po powrocie do domu.

W drodze powrotnej do hotelu przechodziłem koło teatru. Myśl, żeby znowu zobaczyć Ellen była nie do opanowania. Kupiłem bilet i wszedłem de środka. Dopiero kiedy zająłem miejsce zorientowałem się, że zmieniono program.

Nowa sztuka nosiła tytuł "Mary Rose". Widziałem ją przed kilkoma laty w znakomitym wykonaniu angielskiego zespołu teatralnego. Uderzyło mnie wówczas, iż podobnie jak jej bohaterka, przetrwała znacznie poza swoje czasy. Amerykańska inscenizacja była równie nieautentyczna, jak tamta doskonała. Dzięki temu - czy raczej : pomimo to - okazała się bardzo interesująca.

Amerykanie mają bzika na punkcie wewnętrznych rejonów swego kraju, więc wyspa Mary Rose została przeniesiona na jedno ze znajdujących się tam, wielkich jezior. Tym samym góral Cameron zmienił się w Kanadyjczyka, granego przez niedawnego doradcę generała Powersa. Speldingowie stali się Morelandami, a Morelandowie Amerykanami. Kreton był Harrym, rzucającym nożem, rannym żołnierzem, zaś moja Ellen wcieliła się w postać Mary Rose.

Rola ta tak do niej pasowała, iż zacząłem podejrzewać, że wybrano tę sztukę specjalnie dla niej.

Jej wzrost podkreślał nadzwyczajną niedojrzałość postaci, a smukłość i delikatność bladej cery świadczyły dobitnie o tym, że wybrano ją na ofiarę bez jej wiedzy i zgody. Najważniejsza jednak była emanująca z niej aura niewinnej niesamowitości, którą potrafiła doskonale wykorzystać.

Zrozumiałem, że właśnie dzięki temu mogliśmy poprzedniego wieczoru uwierzyć w to, że statek

kosmiczny Kretona wylądował w ogródku Speldingów - Kreton pozostawał pod jej urokiem, chociaż nigdy jej nawet nie widział. Teraz pojawienia się i zniknięcia Mary Rose nosiły wszelkie znamiona wiarygodności. To, że pożądają jej tajemne moce było równie prawdopodobne jak to, że kocha ją porucznik Blake (poprzednio John Randolph).

Albo nawet bardziej. Kiedy to pojąłem, tajemnica "Mary Rose" (która po teherańskim przedstawieniu wydała mi się równie niewytłumaczalna, co banalna), ukazała mi się w całej pełni. Tymi złowieszczymi, zachłannymi duchami byliśmy my, siedzący na widowni. Jeżeli Morelandowie nie widzieli, że jedną ścianę ich wygodnego domu tworzy morze skrytych w cieniu twarzy, jeżeli Cameron nie dostrzegał, że unosimy się nad jego wyspą - cóż, sami sobie byli winni. Kiedy Mary Rose zniknęła, powinna znaleźć się wśród nas. Pod koniec drugiego aktu zacząłem się za nią rozglądać, by na początku trzeciego dostrzec ją, stojącą bez ruchu za ostatnim rzędem foteli. Siedziałem w czwartym rzędzie, ale mimo to możliwie niedostrzegalnie opuściłem swoje miejsce i zacząłem skradać się w jej kierunku przejściem między fotelami.

Spóźniłem się. Nim znalazłem się w połowie drogi, przyszła pora jej wejścia na scenę. Resztę sztuki oglądałem stojąc z tyłu sali, ale już nie wróciła.

T e g o s a m e g o w i e c z o r u . Mam kłopoty z zaśnięciem, chociaż na statku spałem każdej nocy dziewięć godzin, zapadając w sen w chwili, kiedy moja głowa dotknęła poduszki.

Prawda wygląda w ten sposób, że leżąc już w łóżku przypominałem sobie stwierdzenie starego kuratora, że wszystkie aktorki są prostytutkami. Jeśli to prawda, a nie tylko wybuch nienawiści przeciwko młodym ludziom, których ciała wciąż jeszcze są atrakcyjne, to byłem głupcem wzdychając do myśli o Mary Rose i Ellen, podczas gdy mogłem mieć ją samą.

Nazywa się Ardis Dahl - sprawdziłem w programie. Mam zamiar pójść do właściciela hotelu i poprosić go o książkę adresową.

P r z e d ś n i a d a n i e m . Poszedłem tam o drugiej w nocy, ale biuro było zamknięte. Naparłem ramieniem na drzwi i otworzyłem je bez większego kłopotu. (Zasuwa nie wchodziła w metalową obejmę, jak to jest u nas, tylko w płytkie wyżłobienie w drewnianej futrynie.) Nazwisko "Dahl"

występowało wielokrotnie, ale ponieważ książka wydana była przed ośmiu lały, nie wiązałem z tym zbyt wielkich nadziei. Po chwili zastanowienia doszedłem jednak do wniosku, że tutaj ludzie nie przeprowadzają się chyba tak często, jak u nas i że gdyby książka była już bezużyteczna, właściciel chyba by jej nie trzymał w swoim biurze. Wybrałem adres, który wydawał się znajdować najbliżej hotelu i wyruszyłem w drogę.

Ulice były zupełnie puste. Przemknęła mi myśl, że robię dokładnie to, czego jeszcze niedawno za wszelką cenę starałem się unikać, mając w pamięci wynikające z lektur ostrzeżenia. Jednak absurdem było obawiać się spotkania z rabusiami - co mieliby robić o tej porze? Stać godzinami na skrzyżowaniach wymarłych ulic?

Wszystko było skąpane w łagodnym, białym świetle okrągłego księżyca wiszącego wysoko w południowej części nieba. Gdyby nie ostra, nieprzyjemna woń, tak charakterystyczna dla amerykańskich miast, mógłbym pomyśleć, że wędruję przez ilustrację do jakiejś starej książki z bajkami lub też że jestem aktorem w dziecięcej pantomimie, tak czarowanym scenografią, że zapomniałem o istnieniu publiczności.

(Pisząc to - o czym, jeśli mam być szczery, wcale wtedy nie myślałem, a co przyszło mi do głowy dopiero teraz, kiedy siedzę przy stole - uświadomiłem sobie, że to właśnie musiało się stać z tą amerykańską dziewczyną, którą przyzwyczailem się już nazywać Ellen, a która naprawdę nazywała się Ardis. Nie potrafiłaby grać tak, jak grała, gdyby dla jakiegoś zakątka jej umysłu scena nie stała się rzeczywistością).

Kładące się u moich stóp cienie miały po sto lat, podążając wiernie tymi samymi drogami, które przemierzały już dawno temu, zanim na księżycowej twarzy pojawi się świecący szafir Nowego Tabriz. Pograżony w myślach o niej - o mojej Ellen, mojej Mary Role, mojej Ardis! - brodząc w magicznym świetle, które rządzi ruchami oceanów, znalazłem się duchem w rejonach, o których opisanie nie staram się nawet pokusić.

A potem pojawiła się myśl, że wszystkie moje doznania mogą być jedynie efektem działania narkotyku.

Jak ktoś, kto wypadł ze szczytu wieży i w locie próbuje chwycić się powietrza, usiłowałem za wszelką cenę powrócić do rzeczywistości. Zacisnąłem zęby na wewnętrznej powierzchni



policzków, aż usta wypełniły mi się krwią i uderzyłem pięścią w nieczułą ścianę najbliższego budynku. Ból ocucił mnie. Co najmniej kwadrans stałem nad rynsztokiem, plując obficie krwią i próbując zabandażować sobie dłoń podartą na pasy chusteczką. Tysiąc razy wracała myśl, jaki przedstawiałbym sobą widok, gdyby rzeczywiście udało mi się zobaczyć Ellen. Pocieszałem się myślą, że jeśli naprawdę jest prostytutką, nie będzie to dla niej miało żadnego znaczenia. Kilka dodatkowych riali rozwiązałyby problem.

Jednak w gruncie rzeczy nie stanowiło to zbyt wielkiego pocieszenia. Nawet wtedy, gdy kobieta sprzedaje swe ciało, mężczyzna pochlebia sobie mówiąc, że nie uczyniłaby tego tak ochoczo, gdyby on nie był tym, kim jest. Plując krwią gratulowałem sobie silnej, męskiej twarzy, którą tak wielu ludzi podziwiała i zastanawiałem się, jak ją będę przepraszał, jeśli podczas pocałunku pozostawia na jej ustach czerwone ślady.

Może tym co przywróciło mi w pełni świadomość był jakiś ledwie słyszalny odgłos, a może uczucie, że jestem obserwowany. Wyciągnąłem pistolet i rozejrzałem się we wszystkie strony, ale nic nie zobaczyłem.

Mimo to niepokojące uczucie pozostało. Ruszyłem w dalszą drogę. Jeśli nawet odnosiłem jeszcze wrażenie jakiejś nierealności, to nie miało ona nic wspólnego z niedawnym uniesieniem. Po kilku krokach zatrzymałem się, nasłuchując. Suchy odgłos, jakby połączonego z drapaniem grzechotania, który mi towarzyszył, także umilkł.

Zbliżałem się do miejsca, którego adres wziąłem z książki. Przyznaję, że moje myśli były pełne fantazji, w których Ellen ratowała mnie z opresji, choć bała się bardziej ode mnie, lecz ryzykowała swą urodą, by mnie ocalić. Cały czas jednak zdawałem sobie doskonale sprawę z tego, że to jedynie fantazja, mój prześladowca zaś już nie, chociaż przemknęło mi i takie podejrzenie, że jest to jakiś zmaterializowany okrucieństwo moich podświadomych obaw.

Jeszcze jedna przecznica i byłem już u celu. Dom niczym nie różnił się od tych, które stały po obu stronach ulicy: zbudowany z pozostałości po jeszcze starszych budowlach, dwupiętrowy, o masywnych drzwiach i niemal bez okien. Na parterze, sądząc ze starego szyldu, znajdowała się księgarnia, nad nią zaś pomieszczenia mieszkalne. Przeszedłem na drugą stronę ulicy, żeby mu się lepiej przyjrzeć i stanąłem, owładnięty znowu marzeniami, spoglądając na pojedynczą smugę żółtego światła, sączącą się zza zamkniętych okiennic szczytowego okna.

Narastało we mnie wrażenie, że ktoś mnie cały czas obserwuje. Mijał czas, przesypując się w klepsydrze wszechświata tak samo, jak zerodowana gleba tego kontynentu spływa wraz z jego rzekami do oceanu. Wreszcie strach i pożądanie - pożądanie do Ellem strach przed śledzącymi mnie, niewidzialnymi oczami - zmusiły mnie do podejścia do drzwi domu. Zastukałem w nie ręką pistoletu, choć zdawałem sobie sprawę, jak niewielkie mam szanse, żeby ktokolwiek otworzył mi o tej porze, ale jeszcze po kilku uderzeniach usłyszałem dobiegający ze środka odgłos powolnych kroków.

Drzwi zaskrzypiały, uchylając się na tyle, na ile pozwolił im założony łańcuch. Ujrzałem siwowłosego, całkowicie ubranego mężczyznę, trzymającego w dłoniach strzelbę o długiej lufie. Stojąca za nim kobieta uniosła wyżej dymiącą świecę, żeby mógł coś zobaczyć w ciemności. Chociaż była znacznie starsza od Ellen, a w dodatku dotknięta tak tutaj często spotykanymi deformacjami, to pewna szlachetność jej rysów, a także uroda przywiodły mi na myśl zwałony posąg, wznoszący się niegdyś na leżącej dalej na północ wyspie, a który widziałem na licznych ilustracjach.

Powiedziałem mężczyźnie, że jestem podróżnym (to akurat było zgodne z prawdą!) i że właśnie wysiadłem z łodzi w Arlington, ale nie mam gdzie się zatrzymać, i szedłem przez miasto aż tutaj, gdzie zobaczyłem palące się światło. Za nocleg i śniadanie jestem gotów zapłacić srebrnego riala (mówiąc to pokazałem im monetę). Chciałem dostać się do tego domu, żeby sprawdzić, czy Ellem rzeczywiście w nim mieszkała. Jeśli tak, to przedłużenie mego pobytu nie nastęczyłoby mi żadnych problemów.

Kobieta próbowała szepnąć coś do ucha mężczyzny, ale ten, jeśli nie liczyć zniecierpliwionego grymasu, nie zwrócił na nią żadnej uwagi.

- Nie mogę wpuścić nikogo obcego - powiedział głosem, z którego można by wywnioskować, że byłem lwem, a trzymana przez niego strzelba płonąca obręczą. - Jestem w domu sam z żoną.

- Ach, tak - odparłem. - Rozumiem pana.

- Proszę spróbować w domu za rogiem, ale niech pan nie mówi, że przysyłają pana Dahlowie

powiedział, zamykając drzwi. Ostatnie słowo podkreślił głuchy odgłos opadającej antaby.

Odwrociłem się, a potem, dzięki łasce Allacha, który zaprawdę jest litościwy, zerknąłem jeszcze raz w górę na sączący się zza okiennic strumień światła. Moją uwagę zwróciło jakieś poruszenie jeszcze wyżej, chyba tylko dlatego, że światło zachodzącego księżyca padło na dachy pod innym, niż dotychczas, kątem. Sądzę, że czająca się tam istota miała zamiar skoczyć na mnie od tyłu, ale w momencie, kiedy spotkały się nasze oczy, rzuciła się od razu w moim kierunku. W ostatniej chwili przed uderzeniem zdołałem podnieść pistolet, a potem runąłem na popękany chodnik.

Musiałem na krótko stracić przytomność. Gdyby mój oddany instynktownie strzał nie okazał się celny, nie siedziałbym dzisiaj przy stole, pisząc ten pamiętnik. Po mniej więcej minucie doszedłem do siebie na tyle, żeby zrzucić z siebie ciało napastnika wstać i rozetrzeć obolałe miejsca. Nikt nie przyszedł mi z pomocą, ale i nikt nie wypadł z żadnego z sąsiednich domów, żeby mnie dobić i ograbić. Mając u stóp martwą istotę byłem równie sam jak wtedy, gdy zatrzymałem się, żeby popatrzeć w okno domu, z którego dachu na mnie skoczyła.

Odnalazłszy pistolet i upewniwszy się, że działa, odciągnąłem ją w miejsce oświetlone blaskiem księżyca. W chwili, kiedy mignęła mi na dachu, wziąłem ją za dzikiego psa, takiego samego jak ten, którego zastrzeliłem w parku. Kiedy leżała martwa przede mną sądziłem, że jest człowiekiem.

Teraz w świetle księżyca, przekonałem się, że nie była ani jednym, ani drugim, albo obydwoma naraz. Miała lepy pysk, zaś wysokość czoła, która według antropologów najlepiej określa zdolność myślenia i posługiwania się mową, była nie większa niż u makaka. Z kolei budowa dłoni, ramion i miednicy, a także kilka brudnych szmat służących za ubranie zdawały się przemawiać za tym, że miałem jednak do czynienia z ludzką istotą. Była to samica, bowiem po obydwu stronach przedniej, spalonej części tułowia znajdowały się małe, płaskie piersi.

Przed mniej więcej dziesięcioma latami czytałem o czymś takim w "Tajemnicy zachodzącego słońca" Osmana Agi, lecz co innego czytać, a co innego znaleźć się w środku nocy na opustoszałej ulicy zrujnowanego miasta. Według relacji Osmana Agi (w którą, jak sądzę, nie uwierzył nikt poza kilkoma starymi kobietami), istoty te były w rzeczywistości ludźmi, a przynajmniej ich potomkami.

W ubiegłym stuleciu, kiedy cały kontynent dotknęła klęska głodu i w pełni ujawniły się nieodwracalne zmiany, wywołane uszkodzeniem struktury chromosomów, część z nich zaczęła jeść ludzkie mięso. Z całą pewnością na pierwszy ogień poszły ciała zmarłych z głodu, zaś ci, którzy je

spożywali gratulowali sobie zapewne pomysłu, dzięki któremu unikali działania enzymów używanych jeszcze wówczas dla przyspieszenia rozwoju rzeźnych zwierząt. Nie zdawali sobie sprawy, że w ludzkich ciałach zdążyło nagromadzić się znacznie więcej szkodliwych substancji, niż można znaleźć w ciele krótko żyjących zwierząt. Według "Tajemnicy zachodzącego słońca" oni właśnie dali początek istotom takim jak ta, którą zabiłem.

Relacja Osmana Agi spotkała się z powszechnym niedowierzaniem. Z tego, co wiem, jest on popularnym pisarzem, o którym krąży opinia, że reklamuje nadkaspjskie miejscowości wypoczynkowe w zamian za darmowy w nich pobyt oraz bierze udział w bezsensownych wyprawach - na przykład wielbłądem po pustyni, albo na słoniu przez Alpy - po to tylko, żeby spłodzić kolejne książki i lepiej sprzedać te, które już napisał. Nie słyszałem, żeby ktoś oprócz niego donosił o podobnym odkryciu. Innym podróżnikom wystarczały w zupełności zrujnowane miasta, rojące się od szcurów i zarażonych wścieklizną nietoperzy oraz szalejące w centralnej części kontynentu potworne burze pyłowe. Żałuję bardzo, że nie znalazłem jakiegoś sposobu, żeby odciąć głowę tajemniczej istoty, jestem bowiem pewien, że jej czaszka stanowiłaby dla naukowców bardzo cenną zdobycz.

Już po napisaniu poprzedniego akapitu uświadomiłem sobie, że mogę jeszcze mieć szansę zrobić to, czego zaniedbałem w nocy. Poszedłem do kuchni i za niewielką cenę zdobyłem duży, ostry nóż, który ukryłem pod marynarką.

Było jeszcze bardzo wcześnie, kiedy szedłem pustymi ulicami i przez kilka minut miałem nadzieję, że ciało będzie leżało tam, gdzie je zostawiłem. Niestety, okazało się inaczej. Zwłoki jakby zapadły się pod ziemię. Nigdzie nie mogłem dostrzec ani kropli krwi, ani choćby śladu po moim strzale, który powinien pozostać na ścianie budynku. Zaglądałem w boczne uliczki i do pojemników na śmiecie. Nic. Wreszcie wróciłem do hotelu na śniadanie, a następnie poszedłem do pokoju, gdzie teraz (jest późny ranek) układam plany na resztę dnia.

Znakomicie: nie udało mi się znaleźć Ellen wczoraj, musi mi się udać dzisiaj. Pójdę jeszcze raz na przedstawienie, ale nie zajmę swojego miejsca, tylko stanę za ostatnim rzędem siedzeń, gdzie ją ostatnio widziałem. Jeśli znowu zjawi się tam pod koniec drugiego aktu, powiem jej, jak bardzo podoba mi się na scenie i podaruję jej jakiś mały upominek. Jeżeli nie przyjdzie, wejdę za kulisy -

moje dotychczasowe doświadczenia wskazują na to, że za ćwierć riała mógłbym dostać się wszędzie, gdzie bym tylko zapragnął, ale nawet gdyby przyszło mi wybić po drodze kilka zębów, z pewnością bym się przed tym nie zawahał.

Jakimi niedorzecznymi istotami jesteśmy! Przeczytałem właśnie to, co napisałem dzisiaj rano; równie dobrze mógłbym pisać o filozoficznych spekulacjach podczas obrad Kongresu Ptaków, o życiu rodzinnym demonów z Domdadielu lub na jakikolwiek inny temat, o którym ani ja, ani ktokolwiek inny nie ma i nigdy nie będzie miał jakiegokolwiek pojęcia. O, Księgo, usłyszałaś już moje przewidywania na temat mających nastąpić wydarzeń. Pozwól mi teraz opowiedzieć, co się naprawdę zdarzyło.

Tak, jak zaplanowałem, wyszedłem na miasto, żeby kupić jakiś prezent dla Ellen. Idąc za radą właściciela hotelu skierowałem się na północ Maine Street, aż dotarłem do szerokiej alei, przebiegającej w pobliżu obelisku. Wokół podstawy tego wciąż jeszcze imponującego pomnika znajduje się działające bez przerwy targowisko. Za stragany służą kamienne bloki tworzące niegdyś górną część budowli. Jej pozostałości wznoszą się jeszcze na wysokość około stu metrów, ale mówi się, że dawniej była trzy lub nawet czterokrotnie większa. Znaczna część kamieni została rozkradziona i wykorzystana do budowy prywatnych domów.

Struktura cen w tym kraju zdaje się być pozbawiona jakiegokolwiek logiki, jeśli nie liczyć generalnej zasady, że żywność jest tania, natomiast wszystkie produkty pochodzące z importu - na przykład aparaty fotograficzne - są bardzo drogie. Podobnie tekstylia, co tłumaczy chyba, dlaczego tak wielu ludzi chodzi w łachmanach, starannie naprawianych i barwionych, żeby sprawiały wrażenie nowych. Część biżuterii jest dosyć tania, a część znacznie droższa, niż w Teheranie.

Pierścienie wykonane ze srebra lub białego złota i ozdobione pojedynczym brylantem można kupić tak tanio, że nawet zacząłem się zastanawiać, czy nie nabyć kilku jako lokaty kapitału.

Jednocześnie jednak widziałem bransolety, za które u nas nikt nie dałby więcej, jak pół riała, wycenione niemal dziesięciokrotnie drożej. Znalazłem wiele interesujących antyków, których sprzedawcy twierdzili, że zostały wydobyte spod ruin miast leżących w głębi kontynentu za cenę jednego lub kilku istnień ludzkich. Po kilku takich rozmowach byłem bliski zrozumienia, jaka była przyczyna tak wielkiego wyludnienia tego kraju.

Po długim i przyjemnym, wypełnionym wieloma ciekawymi rozmowami chodzeniu, podczas którego wydałem bardzo niewiele, wybrałem wreszcie bransoletę wykonaną ze starych monet (w tym wielu srebrnych). Rozumowałem w ten sposób, że kobiety zawsze lubią biżuterię, takie zaś świecidełko może przydać się aktorce podczas pracy nad jakąś rolą, a poza tym nawet same monety mają jakąś konkretną wartość. Nie wiem, czy się jej spodoba, o ile oczywiście w ogóle kiedykolwiek ją otrzyma. Bransoleta ciągle jeszcze spoczywa w kieszeni mojej marynarki.

Kiedy rzucony przez obelisk cień wyraźnie się wydłużył, wróciłem do hotelu, gdzie zjadłem obfity obiad, składający się z jagnięcia i ryżu, po czym udałem się do pokoju, aby przygotować się do wieczoru. Na szafce stało pudełko z pozostałymi pięcioma jajkami. Przypomniałem sobie o moim postanowieniu i wziąłem: jedno z nich. W tym samym momencie zawładnęło mną przekonanie, że demon, którego zabiłem poprzedniej nocy był jedynie wywołaną działaniem narkotyku zjawą.

Czy możliwe, żebym strzelał do powietrza? Ta myśl wydała mi się najokropniejszą z możliwych i nadal mi się taką wydaje. Byłoby jednak znacznie gorzej, gdyby działanie tego środka uczyniło widzialną - tak, jak podobno kiedyś tego oczekiwano - realną, tyle tylko, że duchową istotę. Jeśli puste pokoje, dachy i ulice są w istocie, zaludnione takimi właśnie stworzeniami, to da się teraz wytłumaczyć wiele zagadkowych zgonów i wypadków, nagłe zmiany na gorsze, które czasem dostrzegamy w innych, a oni w nas, a także narodziny ludzi stanowiących uosobienie zła.

Niedawno nazwałem to stworzenie złym duchem. Możliwe, że miałem całkowitą rację.

Jeżeli jednak narkotyk znajdował się w jajku, które zjadłem wczoraj, to to, które trzymałem teraz w ręku było zupełnie nieszkodliwe. Skoncentrowawszy się na tej myśli zmusiłem się do zjedzenia go, po czym położyłem się na łóżku, żeby czekać.

Zasnąłem na krótko i miałem sen. Pochylała się nade mną Ellen, głaszcząc mnie delikatną dłonią o długich palcach. Trwało to zaledwie chwile, ale wystarczyło, by obudzić we mnie wiarę w prorocze sny.

Jeśli mimo wszystko narkotyk znalazł się w moim organizmie dopiero teraz, to ów sen stanowił jedyny dowód jego działania. Wstałem, umyłem się i zmieniłem ubranie, spryskując moją koszulę

pamirską wodą różaną, bardzo, jak zauważyłem, cenioną przez Amerykanów. Upewniwszy się, że mam przy sobie zarówno bilet, jak i pistolet, wyruszyłem do teatru.

Grano ciągle "Mary Rose". Celowo wszedłem później na widownię (kiedy już ad kilku minut trwała rozmowa między Harrym i panią Otery) i stanąłem za ostatnim rzędem foteli jakby

uprzejmość nie pozwalała mi przeszkadzać innym w oglądaniu sztuki. Pani Otery zeszła ze sceny, a Harry wyciągnął swój nóż i ponownie nim rzucił, zaś kiedy ze sceny zniknęły mgły przeszłości,

miejsce Harry'ego zajęli Moreland i pastor, gwarzący w towarzystwie robiącej na drutach pani Moreland. Wkrótce miała pojawić się Mary Rose. Moje nadzieje, że wyjdzie na widownię, żeby

stąd oglądać początek przedstawienia, spełzły na niczym. Nie pozostawało mi nic innego, jak czekać na koniec drugiego aktu.

Zacząłem rozglądać się w poszukiwaniu wolnego miejsca, kiedy zdałem sobie sprawę z tego, że ktoś koło mnie stoi. W półmroku mogłem stwierdzić tylko tyle, że był raczej szczupły i o kilka centymetrów niższy ode mnie.

Nic nie znalazłszy cofnąłem się o krok lub dwa. Nieznajomy dotknął mego ramienia i zapytał szeptem, czy mógłbym zapalić mu papierosa. Zwróciłem już wcześniej uwagę, że tutaj palenie w teatrze było nie tylko dozwolone, ale wręcz powszechne, zaś ostatnio zawsze nosiłem zapałki, zważywszy na to, że jedyne oświetlenie mojego pokoju stanowiły świece. Blask płomienia wyłonił z ciemności wąskie oczy i wystające kości policzkowe Harry'ego, czy raczej Kretom, jak wolałem o nim myśleć. Nieco zaskoczony wymamrotałem jakąś niezgrabną uwagę na temat doskonałości jego gry aktorskiej.

- Podobało się panu? To mała rola - pojawia się na początku, żeby zacząć przedstawienie, a potem na końcu, żeby powiedzieć ludziom, że czas już iść do domu.

Kilka osób spośród publiczności zaczęło na nas groźnie zerkać, więc wycofaliśmy się do prowadzącego na widownię wejścia, teoretycznie przynajmniej należącego jeszcze do holu.

Powiedziałem mu, że widziałem go także w "Wizycie na małej planecie".

- O, to dopiero sztuka! Postać, którą gram, jest - jak z pewnością sam pan zauważył -

jednocześnie dobra i zła, łagodna, złośliwa i diabelska.

- Według mnie znakomicie udało to się panu oddać.

- Dziękuję. Wie pan, ile jest ról w tym knocie, który pan ogląda?

- No, pan, pani Otery, Mr. Amy...

- Nie, nie - powstrzymał mnie ruchem dłoni. - Mówię o rolach, które wymagają prawdziwego

kunsztu aktorskiego. Jest tylko jedna: dziewczyna. Pojawia się na scenie jako osiemnastolatka,

której mózg przestał się rozwijać, kiedy miała dziesięć lat. Do publiczności nie dociera sens połowy jej czynów, bo zanim zorientuje się, że coś z nią jest nie tak, akt już się prawie kończy.

- Ona jest wspaniała. Mówię o pannie Dahl - dodałem.

Kreton skinął głową i zaciągnął się dymem.

- Jest bardzo zdolną aktorką, chociaż byłoby lepiej, gdyby nie była tak wysoka.

- Czy sądzi pan, że może tutaj przyjść, jak pan?

- Ach... - powiedział tylko i zmierzył mnie przeciągłym spojrzeniem.

Przez chwilę mógłbym przysiąc, że telepatyczne zdolności, którymi był obdarzony w "Wizycie na małej planecie" wcale nie są fikcją. Mimo to powtórzyłem pytanie:

- Wiec jest to możliwe, czy nie?

- Nie ma powodu się denerwować... Nie, to raczej mało prawdopodobne. Czy to wystarczająca zapłata za pańską zapałkę?

- Ona znika pod koniec drugiego aktu i pojawia się na scenie dopiero przy końcu trzeciego.

Kreton uśmiechnął się.

- Czytał pan tę sztukę?

- Widziałem ją wczoraj. Łącznie z przerwą ma prawie czterdzieści minut wolnego.

- Zgadza się. Ale nie przyjdzie tutaj. Czasem to robi - tak jak ja teraz - lecz tak się akurat składa, iż wiem, że dzisiaj nie jest sama.

- Czy mogę zapytać, z kim?

- Może pan. Niewykluczone, że mogę na to pytanie odpowiedzieć. Jest pan muzułmaninem,



prawda? pije pan?

- Nie jestem aż t a k i m muzułmaninem, ale nie, nie piję. Chętnie jednak panu postawię, a sam zamówię kawę.

Wyszliśmy bocznymi drzwiami i przepchaliśmy się przez zalewający ulicę tłum. Wąskie, brudne schody zaprowadziły nas do usytuowanej w piwnicy tawerny, w której panowała atmosfera jak w prywatnym klubie. Nad barem wisiał poczerniały od dymu i kurzu obraz, przedstawiający scenę z jakiejś nieznaney mi sztuki, zaś w samym lokalu stały trzy stoliki oraz znajdowało się kilka przytulnych alkow. Wślizgnęliśmy się do jednej z nich i złożyliśmy zamówienie u barmana o zdeformowanej głowie. Chyba zbyt długo mu się przyglądałem, bowiem Kreton powiedział:

- Skręciłem nogi wychodząc z latającego spodka i dlatego teraz utykam. Czy dla niego również musimy coś takiego wymyśleć? Nie wystarczy po prostu stwierdzić, że garncarz bywa czasem w niedobrym nastroju?

- Garncarz?

*Nikt nic nie odpowiedział, dopiero Cisza rzekła*

*Słowy poskręcanyimi, sama niby z piekła:*

*Wszyscy się na mnie krzywią, bom nędznej postaci,*

*Czasem mu ręka zadrży, gdy Garncarz glinę kształci*

Potrząsnąłem głową.

- Nigdy tego nie słyszałem, ale ma pan rację: wygląda tak, jakby jego głowę ulepiono z gliny, a następnie zrzucono na ziemię, kiedy była jeszcze mokra.

- To państwo wstrząsającej brzydoty, jak z pewnością sam pan zauważył. Naszym godłem jest podobno wymarły orzeł, ale mnie się wydaje, że raczej jego upiór.

- Według mnie to bardzo piękny kraj - powiedziałem. - Choć muszę przyznać, że wielu ludzi wygląda dosyć niesamowicie. Ale są przecież ruiny i niebo, jakiego u nas nigdy nie możemy oglądać.

- W kominach naszych fabryk od dawna mieszka wiatr.

- I chyba wyszło wam to na dobre. Błękitne niebo jest znacznie lepsze od większości rzeczy, jakie produkuje się w fabrykach.

- I chyba nie wszyscy wyglądają aż tak niesamowicie - mruknął Kreton.

- Och, nie. Panna Dahl...

- Myślałem o sobie.

Zorientowałem się, że pokpiwa sobie ze mnie, ale nie dałem niczego po sobie poznać.

- Nie, nie jest pan szkaradny. Właściwie można nawet powiedzieć, że jest pan przystojny.

Niestety, panna Dahl jest nieco bardziej w moim guście.

- Może pan mówić o niej Ardis, nie będzie miała nic przeciwko temu.

Barman przyniósł Kretonowi szklanekę z zielonym płynem, a mnie filiżanki słabej, gorzkiej, amerykańskiej kawy.

- Miał mi pan powiedzieć, kto jej teraz towarzyszy.

- Za kulisami - uzupełnił z uśmiechem Kreton. - Właśnie przyszło mi na myśl, że używałem tego

wyrażenia setki razy, ale dopiero teraz nabiera ono prawdziwego sensu. Nie wydaje mi się, żebym coś panu obiecał. Powiedziałem tylko, że mogę to zrobić. Nie ma czegoś innego, co również

chciałby pan wiedzieć? Na przykład, jaki sekret kryje góra Rushmore, lub co musi pan zrobić, żeby osobiście się z nią spotkać?

- Dam panu za to dwadzieścia riali, pod warunkiem, że spotkanie przyniesie jakieś rezultaty, a pan zachowa to w ścisłej tajemnicy.

Kreton roześmiał się.

- Proszę mi wierzyć, jest znacznie bardziej prawdopodobne, że chwaliłbym się na lewo i prawo moim zarobkiem, niż utrzymywał go w tajemnicy. Zaś co do tej gwarancji - żeby jej udzielić, musiałbym chyba podzielić się tymi pieniędzmi z Ardis.

- Więc zrobi pan to?

Potrząsnął głową, ciągle się śmiejąc.

- Tylko udaje skorumpowanego, bo to pasuje do mojej twarzy. Proszę po przedstawieniu wejść

za kulisy, a ja dopilnuję, żeby spotkał pan Ardis. Przypuszczam, że jest pan bardzo bogaty, a nawet jeśli nie, to nie musimy jej o tym informować. Co pan tutaj robi?

- Studiuję waszą sztukę i architekturę.

- W swoim kraju cieszy się pan zapewne znakomitą reputacją?

- Z całą pewnością można to powiedzieć o Akhonie Mirzy Ahmaku, którego jestem uczniem. Był tutaj ponad trzydzieści lat temu, żeby zbadać znajdujące się w waszej Galerii Narodowej miniatury.

- Uczeń Akhona Mirzy Ahmaka, uczeń Akhona Mirzy Ahmaka... - wymruczał do siebie Kreton.

- To znakomicie brzmi, muszę sobie zapamiętać. Teraz jednak - zerknął na wiszący za barem stary zegar pora już wracać. Musze jeszcze poprawić charakteryzację. Zaczeka pan w teatrze, czy przyjdzie pan od tyłu? Mogę dać panu przepustka.

- Zaczekam w teatrze - odpowiedziałem, ponieważ wydawało to mi się bezpieczniejsze, a poza tym chciałem jeszcze raz zobaczyć Ellen na scenie.

- Chodźmy wiec. Mam klucz od bocznego wejścia.

Wstaliśmy, a on objął mnie ramieniem. Domyśliłem się, że gdybym próbował wyzwolić się z tego uścisku, zostałyby to odebrane jako nieuprzejmość. Czułem przez ubranie dotyk jego dłoni, zimnej niczym dłoń nieboszczyka, który przypominał mi w nieprzyjemny sposób powykręcane ręce żebraków z Milczącego Miasta.

Szliśmy w górę wąskimi schodami, kiedy pod moją marynarką poczułem delikatne dotknięcie. W pierwszej chwili pomyślałem, że dostrzegł zarys mojego pistoletu i teraz chce go dosięgnąć, żeby mnie zabić. Chwyciłem go za przegub i krzyknąłem coś - sam już nie pamiętam, co. Szamocząc się ze sobą runęliśmy ze schodów i wytoczyliśmy się na ulice.

Po kilku zaledwie sekundach stanowiliśmy centrum dużego zbiegowiska; część ludzi brała jego stronę, część moją, a większość po prostu zachęcała nas do walki lub dopytywała się, co się stało.

Mój szkicownik, który Kreton wziął zapewne za portfel z pieniędzmi, wypadł mi z kieszeni na

ziemie. Właśnie wtedy pojawiła się policja - nie w latających pojazdach, jak u nas, lecz na grzbietach kosmatych, niezgrabnych koni. Po kilku uderzeniach długich biczów tłum rozstał się, a oni dopadli Kretona i błyskawicznie powalili go na ziemię. Przyszło mi na myśl, jak straszną rzeczą jest być jednym z tych ludzi, których własna policja bez wahania bierze stronę zamożnie ubranego cudzoziemca.

Zapytali mnie, co się stało (jeden z nich dla okazania szacunku zsiadł nawet ze swego wierzchowca). Powiedziałem, że Kreton usiłował mnie ograbić, ale ja nie wnoszę przeciwko niemu żadnego oskarżenia. Widząc go leżącego bez przytomności z krwawą pręgą na policzku poczułem, jak ulatują resztki odrazy, jaką mógłbym do niego czuć. Powodowany litością chętnie dałbym mu nawet tych kilka riali, które miałem przy sobie. Odpowiedzieli mi, że skoro mnie napadł, musi stanąć przed sądem i że jeśli ja go nie oskarżę, to oni sami to zrobią.

Wyjaśniłem im wówczas, że Kreton jest moim przyjacielem i że zastanowiwszy się doszedłem do przekonania, iż rzekomy napad miał być niewinnym żartem (w uprawdopodobnieniu tego tłumaczenia przeszkadzała mi nieznamość jego prawdziwego imienia i nazwiska, które co prawda przeczytałem w programie, ale zaraz potem zapomniałem; cały czas mówiłem o nim "ten biedak").

- Nie możemy zostawić go na ulicy - powiedział wreszcie policjant. - Jak to będzie wyglądało, jeżeli nie wpłynie żadna skarga?

Zrozumiałem wówczas, iż obawia się reakcji swoich przełożonych, kiedy ci dowiedzą się, że pobito do nieprzytomności człowieka, przeciwko któremu nikt nie wniósł żadnego oskarżenia, oraz że jeśli ja tego nie zrobię, to zarzuty, które oni mu przedstawią będą o wiele cięższe - kto wie, czy nawet nie o napad z bronią w rękę i usiłowanie morderstwa. Po namyśle podpisałem notatkę, w której dowódca patrolu stwierdzał próbę dokonania kradzieży mego szkicownika.

Kiedy wreszcie odjechali, wioząc nieszczęsnego Kretona przewieszzonego przez siodło, spróbowałem dostać się ponownie do teatru. Boczne drzwi były zamknięte, podobnie jak kasa, chociaż chętnie zapłaciłbym za jeszcze jeden bilet. Widząc, że nic nie zdziałam, wróciłem do hotelu, mówiąc sobie w duchu, iż na moje spotkanie z Ellen, jeżeli miało ono w ogóle kiedykolwiek nastąpić, będę musiał poczekać jeszcze jeden dzień.

Jakże słusznie powiada się, że ścieżki, którymi kroczymy, niemal zawsze prowadzą nas z powrotem w to samo miejsce. Zapisując tych kilka stron udało mi się ukryć moją radość, chociaż kiedy relacjonowałem chwile oczekiwania na Ardis na zapleczu teatru, a następnie obietnicę Kretom, że pomoże mi się z nią spotkać, musiałem na kilka minut odłożyć pióro, a sam chodziłem dokoła pokoju, śpiewając i pogwizdując, a nawet - żeby już niczego nie ukrywać - skacząc przez łóżka. Teraz jednak już nie mogę. Widziałem ją! Dotykałem jej ręki! Spotkam się z nią jutro i wszystko wskazuje na to, że zostanie moją kochanką!

Rozebrałem się i położyłem do łóżka (mając zamiar rano uzupełnić mój dziennik) i nawet zapadłem już w pierwszą drzemkę, kiedy obudziło mnie pukanie do drzwi. Założyłem szlafrok i otworzyłem zamek.

Była to jedyna, jak do tej pory, chwila w moim życiu, kiedy sądziłem, że śnię, chociaż w rzeczywistości byłem zupełnie przytomny.

Jakże niewiele znaczą słowa, że naprawdę jest jeszcze piękniejsza, niż na scenie. To prawda, choć jednocześnie nie ma to żadnego znaczenia. Widziałem wiele piękniejszych kobiet - na przykład urodę Yasmin należałoby, według ogólnie przyjętych standardów, ocenić znacznie wyżej - ale to nie uroda Ardis tak bardzo mnie pociąga: złociste włosy, półprzezroczysta skóra ze śladami błękitnego makijażu, który na scenie miał ją upodobnić do ducha, czy błyszczące oczy, przypominające czyste niebo Ameryki. Jest jeszcze coś więcej, co zostanie nawet wtedy, gdyby to wszystko zniknęło. Bez wątpienia pewne jej maniery u kogoś innego bardzo by mnie raziły, podobnie jak próżność, stanowiąca podobno nieodłączną cechę jej zawodu, a mimo to uczyniłbym wszystko, żeby ją zdobyć.

Dość już. Jakież znaczenie może mieć próżna gadanina, kiedy oto tak niewiele dzieli mnie od celu? Stała we własnej osobie w drzwiach mojego pokoju. Zastanawiam się, jak mógłbym wyrazić uczucie, które mnie wówczas opanowało. Było to tak, jakby jakiś wybijały kwiat, na przykład lilia; opuścił ogród i przyszedł pod moje drzwi - coś, co nie zdarzyło się nigdy dotąd i nigdy już nie miało się powtórzyć. - Czy pan jest Nadan Jaffarzadeh?

Odpowiedziałem twierdząco, a następnie, zaczerwieniony niczym sztubak i o dwadzieścia sekund za późno, cofnąłem się, zapraszając ją do środka.

Weszła, ale zamiast usiąść na krześle, które jej podsunąłem, odwróciła się do mnie i zaczęła mi się przyglądać: Jej błękitne oczy, wypełnione malejącą z każdą chwilą nadzieją, wydawały się dorównywać wielkością marcepanowym jajkom.

- Więc to pan jest tym człowiekiem, którego próbował dzisiaj obrabować Bobby O'Keene.

Skinąłem głową.

- Znam pana. To znaczy, znam pańską twarz. To niesamowite. Był pan ze swoim ojcem na

"Wizycie", a potem na "Mary Rose" i siedział pan w trzecim lub czwartym rzędzie. Sądziłam, że jest pan Amerykaninem, a kiedy na policji powiedzieli mi pańskie nazwisko wyobraziłam sobie

jakiegoś obrzydliwego grubasa. Dlaczego Bobby chciał okraść właśnie pana?

- Może potrzebował pieniędzy?

Odrzuciła w tył głowę i roześmiała się głośno. Słyszałem już ten śmiech w "Mary Rose", kiedy Simon poprosił jej ojca o jej rękę, ale wówczas było w nim coś dziecinnego, co (choć pasowało do roli), odebrało mu jednak część uroku. Ten śmiech kojarzył się z rozbawioną hurysą, zsuwającą się po łuku tęczy.

- Jestem tego pewna. On zawsze potrzebuje pieniędzy. Czy jest pan jednak pewien, że właśnie o pana mu chodziło? Czy na przykład nie...

Spojrzała w moją twarz i nie dokończyła pytania. Czuję się zawiedziony, nie mogąc spełnić jej oczekiwań.

- Jeżeli chcesz, Ardis, żebym się mylił - powiedziałem - to dobrze, myliłem się. On tylko potrafił mnie na schodach i próbował podnieść szkicownik, który mi wypadł z kieszeni.

Uśmiechnęła się uśmiechem słońca świecącego nad klombami róż.

- Naprawdę zrobiłby pan to dla mnie? I zna pan moje imię?

- Z programu. Przyszedłem do teatru po to, żeby cię zobaczyć, a ten człowiek, który był ze mną, to nie mój ojciec, bo ten od dawna nie żyje, tylko stary Amerykanin, którego przypadkiem spotkałem.

- Przyniósł mu pan jedzenie podczas przerwy. Widziałam to przez dziurę w kurtynie. Musi pan być bardzo troskliwą osobą.

- Czy wszystkim przyglądasz się z taką uwagą?

Okryła się rumieńcem i przez chwilę unikała mojego spojrzenia.

- Przebaczy pan Bobbyemu i powie policji, żeby go wypuścili? Z pewnością kocha pan teatr, panie Jef... Jaf...

- Zdążyłaś już zapomnieć moje nazwisko. Jaffarzadeh, bardzo popularne w mojej ojczyźnie.

- Nie zapomniałam go, tylko nie byłam pewna, jak się je wymawia. Idąc tutaj nauczyłam się go nie wiedząc, kim pan jest, i nie miałam z nim żadnych kłopotów. Teraz jest pan dla mnie rzeczywistą osobą i nie potrafię powtórzyć go tak, jak powinna to zrobić aktorka.

Chyba dopiero teraz zauważyła stojące za nią krzesło i usiadła.

Zająłem miejsce dokładnie naprzeciw niej.

- Obawiam się, że niewiele wiem o teatrze.

- Staramy się utrzymać go przy życiu, panie Jaffar, ale...

- Jaffarzadeh. Mów do mnie Nadan, nie będziesz musiała potykać się po drodze o tyle sylab.

Wzięła moją dłoń w swoje, a ja wiedziałem doskonale, że był to dokładnie wystudiowany gest i że ona myślała, iż bawi się ze mną jak kot z myszką, ale mimo to ogarnęła mnie niewysłowiona rozkosz. O n a się ze mną bawi ! O n a stara się, żeby mnie sobą zainteresować! Zaczekaj, mysz może się jeszcze okazać groźniejsza od kota!

- Dobrze, Nadan. Może i nie wiesz zbyt dużo o teatrze, ale czujesz jak ja, jak my, bo inaczej byś nie przyszedł. To była taka długa walka - cała historia teatru jest walką, walką o oddech pięknego dziecka, któremu zaraz po urodzeniu grozi śmierć. Moraliści, cenzorzy, ucisk, technika, a teraz wreszcie nędza wszyscy próbowali je zabić. Tylko my, aktorzy i publiczność, utrzymujemy je przy życiu. Tutaj, w Waszyngtonie, nawet się nam to udało.

- Istotnie - potwierdziłem. - Obydwie inscenizacje, które widziałem, były na bardzo dobrym poziomie.

- Ale to dopiero od dwóch sezonów. Kiedy przyszedłam do zespołu, znajdował się w przededniu

rozpadu. Mnie, Bobby'emu i Paulowi udało się go ożywić. Udało się, gdyż bardzo się staraliśmy i ponieważ udało nam się znaleźć kilkoro naprawdę utalentowanych ludzi. Bobby jest z nas

najlepszy. Potrafi poradzić sobie z każdą rolą, która wymaga groźnego, złowieszczego ...

Zabrakło jej oddechu, więc wykorzystałem okazję, żeby się wtrącić. - Nie sądzi, żebyśmy mieli mieć jakieś kłopoty z jego uwolnieniem.

- Dzięki Bogu. Powoli znowu stawiamy teatr na nogi. Interesuje się nami coraz więcej osób, a nawet udało nam się zdobyć stałą publiczność: ludzi, którzy przychodzą na każdą premierę.

Zaczynamy przynosić pewien dochód. "Mary Rose" ma iść jeszcze przez dwa tygodnie, a potem robimy "Fausta" z Bobbym jako Mefistofešem. Nie mamy nikogo, kto mógłby go zastąpić.

- Jestem pewien, że go wypuszczą, kiedy o to poproszę.

- Muszą to zrobić. On m u s i być jutro wieczorem w teatrze. Bill - nie znasz go - próbował go dziś zastąpić w trzecim akcie. To było okropne. Słyszałam, że wy w Iranie jesteście bardzo uprzejmi.

- W każdym razie lubimy tak o sobie myśleć.

- My nie. Nigdy nie byliśmy, a teraz, kiedy ...

Nie dokończyła, ale machnięcie szczupłej dłoni było aż nazbyt wymowne - podrapana ściana stała się nagle przezroczysta, ukazując zniszczone miasto i zrujnowany kontynent.

- Rozumiem - skinąłem głową.

- Oni ... My ... Zostaliśmy zdradzeni. W głębi duszy nigdy nie byliśmy pewni, przez kogo. Jeśli czujemy się oszukiwani, jesteśmy gotowi zabijać, a czujemy się oszukiwani niemal cały czas.

Opadła głębiej na krzesło, a ja dopiero teraz uświadomiłem sobie, choć powinienem był znacznie wcześniej, jak bardzo musi być wyczerpana. Brała udział w przedstawieniu, które zakończyło się katastrofą, potem musiała błagać, żeby policja podała jej moje nazwisko i adres, a wreszcie przyszła tutaj na piechotę z posterunku. Zapytałem, kiedy będę mógł zacząć się starać o zwolnienie

O'Keene'a.

- Jeśli chcesz, możemy tam pójść jutro rano.



- Czy ty też pójdziesz?

Kiwnęła głową, po czym wygładziła spódniczkę i wstała.

- Muszę wiedzieć, jak się to potoczy. Przyjdę po ciebie o dziewiątej, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

- Gdybyś zaczekała, aż się przebiorę, mógłbym odprowadzić cię do domu.

- Nie trzeba.

- To zajmie tylko chwilę.

Jej błękitne oczy spojrzały na mnie błagalnie.

- Wiem, co myślisz: że wejdiesz ze mną do mojego domu. Masz tutaj dwa łóżka-większe i czystsze, niż moje. Czy odprowadzisz mnie później, gdybym teraz poprosiła cię, żebyś je zsunął?

Czułem się tak, jakbym śnił sen, w którym spełniają się wszystkie moje marzenia.

- Nie musisz odchodzić - powiedziałem. - Możesz spędzić ze mną całą noc. Rano zjemy razem śniadanie i pójdziemy uwolnić twojego przyjaciela.

Roześmiała się ponownie, przekrzywiając swoją kształtną głowę.

- Potrzebuję wielu rzeczy, które mam u siebie w domu. Sądysz, że zesłabym z tobą na śniadanie bez makijażu i w tym brudnym ubraniu?

- W takim razie odprowadzę cię, choćbyś nawet mieszkała na Górze Kaf.

- Ubieraj się więc. Zaczekam na zewnątrz, a potem pokażę ci moje mieszkanie. Możliwe, że nie będziesz chciał więcej tam przychodzić.

Wyszła, stukając drewnianymi podeszwami swoich butów po nagiej podłodze, ja zaś zacząłem w niebywałym pośpiechu zakładać spodnie, koszulę i marynarkę, by na końcu wskoczyć w buty.

Kiedy otworzyłem drzwi, już jej nie było. Popędziłem do znajdującego się na końcu korytarza okna i zdążyłem jeszcze zobaczyć, jak znika za zakrętem ulicy. Nocny wiatr zatargał jeszcze raz materiałem jej spódnicy, a potem wchłonęła ją aksamitna ciemność.

Przez dłuższy czas stałem bez ruchu, spoglądając na rozpadające się budynki. Nie byłem zły - chyba nie potrafiłbym się na nią złościć. Trudno mi to dokładnie określić, ale wydaje mi się, że

odczuwałem coś w rodzaju zadowolenia. Nie dlatego, że obawiałem się miłosnych uścisków - jestem pewien, że mogę zadowolić każdą kobietę, która jest zdolna do współżycia z mężczyzną - lecz dlatego, że szybka i łatwa wymiana mojej chęci współdziałania w zamian za jej ciało nie zaspokoiłaby tkwiącego we mnie, romantycznego głodu przygody, w której miłość i niebezpieczeństwo splecione są z sobą niczym kopulujące węże. Moja Ardis, moja Ellen z pewnością była w stanie ten głód zaspokoić, czego nie mógłbym już powiedzieć ani o Yasmin, ani tym bardziej o jej żalonym sobowtórze. Czuję, że dla mnie świat rodzi się dopiero teraz, że ja się radzę, że wąski korytarz to drogi rodne, zaś Ardis opuszczając mnie tym mocniej mnie do siebie pociągnęła.

Kiedy wróciłem do pokoju, na podłodze przed drzwiami zauważyłem jakiś skrawek papieru.

Powtórzę teraz dokładnie to, co było na nim napisane, ale nie jestem w stanie oddać zapachu lilii, którym był przesączony.

Jesteś nadzwyczaj atrakcyjnym mężczyzną i bardzo bym chciała powiedzieć ci, jak jest naprawdę, to uczę, że możesz mnie mieć, kiedy Bobby znajdzie się na wolności, ale że ci się nie sprzedam, itd. W rzeczywistości sprzedałabym ci się w zamian za Bobby'ego, ale mam już dzisiaj inne zobowiązania. Zobaczymy się rano i jeśli uda ci się wydostać Bobby'ego, lub nawet jeżeli będziesz się mocno starać to z pewnością spotka cię nagroda w postaci (prawdziwej) miłości usychającej

Mary Rose

R a n o . Obudziłem się wcześniej i jak zwykle zjadłem śniadanie w hotelu, kończąc około ósmej.

Dzięki temu dziennikowi mam się czym zająć, czekając na przyście Ardis. Dzisiaj po raz pierwszy zaryzykowałem amerykańskie śniadanie: słodkie, chrupiące płatki z mlekiem, a do tego strudel i obowiązkowa kawa. Większość tubylców zamówiła szynkę w takiej czy innej postaci, ale tego raczej nie odważę się skosztować. Niektórzy jedli jednak najróżniejsze potrawy z jaj z dodatkiem ogrzanego w piecu chleba i chyba na to właśnie zdecyduje się jutro rano.

W nocy miałem bardzo nieprzyjemny sen, o którym cały czas staram się zapomnieć. Było ciemno, a ja wraz z Ardis szedłem po jakimś terenie o wiele bardziej nierównym, niż widziałem to

nawet w parku po drugiej stronie kanału. Ściagała nas, a raczej śledziła, istota podobna do tej, którą zastrzeliłem poprzedniej nocy - jej sylwetka pokazywała się na tle nocnego nieba to z naszej lewej, to znów z prawej strony. Za każdym razem Ardis chwytala mnie za ramie i szeptała, żebym strzelał, ale czerwone światelko w moim pistolecie świadczyło o tym, że ładunek jest już niemal

wyczerpany. Głupi sen, niemniej jednak przy pierwszej okazji, jaka mi się nadarzy, kupie nowy magazynek.

Jest późne popołudnie - minęła już szósta - a my jeszcze nie jedliśmy obiadu. Właśnie

wyszedłem z wanny i siedzę przy stole, na którym obok tego zeszytu leży kolejne, marcepanowe

jajko (jest chyba jeszcze bardziej różowe, niż ja w tej chwili). Mamy za sobą bardzo męczący dzień, więc przyszedłem tutaj, żeby się odświeżyć i przebrać. O siódmej mamy się spotkać na obiedzie.

Kurtyna idzie w górę o ósmej, więc nie będziemy mieli zbyt wiele czasu, ale potem pójdę z nią do teatru, gdzie będę obserwował przedstawienie zza kulis, mając okazję porozmawiać z nią w

przerwach między wyjściami na scenę.

Właśnie ugryzłem kawałek jajka - żadnego dodatkowego smaku, nic oprócz nieprzyjemnej

słodyczy. Im dłużej o tym myślę, tym większego nabieram przekonania, że narkotyk musiał

znajdować się w pierwszym jajku. Bez wątpienia potwór, którego ujrzałem, mieszkał w mojej

podświadomości od chwili, kiedy przeczytałem książkę Osmana Agi, zaś narkotyk jedynie go

ożywił. To prawda, na moim ubraniu znajdowały się plamy krwi, ale równie dobrze mogły

pochodzić z policzka, który boli mnie zresztą do tej pory. Przeżyłem już to, co miałem przeżyć i pozostały mi tylko zwyczajne cukierki. Kusi mnie, żeby resztę po prostu wyrzucić. Jeszcze jeden kęs.

Mam jeszcze dwadzieścia minut do chwili, kiedy będę musiał zacząć się ubierać, żeby wyjść po

Ardis. Pokazała mi, gdzie mieszka - zaledwie kilkanaście metrów od teatru. W takim razie, do

pracy.

Rano Ardis nieco się spóźniła, niemniej jednak przyszła, tak jak obiecała. Kiedy dowiedziałem

się, dokąd musimy się udać, żeby uwolnić Kretom - do wciąż jeszcze żyjącego budynku na

wschodnich krańcach Milczącego Miasta - wynająłem jeden z rozklekotanych powozów, żeby nas

tam zawiózł. Podobnie jak wszystkie inne ciągnięty był przez zagłodzonego niemal na śmierć

konia, ale i tak zaoszczędziliśmy sporo czasu.

Amerykańska policja jest zorganizowana według przedziwnego systemu. Najważniejsza jest ogólnonarodowa tajna policja (Federalne Oddziały Śledczej, która ma prawo kontrolować i zmieniać decyzje miejscowych władz, awansować i degradować ich funkcjonariuszy, a także wcielać ich w swoje szeregi. Oprócz tego ma ona także własne oddziały mundurowe, więc w razie aresztowania przyjaciele osoby, którą to spotkało najczęściej nie wiedzą, czy dokonały tego Federalne Oddziały Śledcze, miejscowa policja, czy też przebrani w mundury tajniacy z F.O.Ś. Nic wcześniej nie wiedząc o tych podziałach nie miałem pojęcia, kto właściwie zatrzymał O'Keene'a, ale miejscowa policja, z którą Ardis rozmawiała poprzedniego dnia dała jej do zrozumienia, że znajduje się on w ich rękach. Wyjaśniła mi to wszystko podczas drogi, a potem powiedziała, że jedziemy do siedziby F.O.Ś., żeby załatwić jego zwolnienie. W tym momencie moja całkowita dezorientacja musiała jakoś odbić się na mojej twarzy, bowiem pospiesznie dodała:

- To także siedziba policji waszyngtońskiej. Po prostu wynajmują od tamtych część budynku.

Wrażenie, jakie odniosłem po przybyciu na miejsce było takie, że wszystko tam tak się ma do rzeczywistości jak dekoracje w teatrze, zaś każda z osób, z którymi rozmawialiśmy należy do tajnej policji i stara się dziesięciokrotnie powiększyć własną ważność, odprawiając z namaszczeniem rytuał oszustwa i ogłupiania. Kiedy tak wędrowaliśmy z biura do biura, tłumacząc każdemu, dlaczego i po co przyszliśmy, doszedłem do wniosku, że Ardis myśli podobnie jak ja i że nie podzieliła się ze mną w powozie tymi podejrzeniami nie tylko z obawy przed woźnicą lub przede mną, lecz dlatego, że wstydziła się za swój naród i pragnęła wpoić we mnie, cudzoziemca, przekonanie, iż jej rząd nie jest tak nieszczerzy i kłamliwy w swoich intencjach, jak to jest w istocie. Jeżeli tak naprawdę było (a w ponurych, bezokiennych wnętrzach nabrałem takiego właśnie przekonania), to wyjaśnienia, których udzieliła mi w powozie, przeprowadzając ściśle określoną linię podziału między miejscową policją, umundurowanymi oddziałami F.O.S. i tajniakami, miały wartość dziecięcej opowiadki, kryjąc prawdę znacznie mniej oczywistą i z pewnością bardziej

zagnatwaną.

Wypytyjący nas ludzie byli w stosunku do mnie bardzo grzeczni (wobec Ardis już zdecydowanie mniej) i, jak mi się wydaje, opanowani przez obsesyjną myśl, że za tym nieskomplikowanym przecież incydem kryje się coś więcej. W końcu udało im się doprowadzić do tego, że ja sam niemal w to uwierzyłem. Nie mam czasu ani cierpliwości, żeby opisywać wszystkie te rozmowy, ale postaram się pokazać, jak wyglądała jedna z nich.

Weszliśmy do małego, pozbawionego okien biura, wciśniętego między dwa identyczne, w tej akurat chwili zupełnie puste. Za metalowym biurkiem siedziała kobieta w średnim wieku.

Wydawała się zupełnie normalna i nawet w pewnym sensie atrakcyjna, ale tylko do chwili, kiedy przemówiła - szkaradnie pokiereszowane dziąsła zdradziły, że kiedyś musiała mieć znacznie więcej zębów, niż to się normalnie spotyka - przypuszczam, że co najmniej czterdzieści lub pięćdziesiąt w każdej szczere - oraz że dentysta, który usuwał te nadprogramowe nie w każdym przypadku wybierał akurat te, które wybrać powinien.

- Co słyhać na zewnątrz? - zapytała. - Jaka pogoda? Rozumiecie, siedzę tu cały dzień i o niczym nie wiem.

- Jest bardzo ładnie - powiedziała Ardis.

- Podoba się panu tutaj, Hadzi? Przyjemnie się panu mieszka w naszym wielkim kraju? - Od chwili, kiedy tu przybyłem, jeszcze ani razu nie padało.

Zdaje się, że odebrała to jako ukryty zarzut. - Obawiam się, że przyjechał pan już po porze najobfitszych deszczów. Ale to i tak bardzo żyzne tereny. Na niektórych z naszych najstarszych monet znajdują się kłosa zboża. Widział je pan? - Położyła na blacie biurka małą, miedzianą monetę, a ja udałem, że jej się dokładnie przyglądam. Jedna lub dwie tego rodzaju znajdują się w bransolecie, którą kupiłem dla Ardis i której nie miałem jeszcze okazji jej wręczyć.

- W imieniu władz muszę serdecznie pana przeprosić za to, co go tutaj spotkało - ciągnęła kobieta. Dokładamy wszelkich starań w celu ograniczenia-liczby przestępstw. Mam nadzieję, że wcześniej nie przydarzyło się panu nic w tym rodzaju?

Na pół uduszony pokręciłem przecząco głową.

- A teraz jest pan tutaj - przełożyła kilka kartek papieru, udając, że czyta coś z jednej z nich - żeby uzyskać zwolnienie dla złodzieja, który usiłował pana obrabować. Wspaniały przykład wielkoduszności. Czy mogę zapytać, dlaczego przyprowadził pan ze sobą tę młodą kobietę? Jej nazwisko nie zostało wymienione w żadnym z raportów, które mi dostarczono.

Wyjaśniłem, że Ardis pracuje z O'Keene'em i że to właśnie ona wstawiła się za nim.

- A więc to pani, panno Dahl, jest najbardziej zainteresowana zwolnieniem aresztowanego. Czy to pani krewny?

I tak dalej, i tak dalej.

Na zakończenie rozmowy dowiadaliśmy się nieodmiennie, że albo ta sprawa nie mieściła się w kompetencjach osoby, która wypytywała nas przez ostatnie pół godziny, albo że musimy uzyskać najpierw zgodę kogoś innego, albo że trzeba złożyć jakiś specjalny formularz. Około drugiej po południu skierowano nas do zakładu karnego na drugą stronę rzeki (która, według mojego przewodnika, należy do zupełnie innej jednostki administracyjnej). Tam kazano nam szukać Kretona wśród co najmniej pięciuset nieszczęsnych więźniów - nie muszę dodawać, że wszyscy cuchnęli i mieli wszy. Nie znalazłszy go, wróciliśmy do budynku F.O.Ś. na kolejną rundę nie kończących się rozmów. O piątej, kiedy kazano nam odejść, byliśmy już skrajnie wyczerpani, chociaż Ardis zdawała się być pełną zupełnie niezrozumiałej nadziei. Kiedy pożegnałem się z nią przed kilku minutami pod drzwiami jej domu, zapytałem, jak sobie dadzą dzisiaj rade bez Kretona.

- To znaczy, bez Harry'ego - poprawiła mnie z uśmiechem. - Cóż, najlepiej, jak tylko będziemy mogli.

Teraz przynajmniej nie będzie to dla nas takim zaskoczeniem.

Zobaczymy, jak im to się uda.

Przynajmniej dziesięć razy brałem pióro do ręki, żeby zaraz położyć je z powrotem na stole.

Wszystko przemawia za tym, że powinienem zniszczyć ten dziennik, zamiast go kontynuować, ale

znalazłem kryjówkę, gdzie, mam nadzieję, będzie zupełnie bezpieczny.

Kiedy wieczorem wróciłem z mieszkania Ardis, znalazłem w pudełku tylko dwa jajka, a jestem pewien, że kiedy wychodziłem były jeszcze trzy. Jestem również pewien, że położyłem dziennik po lewej stronie szuflady, a nie po prawej, gdzie go zastałem.

Możliwe, że stało się tak za sprawą sprzątaczkę - mogła przecież uznać, że nie zauważa braku jednego cukierka, a notatnik przełożyć przy wycieraniu kurzu, lub też zajrzawszy do niego przez ciekawość. Ja jednak obawiam się czegoś znacznie gorszego. Wysłany tutaj agent mógł mieć aparat, którym sfotografował wszystkie strony mego dziennika, ale to wcale nie jest pewne - a już zupełnie bezpiecznie mogę założyć, że on sam nie potrafił czytać po persku. Przejrzałem notatki i usunąłem z nich wszystkie wzmianki dotyczące powodu, dla którego przybyłem do tego zakazanego kraju. Jutro przed wyjściem do miasta zastawie kilka pułapek (rozpięte włosy i poustawiane tu i ówdzie niewielkie przedmioty), które powiedzą mi, czy ktoś ponownie przeszukiwał pokój.

Teraz mogę spokojnie spisać wydarzenia tego zaiste nadzwyczajnego wieczoru.

Spotkałem się z Ardis tak, jak się umówiliśmy, a ona zaprowadziła mnie do niewielkiej restauracji, usytuowanej w pobliżu jej mieszkania. Ledwie zdążyliśmy zająć miejsca, kiedy weszli dwaj mężczyźni. Nie mogłem dostrzec twarzy żadnego z nich, ale odniosłem wrażenie, że jeden to

Amerykanin, którego spotkałem na pokładzie "Księżniczki Fatimy", a drugi to Golam Gassem, handlarz ziarnem, którego tak starannie tam unikałem. Uważałem i nadal uważam, że moja boska

Ardis nigdy nie może być inna, jak tylko piękna, ale wtedy udało jej się niemal osiągnąć coś wręcz przeciwnego: krew odpłynęła jej z twarzy, usta rozchyliły się bezwiednie i przez chwilę wyglądała niczym uroczy nieboszczyk. Chciałem zapytać, co się stało, lecz zanim zdołałem wykrztusić

choćby słowo, dotknęła ostrzegawczo moich ust, a następnie, odzyskawszy częściowo spokój, powiedziała:

- Nie widzieli nas. Wychodzimy. Zachowuj się tak, jakbyśmy właśnie skończyli.

Wstała, udając, że wyciera usta chusteczką, dzięki czemu zdołała ukryć niemal połowa twarzy i wyszła na ulicę.

Uczyniłem to samo i znalazłem ją nie dalej niż kilka kroków od wejścia do restauracji, zanoszącą się

od śmiechu. Zmiana w jej zachowaniu była tak zdumiewająca, jakby właśnie zdjęto z niej jakiś urok.  
- To takie zabawne - powiedziała - chociaż przed chwilą wcale takie nie było. Lepiej stąd pójdźmy.  
Zjemy coś po przedstawieniu.

Zapytałem ją, kim są ci mężczyźni.

- To przyjaciele - odparła, ciągle się śmiejąc.

- Jeśli są twoimi przyjaciółmi, to dlaczego tak bardzo zależało ci na tym, że cię nie zobaczyli?

Bałaś się, że możemy się przez nich spóźnić?

Wiedziałem, że tak trywialne wytłumaczenie nie może być zgodne z prawdą, ale chciałem dać jej  
możliwość udzielenia wymijającej odpowiedzi, jeżeli nie chciała zdradzić mi prawdziwej.

Potrząsnęła głową.

- Nie, nie. Po prostu nie chciałam, żeby którykolwiek z nich pomyślał, że mu nie ufam. Wyjaśnię ci to  
później, jeśli będziesz chciał wziąć udział w naszej małej szaradzie.

- Z całego serca.

Na te słowa uśmiechnęła się swoim słonecznym uśmiechem, dla którego gotów byłbym wejść do  
jaskini lwa. Po chwili znaleźliśmy się przed tylnym wejściem do teatru i nie było już czasu, żeby  
dalej prowadzić tę rozmowę. Kiedy Ardis otworzyła drzwi, usłyszeliśmy Kretona sprzecającego  
się z kobietą, która, jak się później dowiedziałem, pełniła funkcję garderobianej.

- A więc jest pan wolny - powiedziałem. Odwrócił się w moją stronę.

- Tak, i to zdaje się, że dzięki panu. Bardzo za to dziękuję.

Ardis patrzyła na niego takim wzrokiem, jakby był dzieckiem, które cudem uniknęło utonięcia.

- Biedny Bobby. Bardzo to przeżyłeś?

- Bałem się, i to wszystko. Bałem się, że już nigdy stamtąd nie wyjdę. Wiesz, że Terry zniknął?

- Jak to? - zapytała, ale ja byłem pewien (przysięgam, że nie przesadzam ani nie koloryzuję, choć  
przyznaję, że popełniłem ten grzech w kilku innych punktach mojej relacji), że doskonale o tym  
wiedziała.

- Po prostu nie ma go i już, Paul biega jak szalony. Słyszałem, że wczoraj trochę wam mnie  
brakowało?



- Boże, i to jak! - wykrzyknęła Ardis i pobiegła zbyt szybko, żebym mógł pójść za nią.

Kreton wziął mnie za ramię. Spodziewałem się, że będzie chciał przeprosić mnie za wczorajszą próbę kradzieży, ale on zamiast tego powiedział:

- Widzę, że jednak udało się panu z nią spotkać.

- To ona namówiła mnie, żebym wycofał oskarżenie.

- Ile pan mi dawał? Dwadzieścia riali? Mam do nich moralne prawo, ale z niego nie skorzystam.

Proszę odwiedzić mnie, kiedy będzie pan gotów na coś bardziej ekstra, a tymczasem, jak ona się panu podoba?

- Mogę to powiedzieć jej, ale nie panu.

W tej samej chwili pojawiła się Ardis, prowadząc ze sobą łysiejącego, wąsatego mężczyznę o ciemnej skórze.

- Paul, to jest Nadan. Jego angielski jest bez zarzutu - nie tak brytyjski, jak u większości z nich.

Chyba się nadaje, nie uważasz?

- Musi się nadać. Jesteś pewna, że się zgodzi?

- Będzie zachwycony - stwierdziła z przekonaniem Ardis i ponownie zniknęła.

Wyglądało na to, że Terry był aktorem, który grał rolę Simona, kochanka i męża Mary Rose, ja zaś choć moim szczytowym osiągnięciem do tej pory był występ w szkolnym przedstawieniu - miałem go zastąpić. Do podniesienia kurtyny pozostało jeszcze około pół godziny, miałem więc pięćdziesiąt minut na nauczenie się roli przed moim wejściem pod koniec pierwszego aktu.

Paul, reżyser spektaklu, ostrzegł mnie, że występując pod swoim nazwiskiem spotkałbym się z wrogością publiczności: tym bardziej iż odtwarzana przeze mnie postać miała być Amerykaninem, więc wszyscy doszukiwaliby się błędów nawet tam, gdzie ich nie było. Wkrótce potem, kiedy pośpiesznie uczyłem się tekstu, usłyszałem jego głos:

- W roli Simona Blake'a wystąpi Ned Jefferson.

Najtrudniejszym momentem w całym przedsięwzięciu okazało się pierwsze wyjście na scenę. Na moje szczęście grałem nerwowego młodzieńca, który przychodzi prosić o rękę ukochanej, dzięki czemu mój nerwowy śmiech i jękanie były prawie na miejscu.

Druga scena - z Mary Rose i Cameronem na czarodziejskiej wyspie - powinna była okazać się znacznie trudniejsza od pierwszej. Na nauczenie się tekstu miałem zaledwie krótką przerwę, zaś sama gra wymagała raczej lęklivego pesymizmu, niż zwyczajnej nerwowości. Na szczęście wszystkie kwestie były dosyć krótkie, zaś Paul zdążył powypisywać je na wielkich arkuszach papieru, które na zmianę z kierownikiem sceny pokazywał mi zza kulis. W kilku miejscach musiałem jednak improwizować, lecz choć zastąpiłem słowa autora moimi, to ani na chwilę nie straciłem wyczucia akcji i zawsze potrafiłem powiedzieć coś, do czego Ardis i Cameron mogli dostosować brzmienie swoich kwestii.

W porównaniu z pierwszym i drugim aktem, moje krótkie pojawienie się w trzecim można uznać wręcz za wypoczynek. Mimo to nigdy chyba nie byłem tak wyczerpany jak dziś późnym wieczorem. Kiedy światła przygasły, Ardis rozpoczęła swą ostateczną rozmowę z Kretonem, a Cameron i ja mogliśmy wreszcie niepostrzeżenie zejść ze sceny.

Musieliśmy pozostać w kostiumach aż do pożegnalnych ukłonów, więc była już prawie północ, kiedy wreszcie mogliśmy z Ardis zjeść coś w tym samym niewielkim, brudnym barze, w którym Kreton chciał mnie obrabować. Zapytała mnie, czy spodobał mi się zawód aktora, a ja mogłem odpowiedzieć jedynie skinieniem głowy.

- Tak myślałam, że ci się spodoba. Wydaje mi się, że pod przykrywką tej niewzruszonej solidności kryje się nadzwyczaj dramatyczna osobowość.

Przyznałem jej rację i spróbowałem wyjaśnić, dlaczego to, co nazywam r o m a n t y z m e m życia jest według mnie tak nadzwyczaj cenne. Nie rozumiała mnie, więc ograniczyłem się do uwagi, że zostałem wychowany na tekście "Shah Namah", o którym, jak się okazało, słyszała po raz pierwszy w życiu.

Poszliśmy do jej mieszkania. Byłem zdecydowany w razie konieczności wziąć ją nawet siłą. Nie dlatego, żeby sprawiało mi to dodatkową przyjemność, ale po to, by nie pomyślała, że jej nie kocham, co by mogło łatwo nastąpić, gdybym pozwolił jej odepchnąć się po raz drugi. Oprowadziła mnie po wnętrzu (dwa małe, zabałaganione pokoje), a potem, kiedy już opuściliśmy potężną antabę, stanowiącą nieodłączny element wyposażenia każdego amerykańskiego mieszkania, objęła mnie ramionami. Jej oddech pachniał arakiem, który piła przed kilkoma minutami. Z całą pewnością ów zapach będzie już do końca moich dni przypominał mi o tym wieczorze.

Kiedy się od siebie oderwaliśmy, zacząłem rozwiązywać tasiemki przy jej bluzce, a ona natychmiast zgasiła świece. Błagałem, żeby tego nie robiła, bowiem pozbawia mnie w ten sposób połowy rozkoszy, ale ona nie chciała ustąpić, więc nasze pieszczoty i uściski odbywały się w całkowitej ciemności. Znajdowałem się w ekstazie. Gdybym ją widział, chyba bym oślepl, lecz już nic nie było w stanie zwiększyć odczuwanej przeze mnie rozkoszy.

Gdy rozdzieliliśmy się po raz ostatni, obydwójce krańcowo wyczerpani, Ardis poszła się umyć, a ja zacząłem szukać zapalek - najpierw w szufladzie chwiejącej się nocnej szafki, a potem w moim ubraniu, które leżało w nieładzie na podłodze. Udało mi się wreszcie je znaleźć, ale nie byłem w stanie odszukać świecy. Przypuszczam, że Ardis gdzieś ją schowała. Kiedy wróciła, zapaliłem zapalniczkę, lecz ona miała już na sobie peniuar.

- Czyż nigdy cię nie zobaczę? - zapytałem.

- Zobaczysz mnie jutro. Weźmiesz mnie na przejażdżkę łódką i urządzimy sobie piknik nad wodą, pod czereśniami. W teatrze zaczyna się przerwa świąteczna, więc będziemy mogli pójść potańczyć. Teraz jednak pójdziesz już do domu, a ja do łóżka, spać.

Gdy byłem ubrany i stałem już w drzwiach zapytałem, czy mnie kocha, ale zamknęła mi usta pocałunkiem.

Napisałem już o reszcie - o dwóch jajkach i poruszonym dzienniku - więc nie będę się powtarzał.

Przeczytałem jednak jeszcze raz wszystko to, co właśnie napisałem i doszedłem do wniosku, że jedno zdanie powinno być znacznie wyraźniej podkreślone: to, że podczas przedstawienia ani na moment nie straciłem wyczucia akcji.

Nie wiem, jaki sekret pogrzebali starożytni Amerykanie pod swą rzeźbioną górą, ale wierzę, że jeśli jest to jakiś klucz do ludzkiego życia, to musi być właśnie z nim związany. Jestem pewien, że każdy wielki człowiek, świadomie lub nie, to jednak w taki lub inny sposób ów sekret posiadał; w grze, którą jest życie, możemy przy jego pomocy zmieniać i ukierunkowywać przebieg akcji.

Tak właśnie czynię teraz. Jeżeli nawet zniknięcie marcepanowego jajka nie ma żadnego znaczenia, to ja mu to znaczenie nadaje (zrobiłem to już wcześniej, kiedy nasączyłem jedno z nich narkotykiem). Jeżeli nawet gra, w której bierze udział Ardis wraz z Golamem Gassemem i Mr.

Tallmanem (jeśli to naprawdę byli oni), nie nosi znamion tajemniczości i zagrożenia, to będzie, ponieważ taka jest moja wola. Jeżeli nawet nasza miłość nie jest wielką miłością, która ma żyć wiecznie w młodych sercach i ustach poetów, to stanie się taką, gdyż ja tego chcę.

Znowu tu jestem. Szczerze mówiąc zaczynam się zastanawiać, czy nie piszę tego dziennika tylko po to, żeby go zaraz potem czytać. Jeszcze żaden człowiek nie był tak szczęśliwy, jak ja jestem teraz - do tego stopnia, że odczuwałem pokusę, aby pozostawić nietknięte dwa ostatnie jajka. Co będzie, jeśli narkotyk zamiast halucynacji, samouświadamienia i euforii przyniesie mi

nieodwracalne, przepełnione rozpaczą szaleństwo? Mimo to zjadłem jedno z nich, przełykając mdlącą słodycz tak szybko, jak tylko potrafiłem. Wolę zaryzykować nieznaną, niż uważać się za tchórza. Ze spokojem oczekuję na rezultat.

Prawda wygląda w ten sposób, że jestem zbyt szczęśliwy, by w dalszym ciągu odczuwać tę faustowską determinację, która opanowała mnie ostatniej nocy. (Jakże dziwnie się składa, że właśnie "Faust" będzie kolejną sztuką wystawianą przez teatr. Kreton ma grać Mefistofelesa - zdradziła mi to Ardis, a zresztą i tak było to oczywiste. Ona będzie Małgorzatą, ale kto wcieli się w postać samego Doktora?). Teraz jednak, kiedy zniknęła zaciskająca zęby determinacja, wiem, że zrealizuje mój plan pewniej i dokładniej, niż kiedykolwiek, z łatwością wirtuoza, który wykonuje od niechcenia prosty utwór, chociaż jego myśli zajęte są zupełnie innymi sprawami: Spoglądając na rozciągające się dokoła ruiny zacząłem znowu zastanawiać się nad losem, jaki był udziałem

dawnych Amerykanów. Jak często ci, którzy wybierali swoich przywódców ze względu na ich nadnaturalną siłę, mądrość i przezorność sami czuli się tak zmęczeni, jak ja ostatniej nocy?

Miałem zamiar kupić kosz smakołyków i udać się po Ardis około pierwszej, ale ona uprzedziła

mnie, zjawiając się o jedenastej z już przygotowanym prowiantem. Szliśmy na północ wzdłuż kanału, aż dotarliśmy do ruin starego mauzoleum i położonego w pobliżu, niemal dokładnie okrągłego, sztucznego jeziora, zwanego przez Amerykanów Basenem. Rosną wokół niego obsypane kwiatami drzewa, co prawda stare i poskręcane, ale bardzo piękne w swoich białych strojach. Za niewielką opłatą dostaliśmy we władanie jaskrawoniebieską łódkę o żaglu dwu lub trzykrotnie większym od mojej chusteczki, w której wypłynęliśmy na spokojną wodę jeziora. Kiedy znaleźliśmy się w sporej odległości od brzegu, Ardis zapytała mnie niespodziewanie, czy cały mój pobyt w ich kraju mam zamiar spędzić tu, w Waszyngtonie.

Powiedziałem, że początkowo miałem zamiar zostać tu nie dłużej jak tydzień, potem zaś wyruszyć w góra wybrzeża, do Filadelfii i innych starożytnych miast, ale teraz, kiedy ją poznałem, chętnie zostałbym na zawsze, gdyby tylko zechciała się na to zgodzić.

- Nigdy nie chciałeś zobaczyć wnętrza kontynentu? Ten skrawek plaży, na którym żyjemy jest utrzymywany przy życiu przez ocean i handel, który się tutaj odbywa. Sto mil w głębi lądu znajdują się wszystkie pozostałości naszej cywilizacji, czekające, aż ktoś się nimi zainteresuje.

- Czemu więc nikt tego nie robi?

- Och, robią to, robią. Nie ma roku, żeby ktoś nie znalazł czegoś niezwykle cennego, ale to taki wielki teren... - Jej wzrok zdawał się sięgać daleko poza brzeg jeziora i obsypane kwiatami drzewa.

- Tak wielki, że czasem giną całe miasta. U wjazdu do St. Louis stał kiedyś łuk ze szczerego złota - teraz nikt nie wie, co się z nim stało. Denver, Miasto O Milowych Domach, stało na kopalniach srebra, ale nikomu nie udało się ich odnaleźć.

- Z pewnością zachowało się wiele starych map.

Ardis skinęła powoli głową. Czuję, że chciała powiedzieć więcej, niż uczyniła. Przez kilka sekund panowała cisza, w której słychać było jedynie plusk wody, uderzającej o burty naszej łodzi.

- Pamiętam, że widziałem kilka w muzeum w Teheranie. Nie tylko nasze mapy, ale i wasze, sprzed stu i więcej lat.

- Wiele rzek zmieniło koryta - powiedziała. - A jeśli nawet płyną tak jak dawniej, to nikt nie

może być tego pewien.

- Część budynków z pewnością dalej stoi na miejscu, choćby tak jak tutaj, w Milczącym Mieście.

- Zostały zbudowane z kamienia, najsolidniej, jak tylko było możliwe. Ale tak, masz racje - niektóre ciągle jeszcze stoją.

- Można więc tam polecieć, wylądować gdzieś w pobliżu i dokładnie je przeszukać.

- Istnieje wiele niebezpieczeństw, a poza tym gruzów jest tak dużo, że można szukać całe życie i nawet porządnie nie zadrapać powierzchni.

Zorientowałem się, że robi się coraz bardziej smutna, więc spróbowałem zmienić temat

- Powiedziałaś, zdaje się, że możemy dzisiaj pójść na przyjęcie? Może mi coś o tym powiesz?

- Nadan, muszę komuś zaufać. Nigdy nie widziałeś mojego ojca, choć mieszka w pobliżu hotelu i prowadzi sklep ze starymi książkami i mapami. - (A więc jednak niemal trafiłem do właściwego domu!) - Kiedy był młodszy, marzył o wyprawie w głąb kontynentu. Zorganizował kilka wypadów, lecz nigdy nie dotarł dalej niż do podnóża Apalachów, a potem poślubił moją matkę i bał się już podjąć ryzyko...

- Rozumiem.

- Zaczął handlować tym, co miało zaprowadzić go do bogactw przeszłości. Jeszcze teraz ludzie znoszą mu różne stare papiery, a on kupuje je i później sprzedaje. Wielu z nich prawie nie różni się od tych, którzy rozkopują cmentarze w poszukiwaniu ślubnych obrączek dawno zmarłych kobiet

Przypomniałem sobie biżuterię, którą kupiłem pod zwalonym obeliskiem i zadrzałem, ale Ardis chyba tego nie zauważyła.

- Tak, niektórzy wcale nie są lepsi od hien cmentarnych, a część jest nawet gorsza. W głębi kontynentu mieszkają ludzie, którzy już wcale nie są ludźmi. Nasze ciała - wszystkie, co do jednego - noszą w sobie truciznę. Wiedziałaś o tym, prawda? Tamci się przystosowali (tak zawsze mówił ojciec), ale przestali być ludźmi. Dawno temu udało mu się nawiązać z nimi pokojowe stosunki i handluje z nimi do dzisiaj.

- Nie musisz mi tego opowiadać.

- Muszę. Czy wyruszyłbyś w głąb lądu, gdybym poszła z tobą? Gdyby dowiedziały się o tym władze, próbowałyby nas zatrzymać i skonfiskowałyby wszystko, w byśmy znaleźli.

Zapewniłem ją na wszystkie świętości, jakie tylko przychodziły mi na myśl, że mając ją u boku przeszedłbym cały kontynent na piechotę, gdyby tylko zaszła taka potrzeba.

- Powiedziałaś ci, że mój ojciec sprzedaje mapy i książki, które mu przynoszą. Nie powiedziałam ci, że najpierw je czyta. Widzisz, w głębi serca on nigdy nie zrezygnował ze swoich planów.

- Czyżby dokonał jakiegoś odkrycia? - zapytałem.

- I to nie jednego. Bobby i ja często je wykorzystywaliśmy. Pamiętasz tych ludzi z restauracji?

Bobby poszedł do każdego z nich z mapą i kilkoma starymi listami, i namówił do sfinansowania ekspedycji sugerując, że z naszą pomocą uda mu się oszukać partnera. W ten sposób zabezpieczamy się przed jakimiś kombinacjami z ich strony.

- A ty chcesz, żebym się do was przyłączył? - Nie posiadałem się z radości.

- Wcale nie mieliśmy zamiaru wyruszać. Bobby chciał zabrać pieniądze i uciec ze mną do

Bagdadu lub Marakeszu. Ale... - nachyliła się do mnie i położyła swoje dłonie na moich - ... musisz wiedzieć, że w tym naprawdę kryje się jakaś tajemnica. To znaczy, niejedna, ale ta jest znacznie bardziej obiecująca i prawdopodobna od pozostałych. Wiem, że postąpisz ze mną uczciwie.

Podzielimy się, a potem wrócę z tobą do Teheranu.

Wiem, że nigdy w życiu nie byłem tak szczęśliwy, jak wtedy, w tej śmiesznej łódce.

Siedzieliśmy obydwój na rufie w cieniu miniaturowego żagla, o mało jej nie zatapiając, wymienialiśmy pocałunki i pieściliśmy się tak namiętnie, że za to samo w Iranie dawno już znaleźlibyśmy się pod pręgierzem.

Wreszcie, kiedy nie mogłem już znieść więcej nieskonsumowanej miłości, zjedliśmy przyniesione przez Ardis kanapki, popijając je ciepłym, owocowym napojem i wróciliśmy na brzeg.

Kiedy przed kilkunastoma minutami znaleźliśmy się przed jej domem namawiałem ją gorąco,

żeby pozwoliła mi pójść ze sobą na góra. Szalałem z pożądaniami, pragnąłem wbić w nią moje ciało i rozlać się w niej niczym jakiś szalony bóg, który przed przyjściem Proroka wylewał do oceanu swoją złotą krew. Nie zgodziła się - przypuszczam, iż dlatego, że w jej mieszkaniu nie można uzyskać takiej ciemności, która zadowoliłaby jej skromność. Mimo to postanowiłem, że ją wreszcie zobaczę.

Wykąpałem się i ogoliłem, żeby być gotowym na przyjęcie, a ponieważ mam jeszcze sporo czasu, opiszę niezwykłą procesję, jaką minęliśmy w drodze powrotnej z jeziora. Jak widzicie, wciąż jeszcze traktuje te zapiski jako dziennik podróży.

Bardzo stary człowiek - przypuszczam, że kapłan - niósł na długim kijku krzyż, używając go jako laski, a nawet kuli. Dużo młodszy, tłusty i ociekający potem, cofał się przed nim, machając dymiącą kadzielnicą. Poprzedzali ich dwaj ubrani w długie szaty chłopcy niosący zapalone świece, a z tyłu szło więcej podobnie ubranych dzieci, które śpiewały, a gdy wydawało im się, że tłusty mężczyzna tego nie widzi, szczypały się nawzajem i rozdawały kuksańce.

Jak niemal wszyscy, widziałem dużo świetniejsze procesje w Rzymie, ale żadna z nich nie zrobiła na mnie takiego wrażenia, jak właśnie ta. Kiedy stary kapłan przyszedł na świat, wielkość Ameryki była jeszcze czymś tak niedawnym, że chyba nie wszyscy zdawali sobie sprawę z tego, iż już na zawsze odeszła, zaś cała procesja - migoczące w promieniach słońca płomyki świec, niesione z wciąż martwe drewno, niepoważnie zachowujący się uczestnicy - wydawała mi się uosabiać filozofię i rozterki tych ludzi. Tak przynajmniej myślałem aż do chwili, kiedy zobaczyłem, że przechodnie przypatrują jej się z takim brakiem zrozumienia, jakby sami byli przybyłymi z daleka podróżnymi i zrozumiałem, że to rytualne błaganie o powrót odrodzonego życia jest dla nich tak samo obce, jak dla mnie.

Jest już bardzo późno - trzecia, według mojego zegarka.

Postanowiłem, że już nic więcej nie napiszę. Spalę ten notatnik, podrę go na strzępy lub dam jakiemuś żebrakowi, ale znowu pisze, bo nie mogę zasnąć. Pokój śmierdzi moimi wymiocinami, chociaż otworzyłem na oścież okno, wpuszczając do środka noc.

Jak mogłem kochać coś takiego? A mimo to przed chwilą wizja Ellen wytrącała mnie z płytkiej drzemki.



Przyjęcie okazało się balem maskowym. Ardis zdobyła dla mnie przebranie - pożyczoną z teatralnej garderoby, fantastycznie złożoną zbroję. Ona sama miała na sobie strój egipskiej księżniczki i maskę. O północy odsłoniliśmy twarze i pocałowaliśmy się, a ja przyrzekłem sobie, że jeszcze tej nocy zedrę z niej także zasłonę ciemności.

Wyszliśmy, zabierając ze sobą w połowie pełną butelkę. Zanim zgasła świecę namówiłem ją, żeby naląła pełen kieliszek, byśmy mogli się napić, kiedy minie pierwsze uniesienie. Zrobiła - zrobiło? - tak, jak prosiłem i postawiła go na stojącej nie opodal łóżka szafce. Wiele minut później, kiedy leżeliśmy obok siebie oddychając ciężko ze zmęczenia, sięgnąłem po omacku po pistolet i wystrzeliłem w pękate naczynie. Kieliszek buchnął błękitnym płomieniem, a Ardis wrzasnęła przeraźliwie i zerwała się z łóżka.

Zadaję sobie pytanie, jak mogłem ją kochać. A jak, w ciągu niecałego tygodnia, mogłem niemal pokochać ten martwy kraj? Symbolizujący go orzec nie żyje, Ardis zaś stanowi symbol jego panowania.

Pozostaje mi jeszcze niewielka, bardzo niewielka nadzieja. Możliwe, że to, co zobaczyłem stanowiła tylko złudzenie wywołane działaniem znajdującego się w jajku narkotyku. Teraz wiem, że stworzenie, które zabiłem przed domem ojca Ardis istniało naprawdę. Między napisaniem poprzedniego akapitu a tym zjadłem ostatnie jajko. Jeżeli wystąpią halucynacje będę wiedział, że to, co ujrzałem w świetle płonącego araku było rzeczywiście istotą, z którą się kochałem, i wtedy znajdę jakiś sposób, żeby nigdy już nie zbrukać czystych brzuchów naszych kobiet. Mógłbym na przykład próbować zabrać z muzeum eksponaty stanowiące dziedzictwo mojej rasy i dać się zabić strażnikom, ale co by się stało, gdyby jakimś cudem mi się udało? Nie jestem godzien, żeby ich dotykać. Chyba najlepszym rozwiązaniem byłoby, gdybym wyruszył samotnie w głąb tego stoczonego przez robactwo kontynentu. Przynajmniej zginąłbym z właściwych rąk.

P ó ż n i e j . Po korytarzu za drzwiami chodzi Kreton: stukot jego czarnych, wykoślawionych butów kołysze całym budynkiem niczym trzęsienie ziemi. Kilkakrotnie usłyszałem słowo "policja", wypowiedziane głosem przypominającym uderzenie pioruna. Moja ukochana Ardis, maleńka i świecąca, wyłoniła się z płomienia świecy, a przez okno zagląda do pokoju porośnięta sierścią

twarz.

Stara kobieta zamknęła notatnik. Młodsza, która czytała zaglądając jej przez ramię, cofnęła się na drugą stronę stolika i usiadła na poduszce, zgodnie z dobrymi obyczajami trzymając stopy w taki sposób, żeby nie było widać podszew.

- A więc żyje - powiedziała.

Stara kobieta milczała, pochyliwszy głowę nad trzymanym w obydwu dłoniach notatnikiem.

- Z całą pewnością został uwięziony, bo w innym przypadku dawno już by się z nami

skontaktował. - Przerwała, gładząc prawą dłonią delikatny materiał swojej czadry, podczas gdy

lewa bawiła się ozdobnym symulatorem, przymocowanym do cienkiego łańcuszka. - Możliwe, że

nawet próbował, ale listy zaginęły gdzieś po drodze.

- Czy myślisz, że to jest jego pismo? - Stara kobieta otworzyła jeszcze raz notatnik. - Być może, być może... dodała, kiedy nie otrzymała żadnej odpowiedzi.

## SŁONECZNY LABIRYNT

Labirynty mogą być starsze niż ludzkość. Z pewnością konstruowali je jaskiniowcy, układając kamienie wielkości futbolówki, a być może również w inny, teraz już dla nas zagubiony sposób.

Osady neolitycznej Europy były strzeżone przez splątane, suche rowy. Tezeusz korzystał ze

wskazówki - kłęбка nici - w swej drodze przez nieprzebyty pałac Minosa, stając się w ten sposób pierwszym w nieskończonej, jak należy się obawiać, serii fikcyjnych detektywów. Piękna

Rozamunda zostawiła igłę, wetkniętą w haftowaną przez siebie tkaninę, lecz zapomniała wyjąć z

kieszeni włóczkę, dostarczając w ten sposób rycerzom królowej Eleonory klucz do rozwiązania

zagadki Labiryntu Hampton Court.

W ostatnich czasach zbudowano niewiele labiryntów, a te, które powstały, stworzono tandetnie i

bez wyobraźni. Samoloty i helikoptery pozwalają licznym cwaniakom na fotografowanie nowych

labiryntów z powietrza, a zdjęcia umożliwiają fotelowym poszukiwaczom przygód pokonywanie

ich za pomocą ołówka. Przeminięły, zdałoby się bezpowrotnie, dni potworów, dziewic i wielkich

zadziwień.

A jednak niezupełnie. Słyszałem, że pewien zamożny obywatel nie tylko zaprojektował i wybudował labirynt, ale wynalazł zupełnie nowy jego rodzaj, być może pierwszy od końca Ery Mitów. Pragnąc ochronić spokój tego nowego Dedala, będę go nazywał po prostu: "pan Smith". Powietrznym fotografom w ich czarterowanych Cessnachs powiem tylko - i mam nadzieję, że ich to zdenerwuje - że jego labirynt znajduje się w Adirondacks.

Na wypielęgnowanym trawniku stoi - w większej części dobrze ukryta przed niepożądanym wzrokiem - kolekcja czarujących, nawet jeśli trochę zwariowanych, obiektów. Są tam przeróżne obeliski; są latarnie uliczne z Wiednia, Paryża, Londynu i Nowego Jorku; jest duża, stojąca skrzynka pocztowa, także z Londynu; są fontanny, w których strumienie wody pluszczą światem przez chwilę, żeby potem opaść; jest stara łódź żaglowa, osiadła teraz na trawiastej mieliźnie, jednak o masztach ciągle nietkniętych; jest pień martwego drzewa, obrośnięty dzikimi różami i jest wiele innych rzeczy. Rzucane przez te rzeczy cienie tworzą ściany wymyślnego, skomplikowanego labiryntu.

Jest to, oczywiście, labirynt, który zmienia się z godziny na godzinę, a właściwie z minuty na minutę. Może on być, co już nie jest tak oczywiste, rozwiązany tylko w pewnych porach dnia - na pewno nie w południe, gdy cienie są najkrótsze. Jest to również labirynt, z którego każdy i w dowolnej chwili może uciec.

Jednak mówi się, że większość z tych, którzy go badają większość dorosłych w każdym razie - nie ucieka. Rankiem, gdy cienie wzgórz ciągle kładą się na trawnik, pan Smith prowadzi wybranego gościa do miejsca, które będzie środkiem labiryntu. Trawa jest jeszcze świeża od porannej rosy i nic, poza śpiewem ptaków nie zakłóca ciszy. Przez pięć minut, może trochę dłużej dwaj mężczyźni. (lub; jak przecież może się zdarzyć, kobieta i mężczyzna) stoją i czekają. Może wypalają papierosa. Czerwony dysk słońca pojawia się ponad spowitymi mgłą wierzchołkami drzew, fontanny strzelają kryształowymi kolumnami, ptaki milkną i nagle zaczynają istnieć malowane cieniem korytarze, szkic wykonany wyblakłym, czarnym atramentem Boga.

Pan Smith zaczyna kroczyć po swym labiryncie, ale zachęca gościa, żeby próbował szukać własnej drogi. Gość podejmuje próbę, rozbawiony z początku, potem już poważniejszy. Cienie

przesuwają się niezauważalnie. Pojawiają się nowe korytarze, istniejące dotychczas zamykają się, czasem z zaskakującą szybkością. Wkrótce ścieżka, którą idzie pan Smith łączy się ze ścieżką

gościa (pan Smith dobrze zna swój labirynt) i dalej już podążają razem, gość jako prowadzący. Pan Smith opowiada o stojącym w pobliżu posągu Diany, który jest kopią znajdującego się w Luwrze;

mówi, że wizerunek Tezcatlioca; tolteckiego Boga Słońca, jest autentycznym i że był wykopany w

Teotihuacan. Podczas gdy mówi, cienie przesuwają się po lekkich nierównościach trawnika i

wygląda to niemal tak, jakby wyginały się niczym pierzasty Quetzalcoatl. Pan Smith oddala się,

jednak przez pewien czas jego ścieżka biegnie prawie równoległe do tej, którą idzie gość.

- Widzi pan to miejsce? - mówi gość. - Za minutę czy dwie, gdy ten cień się skróci, będę mógł tamtędy przejść. Pan Smith kiwa głową i uśmiecha się.

Gość czeka, pewnym teraz wzrokiem omiatając cudowny wzór z ciemnej zieleni, rzucony na

zielen jasną. Wskazany przezeń cień - być może korynckiej kolumny - rzeczywiście kurczy się,

jednak w tym samym czasie inny, przetaczając się wraz ze słońcem, przegradza wybraną ścieżkę.

Większość dorosłych gości nie ucieka, aż zostanie uratowana przez przypadkową chmurę.

Niektórzy w ogóle odmawiają skorzystania z takiej okazji.

Pan Smith często zaprasza do zwiedzenia swego labiryntu grupy dzieci. Ich wizyty są tak

wyliczone w czasie, żeby grupa mogła być zaprowadzona do samego środka. Tam pan Smith

wskazuje na fragmencie skruszałego muru, który przynajmniej wygląda na bardzo starożytny,

płaskorzeźbę Minotaura, potwora, jak wyjaśnia, nawiedzającego te cienie. Przerywa mu

dobiegający z daleka - ale nie z kierunku domu - głęboki ryk byka. (Być może jakiś zabłąkany gość mógłby odnaleźć parę głośników, ukrytą w kępie pewnych drzew, a może nie). Pan Smith twierdzi,

że potrafi od razu określić, którym z dzieci jego labirynt będzie się podobał. Są to częściej chłopcy niż dziewczęta, twierdzi, ale nie dużo częściej. Dzieci powinny być dość małe, ale bez przesady.

Pomagają okulary. Pokazuje fotografię swej ostatniej Ariadny, ciemnowłosej, dziewięcioletniej dziewczynki.

Mimo swej wiedzy, pan Smith postępuje ze wszystkimi dziećmi jednakowo, każdemu dając takie

same instrukcje, zachęcając je w ten sam sposób. Niektóre od razu odrzucają zabawę w jego labirynt, odchodząc, żeby obejrzeć pochylony, drewniany krzyż czy barwioną na błękit wodę w wieżowym barometrze Torricellego, lub też żeby próbować (zawsze nieudanie) wyciągnąć z kamienia miecz Artura. Inne dzieci wytrzymują dłużej, wydeptując przez godzinę czy dwie ścieżki pomiędzy cieniami.

Zawsze jednak, gdy cień wielkiego gnomona pełźnie w stronę osadzonego w trawniku piaskowca XII, zbyt dojrzały i zbyt młodzi, niewystarczająco poważni i zbyt poważni odchodzą, pozostawiając tylko pana Smitha i jedno, jedyne dziecko - ciągle bawiących się w słonecznych promieniach.

## WOJNA POD CHOINKĄ

Wigilia, Komandorze Robin - powiedział Kosmonauta. - Radzę już iść do łóżka, bo Mikołaj wcale nie przyjdzie.

- Kosmonauta ma racje, Robinie - powiedziała matka Robina. - Pora powiedzieć dobranoc.

Chłopczyk w niebieskiej piżamce kiwnął głową, nie zmieniając pozycji na dywanie.

- Daj buzi - powiedział Miś Pluszowy. Miś, kolebiąc się śmiesznie, okrążył choinkę i zarzucił Robinowi łapki na szyję. - Musimy iść do łóżeczka. Ja też idę.

Dokładnie to samo powtarzał co wieczór.

Matka Robina pokręciła głową, robiąc przy tym komicznie zrozpaczoną minę.

- Posłuchaj no ich, Berto - powiedziała. - Spójrz na niego. Istny mały księżę w otoczeniu dworu.

Jak on sobie poradzi, kiedy dorośnie i przestaną go otaczać tranzystorowi dworzanie, którzy go teraz psują od rana do nocy?

Berta, gosposia-robot, kiwnęła swoją niemal ludzką głową i odstawiła pogrzebacz na miejsce.

- Święta racja, pani Jackson. Ma pani słuszną rację.

Baletnica ujęła Robina za rękę, tworząc z nim układ arabski. Teraz już Robin wstał. Jego gwardia uformowała szyk i sprezentowała broń.

- A z drugiej strony - powiedziała matka Robina - tak krótko jest się dzieckiem.

Berta ponownie skinęła głową.

- Młodym jest się tylko raz, pani Jackson. Święta racja. Będę mogła poprosić te miłe zabaweczki, żeby mi tu pomogły sprzątać, kiedy on już zaśnie?

Kapitan gwardzistów zaszalutował srebrną szablą, Największy Gwardzista uderzył w werbel, a reszta gwardii utworzyła szpaler.

- Misio z nim śpi - powiedziała matka Robina.

- Misia mogę zwolnić. Jest wielu innych do roboty. Kosmonauta dotknął klamry swojego pasa antygravitacyjnego i poszybował na wysokość czterech stóp jak pełen gracji barczysty balon. Z Baletnicą po lewej stronie i Misiem po prawej, Robin podreptał w ślad za gwardzistami. Matka Robina zdusiła w popielniczce ostatniego w tym dniu papierosa, mrugnęła do Berty i powiedziała:

- Ja też się chyba położę. Nie musisz mi pomagać przy rozbieraniu. Wystarczy, jak rano zbierzesz rzeczy.

- Tak, psze pani. Jaka to szkoda, że pana Jackson nie ma w domu - a tu akurat Boże Narodzenie i pani przy nadziei, i w ogóle.

- Za tydzień wraca z Brazylii, już ci mówiłam. Coraz gorzej się wysławiasz, Berto. Czy na pewno nie chciałabyś pobyc przez jakiś czas gosposią-Francuzką?

- Mej non, pani Jackson. Jak jestem Francuzką, całkiem się nie mogę odpędzić od chłopów.

- Kiedy pan Jackson otrzyma kolejny awans - powiedziała matka Robina - załatwimy sobie szofera. Włoskiego szofera, który już zawsze będzie Włochem.

Kolebiąc się w biodrach, wyszła z pokoju, a Berta odprowadziła ją wzrokiem.

- Do roboty, leniuchy! Popielniczki opróżnić do ognia, wszystkie rzeczy na miejsca! Ja się teraz idę wyłączyć, a jak wrócę, ma tu być porządek, bo inaczej parę zabaw, może się przypadkiem popsuć, zobaczycie!

Popatrzyła, jak Piesek wrzuca zawartość największej popielniczki między trzaskające polana, jak Kosmonauta ulatuje w górę, żeby uporządkować czasopisma na stoliku do kawy, a Baletnica zbiera się do zamiatania przed kominkiem - po czym poleciała gwardzistom:

- Schowajcie się do pudełka! - i wyłączyła się.

W najmniejszej sypialni Miś Pluszowy leżał w objęciach Robina.

- Cicho bądź - powiedział Robin.

- Przecież jestem cicho - powiedział Miś.

- Zawsze, kiedy już prawie zasypiam, zaczynasz piszczeć.

- Wcale że nie - powiedział Miś.

- A właśnie że tak.

- A nie.

- A tak.

- Czasem ty też nie możesz zasnąć tak od razu - powiedział Miś.

- Właśnie. Dzisiaj - zareplikował znaczącym tonem Robin. Miś wysunął się z jego objęć.

- Zobaczę, czy śnieg pada.

Z łóżka wspiął się na otwartą szufladę, a z otwartej szuflady na blat komody. Śnieg padał.

- Ty masz chyba nie po kolei w obwodach, Misiu - powiedział Robin. Matka Robina mawiała tak czasem do Berty.

Miś nie odpowiedział.

- Oj, Misiu - odezwał się sennie Robin w chwilę później. Wiem dlaczego jesteś taki zły: bo jutro są twoje urodziny i myślisz, że nie mam dla ciebie żadnego prezentu.

- A masz? - zapytał Miś.

- Będę miał. Mama pójdzie ze mną do sklepu.

Nie minęło pół minuty, a oddech Robina zmienił się w regularne, ciężkie posapywanie śpiącego dziecka.

Miś siedział na brzegu komody i patrzył na chłopczyka. Nagle szepnął:

Umiem śpiewać kolędy.

Były to pierwsze słowa, które, rok temu, wypowiedział do Robina. Rozłożył łapki. "Cicha noc, święta noc". Przypomniały mu się lampki na choince i wesoły ogień w salonie. Kosmonauta był co prawda na miejscu, ale za Kosmonautą nikt specjalnie nie przepadał, ponieważ był on jedyną

zabawką umiejącą latać. Baletnica też była na miejscu. Baletnica była nawet niegłupia, tylko... nie mógł sobie przypomnieć właściwego słowa.

Zeskoczył w głąb szuflady na stertę podkoszulków Robina, po czym wgramolił się na krawędź i miękko wylądował na wyłożonej ciemnym dywanem podłodze.

- Ograniczona - przypomniał sobie nagle i powiedział to głośno. - Baletnica jest ograniczona.

Znowu pomyślał o kominku, a zaraz potem o starych zabawkach: o Klockach, które miał Robin przed nadejściem Baletnicy i reszty towarzystwa, o Pajacu, który jeździł na żółtym rowerze, o Grającym Bąku.

Drzwi pokoju Robina były nieco uchylone: Pozostawiano wąską szparę, przez którą sączyło się światło, żeby Robin nie bał się ciemności. Miś co wieczór zwiężał szczelinę po trochu. Teraz niechętnie ją poszerzył. Bo Robin już od tak dawna nie pytał o Pajaca, o Grającego Bąka i o Klocek "A", który opowiadał o abażurach, aligatorach i agrafkach.

W salonie Baletnica rozstawiała Gwardzistów, a Kosmonauta, tak jak przedtem, stał na gzymsie kominka i nadzorował.

- Ze trzech, czterech możemy posłać za regał - zawołał. - Stąd figę z makiem będą widzieli -

burknął Miś. Baletnica wykręciła piruet i dygnęła, połyskując cekinami. - Baliśmy się, że już nie przyjdiesz - powiedziała.

- Ustaw po jednym za nogami stolika do kawy- polecił jej Miś. -Musiałem zaczekać, aż zaśnie.

Teraz słuchajcie, wszyscy, kiedy zawołam "Do ataku!", musimy na nich ruszyć wszyscy jednocześnie. To bardzo ważne. Jak się uda, spróbujemy to najpierw przećwiczyć.

- Ja będę walił w bęben - oświadczył Największy Gwardzista.

- Będiesz walił we wroga, bo inaczej powędrujesz w ogień, a my razem z tobą - pouczył go Miś.

Robin ślizgał się po lodzie. Fiknął nogami do góry - RRRYMS -aż poczuł drzenie w całym ciele.

Uniósł głowę i stwierdził, że wcale nie leży na zamrożonej sadzawce w parku. Leżał we własnym łóżku, księżyc świecił prosto w okno, był wieczór wigilijny - nie, była już nawet noc wigilijna -

zaraz przyjdzie Święty Mikołaj. Może już przyszedł? Robin nasłuchiwał stukotu kopyt renifera na



dachu, ale nie usłyszał nic. Wobec tego nadstawił ucha, ciekaw, czy Święty Mikołaj nie chrupie przypadkiem ciasteczek pozostawionych przez mamę na kamiennym gzymsie przy kominku. Ale nikt nie chrupał, ani nie mlaskał. Wtedy Robin odrzucił kołdrę i zaczął powoli zjeżdżać z łóżka, aż dotknął stopami podłogi. Złocista woń choinki i ognia wsączała się do pokoju. Robin poszedł po cichutku w ślad za zapachem, do hallu.

Święty Mikołaj był w pokoju, stał pochylony przy choince! Oczy Robina stawały się coraz większe i coraz bardziej okrągłe, tak okrągłe, jak guziki pizamki. Wtedy Święty Mikołaj wyprostował się i nie był to żaden Święty Mikołaj, tylko matka Robina w nowym, czerwonym szlafroku. Matka Robina była prawie tak gruba jak Święty Mikołaj, a tak śmiesznie sapała, kiedy próbowała wstać, i odpychała się rękami od własnych kolan, że Robin musiał wsadzić palce do buzi, żeby nie parsknąć śmiechem.

A jednak Mikołaj musiał tu być! Pod choinką leżało pełno zabawek - nowych zabawek!

Matka Robina sięgnęła na kamienni półeczkę po ciastko i odgryzła pół. Potem wypila do potowy mleko ze szklanki. Na koniec odwróciła się, żeby wrócić do sypialni, a kiedy przechodziła koło niego, Robin cofnął się w mrok własnego pokoju. Kiedy znów wyrzwał ostrożnie zza framugi, zabawki - Nowe Zabawki - zaczynały właśnie ożywać.

Wstawały, otrząsały się i rozglądały dookoła. Może dlatego, że była Wigilia. Może dlatego, że blask ognia uaktywnił ich obwody. Tak czy owak, clown otrzepał się i przeciągnął, szmaciana lalka wygładziła szmaciany fartuszek (z wyhaftowanym serduszkiem), a małpka dała wielkiego susa i uwiesiła się na drugiej od dołu gałęzi choinki. Robin wszystko to widział. Miś, ukryty za fotelem ojca Robina, też wszystko widział. Kowboje i Indianie unieśli wieko pudełka, a Rycerz otworzył tekturowe drzwi (które miały wyglądać jak z drewna) w ścianie innego pudełka (które miało wyglądać jak z kamienia), dzięki czemu Smok zerknął mu przez ramię.

- Do ataku!- krzyknął Miś. - Do ataku!

Wyszedł zza fotela na czworakach, jak prawdziwy niedźwiedź, poruszając się sztywno, ale bardzo szybko, podbiegł do Klowna, wyrzwał go łapą w opasły brzuch i powalił na ziemię, po czym podniósł go do góry i cisnął w stronę kominka.

Kosmonauta spadł jak jastrząb na Małpkę; przez chwilę mocowali się popiskując na siodełku poliestrowego rowerka na trzech kotach.

Baletnica zaatakowała pierwsza, jeszcze przed Misiem, zapierającą dech w piersiach serią szybkich ciosów, ale Szmaciana Lalka pozbierała się z podłogi i już biegła z Baletnicą do ognia.

Zadając drugi cios Klownowi, Miś zobaczył, że dwaj Indianie niosą do kominka gwardzistę - samego Kapitana Gwardzistów! Szabla Kapitana przeszła przez jednego z Indian jak przez masło i musiała uszkodzić jakiś obwód, bo Indianin posuwał się z dużym trudem. Mimo to, już po chwili Kapitan płonął: ogień trawił jego czerwony mundur, wyrzucone w górę ramiona przypominały języki płomieni, czarne oczy błyszczały i siały iskry, srebrzysty metal spływał z niego jak pot i twardniał w popiele, pod kłodami paleniska.

Klown próbował mocować się z Misiem, ale Miś położył go na łopatki. Smok zatopił kły w lewej tylnej łapie Misia, ale Miś uwolnił się od niego jednym wierzgnięciem. Kotek płonął i płonął.

Piesek próbował go wyciągnąć, ale wtedy Małpka pchnęła go w ogień. Miś pomyślał przez moment o wąskich schodkach w dół i o głębokiej, ciemnej piwnicy, gdzie pełno jest pudeł, tobołków i zakamarków. Gdyby tam teraz pobiegł i schował się, Nowe Zabawki może nigdy by go nie znalazły, może nawet nigdy by nie próbowały. Dopiero Robin znalazłby go po latach, pokrytego kurzem.

Baletnica krzyknęła wysokim, śpiewnym głosem, a Miś odwrócił się prosto na uniesiony miecz Rycerza.

Kiedy matka Robina wstała z łóżka w dzień Bożego Narodzenia, Robin już nie spał: siedział z kowbojami pod choinką i patrzył, jak Indianie tańczą taniec przywołujący deszcz. Małpka siedziała mu na ramieniu, Szmaciana Lalka (zaprogramowana, zgodnie z zapewnieniem producenta, do zainicjowania edukacji seksualnej Robina) na kolanach, a Rycerz i Smok u stóp.

- Jak ci się podobają zabawki od Świętego Mikołaja, Robinie? - zapytała matka Robina.

- Jeden Indianin nie działa.

- Nic się nie przejmuj, skarbie. Wymienimy go. Robinie, muszę ci teraz powiedzieć coś ważnego.

Gospoia-robot Berta, weszła do pokoju niosąc płatki kukurydziane, mleko i witaminy dla Robina oraz kawę z mlekiem dla matki Robina.

- Gdzie stare zabawki? - zainteresowała się. - To się ma nazywać posprzątany pokój?

- Robinie, twoje zabawki są, naturalnie, tylko zabawkami...

Robin kiwnął głową, myśląc o czymś innym. Z szopy wychodził właśnie czerwony cielak, a za nim jechał na koniu kowboj z lassem.

- Gdzie się podziały tamte stare zabawki, pani Jackson? - ponowiła pytanie Berta.

- Zdaje mi się, że one są zaprogramowane na autodestrukcję odparła matka Robina. - Wiesz, Robinie, skąd się wzięły twoje nowe zabawki - Rycerz, i amok, i Kowboje? Czary mary - tak. Tak samo, widzisz, dzieje się z ludźmi.

Robin spojrzał na nią przerażonymi oczami.

- Te same czary odbędą się niedługo tutaj, w naszym domu.

## WYSPA DOKTORA ŚMIERCI I INNE OPOWIADANIA

Nadejście zimy widać nie tylko na lądzie, ale i na morzu, choć tutaj nie ma spadających z drzew liści. Fale, które jeszcze wczoraj miały barwę jasnoblękitną, dzisiaj o zmierzchu są już

matowozielone i zimne. Jeżeli jesteś chłopcem, którego nikt w domu nie chce, wędrujesz godzinami plażą, czując podmuchy wiatru, który zerwał się tej nocy; piasek zasypuje ci buty, a bryzgi piany moczą nogawki twoich sztruksów. Odwracasz się tyłem do morza i końcem wygrzebanego

wcześniej kijka piszesz w mokrym piasku: Tackman Babcock.

Potem idziesz do domu wiedząc, że za tobą Atlantyk niszczy twoje dzieło. Twój dom stoi na

Wyspie Osadników, ale ta wyspa w rzeczywistości wcale nie jest wyspą i dlatego jako taka nie figuruje na mapach. Gdybyś rozbił kamieniem skorupkę małża barnakla, ujrzałbyś w jej wnętrzu

kształt, któremu zawdzięcza swą nazwę gatunek pięknej gęsi, barnakli: długi, giętki syfon mięczaka odpowiada gęsiej szyi, a trochę bezkształtna grudka ciała - jej korpusowi o niewielkich skrzydłach.

Tak właśnie wygląda Wyspa Osadników.

Gęsia szyja to wąski pas łądu, po którym biegnie lokalna droga. Kartografowie przesadzają najczęściej, znacznie go poszerzając i nie uwzględniając zupełnie faktu, że w czasie przyływu niewiele brakuje, by zniknął zupełnie pod morskimi falami. Wyspa Osadników wydaje się więc niewiele znaczącym elementem linii brzegowej, nie zasługującym na to, by mieć własną nazwę, a że znajdująca się tutaj wioska złożona z ośmiu czy dziesięciu domów również jej nie posiada, więc na mapie widać jedynie kończącą się niespodziewanie w morzu pajęczą nić drogi.

Wioska nie posiada nazwy, ale dom ma je aż dwie: na wyspie i w jej najbliższych okolicach nazywany jest Domem z Widokiem na Morze, bowiem na początku stulecia pełnił przez jakiś czas funkcję pensjonatu, mama zaś nazywa go Domem 31 Lutego; ta właśnie nazwa figuruje na jej papierze listowym i tej właśnie nazwy używają zapewne jej znajomi w Nowym Jorku i Filadelfii, choć może być i tak, że mówią po prostu "dom pani Babcock". Ma on miejscami cztery piętra, miejscami trochę mniej, dookoła zaś otoczony jest werandą. Niegdyś był pomalowany na żółto, ale teraz - szczególnie na zewnątrz - farba już zeszła i Dom 31 Lutego jest po prostu szary.

Otwierają się frontowe drzwi i wychodzi z nich Jason. Wbił kciuki za pasek swoich Levisów; krótkie, kręcone włosy na jego podbródku drżą w podmuchach wiatru.

- Wskakuj, pojedziesz ze mną do miasta. Matka chce odpocząć.

- Hej, hop! - do Jaguara, czujesz zapach miękkiej, skórzanej tapicerki; po chwili zasypiasz.

Budzą cię odbijające się w szybach samochodu światła miasta. fason wysiadł, w samochodzie robi się coraz chłodniej. Czekasz, jak ci się wydaje, nieskończenie długo, gapiąc się na wystawy, na wielki rewolwer dyndający u pasa przechadzającego się policjanta, na psa, który się zgubił i teraz boi się wszystkiego i wszystkich, nawet ciebie, kiedy stukasz w szybę i próbujesz go przywołać.

Potem wraca fason, niosąc paczki, które wkłada za siedzenie.

- Jedziemy już do domu?

Nie patrząc na ciebie kiwa głową, poprawia jeszcze paczki, żeby się nie poprzewracały, zapina pas.

- Chcę wysiąść z samochodu. Spogląda na ciebie.

- Chcę pójść do sklepu. Proszę cię, Jason. Jason wzdycha.

- Dobra, ale tylko do tego naprzeciwko. I na chwilę.

Sklep jest wielki jak supermarket, z długimi, rzęsiście oświetlonymi rzędami towarów. Jason kupuje gaz do zapalniczki, a ty pokazujesz mu książkę, którą zjąłeś z obracającego się stojaka.

- Jason, proszę...

Zabiera ci ją i odstawia na miejsce, z którego ją wjąłeś, ale potem, kiedy jesteście już w samochodzie, wyjmuje ją spod marynarki i wręcza ci.

To wspaniała książka, ciężka i gruba, z kartkami o krawędziach zabarwionych na żółto. Na twardej, błyszczącej okładce namalowany jest odziany w łachmany człowiek walczący z czymś wyglądającym jak skrzyżowanie ludzkiej istoty z małpą, ale straszniejszym i okrutniejszym niż każde z tych stworzeń. Obrazek jest kolorowy i na małopoludzie czerwieni się najprawdziwsza krew. Mężczyzna jest muskularny i przystojny, ma włosy jaśniejsze nawet od Jasona i jest bez brody.

- Podoba ci się?

Jesteście już za miastem i bez światła latarni jest zbyt ciemno, by widzieć obrazek. Kiwasz głową. Jason się śmieje.

- To zupełny chłam, wiesz?

Wzruszasz ramionami, czując pod palcami książkę, myśląc o tym, jak będziesz ją czytał wieczorem, zupełnie sam w swoim pokoju.

- Powiesz mamie, że byłem dla ciebie dobry?

- Uhm. Tak, oczywiście. Jeżeli pan chce.

- Ale jutro, nie dzisiaj. Na pewno będzie już spała. Nie budź jej. Ton głosu Jasona świadczy o tym, że byłby zły, gdybyś to zrobił.

- Dobrze.

- Nie wchodź do jej pokoju.

- Dobrze.

Jaguar pędzi drogą, a ty widzisz połyskujące w świetle księżyca grzywacze i kawałki drewna doniesione przez fale niemal na sam asfalt.

- Masz bardzo miłą, miękką mamusię, wiesz? Jak na nią wchodzę, to zupełnie tak, jakbym leżał na poduszce.

Potakujesz skinieniem głowy, przypominając sobie, jak kiedyś, rozbudzony z koszmarne go snu, wpęłzłeś do jej łóżka i przytuliłeś się do jej miękkiego ciepła, lecz jednocześnie czujesz coś w rodzaju złości, bo wydaje ci się, że fason drwi sobie z was obojga.

Dom jest ciemny i cichy, uciekasz fasonowi jak możesz najszybciej, pędząc przed nim przez hall i po schodach na piętro, a potem po następnych, wąskich i krętych, do twego pokoju w narożnej wieżycze.

Usłyszałem tę historię od człowieka, który opowiadając ją łamał dane wcześniej słowo. Czy i na ile ucierpiała ona w jego rękach - a raczej w ustach - nie wiem. Ogólnie jednak rzecz biorąc jest prawdziwa, ja zaś przekazuję ją wam w takiej postaci, w jakiej do mnie dotarła. Oto, co usłyszałem: Kapitan Philip Ransom dziewięć dni już dryfował samotnie na swojej tratwie unoszonej wodami oceanu, kiedy wreszcie zobaczył wyspę. Był późny wieczór, kiedy zamajaczyła mu na horyzoncie, i przez całą noc kapitan nie zmrużył nawet oka. W jego czuwaniu nie było ani odrobiny strachu czy niepewności; zobaczył i wiedział, co ma o tym myśleć, a jego domysły opierały się na znanych mu ścisłych faktach. Wiedział, że z całą pewnością znajduje się gdzieś w pobliżu Nowej Gwinei, i starał się odtworzyć w pamięci wszystko, co wiedział o prądach morskich w tej części oceanu, oraz dopasować to do zaobserwowanych przez te dziewięć dni prawidłowości w ruchu tratwy. Kiedy dotrze już do wyspy - nie przeszło mu nawet przez myśl, żeby użyć słowa "jeżeli" - okaże się z całą pewnością, że porośnięta jest dżunglą zaczynającą się kilka metrów od brzegu. Nie wiadomo, czy trafi na jakichś tubylców, ale na wszelki wypadek zebrał w myślach wszystko, co przez lata pracy w charakterze pilota, plantatora, myśliwego i zabijaki do wynajęcia przyswoił sobie z narzecza malajskiego i tagalogu.

Rano na horyzoncie ujrzał ten sam cień, co wieczorem, tym razem troszkę bliżej i niemal dokładnie tam, gdzie się spodziewał. W ciągu minionych dziewięciu dni nie było potrzeby używać małych wiosłek znajdujących się w wyposażeniu tratwy, ale teraz sprawa przedstawiała się

zupełnie inaczej. Wypił resztkę wody, jaka mu została, i zaczął wiosłować miarowymi, silnymi pociągnięciami; przerwał dopiero wtedy, gdy gumowe dno tratwy zaszurało po miękkim, czystym piasku.

Poranek. Budzisz się z wolna. Pieką cię oczy, lampka przy łóżku ciągle się świeci. Na dole nikogo nie ma, więc sam przyrządzasz sobie płatki na mleku, zapaliwszy uprzednio gaz w piekarniku, tak że możesz jeść i czytać przy jego otwartych drzwiczkach. Zjadłszy płatki wypijasz z talerza resztę mleka i stawiasz na kuchence dzbanek z kawą, wiedząc, że sprawisz tym przyjemność mamie. Schodzi Jason, ubrany, ale nic nie mówi; wypija kawę i robi sobie cynamonowego tosta.

Słyszysz, jak odjeżdża, warkot samochodu milknie w oddali; idziesz do pokoju mamy.

Już nie śpi, patrzy w sufit szeroko otwartymi oczami, ale wiesz, że nie jest jeszcze gotowa do wstania z łóżka. Najuprzejmiej, jak potrafisz, bo to zmniejsza niebezpieczeństwo, że zostaniesz skrzyczany, pytasz:

- Jak się dziś czujesz, mammo?

Odwraca głowę w twoją stronę.

- Okropnie. Która godzina, Tackie?

Spoglądasz na zegar stojący na toalecie.

- Siedemnaście po ósmej.

- Jason poszedł?

- Przed chwilą, mammo. Znowu patrzy w sufit.

- Wracaj na dół. Zrobię ci coś, jak się lepiej poczuję.

Schodzisz na parter, zakładasz kożuszek i wychodzisz na werandę, by popatrzeć na morze. Mewy walczą z lodowatym wiatrem, a daleko na morzu coś pomarańczowego przeskakuje z fali na falę, zbliżając się coraz bardziej do brzegu.

Tratwa ratunkowa. Pędzisz na plażę, skaczesz jak oszalały, wymachujesz czapką.

- Tutaj! Tutaj!

Człowiek na tratwie jest bez koszuli, ale zdaje się nie odczuwać zimna. Wyciąga rękę i

przedstawia się:

- Kapitan Ransom.

Ujmujesz jego dłoń i nagle stajesz się jakby wyższy i starszy - co prawda nie tak wysoki jak on i daleko ci jeszcze do jego wieku, ale na pewno jesteś wyższy i starszy niż dotychczas.

- Tackman Babcock, kapitanie.

- Miło mi. Przed chwilą okazałeś mi wielką pomoc.

- Przecież ja tylko czekałem na pana na brzegu...

- Sterowałem na dźwięk twojego głosu, bo oczy miałem cały czas zajęte obserwowaniem grzywaczy. Teraz powiedz mi, gdzie wylądowałem i kim jesteś.

Idziecie razem do domu, a ty mówisz kapitanowi o sobie i o mamie, i o tym, że mama nie chce cię posyłać tutaj do szkoły, bo stara się umieścić cię w prywatnej, tej samej, do której chodził kiedyś twój ojciec. Po pewnym czasie nie masz już o czym mówić. Prowadzisz Ransoma do jednego z pustych pokoi na trzecim piętrze, gdzie może odpocząć i robić, co zechce. Potem wracasz do swego pokoju i czytasz dalej.

- Czy chce pan powiedzieć, że to pan stworzył te potwory?

- Czy je s t w o r z y ł e m ? - Doktor Śmierć nachylił się do przodu z ustami wykrzywionymi w okrutnym uśmiechu. - A czy Bóg stworzył Ewę, kapitanie, gdy przemienił w nią żebro Adama? Czy też może to Adam stworzył tę kość, Bóg zaś ją zmienił, by otrzymać to, co chciał? Proszę to w ten sposób ująć, kapitanie: ja jestem Bogiem, Natura zaś - Adamem.

Ransom przyjrzał się stworzeniu, które objęło jego prawe ramię rękami, co równie łatwo mogłyby objąć grubo ciosany pał.

- Chce pan powiedzieć, że to jest zwierzę?

- Nie zwierzę - odezwał się potwór wykręcając mu boleśnie ramię. - Człowiek.

Doktor Śmierć uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Tak, kapitanie, to człowiek. A kim pan jest? Przekonamy się o tym, gdy z panem skończę.

Przytępienie pańskiego umysłu będzie znacznie łatwiejszym zadaniem niż podniesienie na wyższy



poziom umysłów tych biednych zwierząt. A może tak byśmy spróbowali zwiększyć czułość pańskiego węchu? Nie mówiąc już o pozbawieniu pana umiejętności chodzenia na dwóch nogach.

- Nie chodzić na czterech, nie chodzić na czterech - wymruczała ściskająca go za ramię bestia - takie jest prawo.

- Golo - zwrócił się do powłóczącego nogami garbusa doktor Śmierć - dopilnuj, żeby kapitan Ransom znalazł się pod kluczem. Zaraz potem przygotuj wszystko do operacji.

Samochód. Nie hałaśliwy Jaguar Jasona, ale jakiś cichszy, jakby większy. Wystawiając głowę przez wąskie okienko wieżyczki na podmuchy zimnego wiatru możesz go wreszcie zobaczyć: to duży wóz doktora Blacka; dach i maska lśnią jeszcze po niedawnym woskowaniu.

Na dole dr Black zdejmuje właśnie płaszcz z futrzanym kołnierzem i zanim jeszcze go zobaczysz, czujesz już zapach cygar, jakim przesiąknięte jest jego ubranie. W chwilę potem dopadają cię ciotka May i ciotka Julie, żeby zająć cię czymś, byś się nie kręcił koło niego przypominając swoją obecnością, że żeniąc się z mamą otrzymuje także i ciebie. Zagadują cię:

- No i jak tam, Tackie? Co tu robisz całymi dniami?

- Nic.

- Nic? A nigdy nie zbierasz muszelek na plaży?

- Chyba nie.

- Jesteś ładnym chłopcem, wiesz? - Ciotka May dotyka twego nosa zakończonym szkarłatnie palcem i trzyma go tak przez chwilę.

Ciotka May jest siostrą mamy, starszą od niej i nie tak ładną. Ciotka Julie - wysoka, o pociągłej, nieszczęśliwej twarzy - jest siostrą taty i kiedy patrzysz na nią, zawsze o nim myślisz, nawet jeśli wiesz, że ciotka namawia mamę do ponownego zamążpójścia wyłącznie dlatego, żeby tata nie musiał już wam przysyłać pieniędzy.

Mama, ubrana w nową, czystą sukienkę z długimi rękawami, jest już na dole. Trzymając pod rękę doktora Blacka śmieje się z jego dowcipów, a ty myślisz o tym, jak ładnie wyglądają jej włosy i że powiesz jej o tym, kiedy tylko zostaniecie sami.

- I jak, Barbaro, czy możemy już urządzić to przyjęcie? - pyta doktor Black, a mama odpowiada:

- A skądże! Widzisz, jak tu to wszystko wygląda, wczoraj cały dzień sprzątałam, a dzisiaj nie ma po tym nawet śladu. Ale Julie i Mary pomogą mi.

- Po obiedzie - śmieje się doktor Black.

Wsiadasz wraz z innymi do jego wielkiego samochodu i jedziecie do restauracji, której przeszklona ściana widokowa znajduje się tuż nad krawędzią skały opadającej stromo do oceanu.

Doktor Black zamawia dla ciebie potrójną kanapkę ~ indykiem i szynką; kończysz ją, zanim dorośli zdążyli na dobre zabrać się do jedzenia, i chcesz porozmawiać z mamą. Ciotka May posyła cię na taras ogrodzony siatką niczym wybieg dla kur, żebyś popatrzył na morze.

Jesteś niewiele wyżej niż wtedy, gdy wyglądasz z najwyższego okna w domu. Może trochę.

Wspinasz się na siatkę i przewieszasz się przez poręcz, by spojrzeć w dół, ale jakiś dorosły ściąga cię z powrotem, mówi, żebyś tego nie robił, po czym sobie idzie. Wspinasz się powtórnie i widzisz pod sobą to chowające się, to znów wynurzające spod fal skały. Ktoś dotyka delikatnie twego

łokcia, ale ty przez dłuższą chwilę nie zwracasz na to uwagi.

Potem schodzisz z siatki i widzisz, że stojącym tuż przy tobie człowiekiem jest doktor Śmierć.

Ma biały szalik, czarne, skórzane rękawiczki i równie czarne, błyszczące włosy. Jego twarz nie jest opalona, jak kapitana Ransoma, lecz biała i przystojna w zupełnie odmienny sposób, tak jak rzeźba, która stała w gabinecie taty jeszcze wtedy, gdy ty i mama mieszkaliście z nim razem w

mieście. "Kiedy od nas odszedł, mama zawsze mówiła, że on był taki przystojny", przemyka ci przez myśl. Uśmiecha się do ciebie, ale ty wcale nie czujesz się starszy.

- Hej. - Cóż innego można powiedzieć?

- Dobry wieczór, panie Babcock. Obawiam się, że pana przestraszyłem.

Wzruszasz ramionami.

- Trochę. Po prostu nie spodziewałem się pana tutaj.

Doktor Śmierć odwraca się od wiatru, by zapalić papierosa, którego wyjmuje ze złotej papierośnicy. Papieros jest dłuższy nawet od king size, ma czerwony ustnik i narysowanego na bibułce smoka.

- Podczas gdy pan oglądał sobie widoki, udało mi się wyslizgnąć spomiędzy stron tej znakomitej powieści, którą ma pan w kieszeni płaszcza.

- Nie wiedziałem, że potrafi pan to zrobić.

- Och, tak. Od czasu do czasu będę się tu pojawiał.

- Jest już tu kapitan Ransom. Zabije pana.

Doktor Śmierć uśmiecha się i potrząsa głową.

- Wątpię. Widzisz, Tackman, Ransom i ja jesteśmy trochę jak zapaśnicy: w różnych przebraniach wciąż toczymy ze sobą walkę - ale tylko w świetle reflektorów.

Strzepuje papierosa za balustradę i przez moment twoje oczy śledzą spadającą do morza iskrę.

Kiedy chcesz znowu spojrzeć na niego, już go nie ma i czujesz ogarniający cię chłód. Wracasz do restauracji, z tacy obok kasy bierzesz sobie miętowego cukierka i siadasz przy ciotce May, w samą porę, jak się okazuje, bo właśnie podają ciasto z kremem kokosowym i gorącą czekoladę.

Ciotka May przerywa konwersację tylko na tyle, by zapytać:

- Kto to był ten człowiek, z którym rozmawiałeś, Tackie?

- Jakiś człowiek.

W samochodzie mama siada obok doktora Blacka, z tyłu ciotka Julie, a ciotka May na krawędzi siedzenia, tak że mają głowy blisko siebie i mogą rozmawiać. Na zewnątrz jest szaro i zimno.

Zastanawiasz się, kiedy wreszcie znajdziesz się z powrotem w domu, i będziesz mógł zająć się książką.

Ransom usłyszał ich kroki i rozpląszczył się na ścianie tuż koło żelaznych drzwi stanowiących jedyne wejście do jego celi.

Przez ostatnie cztery godziny szukając drogi ucieczki zbadał każdy, najmniejszy nawet fragment zbudowanego z ogromnych głazów pomieszczenia, ale nie natrafił na nic, co by mogło dać mu choćby cień nadziei; nawet potężne metalowe drzwi zamykały się tylko od zewnątrz.

Kroki były coraz bliżej. Napiął mięśnie i zacisnął pięści.

Jeszcze bliżej. Teraz się zatrzymały. Zadzwoiły klucze i po chwili drzwi się otworzyły. Runął w szczelinę niczym błyskawica; zamajaczyła nad nim ohydna twarz i grzmotnął w nią z całych sił pięścią, zwalając małpoluda na kolana. Z tyłu objęły go dwa włochate ramiona, ale wyrwał się i drugi potwór runął pod jego ciosami. Na końcu rozciągającego się przed nim korytarza szarzałoienne światło. Puścił się pędem w tamtą stronę i właśnie wtedy spadła na niego ciemność.

Odzyskawszy przytomność przekonał się, że jest przywiązany w pozycji stojącej do ściany jasno oświetlonego pomieszczenia, będącego, jak się wydawało, skrzyżowaniem sali operacyjnej z laboratorium chemicznym. Naprzeciw niego stał przedmiot, który Ransom zidentyfikował jako stół operacyjny, na którym, przykryte prześcieradłem, spoczywało ludzkie ciało.

Zanim zdołał w pełni zrozumieć sytuację, w której się znalazł, do pomieszczenia wszedł doktor Śmierć; zamiast eleganckiego stroju wieczorowego, w którym Ransom widział go poprzednio, miał na sobie biały fartuch. Za nim, niosąc tacę z narzędziami, kuśtykał szkaradny Golo.

- Ach! - Spostrzegłszy, że więzień odzyskał przytomność, doktor Śmierć przeszedł szybkim krokiem przez pokój i uniósł gwałtownie rękę, jakby chcąc go uderzyć. Gdy Ransom nawet nie zmrużył oczu, opuścił ją z uśmiechem.

- Drogi kapitanie, widzę, że znowu jest pan wśród nas!

- Przez chwilę miałem nadzieję, że znajduję się gdzieś indziej odparł spokojnie Ransom. -

Mógłby mi pan powiedzieć, co to było?

- Rzucona celnie pałka, tak w każdym razie twierdzą moi niewolnicy. Człowiek-pawian jest w tym zupełnie niezły. Ale czy nie chce pan zapytać o to, co pan widzi przed sobą, a co specjalnie dla pana przygotowałem?

- Nie dam panu tej satysfakcji.

- Ale nie zaprzeczy pan, że jest ciekaw. - Twarz doktora Śmierci wykrzywiła się w uśmiechu. -

Nie będę trzymał pana w niepewności. Pańska kolej, kapitanie, jeszcze nie nadeszła. Tymczasem postanowiłem zademonstrować panu technikę i metody mojej pracy. Tak rzadko się zdarza, żebym

miał autentycznie zainteresowaną widownię... - Teatralnym gestem ściągnął przykrycie ze spoczywającego na stole ciała.

Ransom ledwie mógł uwierzyć własnym oczom. Leżała przed nim piękna dziewczyna o skórze białej jak mleko i włosach niczym przesączające się przez mgłę promienie słońca.

- Widzę, że teraz jest pan już zaciekawiony - zauważył sucho doktor Śmierć - i uważa ją pan za piękną. Niech mi pan wierzy, że gdy dokonam tego, co zamierzam, ucieknie pan wrzeszcząc z

przerażenia, gdy choćby tylko zwróci w pańską stronę to, czego już wtedy nie będzie nawet można nazwać twarzą. Od chwili, kiedy przybyłem na tę wyspę, ta kobieta była moim najzawziętym

wrogiem, a teraz nadszedł czas, bym... - urwał w połowie zdania i spojrzawszy na Ransoma

wzrokiem, w którym okrucieństwo wymieszane było pół na pół z figlarnością, dokończył: - ...bym, że się tak wyrażę, uchylił panu rąbka tajemnicy dotyczącej pańskiego losu.

Tymczasem szkaradny asystent doktora Śmierci przygotował zastrzyk. Ransom obserwował, jak

igła wbija się w niemal przezroczyste ciało dziewczyny i jak znajdujący się w strzykawce płyn,

samym kolorem dający wyobrażenie o perwersji techniki medycznej użytej do jego sfabrykowania,

wnika do krwioobiegu dziewczyny. Ta zaś, choć ciągle nieprzytomna, wydała delikatne

westchnienie, a przez jej twarz przebiegł nagły skurcz, jakby pierwszy sygnał wyciągającego po nią szpony koszmaru. Golo przekręcił ją brutalnie na plecy i przywiązał do stołu takimi samymi pasami jak te, którymi był skrepowany Ransom.

- Co czytasz, Tackie? - pyta ciotka May.

- Nic. - Zamknął pospiesznie książkę.

- Nie powinieneś czytać w samochodzie. To niezdrowo.

Doktor Black ogląda się na nich, a potem pyta mamę:

- Czy przygotowałaś już kostium dla małego?

- Dla Tackiego? - Mama potrząsnęła głową i jej piękne włosy załśniły nawet w mrocznym wnętrzu samochodu. - Nie, nie ma potrzeby. Będzie już spał.

- Ale powinnaś pozwolić mu choćby popatrzeć na gości, Barbaro. Dla chłopaka to wielka frajda.

Zaraz potem samochód wjechał na drogę łączącą Wyspę Osadników z lądem stałym. I zaraz potem byłeś już w domu.

Ransom nie spuszczał z oka zbliżającego się do niego obrzydliwego stwora. Choć nie był tak wielki, jak pozostałe, to i tak widok jego kłów mógł zmrozić krew w żyłach, a w dodatku potwór ścisnął potężnych rozmiarów nóż o lśniącym ostrzu.

Przez chwilę myślał, że zabierze się do nieprzytomnej dziewczyny, ale nie, stwór ominął ją i stanął tuż przed nim, patrząc wszędzie, tylko nie w jego oczy.

Potem, równie nagle, co niespodziewanie, bestia zgięła się w pół i dotknęła swą okropną twarzą jego skrepowanej ręki. Jej skurczonym ciałem wstrząsnęło głębokie westchnienie.

Ransom czekał w napięciu, co będzie dalej.

Znowu westchnienie, przypominające niemal szloch. Stwór wyprostował się, patrząc mu w twarz, ale ciągle nie w oczy. Z gardła istoty wydobył się wysoki, dziwnie znajomy jęk.

- Odetnij mnie - rozkazał Ransom.

- Tak. Po to przyszedłem. Tak, panie.

Wielka głowa; szersza niż wyższa, zakołysała się w górę i w dół. Ostrze noża przecięło krępujące Ransoma więzy. Kiedy tylko odzyskał swobodę ruchów, wyjął nóż z dłoni nie stawiającej oporu

bestii i rozciął pasy, którymi przywiązana była do stołu dziewczyna. Ważyła bardzo niewiele i przez chwilę trzymał ją w ramionach, przyglądając się jej spokojnej twarzy.

- Chodź, panie - pociągnął go za rękaw potwór. - Bruno zna drogę. Idź za Brunonem.

Ukryte schody prowadziły do długiego, wąskiego korytarza, w którym panowała niemal zupełna ciemność. f

- Nikt tędy nie chodzi - powiedział stwór chrapliwym głosem. - Nie znajdą nas tutaj.

- Dlaczego mnie uwolniłeś? - zapytał Ransom.

Przez chwilę panowała zupełna cisza, po czym ohydne stworzenie odpowiedziało niemal ze wstydem.

- Dobrze pachniesz. A Bruno nie lubi doktora Śmierci.

Domysły Ransoma się potwierdziły.

- Byłeś psem, zanim zajął się tobą doktor Śmierć, czy tak, Bruno? - zapytał łagodnie.

- Tak. - Tym razem w głosie istoty można było usłyszeć swego rodzaju dumę. - Bernardynem.

Widziałem zdjęcia.

- Doktor Śmierć powinien był się dobrze zastanowić, zanim zabrał się do przeprowadzania swoich podłych eksperymentów na tak szlachetnym zwierzęciu - zauważył na głos Ransom. - Psy z łatwością wyczuwają charakter człowieka. No, ale źli ludzie bardzo często nie potrafią się zdobyć na dosyć rozsądku w swoich ocenach.

Niespodziewanie człowiek-pies zatrzymał się z głuchym warknięciem, zmuszając Ransoma do przystanięcia.

- Mówisz, panie, że potrafię to wyczuć. Więc powiadam ci, że Bruno nie lubi tej kobiety, którą doktor Śmierć nazywa Talar o Długich Oczach.

Kładziesz książkę grzbietem do góry na poduszce i wyskakujesz z łóżka, wierzgając nogami w dzikim tańcu dokoła pokoju. Wspaniale! Cudowne!

Ale na dzisiaj dość lektury. Musisz zostawić sobie coś na później. Wyłącz światło i w rozkosznej ciemności odłóż książkę ostrożnie pod łóżko, odsuwając na bok elementy z "Małego konstruktora" i pudełko z kartami do Czarnego Piotrusia. Wrócisz do niej jutro; chciałbyś, żeby "jutro" było już teraz. Leżysz na wznak z rękami założonymi pod głowę i kołdrą naciągniętą po szyję, i gdy tylko zamkniesz oczy, widzisz to wszystko przed sobą: wyspę, chwiejące się w podmuchach wiatru

drzewa i zamek doktora Śmierci, odcinający się zimną szarością od gorącego nieba.

W domu jest zupełnie cicho, słychać tylko znajome odgłosy wiatru i oceanu. Na dole Mama rozmawia zapewne z ciotkami. Zapadasz w sen.

Budzisz się! Nasłuchujesz! Jest późno, bardzo późno, niemal zapomniałeś, że może w ogóle być tak późno. Słuchaj!

Cisza aż boli. A jednak... jednak... Słuchaj!

Na schodach.

Wstajesz z łóżka i bierzesz latarkę. Nie dlatego, że jesteś jakoś szczególnie odważny, ale po prostu nie możesz tak czekać w ciemnościach.

Strome, wąskie schody za twoimi drzwiami są puste. Szeroki podest na piętrze jest pusty.

Omiatasz go strumieniem światła. Słyszysz, jak ciotka Julie oddycha głośno przez nos, ale w tym dźwięku nie ma nic okropnego, znasz go: to po prostu ciotka Julie śpi i oddycha głośno przez nos.

Nic nie wchodzi po stopniach.

Wracasz do pokoju, wyłączasz latarkę i kładziesz się do łóżka. Kiedy już prawie śpisz, rozlega się odgłos twardych pazurów skrobiących po posadzce i czujesz na plecach liźnięcie szorstkiego języka.

- Nie bój się, panie, to tylko ja, Bruno.

Czujesz go, ciepłego własnym ciepłem i pachnącego własnym zapachem. Bruno kładzie się koło twego łóżka.

Jest już rano. W pokoju jest zimno i nie ma w nim nikogo oprócz ciebie. Idziesz do łazienki, gdzie jest coś takiego jakby wiatrak, ale z rozczapierzonymi, promieniującymi ciepłem drutami; tam się ubierasz.

Na dole jest już mama z jakimś kawałkiem materiału związanym dookoła głowy i ciotki siedzące przy stole, na którym stoją dzbanki z mlekiem, kawą i talerze z wielkimi płatami smażonej szynki.

Ciotka Julie mówi: - Cześć, Tackie! - a mama uśmiecha się do ciebie. Dostajesz talerz z tostem i plastrem szynki.

Przez cały dzień trzy kobiety sprzątają i stroją dom - maskami z czerwonego i złotego papieru, które ciotka Julie przyczepia na ścianach, a także obracającymi się, zmieniającymi kolor lampkami

- ty zaś starasz się nie przeszkadzać, tylko przynosisz drewno do wielkiego, niemal nigdy nie

używanego kominka. Zjawia się Jason; widać, że ciotki go nie lubią, ale on tylko trochę pomaga, a potem jedzie swoim samochodem do miasta po jakieś rzeczy, których zapomniał kupić wcześniej.

Tym razem nie bierze cię ze sobą. Wiatr huczy za oknem. Pozwalają ci pójść do twego pokoju, w którym jest nawet zupełnie cicho, bo wszyscy są na dole.



Ransom spojrział z niedowierzaniem na tajemniczą dziewczynę.

- Nie wierzysz mi - powiedziała. Było to zwykłe stwierdzenie faktu, bez śladu gniewu czy złości.

- Musisz przyznać, że dosyć trudno w to uwierzyć - starał się zyskać na czasie. - Ukryte w dżungli na malutkiej wysepce miasto, starsze niż wszystkie znane nam cywilizacje...

- Kiedy ty wyglądałeś jeszcze mniej więcej tak jak on - odparła spokojnie Talar wskazując na człowieka-psy - Lemuria był królową tego oceanu. Teraz wszystko już zginęło, z wyjątkiem mojego miasta. Czy to nie dość, żeby zadowolić nawet sam Czas?

Bruno pociągnął Ransoma za rękaw.

- Nie idź, panie! Czasem idą tam bestie, te, których nie chce doktor Śmierć. Mało wraca. To złe miejsce.

- Widzisz? - Na jego ustach Talar pojawił się lekki uśmiech. - Nawet twój niewolnik potwierdza moje słowa. To miasto naprawdę istnieje.

- Jak daleko stąd? - zapytał krótko Ransom.

- Jakieś pół dnia drogi przez dżunglę. - Dziewczyna przerwała, jakby bojąc się powiedzieć więcej.

- O co chodzi?

- Poprowadzisz nas przeciwko doktorowi Śmierci? Chcemy oczyścić tę wyspę, która jest naszym domem.

- Oczywiście. Nienawidzę go tak samo jak twoi ludzie. Albo i bardziej.

- Czy poprowadzisz nas, nawet jeśli ci się nie spodobamy? - Jeżeli mnie przekonacie. Ale ty coś ukrywasz.

- W takiej postaci, w jakiej mnie widzisz, mogłabym uchodzić za jedną z was, prawda? -

Przedzierała się przez dżunglę w towarzystwie idącego niechętnie za nimi człowieka-psy.

- Jest bardzo niewiele tak pięknych dziewcząt, jak ty. Ale tak, masz rację.

- Dlatego właśnie jestem wśród moich ludzi najwyższą kapłanką. W moich żyłach płynie jeszcze czysta, starożytna krew. Ale inni... jej głos przeszedł w szept - inni nie wyglądają tak jak ja. Gdy

drzewo dożywa bardzo podeszłego wieku, niektóre z jego gałęzi wykręcają się w przedziwny sposób. Rozumiesz?

- Tackie? Tackie, jesteś tutaj?

- Uhm. - Chowasz książkę pod sweter.

- No to otwórz te drzwi. Mali chłopcy nie powinni zamykać się sami w pokoju. Nie chcesz zobaczyć całego towarzystwa?

Otwierasz drzwi i widzisz ciotkę May w przebraniu Cyganki z długimi włosami, które wcale nie są jej i w masce zakrywającej jej tylko oczy.

Przed domem jeden za drugim zatrzymują się samochody. W drzwiach stoi mama ubrana w szaty z fosforyzującej tkaniny, rozchylającej się swobodnie na piersiach, ale za to okrywające szczelnie jej ramiona aż po same palce. Rozmawia ze wszystkimi po kolei i widzisz, że jej oczy mają ów

dziwny połysk, jak wtedy, kiedy nieraz tańczy sama ze sobą i mówi do siebie, gdy jest pewna, że nikt tego nie słyszy.

Kobieta z rybią głową w błyszczącej, srebrnej sukni to ciotka Julie. Lekarz w kitlu, ze

słuchawkami na szyi i czymś jakby talerzem z dziurką na czole to dr Black, a żołnierz w czarnym mundurze, z pirackim emblematem na kapeluszu i biczem u pasa to Jason. Na wielkim stole czeka

już waza z ponczem, kanapki i ciepła przekąska z fasoli. Cyganka zaczyna z kimś rozmawiać, a ty ściągasz kilka ciastek, wchodzisz pod stół i siadasz tam obserwując przesuwane się przed tobą nogi.

Gra muzyka i niektóre z nóg tańczą. Siedzisz w swojej kryjówce bardzo długo.

Tuż przy stole tańczą razem męskie i kobiece nogi, a potem przed tobą pojawia się roześmiana twarz - kapitana Ransoma.

- Co robisz pod tym stołem, Tackie? Chodź, baw się z nami!

Kiedy wypełzasz spod stołu, czujesz się bardzo mały, ale w chwili, gdy wstajesz, znowu

wydajesz się sobie dużo starszy niż w rzeczywistości. Kapitan Ransom ubrany jest jak rozbitek, w poszarpaną koszulę i udarte tuż poniżej kolan spodnie, ale wszystko jest czyste i aż sztywne od krochmalu. Na szyi ma łańcuch z nasion i morskich muszli, ramieniem zaś obejmuje dziewczynę,

która nie ma na sobie nic oprócz klejnotów.

- Tackie, to jest Talar o Długich Oczach.

Uśmiechasz się całując ją w rękę i jesteś niemal tak wysoki, jak ona. Dokoła ludzie tańczą lub rozmawiają, nie zwracając na ciebie żadnej uwagi. W trójkę, z kapitanem po jednej stronie dziewczyny, a z tobą po drugiej, przedzieracie się przez pokój, starając się omijać tańczące pary i grupki ludzi z drinkami. W pokoju, który gdy nie ma gości, pełni rolę salonu, dwaj mężczyźni i dwie dziewczyny kochają się przy włączonym telewizorze. W następnym pomieszczeniu na podłodze, z plecami opartymi o ścianę, siedzi jakaś dziewczyna.

- Witajcie - mówi. - Witajcie wszyscy.

Ona pierwsza cię zauważa, więc się zatrzymujesz. - Witaj.

- Będę udawała, że jesteś prawdziwy. Masz coś przeciwko temu?

- Nie.

Rozglądasz się za Ransomem i Talar, ale nie widzisz ich nigdzie w pobliżu i myślisz, że pewnie są teraz w salonie, całując się tak jak inni.

- To mój trzeci odjazd. Może nie bardzo dobry, ale i nie zły. Powinnam była jednak zatroszczyć się o jakiegoś monitora - wiesz, kogoś, kto by za mną stał. Kim są ci ludzie?

Stojący w kątach mężczyźni poruszają się. Do twoich uszu dochodzi szczeł ich zbroi, oczy rejestrują błysk broni. Odwracasz wzrok.

- Myślę, że przyszli z Miasta. Pewnie są tutaj, by pilnować Talar. I nagle wiesz, że to co mówisz, jest prawdą.

- Chcę ich zobaczyć.

Zanim zdążysz otworzyć usta, odzywa się doktor Śmierć: - Nie sądzę, byś naprawdę tego chciała.

Odwracasz się. Ma na sobie płaszcz, a pod nim strój wieczorowy. Bierze cię za ramię.

- Chodź, Tackie, chciałbym ci coś pokazać.

Idziesz za nim po schodach, a potem korytarzem do pokoju mamy.

Mama leży w łóżku, obok zaś stoi dr Black, przygotowując zastrzyk. Podwija jej rękaw, tak że

widzisz brzydkie, czerwone ślady po poprzednich ułtuciach i nagle staje ci przed oczami obraz doktora Śmierci pochylającego się nad przywiązaną do operacyjnego stołu Talar. Pędzisz na dół rozglądając się w poszukiwaniu Ransoma, ale nigdzie go nie ma, na przyjęciu zaś są już tylko prawdziwi ludzie i kryjący się w cieniu asystent doktora Śmierci, Golo, ale on nic nie mówi, tylko wpatruje się w ciebie błyszczącymi w świetle księżycy oczami.

Najbliższy dom należy do kobiety, którą nieraz widziałeś, jak obcina uschnięte liście swego asparagusa albo okopuje krzaki róż. Łomoczesz do jej drzwi, próbujesz wszystko wytłumaczyć, a ona po chwili decyduje się wezwać policję.

...w niebo. Płomienie lizały już grube, stropowe belki. Ransom przyłożył dłonie do ust i krzyknął:

- Poddajcie się! Zginiecie, jeżeli się nie poddacie! - ale jedyną odpowiedzią, jaką otrzymał, był kolejny strzał. Nie był nawet pewien, czy go usłyszeli. Lemuryjscy łucznicy oddali kolejną salwę w okna.

Talar uwiesiła się całym ciężarem na jego ramieniu.

- Wracaj, bo cię zabiją!

Posłuchał jej; minął potężne ciało człowieka-byka, przeszyte co najmniej dwudziestoma strzałami.

Zaginasz róg strony i odkładasz książkę. Poczekalnia jest zimna i pusta, i chociaż przechodzący przez nią ludzie uśmiechają się nieraz do ciebie, czujesz się bardzo samotny. Po dłuższym czasie chce z tobą rozmawiać wysoki, siwowłosy mężczyzna i kobieta w niebieskim mundurze.

Kobieta ma miły głos, ale w ten szczególny sposób, w jaki czasem są miłe głosy nauczycieli.

- Na pewno jesteś śpiący, Tackman, ale czy mógłbyś chwilkę z nami porozmawiać?

- Tak.

Teraz zabiera głos siwowłosy mężczyzna:

- Czy wiesz, kto dał te środki twojej matce?

- Nie wiem. Dr Black chciał jej coś zrobić.

Pomija to machnięciem ręki.

- Nie o to mi chodzi. Twoja matka zażyła bardzo dużo leków. Kto jej to dał? Jason?

- Nie wiem.

- Twoja matka wyzdrowieje - mówi kobieta. - Ale to trochę potrwa, rozumiesz? Przez jakiś czas będziesz mieszkał w takim dużym domu razem z innymi chłopcami.

- Dobrze.

Teraz mężczyzna:

- Amfetaminy. Wiesz, co to jest? Słyszałeś kiedyś to słowo?

Kręcisz głową.

Kobieta:

- Doktor Black chciał pomóc twojej matce, Tackman. Wiem, że tego nie rozumiesz, ale ona zażyła na raz wiele różnych lekarstw, a to może być bardzo niebezpieczne.

Idą sobie, a ty bierzesz do ręki książkę i przewracasz strony, ale nie czytasz. Tuż przy tobie siada doktor Śmierć.

- O co chodzi, Tackie?

Czuć od niego spalenizną, na czole ma zakrzepłą strużkę krwi, ale uśmiecha się i zapala jeden ze swych papierosów.

Zamykasz książkę.

- Nie chcę jej czytać do końca. Zabiją pana.

- A ty tego nie chcesz? To miłe.

- Zabiją pana, prawda? Zginie pan w płomieniach, a kapitan Ransom zostawi Talar i odpłynie z wyspy.

Doktor Śmierć uśmiecha się.

- Ale jeśli zaczniesz czytać od początku, to wszyscy znowu się pojawimy, nawet Golo i człowiek-byk.

- Naprawdę?

- Naprawdę. - Wstaje z miejsca i mierzwi ci dłonią włosy. - Z tobą jest dokładnie tak samo,

Tackie. Jesteś jeszcze za młody, by to zrozumieć, ale z tobą jest dokładnie tak samo.